



KROCZĄCY SZTANDAR

MACIEJ GŁOWACKI

Maciej Głowacki

Kroczący Sztandar

Projekt okładki: BG

Korekta: Magda Jarzębska

Łamanie i skład: Wojciech Dąbek

Copyright by Maciej Głowacki 2022



Wrocław 2022

„Był cień, który biegł koło mnie – to wyprzedzał mnie, to zostawał w tyle. Cieniów takich było mnóstwo, cienie te otaczały mnie zawsze, cienie niedostępne, chodzące krok w krok, śledzące i przedrzeźniające”.

~Józef Piłsudski

Prolog

Lampa błyskowa wystrzeliła nagle, chwytając w światło to, co niemożliwe. Fotograf ze strachem obserwował zjawisko jedynie przez aparaturę.

Nie wierzył, nie chciał wierzyć. Dopiero gdy potworna istota obróciła się i spojrzała bezpośrednio na ornitologa licznymi ślepiami, zrozumiał, że wykonał ostatnie zdjęcie.

Odwrócił się i pobiegł co sił w nogach. Kiedy zabrakło mu energii, biegł samą wolą przetrwania, a gdy i ta ustąpiła, to po prostu biegł. Biegł i robił wszystko, byleby nie myśleć.

Bo myślenie to walka z diabłem. A każda walka z diabłem jest skazana na porażkę.

Fotograf przeskoczył nad wykrotem i potknął się o wystający korzeń. Obrócił się w powietrzu i przez ułamek sekundy dojrzał, jak las dookoła mieni się czerwienią i wiruje. Aż w końcu rąbnął w wilgotną ziemię, zasłaniając panicznie twarz.

Zaraz poderwał się na czworaka i zaczął wodzić rękoma po ziemi, szukając bezcennego skarbu. Swojego własnego dowodu na to, że nie oszalał.

– Tego szukasz? – spytał głęboki, miękki głos.

Fotograf spojrział w górę i zobaczył wyciągniętą rękę z aparatem. Jego ukochane narzędzie trzymał jakiś człowiek w doskonale czystej jaskółce. Mężczyzna spojrział z niedowierzaniem na eleganta w środku lasu, odebrał aparat i kiwnął głową w podziękowaniu.

– Aleś mi z nieba spadł, człowieku! – podniósł głos i wstał.
– Tu trzeba szybko do granicy i na komendę, albo do wojska, gdzie tam! Do księdza! Albo wiem... Po kapelana! Szybko, ino biegiem!

Przez krótką chwilę obaj mężczyźni patrzyli na siebie, lustrując się wzajemnie wzrokiem. Elegancko ubrany dżentelmen spoglądał zza drobnych okularków z pewnym rozbawieniem na brudne, poranione oblicze ornitologa.

Sam zaś ornitolog patrzył się na obcego wpierw ze zdziwieniem, potem z nieufnością, a na końcu z narastającym żalem. Aż w końcu po prostu padł na kolana i schował ręce w dłoniach, płacząc wylewnie.

– Nie mazgaj się, wszystko będzie dobrze – odpowiedział fircyk w okularkach i przytulił fotografa kordialnie. – Czemu płaczesz? Prawie nam uciekłeś. A tak wszystko będzie w porządku, bo jesteśmy razem. Już nie będzie żadnego fotografowania, żadnej PP, ani WP, ani KK... nic z tych rzeczy, rozumiesz? Po co ci tyle organizacji, jak możesz mieć jedną, za to wielką, kochającą jak rodzina!

– Zostaw mnie! – Szarpnął się fotograf, uderzając eleganta z zaskoczenia. – Demonie, cholerny potworze, wynoś się! Wiem, coś ty za jeden! Ty jesteś diabeł!

Okularnik wstał, przejechał palcem wzdłuż rany po uderzeniu i zebrał odrobinę karmazynowej krwi, leżącej się spod skóry. Nagle położył dłoń na głowie przerażonego człowieka i wtarł mu krew we włosy.

– Wiesz co? Chyba za długo nie byłem u nas, bo mam ochotę spełnić twoje życzenie – powiedział poważnie obcy. – Dobrze, będziesz sobie fotografem... przynajmniej jakiś czas. Kochani, chodźcie!

Ornitolog obejrzał się przerażony. Początkowo nic się nie działo. Sosnowy las szumiał cicho, drżąc do jakiegoś rytmu. Masywne pnie drzew delikatnie kiwały się, potrząsając bujnymi, zielonymi koronami. Jednak nagle coś się zmieniło.

Z leśnego zagajnika wyłoniła się ogromna, nieforemna morda o dwóch całkowicie czarnych ślepiach i długim, zaostrozonym dziobie. Kilkumetrowe ptaszysko wyjrzało zza wysokich zarośli i jakby wstydliwie, nieco speszone uśmiechnęło się do fotografa. Zaraz zza dziwolągą wyszedł chudy, ogromnie wysoki człowiek w czarnym płaszczu i cylindrze, z którego wystawał czerwony pióropusz. Gdzieś obok nich pojawił się mały chłopiec w kamizelce w czerwone gwiazdy. Dalej stała kobieta, kryjąca w chuście swoją drugą twarz.

Dziwadła o wszystkich kolorach i odcieniach zbliżyły się do dwójki ludzi obok wykrotu. Potworna menażeria osobliwości rodem z najgorszych koszmarów ustawiła się w kręgu, bardzo blisko fotografa.

– Stańcie równo, kochani, pan zrobi nam zdjęcie do nowego albumu rodzinnego – zakrzyknął diabeł w ludzkiej skórze.

Rozdział pierwszy

Karmazynowy ślad szminki odbił się na pancernym szkle.

Alicja spojrzała po raz ostatni na wyzierające znad kokpitu oblicze męża. Pomyślała, że w takim stanie może go zobaczyć następnym razem w trumnie. Zaraz przypomniała sobie, że Polacy nie grzebią poległych.

– Jesteś moim najśłodszym upadkiem, nigdy ci... nigdy ci nie wybaczę, jeśli nie wrócisz. Rozumiesz mnie? – Pomasowała nabiegłe krwią powieki i uderzyła pięścią raz i drugi we własne odbicie. – Musisz dać radę, bo obiecałeś.

Jednak kapitan Izydor Murykiewicz nie mógł jej usłyszeć. Trwał pograżony w bezmiarze stukotów, świstów i huknięć kombinezonu bojowego.

Odważył się jeszcze podnieść głowę, by wlepić wzrok w blednący na szybie czerwony kształt. Ślad zaraz zniknął pod siłą dwóch przeciwnych strumieni wody. Sztywne ramiona wycieraczek bezceremonialnie rozprowadziły warstwę płynu do czyszczenia, po czym zastygły w bezruchu, a następnie opadły smętnie na boki. Maszyny nie obchodziły niuanse i symbole. Maszyna miała być nieczuła, za to kochali je żołnierze.

– Tutaj Samson zero jeden, Szwadron pierwszy, pierwszy Samodzielny Pancerny Batalion Miotaczy Przeciwtankowych – zaraportował do żeliwnej słuchawki, po czym komunikat z semafora wypłuł z siebie serię trzech zielonych błysków. – Przeprowadzam procedurę...

Nie skończył jednak, gdyż z otworu za jego plecami rozległ się znajomy głos technika.

– Mury, bez nerwancji ja ciebie proszę – mruknął zmęczony mechanik, przeżuując coś w ustach. – Odpalaj kolanka i pokręć się po prostu, bo ja tu, wiesz, liczyłem jeszcze zdążyć na wieczorek poetycki, hy–hy.

– Przeprowadzam procedurę testową modułów odnoży oraz wstępny test absorpcji przekazów mechanicznych – dokończył mimo wszystko pilot, po czym przełączył wentylator, by ten zagłuszył dalsze utyskiwania technika.

Izidor rozejrzał się jeszcze po kabinie i spojrzał przez oba peryskopy. Nie widząc nikogo w najbliższym otoczeniu, pociągnął równocześnie za dwie obłożone skórą gałki drążków. Jego ruchy były tak wyćwiczone, jakby wielokrotne ich powtarzanie stworzyło jakąś drugą, nową naturę pilota. Kierowanie maszyną zdawało się tak oczywiste jak kierowanie swoim własnym, nieskończenie wátlejszym i podatnym na uszkodzenia ciałem.

Szarpnęło całą konstrukcją. Wojenna machina zazgrzytała niepokojąco. Sina mgiełka buchnęła z rur wydechowych silnika i zebrała się w gęstą chmurę pod sufitem. Przerośnięte nogi wyprostowały się do półprzysiadu. Wydawało się, jakby każdy toporny ruch mógł zabić przypadkowego przechodnia albo i samego kapitana.

Pilot spojrzał z wysokości czterech metrów w dół, mruknął coś niezadowolony i wyprostował odnoża na maksymalną odległość. Kilka odhaczonych przełączników przełożyło się na właściwe ruchy, aż wreszcie jednostka Samson stanęła w całej okazałości przed pięcioma wiernymi kopiami, różniącymi się jedynie oznaczeniami na naramiennikach i samymi pilotami, rzecz jasna.

Polacy kochali swoje maszyny do granic absurdu. Piloci opisywali własne przeżycia z kierowania pojazdami kroczącymi, jakby to były

momenty ekstazy, jakiegoś przedziwnego uniesienia. Człowiek zdawał się znacznie większy w takim momencie, jakby to on sam miał te kilka czy kilkanaście metrów wzrostu, pancerną skórę i zdolność do miażdżenia tego co mu obce i wrogie.

Usta zadrżały Murykiewiczowi mimowolnie, a oczy nabiegły wilgocią. Jego twarz na ułamek sekundy skrzywiła się w grymasie żalu i zaraz złagodniała. Dłonie trzęsły się niekontrolowanie, nawet bardziej niż gdy pierwszy raz prowadził kombinezon bojowy, a przed nim stał oddział *raufenritter* z hakami rzeźniczymi.

Bo przecież widział wszystko. Obserwował ją, gdy wkradła się wraz ze żmudzkim tragarzem, którego albo przekupiła, albo przebłagała. Potem kręciła się dookoła spedytorów, by nikt z obsługi jej nie zauważył, a gdy on sam zatrzaskiwał mocowania pancerza osobistego, ona wychylała się zza kontenera z arkuszami metalu.

I przez ten cały czas bała się podejść, pożegnać się po raz ostatni przed drogą. Oczywiście, że pożegnali się w domu, nawet kilka razy, i jeszcze odprowadziła go do obiektu. No, ale przecież pożegnanie zawsze warto wydłużyć.

Dopiero gdy on wszedł do kabiny, Alicja bezceremonialnie przybiegła, zostawiła ślad na najkrótszy moment i odeszła. Jak duch. Zostawiła po sobie jedynie zapach perfum, którego nie mógł czuć przez filtry, ale mózg kazał mu wierzyć, że gdzieś tam jest. Postanowił zapamiętać to czerwone odbicie ust na szybie, mając nadzieję, że chociaż w ten sposób zabierze ją ze sobą.

Murykiewicz wziął głęboki oddech i wymacał pod deską rozdzielczą zapłon miotacza. Pojeździł palcem po gładkiej powierzchni pstryczka i cofnął dłoń. Uspokoił się, skupił na działaniu. Tego od niego oczekiwano.

– Trochę późno zaskakuje przy połowie... – zaczął Izydor, jednak technik ponownie mu przerwał.

– Ja, ja, naturalnie – zaśmiał się rubasznie. – Zażalenia do lubelskich partaczy, którzy nie zgodzili się na wsparcie od naszych braci z Zachodu. Wiesz, że Niemcy już wprowadzają pierwsze automaty sterowane radiem? Mogliby nam w tych Samsonach zamontować chociaż te żyroskopy sferyczne, to byś skakał jak małpa w gaju.

Izydor sapnął głośno, zmarszczył czoło i chwycił mocniej obudowę mikrofonu.

– Dobrze wiesz, że Samsony to nasza sprawa. Myślisz, że możemy sobie pozwolić na to, by dopuścić byłego zaborcę do takich przedsięwzięć? Niby prywatny inwestor, a wiesz, jak jest. Zaraz by sami odpalili linię produkcyjną. To tajny projekt!

– Tajny jak tajny, ale co w „Gońcu Warszawskim” nam kibicują to nasze! – Głos z interkomu rezonował jeszcze przez chwilę w klaustrofobicznej kabinie, wypełniając ją irytującym traskiem. – Wiesz, Mury, my się tu bawimy, ale... No serio, uważaj tam na siebie, ja bym w życiu tego nie wysłał bez dalszych testów, nie mówiąc już o tych pieprzonych zbiornikach z Rosenberpanem. No i jest jeszcze TO, o czym nawet nie powiem ci bo...

– Nie przypominaj, kieruj się procedurą – przerwał pilot technikowi. Zadowolony ze swojego odwetu na koledze, Izydor odłożył słuchawkę i przełączył kolejny trybik maszyny. Uwolnił zaczepy ramion pojazdu z postawy zasadniczej. – Zaczynam określanie stanu kończyn górnych i...

Stalowa dłoń maszyny, obleczona w pęki gumowych nakładek, uderzyła z hukiem w szczyt kabiny pilota i zastygła w bezruchu. Druga ręka jeszcze bardziej wygięła się nienaturalnie wzdłuż przysadzistego ciała. Cała

machina wyglądała jak wyjątkowo nieporadny służbista, prężący się przed przełożonym.

– No cóż, jakby to powiedzieć – zafrasował się pilot. – Salut działa... Rozruszam to jeszcze zanim wyjdziemy, przekaż reszcie, by nie popełniła mojego błędu.

Dowódca wyszeptał ostrożnie ostatnie słowa, zapominając o odwieszanej słuchawce. W mig rozległo się pięć jednoczesnych uderzeń z powtarzających ruchy maszyn podkomendnych. Zaraz wszystkie Samsony stały wyprostowane i sztywne jak manekiny w witrynie sklepowej.

Z interkomu dobiegał już tylko chrapliwy śmiech technika, ciągnący się jeszcze przez długie minuty.

Chwilę później sześć machin formowało kształt trójkąta z sierżantem Jerzym Świetlińskim-Brzeskim na szczycie. Spośród hurgotu silników spalinowych przedarł się jęk ogniw łańcuchów. Obsługa obiektu uwijała się jak w ukropie, choć z pozycji pilotów wyglądali niczym przesuwające się powoli owady. Wreszcie wrota uniosły się przed rycerzami Rzeczypospolitej.

Za obrębem hangaru wrzał czerwiec. Wzdłuż zabudowań niósł się poranny gwar jednostkowej rutyny. Rzucane bez zapалу polecenia przeplatały się z żywymi okrzykami nielicznych śmiałków, oddelegowanych do budowy umocnień za Chełmem. Izidor westchnął od serca i ruszył wraz z oddziałem na plac główny, ignorując gapiów.

Machiny kroczące nie były aż tak niesamowitym widokiem dla osób żyjących w centrach miast. Nawet na wsiach często ich używano, automatyzując w ten sposób część procesów. Maszyny pracowały w polu, kładły tory, rąbały i sadziły lasy oraz wierciły kolejne szyby kopalniane przynajmniej przez ostatnie pół wieku. Choć oczywiście przez większość okresu były to urządzenia niemieckie, austriackie, czy nawet rosyjskie,

które po drugim kongresie berlińskim trafiły w ręce reformowanego Królestwa Kongresowego.

Szwadron, który niespiesznie stapał przez plac, był szczególnie pod wieloma względami. Zaprojektowano go od zera w kraju i przeznaczono wyłącznie do walki z największym wrogiem Rzeczypospolitej. Niósł ze sobą broń szczególną dla młodego państwa. Chlupoczące wewnątrz masywne cysterny z białawym i szybko parującym płynem.

Rosenberpan był ogniem dwudziestego wieku. Obietnicą lepszego jutra, prometejskim darem postępu i szansą na odzyskanie utraconej historii. Jednakże zamontowanie go w takiej formie na kroczącej maszynie, obsługiwanej przez człowieka, coś – przypominało nieco uzbrojenie pszczoł. Plan zdawał się równie niebezpieczny dla użytkownika broni, co dla celu.

Nawet skoszarowani żołnierze wodzili wzrokiem za dumnie pracymi naprzód kombinezonami, wyposażonymi w kłębowiska dysz. Miotacze Rosenberpanu gotowały się do przechylenia szali wojny na stronę ojczyzny. Szwadron stanowił ledwie nowoczesny ułamek przestarzałej mozaiki sklejonej ze zdemobilizowanych i przejętych siłą fragmentów różnych armii. Mimo to wciąż robił wrażenie. Wydawało się, że po raz pierwszy to nad Wisłą stworzono coś, czego nie mogli sobie wymarzyć Europejczycy za Odrą.

Tylko dowódca oddziału spoglądał gdzieś w bok, na zielone pagórki za ratuszem. Wyczekiwał tęskno, bo tam, w oddali, był rodzinny Lwów. Czasem kapitan budził się w nocy z krzykiem. W snach widział, jak kruszeją mury, niebo zawala się niczym roztrzaskana nawa kościelna, a ludzie dławią się własną krwią.

I nic w tym dziwnego, bo Lwów faktycznie gotował się i bulgotał jak kotłownia pełna krwi. Oblegany dzień i noc, nieustannie. Raporty z perły

kresów wysyłano rzadko i zawsze krótkie, w tym samym tonie. Nie zagrzewano do walki, nie informowano o postępach. Po prostu obrońcy błagali o worki mąki, tłuszcz, naboje, paliwo... pomoc.

Zazwyczaj odsyłano im modlitwy i wyrazy współczucia.

Ciepły wiatr zawsze przypominał Izidorowi, jak jako chłopiec biegał po brukowanych ścieżkach, przedzierał się przez dzikie krzewy agrestu na tyłach podwórka i wieńczył trasę w starej zajezdni kolejowej. Godzinami wypatrywał, dokąd mkną długie eszelony pełne posępnych tłumów, mających już nigdy nie wrócić. Zawsze po tym następował dziwny powiew chłodu z daleka.

Dziecięcy umysł nie mógł objąć w pełni tego, co to znaczy poświęcenie. Poświęcenie wszak było konieczne do zasilenia maszyny wojennej, żywiącej się ludźmi. Zmieniły się flagi na maszynie, ale paliwo pozostało to samo.

Była jeszcze Alicja. Piękna, mądra, kochana... Izidor zaciskał powieki za każdym razem, gdy myślał, jak wiele dobra wniosła do jego życia. Zawsze bał się, że to sen. Zbyt wiele szczęścia, by istniało naprawdę. Czuł się w obowiązku, by chronić wszystko tak drogie mu i delikatne.

– Kapitanie – odezwał się matowym głosem interkom.

W pierwszej chwili Murykiewicz spodziewał się, że to sprzęt nawalił. Po prostu tak brzmiał głos doktora Archibalda Szereszewskiego – najnudniejszego człowieka, jakiego dane było kiedykolwiek poznać Izidorowi.

Szereszewski był w mniemaniu kapitana najgorszym typem uczzonego. Nie miał w sobie nawet szaleństwa wielkich, światłych umysłów, spędzających dnie w bałaganach swoich pracowni. O nie! Szereszewski był tak paskudnie nudny, ułożony i przykładowy, jak tylko to było możliwe.

Fakt, że trafił do oddziału Izydora, wynikał wyłącznie z tego, co dziwne, że to sam Archibald pomagał przy budowie Samsonów.

Zapewne kontynuowałby on pracę naukową jako solidna figura w świecie inżynierii, gdyby nie to, że nauka to także biznes. A biznes ma swoje prawa i włodarzy, którym podpadł swoim sztywnym rygorem.

Oficjalnie w Rzeczypospolitej nie było korupcji, ponieważ królował Jezus Chrystus. Czy ktokolwiek realnie przyjmował to wytłumaczenie? Nie. Czy to cokolwiek zmieniało? Tak, dało się dostać pałką przez plecy za poskarżenie się na łapówkarstwo. Widocznie na stołkach urzędniczych nie siedzieli synowie Boży, a ludzcy.

Tak to właśnie Archibald skończył niejako w pół kroku, nie mogąc kontynuować badań przez szereg dziwnych, niewyjaśnionych przypadków. Ostatecznie zdecydował się po prostu rzucić wszystko i przebywać ze swoimi wynalazkami, przynajmniej w ten prymitywny sposób – służąc jako pilot jednej z nich w wojsku.

– Kapitanie, należy się trzymać formacji – powtórzył tym razem dobitniej, nie słysząc dłuższy czas odpowiedzi.

Izydor wykręcił jedną nogą jak baletnica i ruszył dalej za sierżantem Świetlińskim, wciąż krocącym dumnie na czele. Ta pozycja pasowała najbardziej do jego odważnego – czy zwyczajnie brawurowego – charakteru.

W końcu wszyscy przyjęli nieco bardziej godne, wyprostowane pozy na środku placu, by zwrócić na siebie uwagę żołnierzy i dodać im otuchy. Wypolerowane kadłuby lśniły czystością. Szyby pancerne odbijały promienie słońca i skrywały w sobie bohaterów. Mijał kolejny dzień, mający podtrzymać słabnącego ducha Rzeczypospolitej.

Nieraz bywało, że Karmazyna wdzierала się do snów wojaków. Nietrwali w swej wierze w zwycięstwo i wartości narodowe, padali ofiarą

zakusów Złego. Od tak niewinnej rzeczy jak sen o spadającym orle czy brudnych piórach, po szaleńcze próby mordowania pobratymców w prawdziwym świecie.

Tak właśnie walczył nieprzyjaciół Polaków.

Gdy wiara spała, budziły się demony zbrodniczych sił, rozciągających się od Władywostoku po przedmurze chrześcijaństwa. Tam, na wschodzie, panował kolektyw Karmazynu, mający stale obraz świata w swoich bezmózgich, jednolitych trybach.

Bezmózgich w powszechnym mniemaniu, gdyż kierował się jedynie umysłem roju, mającego myśleć jednako i wyznawać jednako. Bez miejsca na odstępstwa. Dogmaty wlewały się w trzewia zarażonych i wypalały przejawy indywidualności jak gorejąca rtęć albo olej opałowy, zastępujący krew.

Przynajmniej tak głosiła aktualna agenda.

Tak naprawdę badania nad Karmazynologią były stosunkowo świeżym polem nauki. Nie dało się przesłuchiwać Karmazynów ani z nimi rozmawiać. Karmazyni oczekiwali jednej rzeczy – poddania się, co i tak nagradzali egzekucją przegranych. Więc co innego pozostawało dzielnym żołnierzom niż zatkać uszy i przymierzyć w cel?

W końcu kapitan zebrał się w sobie, potrząsnął spoconą czupryną w rozgrzanej tak szybko kabinie i pociągnął za słuchawkę komunikatora.

– Nie wychodźcie z kabin... – Odpowiedział mu natychmiastowy jęk zawodu. – Ekhem... Nie wychodźcie z kabin, bo powinniśmy robić dobre wrażenie, a wymarsz jest i tak za kwadrans. Nudzicie się? To dobrze, cieszcie się tym, bo potem nie będziecie mogli nawet złapać oddechu.

Na przekór rozkazom, korzystając z okazji, kapral Paprotko pociągnął drobną dźwigienkę i uchylił przeciwpancerne wieko, by wpuścić nieco świeżego powietrza.

– Zapaliłbym – mruknął na otwartym łączu Henryk Knothe.

– W służbie Rzeczypospolitej nie ma miejsca na odurzanie się jakimś smrodliwym dymem – zaskrzeczał dumnie sierżant Świetliński pokracznym falsetem.

– Nie widzę sensu w zmniejszaniu pojemności spirometrycznej płuc na własne życzenie. To wysoce nieefektywna metoda przetrwania – dodał Archibald.

– Spokój, bo zaraz wszyscy nieefektywnie dobierzecie metodę przetrwania – uciął podporucznik Wołk – wkurwiając mnie.

Paprotko rozejrzał się konspiracyjnie, przełączył kilka w swoim mniemaniu odpowiednich pstryczków i zgodnie z właściwym sobie optymizmem uznał akcję za udaną. Zaraz zaczął litanię w stronę komunikatora, błędnie nastawionego na prywatne łącze.

– Podporucznik to zawsze tak się nerwicuje, nie panie Archibaldzie? Ja to nie wiem, nie chcę stawiać przedwcześnie diagnoz, ale ostatnio czytałem w „Warszawskim Biuletynie Psychologicznym”, że niski próg drażliwości jest związany z problemami na tle seksualnym, wie pan?

– Józefie... – szepnął Archibald.

– Mówię ci, niesamowitych można się rzeczy dowiedzieć z tego pisma – kontynuował, nie potrzebując interlokutora do czegokolwiek poza słuchaniem. – Jak tylko wrócę do Warszawy, to chcę zwiedzić laboratorium, bo pewnie wiesz, co? Ty jesteś taki ogarnięty w tych naukowych sprawach. Otworzyli pierwszą pracownię eksperymentalną w Rzeczypospolitej, przyjechał profesor z Piotrogradu, nieźle, nie? Od siedemnastego to budowali, zeszły im te trzy lata blisko, ale to wiesz i Instytut, i wydział uniwersytecki, laboratoria Karmazynologii. Rozumiesz, jak oni to będą badać i to w środku miasta?! Może wreszcie dowiemy się, skąd jest to czerwone cholerstwo!

– Józef! – podniósł głos Szereszewski, zadziwiając rozmówcę i wszystkich pozostałych pilotów na kanale.

Paprotko oderwał wzrok od szarej kratki interkomu i spojrzał przez solidne, kryształowo czyste szkło – tuż przed tym, jak owo szkło wychyliło się z sykiem. Pokrywa wjechała na zewnętrzną szynę ku czerepowi pojazdu, by ustąpić miejsca umięśnionej sylwetce niespodziewanego gościa.

– A niech to dunder... – wyjęczał Paprotko, zanim pięć zaciśniętych palców urażonego podporucznika przybliżyło mu swoje rysy anatomiczne.

* * *

– Trzynaście, czternaście, piętnaście – liczył pod nosem wizytator budowy. Skubał siwą bródkę i wodził wzrokiem pozornie bez celu.

Zdażył doliczyć do pełnej minuty, nim pilot czterometrowej maszyny ładunkowej doczłapał ciężko przez zmarzlinę do upuszczonego z wysokości pakunku. Pod ładunkiem coś się niemrawo miało.

Nieszczęśliwie przygnieciony do ziemi robotnik leżał w śniegu, a dookoła szybko zbierała się czerwona, lepka plama. Szarpał się jak lis w zatrzaśniętych wnykach i kwilił cicho, nie mając sił na wyciągnięcie nóg spod prawie tonowego ciężaru.

– Niezwykłe, że jeśli mamy czterdziestu robotników, z czego każdy jest w stanie podnieść, załóżmy, siedemdziesiąt kilogramów, to i tak nikt nie raczył nawet nieco wznieść ciężar, aby zwiększyć szanse na przeżycie współpracownika. Gdyby choć pięć osób pomogło, to udałoby się zapewne go uratować bardzo szybko, wyczekując przybycia reszty. Jednak zamiast tego aż dwunastu ludzi wołało z równej odległości oglądać miejsce wypadku.

– Mamy procedury – mruknął niezadowolony wywodem kierownik budowy. Widział w swoim życiu wiele wypadków i ten nie robił na nim wrażenia. – Mogę panu to wszystko wyłożyć w biurze, tutaj będzie już tylko sprzątanie.

– Jestem pewien przyczyn – zachnął się wizytator i poprawił okulary w drucianych oprawkach. – To standardowy przypadek walki o przetrwanie. Im mniej samców o podobnych atrybutach, tym większa szansa na wypełnienie niszy. Zwyczajnie nie opłacało im się pomóc.

– Procedury...

– Czy prowadzicie zapis takich przypadków? Mógłbym skorzystać z archiwów i przełożyć je od razu na surowe dane. Jestem pewien, że wystąpi silna korelacja między niezamężnymi a brakiem udzielonej pomocy.

Przez moment obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem, aż w końcu kierownik budowy załamał ręce i zaczął szukać papierośnicy. Szybko zorientował się, że musiał ją zostawić w jednym z baraków, co tylko pogorszyło już tak kiepski dzień.

– Powtarzam panu, że nie mogli pomóc, bo mamy tutaj konkretne przepisy, których należy się trzymać. Większość wypadków to nie są proste urazy mechaniczne, tylko bardziej skomplikowane usterki z użyciem maszyn krocących. Gdy wystąpi wada funkcjonowania, o wiele bezpieczniej jest się odsunąć. Zresztą, boją się pomóc, bo jeśli go bardziej zranią, to mogą dostać pozew sądowy.

– A zatem są uwarunkowani – szepnął pod nosem rozmówca, przyjmując posępny wyraz twarzy. – Nic nie szkodzi. Wyznaczcie im dokładne testy ze znajomości regulaminu. Jeśli okaże się, że go znają wcale albo słabo, to najpewniej mam rację. Potem możecie mi to przesłać kurierem do Instytutu. Właściwie to nie – wyślijcie to po prostu do

sekretariatu, nie mam czasu na takie głupoty, któryś ze studentów się tym zajmie.

Kierownik westchnął tylko ciężko, nie mając siły na dalsze użeranie się z gościem. Ostrzegano go już wcześniej, że doktor Aleksander Breza opornie przyjmuje jakiegokolwiek opinie sprzeczne z własnymi.

– Mimo wszystko – zboczył z tematu doktor, ignorując pojękiwania rannego – budowa wygląda całkiem imponująco.

– Tak, projekty rządowe zazwyczaj cieszą się większym budżetem niż prywatne inicjatywy. No i inwestycja w przyszłość wydaje się bardziej sensowna w przypadku tysiącletniego narodu niż trzypokoleniowej rodziny posiadaczy.

– Ojej, ależ z pana ekonomista – zaśmiał się prawie naturalnie Breza, po czym zszedł po prowizorycznych stopniach i zatrzymał w połowie rampy załadunkowej. – Czy uwzględniono moje prośby odnośnie do dolnych partii budynku?

Pucułowaty naczelnik budowy poszedł w krok za doktorem i wyprzedził go pod koniec, by choć na pozór stworzyć atmosferę oficjalnej wizytacji. Tak naprawdę czuł się ciągle zbędnym elementem w większej układance. Nadzieją napawała go jedynie myśl, że miną jeszcze ze trzy lata nim doktor Breza będzie mógł skutecznie te swoje brednie w powstającym, nowym Instytucie.

– Tutaj będzie kotłownia, oddzielona dyskretnie korytarzem, by całość przechodziła prosto aż do najniższych partii, gdzie za strefą... – zaplątał się na moment kierownik i wykręcił kilka młynców palcami w powietrzu. – Strefą buforową, powiedzmy, będzie część właściwa obiektu. Przynajmniej ta, co do którego wyraził sobie szanowny doktor specjalne życzenia. Nie wiem, po co panu takie rzeczy, skoro to tylko praca z ludźmi, ale... no cóż. Ja tu tylko buduję, nie wymądrzam się o planach

zagospodarowania miasta. Natomiast niezmiernie dziwi mnie, że taki kompleks ma pierwszeństwo, a nie szpital czy chociażby jakieś muzeum ku czci nowej wolności.

Aleksander podrapał się po zakolach pod wełnianą czapką, uśmiechnął pod nosem, zagryzając wystający z brody włos, po czym położył dłoń na ramieniu kierownika.

– Wierzę, że spisie się pan świetnie i nie da powodów do rozczarowania. Nie chodzi bynajmniej o mnie. Po prostu sam Marszałek trzyma rękę na pulsie, a w jego wieku nieprzewidziane fluktuacje w środowisku mają tylko jedną sytuację wyjściową: zgon.

Zaśmiali się nerwowo obaj, wiedząc, iż nie chodziło wcale o zgon Czcigodnego Marszałka. Kierownik przez moment śmiał się jeszcze z grzeczności, ale nieszczególnie ani rozumiał, ani czuł się rozbawiony humorem Brezy. Staruszek wydawał mu się dziwnie oślizgły i nieprzyjemny w kontakcie – bardziej jak dzielnicowy oprych aniżeli wykładowca.

– Mam rodzinę... – zająknął się inżynier.

– Jak my wszyscy – odparł beznamiętnie doktor, niemalże pieszczotliwie gładząc mężczyznę po szyi. – Dlatego tym bardziej liczę, że będzie pan pracował z potrójnymi wysiłkami dla dobra wszystkich rodzin w nowej Rzeczypospolitej, prawda?

– To prawda, co mówią o Piotrogradzie?

Doktor zabrał dłoń z szyi kierownika. Pozwolił dwóm tragarzom przejść z paletą, na szczycie której sznury ciasno oplatały jakiś masywny ładunek.

– Karmazyna to wielka rzecz. – Uciekł wzrokiem gdzieś w bok Breza. Oczami wspomnień lustrował wysokie kamienice, biegał wzdłuż różowych płyt skalnych, którymi wyłożona była Newa. – Car Mikołaj drugi

był najpotężniejszym człowiekiem na kontynencie. Bogactwa, które dla nas stanowiły dziedzictwo wieków, dla niego były resztą kolacyjną, zostawianą chłopcu hotelowemu po wniesieniu walizek na piętro. Pancerze jego prywatnej gwardii czyniły z przybocznych nahludzi, a armia, którą władał, wprawiała w drżenie ziemię na obszarze kilkunastu wiorst. Dziś go nie ma. Rosja jeszcze istnieje, Wielka Wojna ledwie się skończyła, ale to tak samo stan nowy, jak i przejściowy.

– Więc...

– Więc słyszał pan to, co miał pan słyszeć. A teraz proszę pokazać mi resztę postępów. Chcę jak najszybciej podnieść z gruzów naukę w tym zapomnianym przez Boga kraju. Za dwa albo trzy lata niech piszą w gazetach, że oto Polska stała się ostoją Karmazynologii.

Doktor parsknął śmiechem do własnych myśli i dodał jeszcze:

– Jeśli do tego czasu wszyscy nie utopimy się we własnej krwi.

* * *

Konwój doczłapał w okolice Skrzyszewa jeszcze przed zachodem słońca. Obładowane materiałami wozy ciężarowe musiały trzymać dostojne, acz irytująco powolne tempo największych machin krocących.

Prędkość marszu spadła do flegmatycznego człapania, odkąd jakiś wysoko postawiony geniusz z urzędu połączył grupę szybkich i nowoczesnych Samsonów z przeżartymi zębem czasu kroczącymi monterami wysokościowymi typu „Topol”. Przez to wszelkie testy, w tym obejmujące wytrzymałość pracy przy najwyższej mocy, trzeba było przeprowadzać przy najwyżej połowie maksymalnej szybkości.

Marszu nie ułatwiała też droga – w najlepszych momentach ubita ziemia. Gęsta sieć kolejowa miała być przyszłością polskiej infrastruktury

i przez ostatnie trzy lata niepodległości budowano ją z różnym skutkiem, ale nadal nie ukończono projektu. Do tego czasu każdy musiał męczyć się i przedzierać przez wertepy, chaszcze i błota.

Podpułkownik Miłaszewski, jako formalny dowódca batalionu, znajdował się jednocześnie w nietypowej komitywie z Murykiewiczem. Kapitan dostąpił zaszczytu wykonania pierwszych testów nowego wyposażenia na froncie wschodnim. Zaowocowało to tym, że sam podpułkownik, uznając zadanie za czystą formalność, przekazał tymczasowo odpowiedzialność za logistykę na swojego oficera taktycznego, a przy tym więc pilota pierwszego Samsona.

Gdyby coś poszło nie tak, łatwo byłoby wskazać winnego wraz z całą myślą pancerną Rzeczypospolitej. Większość generalicji i tak nienawidziła maszyn kroczących, pamiętali jeszcze opasłe pułki dumnej kawalerii, choć te już pięć dekad temu były wycinane w pień przez pierwsze kombinezony bojowe. Najwidoczniej naznaczona latami doświadczenia pamięć miała swoje dziury. Umysły dowódców stanowiły pola bitew z lejami artyleryjskimi porażek, o których woleli zapomnieć.

Sam Marszałek również darzył szczególną estymą ułańskie oddziały, ale mimo to dostrzegał potrzebę modernizacji, będąc głosem rozsądku w dyskusji. Choć ciężko było Polakom przez trzy lata zrobić tyle, ile ościenne państwa osiągnęły przez lat trzydzieści, to próbować należało. I tak, efektem domina, Murykiewicz trafił za stery niestabilnej maszyny, z łatwopalną cysterną na plecach zdolną zmienić dowolnego bohatera w skwarek.

– Chciałbym kiedyś, aby maszyny walczyły za nas, ale bez nas – odezwał się nagle Szereszewski. – Sterowane sztucznym umysłem, krwawiące olejem, broczące iskrami ze stalowych ran.

– Ja bym chciał, aby nikt nie musiał walczyć – powiedział cicho kapitan, po czym uśmiechnął pod nosem i rozprostował palce zeszywniałe od obejmowania drążków kierowania. – Jednak się na to nie zapowiada, więc dopilnujmy, aby chociaż zrobić to, co jest w naszej mocy.

– Pan to zawsze wie, co powiedzieć – zatrzeszczał uszennie w interkomie sierżant Świetliński. – Trzeba podtrzymać ducha i przeć dalej. Zawsze raźniej z pieśnią na ustach!

Nagły huk łamanych kości przerwał gwar rozmów.

– Kurwa mać – dało się słyszeć z kabiny Wołka mimo wyłączzonego interkomu.

Po chwili sieć łączności odezwała się wściekłym głosem:

– Wszędzie leżą truchła krów czy innego cholerstwa i co chwila kuźwa jak nie w tę to w tamtą następuję, albo na jakieś dziwne krzewy, albo przetoczą się jakieś dłuższe kości i też ni cholery nie wiadomo czyje to i po co. Do dupy z taką robotą! Gdzie my kurwa jesteśmy, jeszcze w Polsce czy już na pierdolonych rubieżach?

– Przyjmuję do wiadomości, Janie. – Izidor zignorował łacinę podwórkową i zasępił się na długo. Wyrżał przez pancerne szkło na wschód i wzdrygnął się sam z siebie. Samo patrzenie w tamtym kierunku napawało zgrozą. – Nawet tutaj sięgają opary plugastwa, a czasem i ich nosiciele. Nie traktujcie tego jako wypadu na wakacje. Stawiamy linię umocnień, by wreszcie załatać Mur do ostatniego metra. Wygląda na to, że nikt nie chce mieszkać tak blisko granicy. Chłopi mogli porzucić zagony, chociaż to wątpliwe.

– A to akurat proste – dodał Szereszewski. – Karmazyna objadła wszystkie liście, kłacza i miękkie tkanki, by uzbierać biomasę.

– Uczynimy Polskę wielką! – odezwał się ponownie Świetliński-Brzeski ochoczo. Choć zdawał się innym irytyjący i nadmiernie

optymistyczny lub wręcz bezmyślny, to właśnie tacy ludzie mieli największe szanse w obliczu wojny z Karmazyną. Najmniejsze mieli ci, którzy nazbyt długo się nad jej kwestią zastanawiali, jak Szereszewski. – Wzniesiemy Mur, największy, jaki widział świat. Mur z naszej wiary, z naszych celów, z naszych ideałów...

– Głównie żelazo-betonu – przerwał Szereszewski poważnym tonem. – Okazjonalnie wzmacnianym kamiennymi blankami i kompozytowymi zbrojeniami przy bramach.

Paprotko uśmiechnął się mimowolnie i skrzywił zaraz po tym. Nadal nie mógł nadwyręzać obolałej twarzy, odznaczonej śliwkowego koloru plamą dookoła lewego oka. Wołk nie trzymał długo urazy za przytyki na terenie jednostki, ale ślad pozostał.

– Myślicie, że spuszczą z tonu, gdy zrobią cały Mur? – dobierał powoli słowa Knothe, jakby z trudem manewrując między niuansami. – Bo przecież to nie będzie trwało wiecznie, prawda? Ten cały... rygor wojenny musi się skończyć wraz z wojną...

– Henryk... – zaczął Archibald.

– Heinrich...

– Heinrich, ten Mur ma kilkaset kilometrów długości, stacja do stacji leży w odległości wzroku, a umocnienia kończą się dopiero na Prusach Wschodnich. Jak myślisz, co będziesz robić, gdy już Mur powstanie?

– Pruł do sukinkotów za Murem – skwitował Wołk, na zmianę przyspieszając i zwalniając kroku. – Mógł pan doktor łaskawie zaprojektować jakiś bieg pośredni, a nie kuźwa takie wolne gówno, że się ślimaczymy, albo tak szybkie, że wszyscy zostają w tyle.

– Wezmę pod uwagę jakąś dokładniejszą skalę, dającą więcej swobody. Może zrobię to tak jak w Sanacie... Tego ostatniego nie

słyszeliście. – Archibald spieszył się nagle, ale chyba nikt nie zwrócił uwagi na to, co powiedział.

– Mogło być gorzej – dorzucił Knothe. – Przynajmniej nie jest napędzany na pedały.

Łańcuch rechotu przebiegł przez interkomy, by zaraz umilknąć jak ucięty nożem.

Tęgi, oliwkowy wóz z kilkumetrową anteną zrównał się z pierwszym Samsonem i skręcił na prawą stronę wyboistej drogi. Wyglądało to, jakby celowo chciał zwrócić na siebie uwagę.

– Rotmistrzu – odezwał się nowy głos w interkomie. Nadawał na prywatnym łączu.

– Słyszę – spieszył się kapitan, wyczuwając nadchodzące problemy.
– A w ogóle to moglibyście sobie odpuścić te przytyki na tle klasyfikacji. Kombinezony bojowe to kawaleria tylko z nazwy, uznajcie to za reprimendę.

– Straciliśmy kontakt radiowy.

– Korpus z Zamościa nie odpowiada?

Izydor poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku.

– Jakikolwiek kontakt, panie kapitanie – odezwał się po chwili milczenia plutonowy, jadący wozem łączności. – Jakie rozkazy?

Izydor obejrzał się na wschód, w stronę rozległych ugorów i odległej ściany lasu, wystającej pomiędzy niekompletnymi fortyfikacjami Muru „Wschód”. Mocował się z własnymi myślami, zaciskając i popuszczając uchwyt na drążkach, aż w końcu odruchowo włączył i wyłączył wycieraczki, by dać sobie chwilę do namysłu.

– Awaria sprzętu? – dopytał z nadzieją, po czym odchrząknął i zniżył głos. – Czy też okresowe problemy meteorologiczne?

– Wątpliwe – odrzekł zmartwiony głos w interkomie. – Raczej celowe działanie. Dostajemy z każdej strony szum, wygląda naturalnie, ale... od tego jesteśmy, by umieć rozpoznać, czy coś jest naturalne, czy bardzo dobrze naturalne udaje.

– Powiedźcie korpusowi inżynierskiemu, aby nie pogubili nitowań w stopach, bo przyspieszamy tempo – skwitował kapitan, przełączył na ogólny kanał i dodał: – Jerzy, wysforuj się naprzód i nie strać głowy.

– Tak jest, kapitanie! – odkrzyknął podekscytowany sierżant.

Chwilę później Samson-03 rozwijał zawrotną prędkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, biegnąc na czele całej kolumny i wzniesając wysokie tumany kurzu.

* * *

Para wróbli zazgrzytała pazurkami o kamienny parapet za oknem, by po chwili dać się przepłoszyć nadlatującemu kosowi. Promienie słońca złociły senne ulice Warszawy zanurzone w słodkiej woni bzu i smrodzie spalin w podobnych proporcjach.

Radosław Kazimir, ubrany w wygniecioną białą koszulę, siedział niespokojnie na jednym z krzeseł w poczekalni. Wyczekiwał. Przerzucał wzrok na przemian ze stojącego zegara na ubraną w maskę ochronną sekretarkę.

Drzwi gabinetu lekarskiego otworzyły się, sunąc gładko nad podłogą. Ze środka dało się odczuć specyficzny zapach świeżego lakieru.

– Wejdzie... – zawahała się kobieta, nie chcąc urazić już nie gościa, ale jeszcze nie pacjenta – pan do środka, doktor przyjdzie.

Wewnątrz czekał młody brunet w wykrochmalonym kitlu z wystającym z kieszeni karnym rzędkiem długopisów. Z oczu dało mu się

wyczytać, że był nie mniej zestresowany od wchodzącego. Co rusz postukiwał obcasami butów o błyszczące, turkusowe linoleum.

Jeszcze przez chwilę młodzieniec mierzył się wzrokiem z uratowanym z pola bitwy żołnierzem. Kazimira zakwalifikowano jako ranionego pociskiem z wadliwego kulomiotu. A to oznaczało, że mógł równie dobrze zniknąć wśród akt medycznych jako zmarły wskutek powikłań. Pod warunkiem, że leżałoby to w interesie postępu, naturalnie. To właśnie miała ocenić komisja.

Nerwową ciszę przerwał dopiero spokojny, cichy głos z drugiego końca gabinetu.

– Niech pan usiądzie – rzucił pozornie w przestrzeń siwy jegomość, lakierujący figurki żołnierzyków. – Proszę spokojnie odetchnąć, tak? Jesteśmy tu w końcu dla pana, jest pan kombatantem, nie ma co się przejmować.

Radosław przyjrzał się zgarbionej postaci w kącie, zamrugał raz jednym okiem, po czym obydwoma i usiadł. Mimo zmiany poczekalnianego drewnianego krzeselka na obite miękkim materiałem siedzisko wewnątrz gabinetu, nadal nie mógł znaleźć sobie wygodnej pozycji. Wiercił się niespokojnie, jakby coś kazało mu uciekać.

– Proszę zdjąć koszulę i głęboko oddychać – powiedział młodszy z pracowników łamiącym się głosem. Od pacjenta oddzielało go biurko i dostawiony stół, a mimo to wyglądał, jakby wolał zamiast tego ścianę i drut kolczasty. – I nie przestawać, dopóki nie powiem.

– A może by tak najpierw przeprowadzić wywiad z pacjentem? – odezwał się głośno i dobitnie drugi mężczyzna, odkładając pędzelek na cynowy talerzyk. – Naprawdę, Haroldzie, to jednak trzeba użyć trochę wyobraźni. Należy zaproponować panu herbaty, zapytać o samopoczucie, bo pewnie i tak się okaże, że nic się nie stało.

Przełożony Harolda nachylił się nad wachmistrzem, po czym zajrzał mu głęboko w oczy. Kąciki ust drgnęły doktorowi niezauważalnie i rozpromieniły się w uśmiechu Duchenne’a.

– Już mnie przestrzegano, że będę mieć wizytę tak nietypowego gościa. – Doktor zakręcił się na pięcie i wychylił za drzwi, by powiedzieć coś do sekretarki. Zaraz przymknął drzwi i spojrzał na żołnierza jak na zagubione dziecko. – No i niech się pan rozluźni, bo ja też jestem człowiekiem i obecny tutaj Harold również, chociaż nie widać.

Kazimir rozejrzał się całkiem zdezorientowany, spojrzał na zażenowanego młodzieńca i z powrotem na doktora.

– Ja chyba nie bardzo... – zaczął ochryplym głosem i zamilkł, przytłoczony sytuacją.

– To był taki żart – wyjaśnił doktor, wyciągając dłoń w gumowej rękawiczce. – Doktor Aleksander Breza. A ta maszyna za biurkiem to mój asystent na praktykach, Hieronim Wawelski, dlatego jest taki sztywny.

– Maszyna?

– To też był chyba żart. – Asystent ośmielił się na uśmiech. – Jak się Pan...

– Radosław Kazimir – odpowiedział pacjent nagle, jakby coś tchnęło w niego nowe życie. – Jak się czuję? W sumie nie chcę uogólniać, ale tak razem, *suma summarum* to nie najgorzej. Mogło być lepiej, zajęli się mną już prawdziwi lekarze, gdy znaleziono mnie nieprzytomnego, a moich kompanów ledwie...

– No już, już. – Breza odsunął się nieznacznie i spojrzał na asystentkę, niosącą tackę z filiżankami. – Może herbaty?

– A ja zrobiłam tylko dwie, przepraszam – jęknęła wchodząca, zasłaniając usta drobną dłonią. Przez moment straciła równowagę i omal nie wylała wrzątku na wyciągnięte dłonie doktora.

– Pani Jadwigo, zabije mnie pani kiedyś tym wrzątkiem – roześmiał się Aleksander i obejrzał po zestresowanym towarzystwie. Jako jedyny miał kredowo białą twarz od urodzenia, a nie z nerwów.

– Nic nie szkodzi, nie piję herbaty – mruknął Hieronim, zbędnie poprawiając i tak prosto leżące na biurku dokumenty.

– Wystarczy mi woda – mruknął cicho Radosław, ale wtem doktor podniósł obie filiżanki i zbliżył do niego jedną z nich. – Dziękuję bardzo.

Breza jeszcze przez moment przypatrywał się sylwetce żołnierza, jakby w oczach miał całą niezbędną do badania aparaturę, a sama wizytacja była kompletnie zbędna. Przechylił głowę raz w jedną stronę, raz w drugą, aż w końcu spojrzał na asystenta.

– Zaczniemy od paru testów funkcji poznawczych – wyartykułował pouczająco i obrócił się znów do gościa. – Słyszałem, że infekcja oka źle się goi, a rana nadal panu dokucza... Dokucza?

– Dokucza.

– Dokucza, no właśnie, ale chcemy jeszcze sprawdzić, czy na pewno wszystko jest w porządku. To rutynowe badanie, proszę się nie obawiać. Ja naprawdę wiem, że wiele się słyszy o instytucie, ale to wszystko jest trzy razy przekrecone i dwa razy odwrócone, jak w głuchym telefonie.

Hieronim skinął ledwo widocznie głową i wyjął z szafki pudełko owinięte brezentem. Rozpiął delikatnie nietypowe zamknięcie wielokrotnego użytku i wyłuskał ze środka zawartość w postaci cylindra wypełnionego monetami o nominale jednej marki polskiej. Wszystkie z tegorocznej partii menniczej. Lew na rewersie pobłyskiwał w świetle lamp, jakby był żywy i gotowy do skoku.

– Nie rozumiem...

– Zaraz pan zrozumie – podniósł nieznacznie głos asystent, przysuwając do żołnierza monety, a następnie wyjmując jeszcze dwie kule modeliny oraz kilka szklanych naczyń.

Wawelski wypuścił niespokojnie powietrze nosem, przeciągnął naczynia po szerokim biurku i wyjął spod blatu kanister z niebieskim płynem. Ustawił wszystko w zasięgu ręki żołnierza i skierował wzrok na doktora.

Breza jeszcze przez moment wodził wzrokiem za pozostawionymi na wielkim parapecie figurkami i w końcu zaczął wyjaśniać:

– Niech pan zacznie od odpowiedniego ustawienia monet, które zostały panu podane.

– Mam z nich coś złożyć? – dopytał powoli Kazimir, obracając w dłoniach pojemnik. – Albo zbudować?

Żaden z obecnych nic dalej nie odpowiedział. Doktor jeszcze wskazał ręką zachęcająco i dalej tylko obserwował, jakby czegoś wyczekując.

Początkowo Kazimir chciał zwyczajnie odłożyć całość nieruszoną i sprawdzić, co się stanie, ale po chwili zaczął przebierać monetami w palcach i bawić się nimi.

Jest ich osiem, pomyślał, czyli parzyście.

Oblizał kilka razy nerwowo usta, przerzucił krążki między palcami, obserwując pod światło wybite lwy. Wreszcie chwycił szybkim ruchem dwie monety i odrzucił na bok, prawie strącając je z blatu. Chwilę obserwował pozostałe sześć i rozdzielił je między wszystkich obecnych.

Hieronim odnotował wszystko powoli i skrupulatnie, podczas gdy doktor spoglądał jedynie dobronim wzrokiem na całą sytuację.

– Proszę nalać do naczyń płynu tak, by było dobrze – powiedział wyraźnie asystent, przesuając w stronę badanego zlewki.

– Czyli do pełna? – zafrasował się żołnierz.

Nikt mu nie odpowiedział, więc chwycił za pojemnik i zaczął rozlewać drobne ilości do każdego z naczyń. Po chwili na stole stały różne kształtem szklanki. Na ich dnach chlupotały skromne porcje cieczy.

– Tak jest dobrze? – zapytał bardzo powoli doktor. Spoglądał przy tym na płyn, rozlany nieopatrznie po stole w czasie całej operacji.

– A skąd ja mam wiedzieć?! – odgryzł się Radosław. – Tak! Jest dobrze, co dalej?

Asystent przelał wodę ze wszystkich szkieł do jednego i rozłożył ręce w bezradnym, niemalże szczerym geście:

– Teraz jest dobrze?

– Nie.

– To proszę zrobić tak, by było.

Żołnierz stężał na twarzy. Zaczerwienione oko, w które wdała się infekcja jeszcze w szpitalu polowym, teraz wydawało się wręcz puchnąć i nabiegać krwią na nowo.

– Teraz jest dobrze! – warknął Kazimir, rozlewając większość wody na blat i pozostawiając wcześniej napełnione naczynie pustym.

– Mówił pan, że jest dobrze, gdy w każdym naczyniu było po równo na dnie. A teraz wylał pan wszystko z naczynia, w którym było najwięcej. Zmarnował pan dużo płynu, przelewając go w ferworze – stwierdził rzeczowo Breza, poprawiając okulary. – Proszę teraz wziąć te dwie kulki i ulepić je tak, by były równe.

Radosław po raz kolejny warknął coś pod nosem, chwycił obie, spore kule plasteliny i odkleił po małym kawałku z obu. Przyjrzał się matowej, zielonkawej powierzchni pod światło i postawił obie okruszyny na środku stołu.

– Są równe. – przyznał z dumą w głosie, wskazując na dwa okruchy.

Wawelski przetarł czoło chusteczką i głośno przełknął ślinę, dłonią gmerając pod biurkiem. Przełożony spojrzał na niego zdziwiony, zmrużył brwi i westchnął od niechcenia.

– Chyba mamy dla pana tylko ostatnie parę pytań – wyznał doktor, sięgając po pudełko ciastek.

Breza chwycił za dwa ciastka i wręczył sobie oraz Hieronimowi, pozostawiając część blatu po stronie żołnierza pustą.

– Czy tak jest uczciwie?

– Nie – odpowiedział ponuro wachmistrz.

– A tak? – spytał ostrożnie doktor, zabierając jedno ciastko Hieronimowi.

– Nie.

– A może tak? – dopytał, łamiąc swoje ciastko na trzy części i rozdając każdemu po kawałku, krusząc przy tym większość na blat.

– Tak jest dobrze – ucieszył się wreszcie Kazimir i zaśmiał z ulgi i rozbawienia.

Dyrektor Wydziału Karmazynologii zachichotał do wtóru, poklepując jedną ręką przerażonego asystenta po plecach, a drugą wduszając przycisk alarmu pod biurkiem.

* * *

Ołowiane chmury zgęstniały pod nieboskłonem. Wirowały i rozpyływały się na boki nienaturalnie szybko. Długa nić pojazdów wtoczyła się wartko na teren miejscowości, rozproszyła we względnym ładzie i przystąpiła do natychmiastowego rozładunku.

Obolali od długiego siedzenia i ciągłego podrygiwania na nierównościach piloci zaczęli wytaczać się kolejno ze swoich maszyn,

ustawiając je w standardowych kuckach. Jedynie sierżant Świetliński-Brzeski pozostał w swoim Samsonie, stojąc na placu wyprężony w pozycji zasadniczej.

– Mówił kapitan, że trzeba robić dobre wrażenie i podnosić morale!
– zakomunikował dumny, spocony sierżant po dotarciu na miejsce i tak od tamtej pory trwał, szlachetnie gorejąc w zaduchu kabiny.

Izydor rozejrzał się niespokojnie po placu i znów zwrócił ku niebu. Nerwowo obserwował fluktuacje chmur. Co chwilę spoglądał jeszcze na wschód, licząc samemu nie wiadomo na co. Oprzytomniał dopiero wtedy, gdy ruszył ku niemu ubrany w biały kask autochton, zdecydowanie odróżniający się ubiorem od nowo przybyłych żołnierzy.

Inżynier, który nadzorował budowę odcinka umocnień, był nienaturalnie wysokim i żylastym człowiekiem o przesadnie dużym nosie – kompletnie nieproporcjonalnym do małej, wycofanej twarzy. Sprawiał wrażenie, jakby dawno temu rozpędził się i z całą mocą walnął w przestrzeń między dwiema deskami. Przypominał Izydorowi te śmieszne, modne psy o płaskich pyskach.

– Topole na niewiele nam się zdadzą – stwierdził bez ogródek, nie kryjąc rozczarowania. – Biurokracja jak zwykle przesłoniła rzeczywistość. Jak mam kłaść bastiony na wysokości dwunastu metrów, gdy same maszyny mają ich po osiem? Sypać trawersy się nadają te wasze karłowate koparki. My tu budujemy pełnowymiarowe fortyfikacje, a nie wały ziemne na miłość pańską! Na papierze pewnie to świetnie wygląda, tak? Zbudujemy byle gówno, by się to trzymało i już – projekt udany, wróg odparty, tak?

– Coś jeszcze? – spytał kapitan tak, by dało się dokładnie wyczuć znużenie i brak przejęcia. – Bo grzeczności mamy chyba za sobą.

Nadzorca spojrział zmęczonym wzrokiem na kapitana, pomasaował workowate powieki i rozdziawił usta, jakby chciał nabrać deszczówki do środka. Archibald spoglądał z ukosa na całą scenkę, aż w końcu zbliżył się, wyczuwając swoją szansę.

– Doktor Archibald Szereszewski – wtrącił się nagle. – Może to ja powinienem wysłuchiwać uwag pana...

– Drobnic, Modest Drobnic. – Inżynier przez moment trzymał wyciągniętą dłoń, ale nie doczekał się odwzajemnienia.

– Mam fobię – wyznał tym samym, matowym głosem doktor.
– Nie podaję ręki. Natomiast z chęcią i najwyższym szacunkiem przysłucham się pańskim problemom. Tak się składa, że kwestie techniczne to obszar moich zainteresowań.

Dobrali się, pomyślał Murykiewicz. Kapitan spodziewał się, że odbiór transportu będzie długi i uciążliwy, a zamiast tego spotkała go całkiem miła niespodzianka. Dzięki Archibaldowi, zamiast użerać się z kierownikiem obiektu, mógł oddać się podziwianiu słynnego MW – Muru Wschodniego lub po prostu Muru.

Całość konstrukcji imponowała rozmachem. Powiedzieć, że była niesamowita, to jak nic nie powiedzieć. Rzeczpospolita żyła tylko wieściami na temat budowy Muru, zarządzanej już na przełomie siedemnastego i osiemnastego roku, gdy wschodnie rubieże kraju pogrążyły się w chaosie wojennej zawieruchy, wtedy jeszcze noszącej znamiona rosyjskiej pandemii. Rząd założył, że Rosja wytrzyma jeszcze ze trzy lata i, o dziwo, nie pomylił się w swoich szacunkach, co tylko pomogło stworzyć powszechny wizerunek Naczelnika jako człowieka nieomylnego.

Gargantuiczna wręcz na skalę całej Europy sieć budynków miała uchronić stary kontynent przed najazdem karmazynowej zarazy oraz urzeczywistnić mit przedmurza chrześcijaństwa. Choć do kraju, mimo

zerwania stosunków dyplomatycznych ze wszystkimi sąsiadami, dochodziły także wieści o budowie adekwatnego muru przez Cesarstwo Niemieckie na granicy z Polską. Polska jednak nie odzyskała niepodległości w wyniku zakończenia wielkiej wojny, jak to wieścili niektórzy, a w wyniku zbrojnych rozruchów, wspomaganych katastrofalnym w skutkach powstaniem Karmazyny. Zatem ostatecznie oficjalny status państwa niepodległego, pozbawionego protektoratu, uzyskano w sposób najmniej elegancki – przemocą i siłą faktu zastanego.

Jednak prawda dziejowa nie miała tylko postaci niezłomnej postawy Polaków, zdolnych do obrony przed przytłaczającą i niezrozumiałą siłą ze wschodu.

Prawda miała postać linii umocnień, liczonych w kilometrach redit, redut, tradytorów, kawalier i niezliczonych szanów, poprzecinanych przez place budowy bardziej zaawansowanych fortyfikacji. Większość z nich opracowano na potrzeby specyficznej walki z niespotykanym w historii przeciwnikiem.

Cóż po wale ziemnym, gdy Karmazyni potrafili równie dobrze przekopywać się pod ziemią, jak i przelatywać nad nią czy nawet przebijać się przez umocnienia gołymi rękoma, jakby parcie naprzód było ich jedynym celem. Mogli precyzyjnie się przebić przez ucho igielne albo przefrunąć pod księżycem, lub pojawić się z porannej mgły. Karmazyna mogła pojawić się nagle, bez zapowiedzi, w dowolnym miejscu.

Dzień, w którym Azja została zniszczona przez wybuch epidemii, pozostawił resztę świata w osłupieniu. Szybko należało zrewidować poglądy. To, co do tej pory wydawało się wykraczać poza znane realia, stało się częścią prawdziwego świata. Wszyscy musieli wyciągnąć własne wnioski.

Tak powstały centra badawcze Karmazynologii i inne instytuty badań nad epidemią. Zastępy specjalistów ze świata nauki stawiały sobie za punkt honoru rozwiązanie tajemnicy karmazynowej choroby, wirusa, pasożyta czy też diabła albo bóstwa. Ludzie musieli otrząsnąć się po jednej przerwanej, koszarnej wojnie i zanurzyć w następną, piekielną – możliwe ostatnią.

Nie sposób było odróżnić prawdę od fikcji, gdy kolejne zastępy generałów, fizyków i kapłanów prześcigały się w interpretacjach. Opisywanie Karmazyny było jak tłumaczenie, że dusza jest to życie w formie gazowej. Nawet badanie Karmazyny było niebezpieczne. Niemyślenie o Karmazynie zwiastowało Karmazynę, myślenie o niej poprzedzało los gorszy od śmierci.

Doktor Szereszewski zniknął wraz z inżynierem w drzwiach prowadzących na strażnicę. Wieża wznosiła się chudym łbem na kilka metrów ponad linię rusztowań. Mimo że odcinek Muru nadal był w budowie, wciąż olśniewał imponującym rozmiarem. Całego placu dzień i noc pilnowały zastępy żołnierzy i maszyn. Nie było niczego ważniejszego od żelaznej kołyski, w której bezpiecznie miałyby wzrastać odrodzona Rzeczpospolita.

– Jakim cudem zniknęliśmy z mapy świata, będąc tak dzielnym narodem? – powiedział do siebie ze smutkiem kapitan. – Widocznie musieliśmy zrobić coś bardzo głupiego. Zawierzyć w naszą niezniszczalność, spuścić z oczu własne plecy i sprowadzić na siebie widmo klęski...

Wtem zdębiał, poczuł suchość w ustach i wziął kilka płytkich oddechów. Oczy wypęły mu z orbit i zaczął rozglądać się zszokowany, jak ryba wyciągnięta z wody. Ciśnienie zmieniło się niemalże natychmiastowo.

Coś przyćmiło umysł kapitana, jakiś nieznany szmer wdarł się w małżowiny uszne i na króciutki moment serce zatrzymało mu się w pół uderzenia.

– Nie, nie – szepnął, drżąc przy tym, jakby zdał sobie sprawę z czegoś strasznego. – To nie prawda, nie popełniliśmy błędów, zostaliśmy zdradzeni, jesteśmy wielcy! Nie myśl o tym, nie myśl o Karmazynie, nie myśl o niczym, nie nie myśl!

Zagrzmiało nad głowami zebranych. Kłębowisko czerni zniżyło pułap, oddzielając się od reszty chmur. Ktoś z niepokojem wskazał palcem w górę. Uzbrojona grupa wymierzyła w pośpiechu broń osobistą ku nieboskłonowi. Wszystko zmieniło się nagle, w mgnieniu oka.

Żołnierz z oznaczeniami starszego ogniomistrza dobiegł do Murykiewicza, gestykulując żywo.

– Kapitanie, mamy kontakt z...

Jednak Izydor nie dosłyszał, z czym podkomendny miał kontakt, gdyż słowa ugrzęzły w rozerwanym na strzępy gardle.

* * *

– Myślisz, że to wszystko kiedyś się skończy?

Majowe słońce bombardowało bezlitośnie karki spacerowiczów. Pola rzepaku ciągnęły się po obu stronach kilometrami, by móc w końcu rozbić się o ścianę mieszanego lasu. Z oddali jeszcze – spośród drzew – dało się słyszeć łoskot uderzeń. Terkoczące dzioby dzięciołów pręły bezlitośnie młode sosny.

Słowem – wiosna wybuchła na dobre.

Izydor wciągnął ciężką, słodką woń i uciekł wzrokiem dalej. Wyniosły, stalowy kolos uporczywie składał dwuteowniki na piętrzące się pryzmy. Automatyzacja w budownictwie Rzeczypospolitej pozwoliła na

zmaksymalizowanie efektywności projektów rozwijających infrastrukturę kolejową...

– Izuś!

– No przecież cię słucham, wiem, ja rozumiem, ale... – rzucił zdezorientowany, wybierając najbezpieczniejszą opcję. – Też się zastanawiam.

Alicja знаła swojego męża lepiej, niż on sam chciałby to przyznać. Dlatego jedynie wywróciła oczami, pociągnęła go za ramię do siebie i dopytała:

– Więc łaskawie może podzielisz się swoimi głębokimi przemyśleniami, panie inżynierze? – Po czym stuknęła go dwoma palcami w skroń.

– Bez przemocy mi tutaj!

– Phi! – Alicja fuknęła niewzruszona. Upewniła się, że nikt znajomy ich nie widzi i zdjęła długie, niewygodne rękawiczki. – I tak nie jest ci mózg do niczego potrzebny. Skoro mnie nie słuchasz, tylko myślisz o tych swoich wielkich paskudach. Może powinieneś być sobie za żonę wziąć lokomotywę.

Byłaby na pewno cichsza, pomyślał Izidor.

Chwilę jeszcze walczyli z własnymi mięśniami twarzy, po czym uśmiechnęli się mimowolnie i przesunęli w bok, by ustąpić drogi człapiącemu Szczudlarzowi, zraszającemu pola z pozycji kombinezonu kroczącego.

Staruszek na wysokim, chyboczącym się szkielecie z żelaza nawet nie spojrzał na przechodniów. Zapewne bardziej skupiał się na nieprzewróceniu głupio, zwłaszcza że maszyna wyglądała na bardzo stary model, nieposiadający stosownych zabezpieczeń.

– Ja naprawdę się martwię tym, co się dzieło, dzieje i dzieć będzie, rozumiesz? – szepnął, podejmując temat ponownie.

– Wiem, nie tylko ty. To nie będzie trwało wiecznie, obiecuję. To tylko chwilowe trudności, zawierucha dziejowa. Co mogą zrobić nam, czego nie możemy zrobić my im? Po prostu musimy być silni nie tylko dla nas, ale i dla ojczyzny, dla wszystkich!

Alicja chwyciła męża za uniesioną triumfalnie dłoń i ściągnęła do wysokości swojego brzucha. Chwilę spoglądała nieśmiało na ziemię, po czym ścisnęła jego serdeczny palec i spojrzała prosto w oczy.

– Izuś... Nie dla żadnej ojczyzny ani nie tylko dla nas dwojga.

Izydor otworzył szeroko usta z niedowierzaniem, spróbował coś powiedzieć raz, drugi. W końcu przegryzł mocno dolną wargę i pozwolił łzom spływać po twarzy, w myślach już zrzucając winę na Boga ducha winnego Szczudlarza kołyszącego się z pompą wodną.

* * *

Pierzasta kula czerwonej flegmy rozprysnęła się na wszystkie strony, zabryzgując niezidentyfikowaną mazią kombinezon Murykiewicza.

Starszy ogniomistrz leżał na ziemi, drżąc w konwulsjach. W odruchu Izydor chciał udzielić mu pierwszej pomocy, ale głowa rannego leżała rozciągnięta na kilka strzępów różowych tkanek, pół metra od korpusu. Zdecydowanie było za późno, nawet na ostatnie namaszczenie.

Gdzieś od wschodu zagrzemiała trąba, ślizgając się po uszach zebranych, powalając co bardziej wrażliwych na kolana. Narzędzia, gwoździe i inne metalowe elementy podniosły się z placu budowy na moment, zastygły w powietrzu i opadły z potwornym hurgotem.

Zebrani patrzyli w osłupieniu, jak niesamowita, obca siła kwestionuje nawet prawa fizyki.

– Wołk! – zakrzyczał kapitan, dobywając rewolweru. – Knothe! Paprotko! Wszyscy do maszyn!

Rozkazy mieszały się z jękami rannych, powarkiwaniem sprzętów budowlanych, trzaskami łamanych kości i z grzmotami niebios. Ktoś z niedowierzaniem spoglądał na czarną dziurę, ziejącą w jego klatce piersiowej. Któryś robotnik z uporem godnym lepszej sprawy próbował doczepić sobie urznięty w niewiadomy sposób palec. Świat oszalał.

Rozległy się wreszcie suche trzaski pistoletów. Żołnierze starali się metodycznie ustalić, kto wróg a kto swój. Wcale nie było to łatwe zadanie.

Izydor rozejrzał się na boki, ustawiając sobie w głowie: kto już złapał za broń, gdzie są jego ludzie, gdzie powstają pierwsze prowizoryczne przyczółki i wreszcie najważniejsze – gdzie na miłość Jezusa Chrystusa jest wróg?!

– *Tutaj* – coś w głowie Izydora przebiło wszystkie dźwięki, wwiercając się w mózg jak rozżarzona szpila – *młody człowieku*.

Murykiewicz obrócił się natychmiastowo i strzelił na oślep. Przydziałowy oficerski bilon wzniecił biały błysk. Pocisk przebił się przez falujący na wietrze sztandar. Przez dobry moment oficer nie dowierzał własnym oczom. Zamrugał kilka razy, postąpił do tyłu i przymierzył z rewolweru ponownie.

Spomiędzy nakładających się na siebie mas żelaznych komponentów wystawała posągowa figura w kolorze dojrzałych czereśni. Wydawała się absolutnie oderwana od rzeczywistości i niemożliwa do zrozumienia. Pomiędzy jej wargami grały defilady siwych zębów, ale mówiła ludzkim głosem. Istota, której sam tylko widok rodził mity i legendy zdolne przetrwać pokolenia.

Samson jest za daleko, pomyślał rzeczowo kapitan, muszę się dostać do kabiny, inaczej wyrzną nas tutaj jak kaczki. Muryk, spokojnie, bez nerwów, zachowaj zimną krew.

Jednak po raz pierwszy Izydor nie czuł się sam we własnej głowie.

– Lęk przed porażką to naturalna cecha wiecznych przegranych. Polska demokracja stoi pod wieloma względami wyżej od poprzedzających ją form państwowych. Nie jest jednakże wieczna. Musi ustąpić miejsca naszemu społeczeństwu. Mostem do naszego społeczeństwa jest triumf mas...

Kolejny strzał bilonu rozerwał złotą gwiazdę, wyszytą w centrum szkarłatnego sztandaru, którym obleczony był olbrzymi czworonóg. Gigant górował nad polem bitwy, przyodziały w liczne zszyte ze sobą mundury pokonanych. Rozerwane tkaniny upięto ozdobnymi orderami z metali szlachetnych. Grzywa kolosa zafalowała na wietrze. Trzy pary przekrwionych oczu zajaśniały głęboko do serca Murykiewicza.

Czas jakby się zatrzymał.

Izydor obejrzał się skołowany na zastygłą w ruchu dantejską scenę. Ostatecznie zawiesił wzrok na źródle głosu.

Gargantuicznych rozmiarów kot, czy raczej do kota podobna istota, zdawała się być czymś rodem z przedstawień demonów, którymi księża straszili niesforne dzieci w świetlicach.

A mimo to w sennej chimerze zdawało się kryć coś przyziemnego, biologicznego, niemalże ludzkiego. Biła od niej godność niemożliwa do uchwycenia słowami.

– Gdybyśmy mieli więcej czasu na dyskusję, prawdopodobnie popełnilibyśmy znacznie więcej błędów – przyznał szkarłatny lew i coś drgnęło w jego nieprzeniknionej, diabelskiej masce emocji. Spiął się do skoku i rzucił gdzieś między przykryte plandekami pakunki.

Huczący lej sprężonych gazów wytrysnął z niewidocznej dyszy, niosąc ze sobą Rosenberpan. Gęsta ciecz zalepiła cały obszar dookoła miejsca, gdzie jeszcze przed mrugnięciem okiem stał stwór, niosący sztandar. Teraz wszystko spowiło białe, szalejące inferno.

– Kapitanie! – nadał Świetliński-Brzeski przez zewnętrzny głośnik maszyny. – Wszystko w porządku?

– Tak, znaczy nie. – Izidor zagryzł wargi do krwi, myślenie musiało poczekać. – Zbieraj naszych, osłaniaj robotników. Potrzebujemy wszystkich pilotów w gotowości, inaczej nas tu wybiją. Nadajcie sygnał do Zamościa...

– Przecież nie mamy kontaktu!

– No tak, to zasadzka. Cholera, jasny szlag by to! – krzyknął kapitan, wycelował w kierunku kłębowiska cieni między nogami nieaktywnego Topola i wystrzelił dwa razy. Wężowisko poruszyło się niczym żywa, świadoma istota i rozprysło na boki. – Zająć pozycje obronne na dokończonej części Muru!

– Tak jest! – krzyknął sierżant i zakręcił się na jednej nodze, posyłając w świat spiralę lepiałego się do każdej powierzchni ognia.

Tylko tego brakowało, by nas wszystkich usmażył, pomyślał Izidor, widząc jak Rosenberpan sięga zarówno nieprzyjaciół, jak i umocnień obrońców.

Pole walki przypominało oko wąskiego cyklonu, gdzie wystarczy postąpić krok, by wpaść na rozpędzoną śmierć. Nikt nie mógł zrozumieć, kto strzela i do kogo. Żołnierze nie pojmowali nawet, wskutek czego giną ich towarzysze.

Ktoś leżał oblepiony czerwoną mazią, szarpiąc się z nią mocno. Kto inny wydawał się być absolutnie czysty, błyszczący jak zalakierowana figurka zastygła w bezruchu, niezdolna nawet mrugnąć.

W pewnym momencie kapitan dostrzegł, że z ukończonej części Muru któryś z obrońców strzela, opierając karabin maszynowy o rusztowanie. Tylko czemu strzelał poza obręb Muru? Widocznie musiało zbliżyć się coś gorszego nawet od wroga już wewnątrz linii umocnień.

Przez niebo przeokożółkowała wiązanka granatów ręcznych, obsypując deszczem szrapneli wszystko, co żywe i nieżywe między kwaterami robotników. Kilkunastu stacjonujących żołnierzy uformowało pięciobok i osłaniało się wzajemnie, prując w pełzające wszędzie marionetki przypominające ludzi.

Czerwone ludziki o wykrzywionych wyrazach twarzy wlewały się przez dziurę w połowie Muru. Za dużo rąk, za mało nóg, kilka twarzy, jedno oko. Niezależnie od stanu i podobieństwa, karmazynowe monstra człapały i wtaczały się na teren placu budowy, wzbudzając grozę.

Mało kto miał okazję zobaczyć Karmazynów i ujść z życiem. Jeszcze mniej osób było w stanie przeżyć czas bezpośrednio po owym spotkaniu – większość osób umierała w męczarniach wskutek choroby lub zwyczajnie ginęła z rąk własnych towarzyszy.

Na to Murykiewicz nie liczył, o nie. Biegł byle bliżej swojego pojazdu – wiedział, że tylko on może dać mu jakiejkolwiek szanse przetrwania. Tylko maszyna mogła uratować człowieka przed tym, co chciało go wydrenować od środka.

Bilon miotał się w dłoni i obdarzał zbliżające się kukielki zdawkowymi pozdrowieniami z ołowiu. Kapitan nie myślał nawet o tym, czy te poczwary mogły być kiedyś ludźmi. W tym momencie widział jedynie poruszającą się biomasę, zmiennokształtną aberrację, groteskowy żart z człowieczeństwa.

– Na rany Boskie! – zawarczał Izydor, schował rewolwer do kabury i dopadł do uchwytych wspinaczkowych na boku Samsona.

Ledwie wspiął się na trzeci z dwunastu stopni, gdy ktoś szarpnął go mocno za nogę. Jęknął zdziwiony, zaczepił się mocniej, ale nie utrzymał chwytu i zleciał z impetem na ziemię. Coś złowrogo chrupnęło, rozchodząc się spazmem bólu po plecach. Otworzył oczy i odruchowo chwycił za dopiero co schowany bilon.

Niemal doskonale owalny kłębek futra poruszał się na pięciu pokrytych cienkim włosiem odnóżach. Miał ledwie pół metra wysokości, a jedną trzecią jego ciała stanowiła wyłysiała ludzka głowa, pozbawiona oczu.

– Boże! – krzyknął z przejęciem kapitan, bardziej dla ferworu niż z przerażenia. Przyłożył szeroką lufę między puste oczodoły stwora i pociągnął za spust.

Iglica kliknęła cicho. Izidor poczuł, jak serce staje mu na krótki moment w bezruchu i zimny pot rozlewa się po karku.

Kłębek chapsnął szczękami jeszcze raz, próbując rozerwać buciór pilota. Pilot jednak nie pozostał dłużny, zmienił uchwyt na broni i po prostu rąbnął agresora w zęby. Kilka kawałków kości pofrunęło na boki, ciągnąc za sobą czerwone spirale wydzieliny. Rękojeść uderzyła drugi raz, trzeci, czwarty, piąty...

– Bić ich! Co jest z wami?! – ryknął co tchu w piersi Murykiewicz i przygniótł trzepoczącą się w konwulsjach bestię do ziemi.

Wyjął z ładownicy dwa naboje i wyćwiczonym ruchem włożył do bębénka. Lufa przywarła miękko do miejsca, gdzie powinno być oko stwora i bluznęła ogniem. Tym razem czerep kłębka rozprysnął się jak miazdżona dynia.

– Co tym razem? – mruknął kapitan, słysząc jazgotliwy trel.

Kawałek dalej szła ku niemu istna parada osobiwości. Nieprzyjacieł toczyli się wolniej, jakby inwazja straciła na impecie.

Pajaczkowaty kłębek był tylko przystawką w wielkim daniu, które podawano na pobjowisku.

Wychudzone dziecko o spłaszczonej twarzy z jakiegoś powodu targało za sobą niezmiernie długi łańcuch. Cherlawe ciało osłaniało jedynie kilka strzępów materiału i szpiczasta czapka na nieforemnej głowce. Na szpicy defilował podobny lalce chłopiec o rumianych policzkach, ściskając długi karnisz z nabitym nań grotem, u którego podstawy falowała czerwona flaga. Między tą osobliwą dwójką kroczył prawdopodobnie najdziwniejszy nieznajomy, jakiego do tej pory miał okazję widzieć Izydor.

– Ptaszydła – szepnął, nie mogąc odwrócić wzroku. Usilnie próbował po omacku wspiąć się do kabiny.

Smoliście czarny Drozd szedł chwiejnym, chaotycznym krokiem na dwóch patyczkowatych nogach, zakończonych sierpowatymi pazurami. Z ponad metrowego dzioba sączyła się strużka czerwonej wydzieliny, co chwila zlizywanej przez glizdowaty jęzor. Od głowy ptaszyska sterczały już tylko dwa, zawinięte do tyłu rogi, nad którymi unosiło się kilka padlinożernych, pomniejszych ptaków o błoniastych skrzydłach.

– *Za mną bracia!* – wykrzyknęła lalka ludzkim głosem, na co makabryczna czereda odezwała się symfonią aplauzów i porykiwań.

Izydor zasunął nad sobą pancerne szkło, odhaczył trybik, zaciskając wejście do wzmacnianej kabiny i odetchnął na moment. Wszystko ucichło. Dźwięki zniknęły jak ucięte nożem. Kapitan spojrzał spokojniej przez szeroką szybę w pochmurne niebo, otarł nos i wyrównał oddech. Świat został tam, daleko...

Obok placu, przy składzie z narzędziami leżała przewrócona, zezłomowana na idealny sześcian bryła metali, płótna i szkła. Izydor przełknął ciężko ślinę, zdając sobie sprawę, że to właśnie tam stał wóz pancerny, którym jechał podpułkownik Miłaszewski. Wyglądało na to,

że teraz to Murykiewicz odziedziczył cały spadek w postaci rozgrywającej się burzy chaosu.

– Jakże słodko i zaszczytnie jest... – szepnął Izydor i zdobył się na odwagę, by włączyć nasłuch zewnętrzny.

Natychmiastowo kabinę pilota zalała fala wrzasków, wizgów, ślizgających się po uszach jazgotów i porykiwań. Ktoś krzyczał o pomoc, śmiejąc się jednocześnie, jakby sam nie wierzył w to, że ów sukurs może przyjść. Gdzie indziej karabin maszynowy grał marsza do wtóru pohukiwań rewolweru.

– Samson-01 aktywny. Oddział zbiórka, uformować trójkąt! – podał przez interkom wyraźnie i powoli.

Cisza. Nikt nie odpowiedział na potwierdzenie. Izydor założył dłonie na dwa, tak już znajome, obite skórą drążki. Wziął głęboki oddech i pobudził maszynę do życia.

Pięciometrowy kolos wyprostował się, zamruczał głośno i odpowiedział na poruszenia wajch. Pozbawiony żyroskopu tors musiał obrócić się razem z nogami, co piloci żartobliwie nazywali walcowaniem. Jednak Izydorowi nie było do śmiechu.

W zasięgu wzroku ujrzał niepokojącą grupę obrzydliwości na czele z lalkowatym chłopcem. Byli już blisko – niebezpiecznie blisko.

Miotacze Rosenberpanu powinny być używane z poszanowaniem restrykcyjnych zasad, ale nie zawsze jest czas na takie rzeczy. Nigdy nie ma czasu na takie rzeczy, gdy w grę wchodzi ludzkie życie.

Siłowniki zabuksowały, miarowo nabierając tempa, zaraz podskoczyło ciśnienie i stalowa ręka z dyszlami wykonała krótki ruch do przodu. Ostatni zawór ze świstem przekręcił się na luz i kliknął uruchamianym zapłonem. Nareszcie rycerz Rzeczypospolitej doczekał się swojej chwili próby.

– W imię Ojca i Syna, ognia! – wykrzyczał samotny pilot Samsona-01 i puścił w świat białą, gęstą smugę pół-gazu, zmiatającą wszystko ze swojej drogi.

Lalkowaty chłopiec zawył coś jeszcze, wymachując czerwoną flagą, po czym całe jego lico spłynęło na ziemię jak woskowa maska. Kukielka opadła, kurczowo trzymając topiący się sztandar. Coś niewypowiedzianego kołatało się w sercu kapitana, mówiąc ciągle, że dziecko było prawdziwe w każdym skwierczącym calu.

Rogaty Drozd zajął się ogniem, nie wyrażając nawet zrozumienia względem własnej śmierci. Jego szczudłowate nogi po prostu załamały się, a pękate ciało runęło, przygniatając niosące łańcuchy maleństwo z błazeńską czapką.

Kilku kręcących młyny w powietrzu padlinożerców dało się złapać w długie, wszystkożerne macki płomieni. Zawierowali bez ładu jak puszczone przez pijaka fajerwerki. Stwory opadły bez sił na wyjałowiony grunt, zostawiając po sobie jakąś dziwną, wwiercającą się w uszy ciszę.

Tryby maszyny zwolniły, kurek obrócił się kilka razy i dyszel opadł, wciąż czerwieniąc się od ogromnej temperatury. Pojazd zastygł w bezruchu na moment, obrócony już nie w kierunku groźnych poczwara, a kupki podrygującego na wietrze popiołu i strzępów futra.

– Ożeż ty. – Izidor zamrugał kilka razy z niedowierzaniem.

– Kapitanie... – ożywił się nagle interkom za głową pilota. – Odpieramy pierwsze natarcie poza obręb umocnień. Mamy wsparcie stacjonującego batalionu, część oddziałów zajęła pozycje w najbliższym gnieździe, jednak no...

Kapral Paprotko wyraźnie ciężko znosił pierwsze otwarte starcie w ruchomym pancerzu. Brzmiał tak, jak brzmia ludzie, którzy poradzili sobie

z falą szoku, ale wciąż odpierają od siebie myśli na temat tego, co właściwie ten szok spowodowało.

– Weź się w garść, Józefie. Jaki jest problem, odbiór? – wycodził wyraźnie do mikrofonu kapitan i obrócił maszyną kilka razy, by obejrzeć dokładnie plac.

Większość zabudowań w okolicy składała się jedynie z prowizorycznych klitek na narzędzia, sieci rozdzielonych od siebie bezpiecznie pawilonów oraz kontenerowych wagonów na kółkach dla robotników. Dalej stały zabudowania tymczasowe, w których żyli stacjonujący żołnierze.

Teraz to wszystko płonęło w zastraszającym tempie.

Robotnik w błękitnym kasku dzierżył długi klucz hydrauliczny jak miecz, ale wymachiwał nim desperacko na boki. Dookoła niego tańczyły dwie, wychudzone mary w szarych kombinezonach. Obie z długimi, lepкими postronkami włosów opadającymi z karków na brzuchy – ich ciała były wykręcone jak wyrżnięte po praniu szmaty.

Któryś z konwojentów zebrał się na odwagę, zbliżył do robotnika i nabił jedną z poczwar na szeroki bagnet. Stworzenie zaskrzeczało, zatrzasnęło pozbawione warg usta i odwróciło się w kierunku żołnierza. Na moment pozbawione tęczówek oczy mrugnęły jak uszkodzone żarówki i nagle zapadły się w siebie. Całe ciało legło jak łątka z podciętymi sznurkami.

– Tam nie ma jak strzelać – odezwał się w końcu po czasie Paprotko.
– Nieprzyjaciel ma jakąś broń, której nie rozumiemy. Nie idzie na niego patrzeć, gorzej jakby człowiek wgapił się w słońce, więc walimy na oślep albo dookoła. A to, co jest w centrum tego czegoś... No to po prostu idzie na nas! I jest wielkie!

– Wielkie? Jak wielkie? – dopytał kapitan, przesuając wajchę wprowadzającą Samsona w trucht.

Wtem rozległ się huk, a po nim stokroć gorszy trzask. Rusztowania dookoła stawianego donżonu zatrzęsły się w posadach. Ku ziemi natychmiast zwała się sterta drewnianych stopni, betonowych bloków i żelaznych prętów, spośród których wystawały zmiażdżone kończyny krzyczących obrońców.

* * *

Chłopaczek w kraciastym kaszkiecie ponownie szarpnął kijkiem do przodu i wypchnął toczące się kółko jeszcze dalej. Zaraz za nim pędziła cała zgraja innych urwipołciów, wymachujących na oślep swoimi giętkimi patykami. Przez ulicę przejechał automobil z odsłoniętym dachem, piszcząc klaksonem na rozbieganą latorośl.

Kawałek dalej, na rogu ulicy tańczył Murzyn. Chodził na rękach, żonglował trzema walcowatymi pałeczkami, zabawiał przechodniów łamaną polszczyzną. Ludzie rzucali mu drobniaki głównie ze względu na to kim był, a nie co robił. Mógłby równie dobrze stać na piedestale i z wydętymi wargami czytać wywróconą na lewo gazetę – mieszkańcom Warszawy by to zupełnie wystarczyło.

Na moment nad miastem zakołował zwyczajowo widziany smukły sterowiec komercyjnych linii turystycznych Staropolanie. Co prawda firma organizująca wycieczki miała nie więcej niż dwa lata, ale ludziom dobrze się kojarzyła taka nazwa. Za nie tak dużą opłatą można było obejrzyć wedutę Warszawy z lotu ptaka, zakręcić kółko nad aglomeracją i wylądować na błoniach.

Aleksander Breza uśmiechnął się z czułością i odstawił filiżankę kawy na spodek. Spokojnym ruchem wyjął z kieszeni gumową maseczkę i umocował na twarzy. Kilka razy nabrał powietrza, mruknął coś niewyraźnie do sekretarki i zdjął ciężki pęk kluczy z kołka.

Masywne, obite skórą drzwi zjechały nad wyraz płynnie na bok, odsłaniając ziejącą gardziel schodów. Wymacał pod palcami pstryczek i rozpałił długi rząd jarzeniówek. Z jakiegoś powodu uśmiechnął się do własnych myśli i zaczął powoli schodzić. Pracownica lekko domknęła drzwi; ciche brzdęknięcie spłynęło echem w dół schodów. Zamek zazgrzytał kilka razy, po nim przebiegł ślizgający się dźwięk zasuw. Piwnica znowu stała wygłuszona i odcięta od świata zewnętrznego.

Doktor zagwizdał pod nosem cicho, z satysfakcją odkrywając, że maska nie zniekształca jego nucenia. Z jakiegoś powodu uwielbiał podśpiewywanie, chociaż nie był pewien dlaczego. Nie leżało to w kręgu jego specjalizacji, więc wychodził z założenia, że zostawi takie pytania mniej ambitnym badaczom.

W końcu po co zajmować się gwizdaniem, skoro dla Brezy prawdziwa muzyka płynęła z oczu.

– Kto idzie? – rozległ się stłumiony głos zza kolejnych drzwi w oddali korytarza.

Breza minął kotłownię. Z uznaniem obejrzał ciężkie drzwi, ściągnął drewnianą sztabę, przekręcił zamek i odsunął łańcuszek, rozwierając wzmocnione skrzydło na oścież. Nic nie mogło opuścić sali numer szesnaście bez jego zgody.

Obejrzał się przelotnie przez ramię i wdusił drugi przycisk, oświetlając salę nieprzyjemnie mocnym blaskiem. Aż przysłonił oczy na moment, gdy pokryta kafelkami piwnica rozbłysnęła oślepiająco.

– Nie... – jęknął ktoś ze środka pomieszczenia.

Bez większego zainteresowania badacz spojrzał, czy skórzane pasy na pewno dość mocno przytrzymują pacjenta do katafalku. W zamierzeniu miał być zwykły stół operacyjny, ale wygrało bezpieczeństwo i pewność, że nikt nie połamie mocowania w zmyślny sposób.

– Proszę... – odezwał się obiekt testowy z piwnicy po raz trzeci, nadal wierząc, że ktoś mu odpowie.

– No już, już. – Aleksander zlitował się, zdejmując, a właściwie odrywając bandaż od oczu pacjenta. – Bez zbędnego uniesienia, bo mi zaburzysz odczyt.

Breza delikatnie poruszył pomarańczową kaniulą dożylną i z zadowoleniem obejrzał twarz badanego, odmalowaną w kolorach zgniłej zieleni i rozdeptanych wiśni.

– Ślicznie – wyszeptał niemalże pieszczotliwie, naciągając skórę pod brwią za pomocą drobnych szczypczyków. – Naprawdę dobrze rokujesz.

– Proszę mnie uwolnić, rodzina się martwi...

– Nikt się nie martwi – zapewnił, nadal oglądając krwawy, fioletowy skrzep, porastający oczy wachmistrza Radosława Kazimira. – Zginałeś bohatersko w walce, jesteś martwy dla świata... Jednak czekaj, czekaj... Mówilem, nie płacz, bo wymaz będzie zniekształcony. Możesz nadal się przydać Rzeczypospolitej.

Aleksander przywołał uśmiech pod maską. Skórę wokół oczu zmarszczył dopiero po chwili, jakby mięśnie jego twarzy nie nadążały za emocjami. Cienka warstwa kredowego naskórka wydawała się być źle narzuconym filtrem na fizjonomii.

Przez moment jeszcze przyglądał się ranie żołnierza, aż w końcu obrócił się na pięcie i zaczął z przejęciem buszować po szafkach. W pośpiechu chwycił jedną rzecz, oglądał metodycznie z każdej strony, po

czym prędko odkładał, by zaraz do niej wrócić, obejrzeć na pół gwizdka i rzucić bez ładu.

Na półkach szybko zaczął nawarstwiać się bałagan w postaci porozrzucanych opakowań bandaży, białych ręczników papierowych, niewysterylizowanych jeszcze narzędzi i opisanych skomplikowanymi akronimami pudełek.

– Specyficzna sprawa z tą infekcją oka. Gdyby to była tylko kwestia zwykłej rany, to użyłbym zacisków i codziennie ze wschodem słońca delikatnie zwiększał jasność w pokoju światłem punktowym – wyjaśnił rzeczowo Breza, ściągając brwi z niezadowoleniem. – Znowu nie to pudełko. Nieważne, wybacz, szukam czegoś, a jesteśmy niedługo po wyprowadzce i nadal jest chaos straszny.

Doktor wreszcie chwycił za niewielkie opakowanie opisane literami: „KBPKMcC” i z zadowoleniem ujął drobny skalpel. Rozciął wieko, zamarł na moment i z pietyzmem wyjął ze środka plik kartek.

– Profesor McCarthy to chwalebny wyjątek, jeśli chodzi o normy stowarzyszenia i nazywanie narzędzi badawczych. W innych wypadkach nie używa się małych liter, ale wiadomo – Amerykanin – czyli dużo może. Nie zostawia przecież samej pierwszej literki, a obie nie mogą być pisane wielką literą, gdyż każda musi coś oznaczać... – Breza pokręcił głową, puknął się rękawiczką w czoło i podszedł bliżej katafalku. – Zanudzam cię, prawda? Zdarza mi się, gdy już za bardzo skupię się na jakimś temacie. To przekleństwo i błogosławieństwo.

Szkarłatna, opalizująca żyła pod nawarstwiający się strzępami niezasklepionej powieki zapulsowała niemrawo. Przez moment jeszcze błyskała delikatnie, wychylała się jak jabłko Adama, gdy gardło przełyka ślinę, aż wreszcie opadła.

– Co za wycucie czasu – szepnął podekscytowany badacz, pochwycił ponownie szczypce i wraził w oczodół obiektu badanego.

Radosław zaskowyczał jak wilk schwytany w potrzask, wydarł się z całej mocy. Krzyczał tak długo, jak tylko miał dech w płucach, licząc, że ktokolwiek będzie w stanie go usłyszeć.

Doktor po dwóch nieudanych próbach chwycił za dziwny, żyłasty kanał i podniósł go wysoko, wydając poza obręb wygolonego łuku brwiowego. Odłożył szczypce, szarpnął haczyk na wyciąganej lince za węzłowiem i zaczepił ostrożnie o zdobycz.

– Nawet gdyby pozbyć się warstwy betonu i jeszcze jednej warstwy wygłuszenia to prawdopodobnie nadal nie słyszałby cię nikt dalej niż na korytarzu... A za tym korytarzem są jeszcze schody i kolejne drzwi – wymienił z politowaniem doktor, jakby tłumaczył coś bardzo opornemu uczniowi. – Mógłbyś już przestać tak krzyczeć, ja mam coraz słabszy słuch na starość, chociaż nie chciałbym tego przyznawać.

– Dlaczego? – wyjęczał pacjent, prychając nozdrzami jak koń.

– Bo z wiekiem komórki odpowiedzialne za... A, dlaczego cię tu trzymam? Dla nauki! Robimy, co musimy, ponieważ możemy – odpowiedział bez złośliwości Breza, wydając z przyniesionego pudełka pierwsze zdjęcie i przysuwając je do Karmazynowej żyły. – Drogi niszczycielu pokoju... Kazimirze, powiedz mi, co widzisz?

Radosław zacisnął wyschnięte usta w wąską kreskę i spróbował pomachać głową na boki mimo usztywnienia pasami. Przez moment skamlał jeszcze jak pies na widok uniesionej ręki, aż w końcu zaczął tylko warczeć gardłowo.

– Ranisz mnie – wyznał bez cienia ironii doktor i wstał z taboretu.

– Myślałem, że jesteśmy współnikami. Chciałem nawet model teoretyczny

nazwać po tobie, wiesz? Matryca Kazimira... brzmi całkiem poważnie, prawda?

Aleksander ruszył powoli w kierunku przeciwległej ściany i zdjął zawieszony pilot z pokrętłem. Odwinął miedziany drut z gumowego kołka i zaczął rozkładać jak linię telegraficzną aż do centrum pomieszczenia.

– W ramach zachowania metodologii... – wymruczał Breza matowym tonem. – Od jednego do trzydziestu, skala z równymi odstępami co piętnaście volt. Ja zadaję pytanie, ty odpowiadasz, a pokrętło śpi snem sprawiedliwego. Jeśli odmawiasz odpowiedzi, to pokrętło kręci bączki, rozumiemy się?

Radosław jednak nie odpowiedział. Doktor przez krótką chwilę miał ochotę przekręcić wskaźnik do maksimum, ale stłumił szybko iskrę emocji, wiedząc, że rzetelność eksperymentu jest świętością.

– A zatem... Co widzisz? – spytał doktor, jedną ręką trzymając zdjęcie nad czołem skatowanego pacjenta.

– Nic.

– Nic nie widzisz czy nie chcesz mi powiedzieć? – doprecyzował skrupulatnie badacz.

– Nic nie widzę.

Breza chwycił mocniej za pilot i zamaszystym ruchem przysunął do szkarłatnej żyły. Pacjent natychmiast spiął się i jęknął cicho, oczekując uderzenia prądu.

– Ty kłamczuchu! – zaśmiał się Aleksander, zadowolony z siebie.
– Jednak coś widzisz, tylko nie chcesz mi powiedzieć!

– Nie, nic nie widzę... – zaczął pacjent, ale natychmiast rozległ się terkot przesuwanego pokrętła i jazgot.

Aleksander przez krótki moment trzymał jeszcze guzik, aż doliczył do pięciu i ten samoistnie odskoczył.

– Trzysta piętnaście – mruknął krótko i zaczął bez dalszych pytań przysuwać zdjęcia do czoła Kazimira.

Przez dłuższy czas wpatrywał się tylko w odczyty fizjologiczne, wypływane bezustannie przez wariograf odkąd tylko Radosław Kazimir został skierowany na badania. Wymagało to dodatkowych nakładów środków, a codziennie zużywano kilka rolek drukarskich na same odczyty jednego pacjenta.

Mimo to polecenie od samego Czcigodnego Marszałka oznaczało, że podejmowano się każdego starania, by dokonać przełomu. Dyrektorowi ośrodka zostało już tylko skupienie się na badaniach. To potrafił zaś doskonale.

Obiekt badań poruszył się niespokojnie, wydał z siebie gardłowy charkot. Żył na haczyku zapulsowała kilkukrotnie i zaczęła się szarpać jak wąż strażacki z puszczonego ciśnieniem. Po chwili wyrwała się z objęć haczyka, samoistnie naprężyła ścianki i wpęzła do wnętrza czaszki badanego niby robak do gniazdka.

– *Jego się nie boisz, mnie się boisz!* – wysyczał nieswoim głosem badany, wyprężył jak struna mimo pasów bezpieczeństwa i opadł z powrotem.

– Intrygujące – szepnął Breza, obracając zdjęcie w swoją stronę.

Na zaśnieżonej fotografii widniała ledwie widoczna sylwetka lwa. Przypadkowy obserwator nie widziałby w niej pewnie nic nadzwyczajnego, ot rzeźba obleczona w szarą płachtę. Jednak Aleksander znał historię, kryjącą się za niezwykle zdjęciem zrobionym jeszcze późną zimą zeszłego roku pod Wołowyskiem.

Przypatrzył się kolejny raz jasnemu obszyciu złotej gwiazdy na sztandarze. Ledwie widoczna cyfra: cztery, wyzierała tuż zza niej. Wiedział,

że kawałki układanki zaczynają wchodzić na swoje miejsce tuż przed jego oczami.

* * *

Stęknęcie, krótkie buknięcie w jedną, w drugą i rzut na stertę. W kontenerze, którym wcześniej transportowano ryby, teraz złożono ciała ludzi. A może już nie ludzi?

Gumowe kombinezony błyskały częściej krwawymi bryzgami niż fabrycznym pomarańczowym kolorem. Więźniowie nie spieszyli się. Wiedzieli, że nikt nie podejdzie ich ponaglić – dookoła po horyzont rozciągało się trzęsawisko trupów. Nie było dokąd uciekać.

Podoficer w kabinie Trutnia nie próbował nawet wyrzeć przez szybę. Wcisnął się w fotel i zawinął do pozycji embrionalnej jak dziecko, przerażony i bezradny. Momentami próbował zerknąć za obręb bezpiecznej, metalowej kołyski. Jakby w omamach zdawało mu się, że któryś zewłok wstaje, przeciąga się i...

Huknięcie o blachę wstrząsnęło jego sercem. Wyrżał delikatnie na dwie stojące sylwetki, z których jedna machała ręką. Kontener był już pełen.

Gałka dźwigni zjechała powoli w dół, zbliżając sylwetkę do ziemi. Następna – stawy w łokciach, potem stawy w ramionach, zaczep górny po bokach i z powrotem wyprostowanie kolan.

Truteń uniósł pakunek, jakby to był gar gorącej zupy. Postąpił niepewnie do przodu, depcząc z miękkim mlaśnięciem na rozczłonkowaną stertę czegoś, co było kiedyś jednym organizmem. Pilot zasłonił usta, przeżegnał się i wykonał następny krok. Zatrzymał marszrutę dopiero nad Zalewem Miękoszyńskim, kilometr dalej.

Bez słowa wyprostował ramiona Trutnia i obrócił kontener, jakby wysypywał drobiazgi z pudełka. Deszcz kukiełek zrosił niewysokie urwisko krwią i osunął w dół kaskadą kończyn.

Twarz pilota spowiła skóra, która po chwili zalepiła wszystkie otwory. Pozostała tylko gładka maska twarzy z jednym czerwonym okiem, wpatrującym się w jezioro wypełnione tysiącami polskich żołnierzy.

* * *

Alicja Murykiewicz szarpnęła się z łóżka i odetchnęła ciężko jakby wypuszczona z duszącego uchwytu. Przejechała dłonią po twarzy, by zetrzeć łzy i coś sprawdzić...

Tak, nadal miała jedną parę oczu.

– Jezu – szepnęła tylko, nadal próbując złapać powietrze.
– Je... Jezu.

Było wcześniej, słońce ledwie wschodziło ponad rozległą wedutą miasta, witając promieniami zakwitły, pachnący jeszcze nocną rosą Ogród Krasińskich. Feeria barw, form i układów odniesień powalała Alicję za każdym razem. Tylko nie tym.

Po świeżej nitce asfaltu przejechał tandem z pustym siedzeniem, a zaraz za nim człapał powóz z jasnogniadą klaczą. Secesyjne, elektryczne latarenki świeciły tylko nowością, oszczędzając na eksploatacji prądu, po licznych i kosztownych projektach unowocześniających stolicę.

Alicja rozsunała firany do końca, rozłożyła ręce i zaczęła chłonać: ludzi, kamienice, nitki tramwajów, wózek kawiarki, kroczącą maszynę z terkoczącą melodyjkę tubą, sprzedawcę obrazów na rogu, staruszkę z bukietami polnych kwiatów, krzykacza z biuletynem wydarzeń artystycznych – chłoneła Warszawę.

Coś było nie tak. Niby spokojniejsza, bez dusiołka na piersiach i z przetartymi oczami, ale nadal myślami błądziła po rozlewiskach czerwieni. Jeśli sny są sposobem organizmu na radzenie sobie ze stresem, to było przed nią jeszcze mnóstwo snienia.

Już z łżejszą głową, pozbywszy się przykrych, irracjonalnych wizji, zakrzętnęła się dookoła, aby nastawić gramofon Doroczyńskiego. Posrebrzana igielka nastąpiła na płytę winylową, zaskrzypiała i odnalazła wyjeżdżoną ścieżkę. Mieszkanie wypełniła melodia wygrywana skrupulatnie na skrzypcach, pozbawiona jakichkolwiek słów szarpanina instrumentu w rękach obcego grajka z przeszłości.

Gdy męża nie było obok, Alicja również stawiała się nieobecna. Czasami jeszcze poczuwała się winna tego, że nie uczestniczy aktywnie w życiu kulturalnym miasta. Owszem, gdy tylko Izidor z jakiegoś powodu stacjonował niedaleko lub mógł ją zobaczyć w mniej czy bardziej dozwolony sposób...

– Marzenia – przerwała ciąg myśli, rozwierając drzwi potężnej, bukowej szafy. – Nie ma się co zamartwiać. Ogarnij się, bo skończysz jak te żenujące dewotki, co na pytanie: „czym się zajmujesz”, odpowiadają jak wrony: „przy mężu”.

Nie miała wpływu na obecność Izidora, mogła tylko zająć się sobą – on tego by chciał. Mogła sobie pozwolić na wiele, a zamiast tego większość takich dni spędzała na samotnych spacerach po Ogrodzie Saskim, czy po bardziej zadbanych częściach miasta, gdzie nie dało się wyczuć przygnębienia. Potwornego smutku, pożerającego stołeczne miasto pod szczęśliwą maską z kwiatów, których zresztą używanie do dekoracji zalecił sam prezydent.

Sny przychodziły i odchodziły każdej nocy, jakby kpiąc z całkowicie odwrotnych wizji, jakich była świadkiem za dnia. Polska była nędzna,

przeżarta do żywego przez pochłaniające własne dzieci widma militaryzmu, faszyzmu i biedy. Tyle lat w próżni, by teraz z niej wychynąć na powierzchnię. Jak trup wykopany z mogiły, w tym samym stroju pochówkowym, z kartonowymi butami – udający żywego, posadzony przy stole między gośćmi, tańczący, bawiący się, świętujący nowe życie.

Strzępy skóry, odłóżące płatami – to nici z marynarki. Wydrenowane przez robactwo oczy – binokle na modę zachodnią. Skapujący na obrus jad – zbyt gęsty całun perfum. Każde wyjaśnienie przechodziło gładko przez usta mieszkańców młodego państwa, które wróciło z zaświatów.

Wypchany trocinami i ustawiony do pionu, ale nadal trup.

Alicja nie zbliżała się nawet do prawego brzegu Wisły, by nie patrzeć na proletariat, skąpany w niewyobrażalnym brudzie i smrodzie. Za samo pokazywanie się w takich miejscach można było mieć nieprzyjemności prawne.

Agitacja rewolucyjna nie tylko była nielegalna – oznaczała po prostu samobójstwo. Kult potworka zlepionego ze zjednoczonych myśli narodowowyzwoleńczych i katolickich stanowił teraz jedyną drogą.

– Niepodległość – wypłuła z niesmakiem Alicja, po czym zdecydowanym krokiem opuściła mieszkanie.

Zapowiadał się upalny dzień, a Alicja przeklinała łono, które wydało na świat bezmózgiego wynalazcę pończoch. Największą jednak bolączką były atlasowe rękawiczki, ponieważ damie nie wypadało wyjść bez nich. W ogóle damie nie wypadało wychodzić na spacer bez męża.

Nic nie wypadało nikomu.

Każdego dnia mężczyźni, chłopcy, starcy, więźniowie drobni i dorodni, mądrzy i głupi, wyszkoleni i zieloni jak szczypiorek na wiosnę – wszyscy pędzili mrówczym łańcuchem kibitek na wschód. Kradzież? Wywózka. Morderstwo? Wywózka.

Agitacja polityczna? Tutaj zaskoczenie – śmierć. Jedyna zbrodnia karana śmiercią. Na inne szkoda było marnować zasobów ludzkich.

Co za gorzka ironia losu: uchować sól ziemi przez sto dwadzieścia dwa lata, by potem w ten sam sposób, w jaki zaborcy ją wydzielali, samemu wyrzucać z jeszcze większą efektywnością.

Ziarna soli rozsypane na jałowy grunt, kamienie rzucone na szaniec, tabory, eszelony, marszruty. A tam na wschodzie – tylko śmierć. Stokroć gorsza niż najgorsza śmierć, bo nie śmierć ostateczna, a chwilowa, na wpół świadoma.

Orzeł Rzeczypospolitej w desperackim akcie zarzucał pełną ze wschodu gada własnymi pisklętami. Chwilami zwyczajnie posyłał jajka o ziemię, aż w końcu zaczął rozszarpywać dziobem swoje gniazdo, budując najśmieszniejsze i najmniej trwałe okopy w historii wojen tego świata.

A te rozłuczone jaja zaczną kiedyś gnić. Smród pomknie wielokrotnie szybciej niż jakakolwiek armia. Smród rozkładu popędzi na zachód, by tam zapowiedzieć ten sam los dla każdego orla w godłach państw Europy.

Sam Czcigodny Marszałek – najromantyczniejszy ludobójca historii Polski powiedział: “Na Wschodzie są drzwi, które się otwierają i zamykają i zależy, kto i jak szeroko siłą je otworzy”.

Alicja zatrzymała się na moment, ujęła między palce liść różanecznika i zasłoniła usta rękawiczką.

– Ojej, znowu się zamyśliłam – przyznała sama do siebie pogodnie.

* * *

Ośmiometrowa brama ze wzmacnianych kompozytów o największej wytrzymałości, na jaką tylko mogła sobie pozwolić Druga Rzeczpospolita,

runęła do wewnątrz. Olbrzymie skrzydła przewróciły się niby zdmuchnięty domek z kart i pozostawiły gardziel otwartą na oścież.

– Nie – wyszeptał do siebie Izydor. Z niedowierzaniem potrząsnął głową, jakby próbując się obudzić z koszmarnego snu. Wściekły szarpnął za włosy, krzycząc w interkom: – Kapitan Izydor Murykiewicz do wszystkich jednostek: zarządzam odwrót. Powtarzam: odwrót, macie zabrać stąd wszystkich pozostałych cywili i poinformować najbliższą placówkę o przełamaniu linii umocnień!

Cisza. Nikt nie odpowiedział na wezwanie dowódcy batalionu. Na zewnątrz nadal trwał zamęt boju, ale nikogo nie było na linii łączności. Przez moment Murykiewicz bił z furią w nitowany sufit ciasnej kabiny, aż w końcu chwycił drążki sterowania i pchnął je jak najdalej.

Samson-01 wyskoczył z miejsca, coś szarpnęło nogami na boki i po chwili pancerz podjął się kłusu. Chmura podniesionego pyłu budowlanego oraz kurzu wirowała wraz z gęstym dymem, wyłaniającym się z pożogi Rosenberpanu.

Izydor pociągnął do siebie mniejszą dźwignię, zawinał ją nieznacznie w lewo, zablokował, nacisnął przełącznik i wsłuchał się w wywołane siłowniki. Mechanizm przyłączony do zbiorników zahuczał głośno, ale równo, odciągając mieszankę płynów do systemu wytrzymałych rurek.

– Pod Twoją obronę uciekamy się... – zaintonował spokojnie i poluzował kurek, pozwalając świetlistej substancji wyskoczyć gęstą strugą z miotacza. – Święta Boża Rodzicielko!

Krótkie kliknięcie następowało zawsze po uwolnieniu mieszaniny, zapowiadając zapłon. Ciśnienie posłało falę inferno w światło bramy, zalewając całe przedpole huczącym pożarem. Języki ognia zawijały się,

podskakiwały, wyciągały łapczywie, oblizywały żelazobetonowe sklepienie i obrastały natychmiast każdą powierzchnię.

Samson-01 parł dalej w środek piekła, przyspieszając jeszcze. Wskazówka prędkościomierza wyskoczyła na prawie pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Ciśnieniomierz sugerował efektywny zasięg Rosenberpanu na ponad sto pięćdziesiąt metrów. Machina wpadła pomiędzy ślizgające się po ziemi płonące plamy, odcinając sobie drogę ucieczki.

Gęsty całun przykrył Izydora. Teraz szarżował tylko przez mrok dymu, spod którego buchał ogień. Rosenberpan siał czerwonego kura, potęgując zniszczenia. Gdzieś pomiędzy nogami maszyny przetoczył się konający pogorzelec, zaczepiając o obłożoną gumą opancerzoną stopę Samsona, jak biblijny Jakub o szaty Pana.

Pozostając wierny paraboli, Murykiewicz również nie zatrzymał się, by błogosławić owczemu pastuchowi. Postawił kolejny krok maszyny, poderwał nieszczęśnika na krótko do góry i zesłał z powrotem do szeolu rozkopanej ziemi i trujących oparów. Okrutne, ale przecież nie mógł się zatrzymać ani mu pomóc.

Kapitan zmrużył powieki, czuł, jak temperatura wewnątrz kabiny skacze niebezpiecznie wysoko. Termometr przymocowany do konsoli zaczynał wariować. Tak samo zresztą, jak i pilot, który uniósł chwytną rękę pojazdu do zgięcia przed pancernym szkłem i przełączył tryb poruszania na galop. Siłowniki zabuksowały z pełną mocą, dyszel zaryczał, odkształcił się delikatnie, dając całkowity upust mieszaninie przeciwtankowej.

Wtem czarno-biały wir wychylił się zza trzaskających ognisk i rozdarł zasłonę dymu. Izydor uniósł zszokowane spojrzenie, by móc przyjrzeć się wielkiemu, kręcącemu się kołu fortuny, zatkniętemu na szczycie ośmiometrowego wzgórza. Hipnotyzujący świder wchłaniał do środka spojrzenia z niemal fizyczną siłą.

Wzgórze, pomyślał pilot, jakie wzgórze?

Zdołał opuścić wzrok na kilka sekund przed tym, jak z nieba spikował cień góry.

W pierwszym momencie chwycił za wajchę, by drugą dłonią wzmocnić prowizoryczną gardę, którą jeszcze chwilę wcześniej ustawił w atawistycznym odruchu strachu przed ogniem.

Jednak ostatnie chwile, niespodziewane zwroty akcji i brawurowe wyczyny działają tylko w bajkach i kronikach filmowych, odtwarzanych na pokazach w parkach Łodzi.

Cios dosłownie wgniótł Samsona w spopieloną ziemię. Metalowe stawy zgrzytnęły ostro i z przejmującym jękiem konstrukcja zgięła się do przykucu.

Obłożona gumą lewa dłoń maszyny naparła na pancerne szkło kabiny i zaznaczyła je głęboką bruzdą. Trzask szkła wypełnił kokpit, po czym wizjer zaczął nabierać odcienia siwej mgiełki.

– Potrzebuję wsparcia! – krzyknął beznadziejnie kapitan, wiedząc, że interkom powinien być ciągle włączony, a nasłuch prowadzony przez oddzielny system. – Wdałem się w zwarcie z wrażym Behemotem, powtarzam: wdałem się w zwa...

Nagle nastał trzask, zmiana ciśnienia, zapach torfu i głos spychający wszystko inne do tła.

– *Exodus pożera ludzi i charaktery. Niszczy najmężniejszych, sieje spustoszenie wśród słabych* – ogłosił wydobywający się z każdej strony baryton. Gdy tylko izolacja kabiny została uszkodzona, Izydor w pełni odczuł, jak ogłuszająca kakofonia okrzyków, nawoływań i monologów rozgrywa się na polu bitwy. – *Exodus wydaje się całkowitym szaleństwem tym, których zmiata i obala...*

Murykiewicz z trudem otworzył oczy, popchnął w lewo oba drążki ramion i wdusił z całej siły przycisk, blokujący ciśnienie w kolanach maszyny. Konstrukcja nagle podskoczyła, po czym wyrównała tempo i zaczęła lekko się podnosić jak nadmuchiwany balon.

– No, dalej! – szeptał do siebie, przerzucając panicznie wzrok z każdego sprawnego jeszcze wskaźnika na następny. Ciśnienie w nogach wzrastało, temperatura w kabinie skakała coraz to wyżej, poziom Rosenberpanu smętnie zanikał, siłowniki w chwytającym ramieniu nie wskazywały na nic, kompletne szaleństwo! – Na miłość Boską!

Nabuzowany adrenaliną organizm zdołał tylko zapamiętać pojedynczą klatkę obrazu: coś wielkiego z dwoma wypełnionymi rtęcią oczodołami.

– Tutaj kapitan Izydor Murykiewicz, pilot Samsona-01, czy ktoś mnie... – Kabina pęczniała i puchła od dymu, gdy uwięziony w niej dowódca wykrzykiwał ostatnie słowa, wpatrując się we wschodzące ku górze dwa gargantuiczne ramiona Behemota. – Czy ktoś mnie... słyszy?

Dłonie zacisnęły się na sobie, tworząc wielki kafar z palców, zdolny zapewne ukryć w sobie automobil z pasażerami. Gigant na moment zatrzymał się, wyhamował rozpęd i przymierzył do zmiażdżenia niemal dwukrotnie mniejszego wroga.

Wtem błysk, oślepiająca biel i urywająca się nagle jedna z dziesiątek litanii zawołań nieprzyjaciół. Płonące macki obrosły posturę kroczącej góry. W nowym świetle można było dostrzec platformę, na której stał olbrzym wraz z mesmeryzującym wirem.

Symfonia przemowy została przerwana, a sam mówiący sturlał się po zbutwiałej, drewnianej scenie i wpadł między przeoraną pazurami ziemię i ogniste kałuże. Szamoczący się Behemot wydał z siebie niekontrolowany ryk, przydeptując przypadkiem swojego zrzuconego jeźdźcę.

– Ant...ski...kaz! – zatrzeszczał głośniczek, nie będąc w stanie wygrać nieuczciwej walki z rumorem.

– Nie usłyszałem, powtórz! – przylepił usta do mikrofonu i wykrzyczał z całych sił Izydor, po czym zablokował przyrost ciśnienia w nogach i odepchnął od siebie obie dźwignie sterowania.

Samson-01 zachybotał się, wyczekał niepokojąco długo, ale w końcu zareagował i postąpił do przodu. Machina utykała na lewą stronę, a na dodatek główna, operacyjna ręka nie odpowiadała.

– Na rozkaz kapitanie! – wyrzucił z siebie interkom, trzeszcząc niemilosiernie.

Murykiewicz z trudem poznał w tym głos swojego wiernego podkomendnego, pilota trzeciego Samsona, sierżanta Świetlińskiego-Brzeskiego. Na moment uśmiechnął się do własnych myśli i pokiwał głową, mimo że nie mógł tego dostrzec nikt.

To już drugi raz jak mnie ratuje, pomyślał dziarsko, ktoś tu się mocno stara.

Nad głową kapitana rozległ się terkot, jakby ktoś włączył młot pneumatyczny albo otworzył drzwi do zakładu krawieckiego z dziesiątkami przerośniętych maszyn. Coś błyskało raz po raz w ciężkiej szarówce, sporadycznie wyłamując się ze schematu pojedynczymi mignięciami żółci i oranżu.

– Nasi – szepnął dowódca. Spojrzał przez panoramiczną szybę na gniazdo karabinu, koszącego lalkowate stworzenia. Dziwadła pełzły od ściany lasu. Pociski gęsto orały korytarze przez leszczynę i burzany, często nie sięgając nawet swoich celów. – Trzeba im pomóc.

Masywny tryb przeskoczył na swoje miejsce i przejrzysty, spękany pancerz z sykiem odłączył się od pojazdu, wjeżdżając na zewnętrzną szynę.

Mechanizm zaskowytał i zatrzymał się w połowie. Mimo to dym powoli zaczął wysączać się poza obręb kabiny.

Przepisy zabraniały używać miotacza przeciwtkankowego przy otwartej szybie. Jednak przepisy sobą, a prawa walki sobą, jak już wcześniej uznał Izydor. Nie mógł tak beczynnie stać czy raczej kuśtykać.

Ramię i tak sterczało wyprostowane, sprężarka zawarczała niewyraźnie, ale zaczęła działać, przygotowując mieszankę do strzału. Kapitan z niesmakiem spojrzał na zniszczony ciśnieniomierz i otworzył zawór na wyczucie.

Zapłon kliknął cicho, ale aż nazbyt wyraźnie wśród harmidru. Pilot przełknął zalegającą ślinę; były takie dźwięki, które słyszało się zawsze – niezależnie od warunków. Dźwięki nieoczekiwanej porażki i złośliwości rzeczy martwych.

Nie musiał patrzeć na konsolę, znał ją na pamięć jeszcze od czasów szkoleń. Wymacał ręczny zapłon na boku pulpitu i nacisnął kilka razy.

Stukoty przypominały rytm metronomu: miarowe, jednostajne, tak samo suche.

– Jerzy, zapłon nie działa! – krzyknął kapitan i jak na zawołanie płonąca góra mięsa przed nim przebudziła się, miotnęła chaotycznie i złożyła ponownie ręce nad głową.

Sierżant operował swoją maszyną nad wyraz sprawnie, chociaż za jego śladem ciągnęła się bystra, mleczna struga z przedziurawionego zbiornika Rosenberpanu. Uniósł uzbrojoną dłoń, ale fala już traciła na ciśnieniu, opadając smętnie coraz krótszą parabolą.

Metrowy kawał szerniałego mięsa odpadł od jednej ze wzniesionych, smażących się dłoni olbrzyma – zapewne był to palec, miał ich jeszcze wiele.

Gigant mrugnął po raz pierwszy i z rykiem wbił pięści w kabinę Samsona-03.

Ogień dostał się do cysterny, tryskającej na wszystkie strony ładunkiem. Kula płomieni dotarła prawie do samego kapitana, spowijając wybuchem obszar w promieniu kilkunastu kroków od wgniecionej maszyny. Opary gorejącego Rosenberpanu wypaliły do żywego wszystko w epicentrum i osmaliły obrzeża.

Umarłem, pomyślał Izydor, nie żyję i jestem w piekle.

Zablokowana szyba pancerna nie pozwoliła jednak, aby fala mieszanki przeciwtkankowej wdarła się do środka kabiny w pełni. Kapitan, nie wierząc we własne szczęście, obmacał twarz, po czym ryknął ciężko. Popchnął przed siebie oba drążki, doprowadził pojazd do środka czarnego kopcia wypalonej ziemi i wcisnął się całym ciałem w nagrzaną szybę.

– Jerzy – syknął, próbując wypatrzyć jakiegokolwiek ruchu w zdeformowanej, czarnej puszcze, w którą zmienił się niegdyś majestatyczny rycerz.

Lej po wybuchu stał w sąsiedztwie spetryfikowanego nieprzyjaciela. W obu przypadkach śladem po walce były tylko jednolite powierzchnie popiołu i dwa monolity węgla, skrywające pod powłoką drgające mięśnie.

Ucisk bólu przebił się przez smutek Izydora. Dopiero po chwili doszedł do tego nieprzyjemny, lepki dotyk między żebrami rzekomymi. To nie tylko strata bolała kapitana tak bardzo, a rzeczywista rana.

Z niedowierzaniem spojrzał na przedziurawiony materiał kombinezonu, spod którego wyzierała wąska, czarna kreska. Bąbelki krwi nabrzmiwały i pękały, sącząc się z draśnięcia czerwonymi odbarwieniami.

Cienka bruzda byłaby zwykłym odpryskiem, mało znaczącym materiałem na późniejszą bliznę do chwalenia się przy ognisku. Ot, taka nieznaczająca rzecz, o której można myśleć w innym czasie.

Tylko innego czasu miało nie być, gdyż rana pulsowała jaskrawo Karmazynem.

– O nie – wyszeptał na krótko przed tym jak kabinę wypełnił elektryczny trzask.

– Mówi podporucznik Wołk, Pierwszy Samodzielny Pancerny Batalion Miotaczy Przeciwtkankowych – zgłosił matowy głos w interkomie.

– Do wszystkich jednostek stacjonujących na terenie Skrzyszewa. Formacja nieprzyjaciela pękła, nie łapiemy kontaktu radiowego na większe odległości, zarządzam przegrupowanie na wewnętrznym dziedzińcu od strony zachodniej. Zalecam omijanie śladów Rosenberpanu dla własnego bezpieczeństwa, wszystkie podejrzane aktywności raportować natychmiast...

Głos podporucznika zawiesił się nagle, zwalniając łącze.

– Mówi kapitan Izydor Murykiewicz – wyartykułował dokładnie do interkomu dowódca. – Ja... Zarządzam zbiórkę, zbierzcie wszystkie nadające się do użytku maszyny kroczące i baczcie na zewnętrzną ścianę lasu, mogą wrócić...

Izydor odrzucił na bok zaprzeczenie i szybko przeszedł do gniewu. Nie miał wiele czasu, więc i z emocjami musiał się śpieszyć. Porządek stanowił priorytet w walce z Karmazyną i tak długo jak żył, nikt nie będzie sobie uzurpował prawa do jego funkcji, siejąc zamęt.

O czym ty mówisz, pomyślał, nie czas na to.

Dreszcz bólu przeszedł przez całe ciało Murykiewicza. Przez moment gorące prądy zdawały się jakby razić wzdłuż żył, idąc aż do twarzy i paląc żywym ogniem. Rana na boku zasyczała sama z siebie.

– Kapitanie, nieprzyjaciel nie wycofał się na wschód.

* * *

„Z czym tak właściwie stajemy w szranki?

Zastanawiacie się państwo na pewno: jakie mundury nosi wróg, jakim mówi językiem, jakiej broni używa, jakiego koloru niesie sztandar? To są wszystko oczywiście pytania rudymen tarne i absolutnie drugorzędne. Już tłumaczę w czym rzecz.

Ta wojna różni się od wszystkich w historii świata. Nie walczymy o zasoby, o ziemię, o wolność, nie walczymy o traktaty, języki urzędowe i prawa mniejszości. Nie walczymy za króla, za cara, czy nawet za naszego Czcigodnego Marszałka, któremu nie odmawiamy wielkości i ogromnej miłości do Polski.

Walczymy o przetrwanie. O przetrwanie całej ludzkości. Wiem, że to może dla państwa brzmieć niewyobrażalnie, gdyż do tej pory mówiliśmy tak tylko w wypadku psychomachii czy walki Boga z diabłem. Jednak mamy wreszcie w historii świata pierwszą okazję, by móc śmiało powiedzieć, że po naszej stronie barykady nie ma jednej chorągwi, herbu, czy zawołania. Po naszej stronie są ludzie, ich dusze i ideały, a po drugiej stronie nie ma nic. Na wschodzie jest otchłań, w której nie ma miejsca na nawet jeden ludzki oddech.”

Breza skończył odczyt i wstrzymał oddech w oczekiwaniu.

Szmer rozmów przebiegł przez aulę wykładową, co doktor skonstatował znużonym wyrazem twarzy. Zamachał dłonią i kazał przypadkowemu słuchaczowi pociągnąć za wajchę, by uchylić okna.

– Udusimy się tu, zanim nas zabiją – spróbował rozładować atmosferę doktor, ale nikt na sali nie podzielał jego poczucia humoru.

– Może ktoś ma jakieś pytanie co do tej części prelekcji? – zapytała rzeczowo konferansjerka w czarnym kombinezonie. – Pan tutaj.

Otyły mężczyzna z sumiastym wąsem „na ukochanego Marszałka” wstał z trudem, sapnął i odezwał się pretensjonalnym, niskim tonem:

– Ja mam do tego ruska pytanie: czemu nie jest u siebie i nie ginie za Moskwę, a?

Po sali rozległo się kilka okrzyków zachęcenia. Ktoś zaklaskał parę razy w dłonie. Zadowolony z siebie wąsacz obrócił się i pochylił głowę z uznaniem, prawie zrzucając sobie z głowy maciejówkę.

Doktor Breza oparł nonszalancko twarz o zgięte ramię jak znudzony lekcją uczeń i uśmiechnął się prowokacyjnie do wąsatego jegomościa. Nagle obrócił się żwawo na profesora Siergieja Piotrowicza Mielnikowa i sparodiował pytanie:

– No Sergiuszu, może powiesz panu, dlaczego nie pozwoliłeś się rozszarpać bandzie beboków równie opasłych, co on?

Pytający uczestnik wykładu otworzył usta z niedowierzaniem, wysuwając drugi podbródek. Profesor jednak powstrzymał się od śmiechu i z ledwie wyczuwalnym, miękkim akcentem odpowiedział po polsku:

– Bo wolę żyć za Warszawę.

– No, widzi pan? – spytał Breza, szczerząc się jak ryś do złowionego ptaka. – Szanowny profesor wołał oddać się służbie Rzeczypospolitej, a nie carskiej Rosji, czy panu to przeszkadza?

Wąsacz rzucił spojrzeniem na słuchaczy, w których już nie mógł rozróżnić tych, którzy przed chwilą mu przyklaskiwali. Obrócił się na stojącego pod ścianą ponurego mężczyznę, ubranego mimo upalnego dnia w szeroki płaszcz i wreszcie podjął decyzję:

– Nie, przepraszam, bardzo się cieszę – wydukał, z trudem nie rozplakując się ze stresu i przysiadł ciężko na zbyt małym siedzisku.

Człowiek w płaszczu przysunął się do stojącego kawałek dalej, pozornie niepowiązanego z nim osobnika i szepnął mu coś na ucho. Obaj wymienili się skinieściami i wyszli, patrząc spode łba na przerażonego wąsacza.

– Ktoś ma jeszcze jakieś pytanie? – ponownie odezwała się prowadząca spotkanie.

Dzień przeciągał się Brezie niemiłosiernie. Marzył mu się spokojny, chłodny półmrok piwnicy. Zamiast tego musiał zabawiać ciekawskich gapiów jak jakiś klaun albo inny murzyn. Wiedział, że wiele edukacji w naród nie włoży, ale czasami trzeba było spróbować, chociażby po to, by mieć rację, że nie było sensu.

– Tak, ja – odezwała się nagle płowowłosa kobieta w szerokim kapeluszu ze wciśniętymi doń pąkami bzu.

Doktor Breza skupił wzrok na uśmiechniętej, ubiegającej się o uwagę i przyzwolił jej zdawkowym ruchem głowy. Nie interesowały go kobiety jako obiekty pożądania, ale liczył, że stanie się chociaż coś śmiesznego. Bardzo często emancypantki zgłaszały się z różnorakimi inicjatywami w czasie otwartych wykładów, co zazwyczaj zawierało się w pytaniach: A czemu kobiety nie są majorkami? A czemu na sali nie ma żadnej profesorki? I tym podobnych, w mniemaniu doktora, bredniach.

– Mam pytanie do szanownego profesora Mielnikowa... Siergieju Piotrowiczu, jak udało ci się uciec przed tymi potwornościami? Co możemy zrobić, aby nasi dzielni obrońcy na wschodzie mieli szansę? To chyba dwa pytania, ale pan pozwoli, dziękuję.

Aleksander zamrugał kilka razy, wyprostował plecy i uchylił usta, by coś powiedzieć, ale zdał sobie sprawę, że to przecież nie do niego było skierowane pytanie. Uśmiechnął się jedynie pusto. Coś ukłuło go w piersi, zazdrość? Zdławił myśl natychmiast, to nic takiego, na pewno.

– Miałem dużo szczęścia, ewakuowaliśmy się w porę pociągiem z Piotrogradu. Nie mieliśmy żadnego planu, tamten rok to był koszmar. Wsiedliśmy w eszelon i po prostu przebiliśmy się przez wszystko co stało

na drodze jak... jak siekiera przez pień, rozumie pani. To nie była w żaden sposób nasza zasługa, nasz spryt, po prostu Bóg.

– Po prostu Bóg – powtórzyła cicho Alicja Murykiewicz.

– Jednak możemy nadal coś zrobić – wtrącił się Breza, nie mogąc dłużej milczeć. Chciał poczuć na sobie wzrok zmartwionej słuchaczki. – Nasz Instytut dzień i noc pracuje nad tym, byśmy mieli szansę zwalczyć nieprzyjaciół. Rozumiemy ich coraz lepiej każdego dnia, poznajemy ich naturę, uczymy się im przeciwstawiać, nauka stąpa dziś szybciej niż kiedykolwiek przedtem w historii ludzkości.

– Więc dzięki pańskiemu Instytutowi mamy szansę – bardziej stwierdziła, niż spytała Alicja, wpatrując się w siwego doktora z łagodnym uśmiechem.

– Mamy szansę wygrać tę wojnę – skłamał, po czym na sali rozległy się owacje.

* * *

Nagle szarpnięcie wyrwało kapitana Murykiewicza z krótkiego snu. Chwilę jeszcze rzucał rozedrganym wzrokiem na boki, po czym wyrównał oddech. Pot zlewający się po czole zalepiał mu powieki.

Dopiero po krótkiej chwili zwrócił uwagę na poparzoną twarz kaprała Paprotki, wystającą spod zmaltretowanej rogatywki. Podkomendny skinął tylko lekko przełożonemu, po czym bezceremonialnie umościł się na suchym skrawku ziemi, biorąc sobie gumowe rękawice jako poduszkę.

Izydor przeciągnął się bardziej z zasady niż z potrzeby, po czym wyprostował, omal nie uderzając głową w niskie sklepienie pieczary. Przeszedł w jedną stronę, potem w drugą, aż zdecydował, że łatwiej jest iść pochylonym niż obcierać sobie głowę.

Mądrość bazarowa głosiła, że żołnierz płci męskiej, tak jakby jeszcze mieli pozwolić kobietom uczestniczyć w piekle wojny, powinien mieć przynajmniej pół metra wolnej przestrzeni nad głową, inaczej szybko staje się agresywny. Prawda to czy miejska legenda, sztolnie i bunkry zazwyczaj, tak czy inaczej, wpisywały się w tę zasadę. Problemem było to, że ciasne groty nie spełniały standardów bezpieczeństwa i higieny pracy. A w takowej wilgotnej grocie znalazł się Izidor.

Kapitan wymacał pomarszczonymi palcami kamienny sufit, po czym nacisnął na niego raz i drugi jak Atlas przygnieciony ciężarem ponad siły. Chwila mocowania się wystarczyła, by skutecznie osłabić zapał do walki z niepowstrzymanym. Poskubał pazurami pomarańczowy, błyskający dziwnie mech i opukał kilka razy chropowate ściany.

– Klaustrofobia? – zapytał spod brunatnej, metalowej ściany Wołk.

Izidor zmrużył oczy i dostrzegł w mroku sylwetkę podporucznika, przystawiającego oko do wąskiej szczeliny, przez którą wpęzli do środka. Sam też postanowił zaczerpnąć nieco świeżego powietrza i przykucnął obok.

– Widziałeś kiedyś pilota kroczącego, który by się bał małych przestrzeni?

Jan pokiwał zdawkowo głową.

– Drażliwy temat?

– Nie – odpowiedział krótko, po czym pozwolił Izidorowi przystawić twarz bliżej wycinka, przez który wpadało światło wschodzącego słońca. Samemu schronił się głębiej w aksamicie czerni, opierając plecami o udo Samsona. – Udzielałem prywatnych lekcji pilotażu. Nowobogackie kurwie ze stolicy lubią się bawić...

Dowódca puścił ton mimo uszu, wszyscy byli zdenerwowani, a mogła to być ostatnia okazja, by mówić to, co się myślało.

– Był taki jeden Miodkiewicz, burżuj pierdolony dorobił się, miał hutę stali i cholera wie, co jeszcze. Nie patrzyłem mu do portfela tak dokładnie, po prostu każdy zarabia na tym, co potrafi robić. – Wołk skrzywił się, jakby mu było wstyd. Przejechał od niechcienia palcem po wygiętym siłowniku pod kolanem maszyny. – Umyślił sobie, że syna przyuczy do pilotażu, bo i tak nową pelotkę sobie sprawił do ogrodu, a nie ufał wynajętym... No kurwa szczegóły. Chciał go nauczyć, rzucił pieniądze, ojcu się nie odmawia, tyle.

Izydor zaczerpnął głębiej tchu po raz kolejny. Tym razem napęczał, jakby chciał zachować świeże powietrze na jak najdłużej. Z pełnymi ustami odstąpił miejsca Janowi i zachęcił go do wyjrzenia na zewnątrz. Ten jednak odmówił. Odwrócił wzrok.

– Na pierwszej lekcji dostał ataku paniki. Ledwie go wsadziliśmy do kabiny, a on zaczął dygotać. Ojciec gówniarza mówi, że to z podniecenia, bo młody i jeszcze nie miał okazji wcześniej. Kurwa mać – wsadził dwunastolatka do pieprzonego, dziesięciotonowego czterokrokowca.

Dowódca zamarkował ciche gwizdnięcie, tak by nikogo nie rozdrażnić.

– Jeśli ktoś ustawia sobie takie urządzenie w centrum Warszawy, to albo nie zna aktualnej sytuacji, albo zna i nie pokłada nadziei w obronie Rzeczypospolitej – wtrącił jeszcze kapitan, po czym wrócił do obserwowania naprzeciwległej ściany lasu.

Z każdej strony wystawały na świat gęste krzewy, mechate runo leśne o czerwonym zabarwieniu i podejrzane samosiejki. Gdźieniedzie walał się porzucony pień o nienaturalnie ostrym zagięciu do góry. Czasem drzewo rosło jak wykręcony świder, zakręcając do góry wokół własnej osi. Typowy las na rubieży wschodniej.

– Powiedział mi wtedy, pamiętam jak dziś: zamknij włącz – kontynuował Jan, wpatrując się w skapującą z sufitu wodę. – Nigdy nie zapomnę krzyku tego dzieciaka. Przestał uderzać pięściami o ściany, gdy zemdłał ze zmęczenia, albo ze strachu. Zwróciłem zaliczkę i powiedziałem grubasowi, by uczył syna czegoś pożyteczniejszego, albo sam schudł i wpakował się do tej konserwy.

Kapitan uśmiechnął się mimowolnie i spojrzał na podporucznika.

– Jesteś dobrym człowiekiem Janie, chociaż język to masz za długi.

Wołk niewzruszony komentarzem trwał w bezruchu, wgapiając się w za niski sufit pieczary. Chwilę później szepnął:

– Będzie padać.

Murykiewicz pokiwał głową powoli. Pomacał się chwilę po twarzy, roztarł w palcach różowawy pot i zaciągnął się głęboko. Cały czas czuł się nieswojo we własnym ciele.

Powietrze było napięte jak struna skrzypiec, nieroztropnie przeciągniętych do granic wytrzymałości. Mądre głowy powiedzą, że to niemożliwe, ale człowiek ma zmysł, którym to czuje – zmysł słabości, zmysł maleńkości. Świeże, prawie jałowe, czyste powietrze, cichy pisk, brzęk, a na koniec zdaje się baczemu obserwatorowi widzieć pełgające tu i ówdzie błękitne iskierki.

Tak – burza.

W momencie, gdy ktokolwiek zda sobie sprawę, jest już za późno. Żywioł ma przewagę nieskończoną nad człowieczą gliną. Niech sobie ludzie czynią ziemię poddaną, ale grom z niebios zawsze przypomina, kto rządzi kosmiczną szklaną kulą.

Konie bożego powozu zaczynają z daleka mówić klusem o swojej obecności. Mokre kopyta trącają żdzbla trawy i znaczą spłowieiałą glebę odciskami kropelkowych podków.

Wtedy rozlega się pierwszy strzał z bożego bicia i już nie truchtem – już kłusem.

Stukot nabiera żywszego rytmu, a powóz przyspiesza, przetaczając się gromem przez burzowe chmury jak oś jaszczu roztrącającego nieroztropnie stojące na drodze krzewy.

Kańczug niebiańskiego jeźdźca lotem błyskawicy omiata nieboskłon i spada wprost do ziemi, rażąc na równi potężne góry, dumne sosny i przerażony ludek. Kolejne strzały płoszą błękitnych czworonogów, zagryzających świetliste kielzna w pyskach.

Kłus przechodzi w galop, którego mocy nie odda żadne natarcie szwoleżerów ani najzdolniejszy impresjonista. Kanonada kopyt rozrywa niwy i łamie ograbione z godności drzewa, niezdolne do przeciwstawienia się wichrom z nozdrzy rumaków.

Kulminacyjny moment przychodzi, gdy zmęczona gromada światłodziurczy zmusza się do ostatniej szarży, targając ziemią, niebem i trzepoczącymi grzywami. Piana z pysków rozplywa się po polach i ugorach, przygniatając glebę ciężką warstwą nabrzmiałej masy.

Kibitka odjeżdża, zabierając ze sobą ludzkie poczucie wielkości, by długo jeszcze nie mogło wrócić do łamliwych serc, kryjących się po jaskiniach.

Izydor zastrzygł uszami jak koń i wbił wzrok w niewyróżniający się niczym kawał kamienia.

– Idą.

Rozumowali niemrawo, dopiero wybudzeni z letargu pozwalającego w spokoju przeczekać burzę. Z każdym uderzeniem serca rzeczywistość gęstniała w za ciasnym schronieniu.

Józef ledwie zapadł w płytki sen minutę wcześniej, a już zaczął jęczeć i odganiać niestworzone mary, nawiedzające go tak szybko. Krzyczał rozkazy, prośby, błagania, zdawał raporty w pustkę.

Kapitan podbiegł natychmiast do roztrzęsionego żołnierza. Nagle uderzył go na odlew otwartą dłonią, aż echo zarezonowało po wilgotnych ścianach pieczary i poniosło się w dal.

Paprotko z wpeł otwartymi ustami spojrzał na oficera, nie rozumiejąc nawet, co właściwie się stało.

– Idą – powtórzył tylko cicho kapitan, błyskając w półmroku przekrwionymi oczami.

Rzeczywiście spośród cichnącego ferworu letniej burzy dało się słyszeć miarowe pohukiwania. Nie były to odległe, majestatyczne gromy, odchodzącej nawałnicy, a zdecydowanie bardziej regularny rytm uderzeń.

Wołk przycisnął twarz do wnęki między maszyną a wąskim wejściem groty. Krótki moment wyglądał ciekaw okolicy, po czym dopadł plecami do ściany i przyłożył palec na wysokości ust, piorunując wszystkich swoim przerażonym spojrzeniem.

Spomiędzy drzew wychylała się góra, roztrącająca rzadką mgłę na boki.

Dopiero po chwili z tytanicznego kształtu dało się wyróżnić poszczególne fragmenty Karmazynowego regimentu. Na platformie, wrośniętej bezpośrednio w czerep giganta, figurowała kanciasta sylwetka obersztera w asyście dwóch dorodnych wilków o pożyłkowanych czerwonymi symbolami futrach.

Murykiewicz przyłożył odruchowo dłonie do twarzy, próbując znieść pulsujący ból, dochodzący z głębi siatkówki. Zdał sobie szybko sprawę, że spomiędzy jego palców przeciskały się drobne strumyczki krwi, osiadające burymi zaciekami na skórze.

Zza kroczącego potwora wysypały się równe szeregi szkarłatnych istot, mających krajobraz nieporadnymi kończynami. W uwielbiających jednolitość oddziałach zdawał się panować przewrotny chaos w doborze celów.

Co rusz któryś z wyrośniętych stworów odłączał się od stada i kręcił chwilę wokół jakiegoś drzewa. Stał tak pozornie bez celu i znienacka solidnym machnięciem rozrywał wilgotną korę, pozostawiając ślad imponujących pazurów. Dalej wszystko milkło i wracało do miarowego marszu, jakby nic się nie stało.

Spomiędzy pochodu wylatywały czarne, gęsto upierzone ptaki o dwóch głowach. Kołowały wysoko ponad sosnami, by zaraz spikować w gęstwinę i przysiąść na ramieniu któregoś z piechurów.

Wtem jedno ze stworzeń obróciło się gwałtownie i wbiło wzrok jedyne, szkarłatne oczodołu w wylot jaskini. Przez moment stało tak, świdrując obsypanego błotem i gałęziami Samsona, pohukując przy tym, jak sowa.

– W imię ojca i syna... – wyszeptał Paprotko z nabożną czcią.

Piekielna czereda zatrzymała się w połowie kroku.

Powietrze w jaskini zgęstniało, aż wszystkim zebranym zabrakło tchu.

– Zabiję – bezgłośnie poruszył ustami Wołk, patrząc na pobożnego podkomendnego.

Jeden z dwóch rannych żołnierzy, ostałych się ze Skrzyszewskiego oddziału, z obrzydzeniem oglądał całą scenę, a następnie schował się we własnych dłoniach, odcinając od całego świata. Od krwawiącego z oczu kapitana, od dawno utraconej ziemi, od uszkodzonego Samsona i od diabelskiej hordy za progiem.

Istota dowodząca demoniczną zgrają wystawiła długi, sękaty kostur wzwyż, przypominając przez moment absurdalną parodię kolosa z Rodos, panującego nad całym morzem drzew.

W powietrzu zgęstniała ruda mgiełka, zapachniało pieprzem i palonym tłuszczem. Na moment obłoczek kołtunił się między zebranymi, by zaraz gwałtownie ulecieć do pastorału niby–kapłana.

Wtedy to wszyscy ruszyli w bok, roztrącając mokrą darń i runo leśne. Gigant zamachał nieporadnie łapami i przełamał solidny świerk w bok, zamiast go wyminąć. Kilka rogatych koni wybiegło naprzód, rozrywając krzaki jeżyn sierpowatymi kopytami.

– To nasi – powiedział kapitan, po czym zaśmiał się niekontrolowanie, tracąc rezon. – Pobiegli za naszymi!

Ktoś z wnętrza syknął z przejęciem, bojąc się nagłego powrotu okolicznych włodarzy.

– Skąd ta pewność? – odezwał się podporucznik, wysuwając dłoń poza obręb jaskini.

– Z wewnątrz. Dosłownie ze środka. Zresztą, jaki mieliby inny powód, by się tak zerwać nagle? Musieli wyczuć naszych albo wołanie o pomoc swoich.

Wszyscy powiedli po sobie wzrokiem i z posępnymi minami zaczęli zbierać swój skromny dobytek. Jedynym plusem sytuacji było to, że łatwiej niewielkiej grupie pozostać niezauważonym. Nieszczególnie ich to pocieszało po ostatnich klęskach.

Kapitan zanurzył się we wspomnieniach zeszłego wieczora. Dopiero teraz pomyślał o tym, jak z walki za murem znaleźli się tutaj, zdziesiątkowani, zakrwawieni, bezradni. Bał się, że na samą myśl o tym po prostu zacznie krzyczeć.

Pamiętał jak przez mgłę: opatrywanie rany, zbieranie niedobitków z pola walki i frustracje przy kolejnych ślepych próbach złapania kontaktu radiowego.

Początkowo zebrali pięćdziesiątkę ludzi, sprawnego Topola i cudem ocalały wóz antenowy, który był jedyną szansą na nadanie komunikatu. Planowali po prostu pójść wzdłuż Muru i oflankować domniemaną ofensywę na najbliższe wrota. Gdyby tak się nie stało, to weszliby swobodnie i ostrzegli o przełamaniu w Skrzyszewie.

Izydor skrzywił się na moment paskudnie. Batalion ruszył w niepełnym składzie, to fakt, bo obsadzić cały Mur Rzeczpospolita mogła tylko cudem. Żaden batalion, szwadron, regiment, czy dowolna inna formacja nie była w pełni sprawna w Polsce, gdyż od paru lat wszystko nadal było w ruinie. Mimo to nie spodziewali się, że przeciwnik będzie tak zajadły. Nawet nie tyle liczny, ile po prostu taki... doskonale obliczony na unicestwienie.

Archibald zaginął, prawdopodobnie strącony do postaci jednolitej masy na czerniejącej w płomieniach kupie gruzu. Często tak w życiu bywa, że pan Bóg kule nosi i dobrzy ludzie giną w zły sposób. Co mieli zrobić innego? Pozostali polegli w boju też byli nieprzeciętnymi ludźmi.

Samsony Józefa i Jana zwyczajnie uległy usterkom, których nie dało się naprawić na miejscu – bywa. Jeśli tylko dwie na pięć maszyn się psują, to i tak nie jest tak źle. W końcu miały to być manewry testowe w praktyce. Samson Archibalda dostał ogniem sojusznicznym, no cóż – tak też się zdarza.

Jeszcze mieli ze sobą wysokościowca, którym sterował Knothe – więc nadal towarzyszyło im jakieś poczucie bezpieczeństwa. Taki stalowy kolos jednak działa na psychikę, nawet jeśli służy tylko do przesuwania ciężkich przedmiotów.

Robotnicy, lokalny oddział, maszyny budowlane, lekkie pancerze bojowe, kroczące maszyny zwiadowcze, ruchome obserwatoria i baterie przeciwlotnicze. Wszystko po prostu spłonęło albo zmieniło się w rzadką, szkarłatną masę, a potem spłynęło pod ziemię.

Wymęczeni, zalęknieni, ale wciąż pełni nadziei ruszyli wzdłuż Muru, wyszukując posterunku. Zamiast tego nie było nic. Puste reduty i sporadyczne kupki popiołu oraz czerwonej mazi. Ledwie widoczne, niewiarygodne ślady potyczek, po których nie zostawał ani jeden trup.

Bramy stały zawarte na głucho, jakby nigdy nikt ich nie próbował forsować. Oznaczało to tyle, że nieprzyjaciół musiał jednocześnie minąć rozległe umocnienia, a zarazem nie pozostawić po sobie możliwości wejścia dla osób niepowołanych.

Inną możliwością było to, że wróg minął sprytnie wszystkie posterunki i bez jednego wystrzału przeszedł przez którąś z dziur w Murze. Niestety biurokracja zawsze upośledza inżynierię. Mur nie powstawał z tą samą prędkością na wszystkich odcinkach. Im bliżej centrum wschodniego frontu, tym więcej było tymczasowych garnizonów, a mniej fortyfikacji z prawdziwego zdarzenia.

Nowy plan zakopał morale na dobre – ruszyć na wschód.

Najbliższe wzniesienie piętrzyło się kilkanaście kilometrów od nich. Stamtąd mogli liczyć na realną szansę złapania komunikatu. Miał niedługo zapaść zmrok, narzucili tempo nawet rannym i okaleczonym. Kto nie mógł iść, był wieszony. Kto nie mógł być wieszony, był trzymany w dłoniach Topola.

Słońce miało się ku zachodowi, gdy wyłonili się spomiędzy iglastych lasów na wiatrołomy. Szli w napięciu, gotowi na wszystko, przez środek nieprzyjaznej im ziemi. Wszystko wydawało się spokojne, naturalne,

bez wypełnionych gazem lejów po pociskach artyleryjskich, bez walających się łusek i zwojów drutu ostrzowego.

Wtedy nastał wizg, wiatr zerwał się, dosłownie zatrzymując żołnierzy w miejscu.

Masywna sylwetka latającego stworzenia zapadła w pamięć wszystkim, którzy przeżyli. Wydawało się, jakby przedziwny ptak był złożony z dziesiątek, albo i setek ludzi. Kończyny zlepione do siebie gęstą posoką pozwalały pokracznej obrzydliwości na wznoszenie się w powietrzu.

Zaczęła się rzeź.

Pociski fruwały przez nieboskłon jak salwy pogrzebowe i tyleż mogły zrobić w starciu z Karmazynowym katem. Ołów dryfował po niebie, by zaraz opaść bez sensu. Stwór wznosił się momentami na kilkaset metrów, by spikować w mgnieniu oka i dopaść kogoś jak sokół polną mysz.

W akcie desperacji Izydor Murykiewicz kazał przenieść słabszą, ale przynajmniej mniejszą radiostację na barki Samsona. Zamontowana w wozie antenowym była za duża, ta druga natomiast mogła być niesiona nawet przez człowieka.

Wszyscy oczekiwali jakiegoś sprytnego rozwiązania problemu i nagłego ratunku, godnego kunsztu taktycznego polskiego oficera. Kilkanaście osób odwracało uwagę Karmazynowego drapieżnika, machając dłońmi i strzelając właściwie na oślep, by dać więcej czasu Izydorowi.

Decyzją została podjęta.

Zrejterował. Dwóch rannych żołnierzy trzymało się prowizorycznych mocowań nad plecami Samsona, za którym biegli Wołk i Paprotko. Z daleka ze wstydem obserwowali, jak podniebna bestia bez trudu wyławia byłych towarzyszy z reszty odstrzeliwującego się batalionu.

Ostatnia nadzieja postanowiła ich opuścić bez słowa.

Topol zakręcił się w miejscu, dał zeskoczyć z dłoni żołnierzom, chwycił połamane drzewo i uniósł ku górze niby mitologiczny cyklop maczugę. Obrońcy z zaskoczeniem spoglądali, jak gigant zaczyna raz za razem świstać w powietrzu improwizowaną bronią, próbując strącić dziwadło.

Izydor zapamiętał z lekkim, wstydliwym rozbawieniem krótki dialog.

– Widział pan kiedyś coś takiego, podporuczniku? – spytał z niedowierzaniem i podziwem Paprotko.

– Tak – odpowiedział Wołk. – Mój ojciec miał uczulenie na pszczoły.

Teraz z perspektywy tchórzostwa, przemęczenia i odpowiedzialności za śmierć kolejnych kilkudziesięciu osób, Izydorowi było po prostu do śmiechu. Pocieszał się w duchu, uspokajał i co rusz obmacywał napęczniałą ranę, gdzie już zbierała się cysta, wymieszana z intensywnie czerwoną cieczą.

Na noc schowali się w znalezionej pieczarze. Obłożyli dogorywającego Samsona prowizorycznym kamuflażem i nie pozwolili sobie nawet na ognisko. Wyczekiwali słońca, a później pierwszej okazji do opuszczenia legowiska.

– Nie sądzę byśmy dali radę go odpalić ponownie – wyraził przypuszczenie Wołk, masując świeże zadrapania. – Nie mówię, że nie warto spróbować, aczkolwiek w tych warunkach serwisowanie jest co najwyżej słowem na języku.

– Od kiedy to taki z ciebie poeta? – rzucił z przekąsem kapitan, przeciskając się na zewnątrz. – Plan się nie zmienił. Nadal najważniejsze jest, by przekazać raport do najbliższej placówki łącznościowej.

Oczywiście, o ile jeszcze nie wiedzą i o ile uda nam się cokolwiek nadać, nie wspominając o powrocie, lub jego braku.

Nie było nic więcej do dodania poza cichym kasznięciem silnika bezdusznego Samsona, który na zawsze miał zostać pogrzebany w lesie jako pamiątka klęski Rzeczypospolitej.

Rozdział drugi

Aleksander Breza w szampańskim humorze wrócił do Instytutu jeszcze na długo przed zachodem słońca. Wydawało mu się jakby nawet tramwaje, sunące mozolnie po szerokich, zalanych słońcem uliczkach, wygrywały dzwonkami piosenki na jego cześć.

Prelekcja nie była szczególnie zajmująca, to prawda. Pytania o naturę Karmazynu zawsze zahaczały o utarte schematy z pogranicza wróżbiarstwa i tabloidowych nowinek. Tłumaczenie ludziom, że zasłanianie obrazka z matką Boską w czasie posługi małżeńskiej ani posiadanie czerwonych zasłon w sypialni nie zmieni nikogo w potwora, było dla niego już niestety codziennością.

Jednak ta kobieta to było już coś zgoła innego.

Wracał przez tereny pałacu Saskiego, by dłużej cieszyć się pogodą. Nawet zatrzymał się na moment, aby porozmawiać z kawiarką. Nigdy tego nie robił, ale coraz częściej w dużych miastach Polski propagowano tak zwany „small talk” na modłę zachodnią. Co prawda Polacy wydawali mu się narodem na tyle agonalnym, że nie potrafili niczego pomiędzy zdawkowymi pomrukami a opasłymi tyradami, jednak warto było spróbować.

– Pan to chyba mi wygląda na jakiegoś muzyka – zaszczebiotała kawiarka o ceglanej, pokrytej piegami twarzy i kontrastujących blond

lokach. – Chyba nawet pana widziałam w filharmonii na Pniewskiej, bo ja ostatnio byłam nawet, niech pan sobie wyobrazi, i wystawiali wtedy coś takiego, że jakby muzyka była i ona przygrywała do takiego przedstawienia z...

Breza dopił kawę z cynowego kubka duszkiem i z wystudiowanym, szczerym uśmiechem odpowiedział grzecznie, że musi iść.

Cóż, warto było przekonać się, że miałem rację, pomyślał Breza, jeżdżąc poparzonym językiem po podniebieniu. Cholera i teraz będzie mnie szczypać cały dzień, bo zachciało mi się słuchać, co tam gęsi mówią.

Wspiął się po dwa stopnie naraz na schody wejściowe Instytutu i ruszył w labirynt korytarzy. Kolejne gabinety z zanudzonymi badaczami, laboratoria pełne bezsennych studentów i przelewające się strumienie kawy oraz herbaty wydawały się dyrektorowi zawsze w jakiś sposób pożałowania godne.

Wiedział, że dzięki dyspensie od samego Czcigodnego Marszałka jest w stanie pominąć wszystkie komisje etyczne, składające się z geriatrycznych gremiów, uznających wszystko za straszne, karygodne i zabronione. Dlatego Instytut jako jedna z bardzo niewielu placówek mogła być czynna nawet w dni wolne i święta.

Często przy tej samej, dębowej framudze myślał ten sam wywód: jak człowiek ma się rozwijać? Jak nauka ma się rozwijać, gdy legalne są tylko dobrowolne spisy powszechne i eksperymenty na myszach?

Przez krótki moment stał jeszcze pośrodku korytarza, ignorując spieszących się we wszystkie strony pracowników. Ktoś niósł kilkadziesiąt kopii testów, inny targał za sobą wózek z kartonami, następny w dłoniach trzymał bardzo malutki pojemniczek z dwoma prostokątami szkła, przygniatającymi czerwoną kropelkę.

– Są już wyniki z kauteryzacji Rosenberpanem?

Niosący próbkę pracownik zdębiał w przerażeniu, jakby stres z samego niesienia pojemnika, wyczerpywał całkowicie jego wrażliwość na bodźce zewnętrzne.

– Panie dyrektorze, ja dopiero niosę próbkę, nie wiem, czy to na kauteryzację – wydukał ze strachem.

– Dziwne, przecież już wczoraj zalecałem, a Szymon miał się tym zająć w wolnym czasie, w końcu sam o niczym innym nie myśli.

Rozmówca otworzył na moment usta, zamknął, wydał z siebie krótki pomruk, jakby zbierał myśli i wreszcie odezwał się niepewnie.

– To ja nie wiem. To nie dla doktora Orczyka, tylko... Znaczy, ja nie wiem nawet.

– Nie dla Szymona, to dla kogo? Nie dawałem żadnej dyspensy na badania z tego nowego okazu, a widzę przecież, że to jest świeżo wycięte z mojego. – Na moment Breza zmrużył oczy, analizując możliwości, odłączając kolejne rozwiązania i szukając pamięcią, komu mogłoby zależeć na pozyskaniu próbek bez jego wiedzy. – Kto ci kazał to zanieść i gdzie?

– To inny asystent do mnie przyszedł i jemu też ktoś kazał.

– Rozumiem, to absolutnie normalne – wyszczerzył się Breza, po czym wystawił przed siebie dłoń i tym samym, spokojnym tonem dodał: – Oddaj mi próbkę i wynoś się stąd w tej chwili. Bezcelny jesteś, jeśli myślisz, że możesz po prostu sobie wchodzić, gdzie chcesz i brać co chcesz, dla kogo chcesz.

Młodszy pracownik skrzywił się w grymasie niedowierzania i załkał, podając naczynie dyrektorowi. Łzy natychmiastowo wypłynęły z jego oczu, gdy tylko zrozumiał, co to może w praktyce oznaczać.

– Ja przepraszam, poprawię się, naprawdę i...

Breza uchylił lekko usta, więc podwładny ucichł. Wiedział, że nie ma sensu mówić w tym samym czasie co część kadry naukowej, która w sumie nigdy nie potrzebuje drugiej strony do rozmowy.

– Jutro z samego rana zgłosisz się do WKU, prosząc o przydział.

– Ja, nie, błagam...

– Ja, ja, ja... – sparodiował falsetem Breza, zwracając już na siebie uwagę kilku osób przechodzących korytarzem. – Ciągłe o sobie mówisz, to chociaż zrobisz coś dla innych. Lepiej zgłoś się dobrowolnie, bo jak nie to ja doniosę o twojej kradzieży, a wtedy skończysz w hucie pod Katowicami, a zapewniam cię, że tam się nosi cięższe pakunki.

Młodzieniec odszedł, ledwie trafiając w drzwi przez załzawione oczy. Tłumek po chwili rozszedł się, zostawiając doktora samego z jego czerwoną kroplą Karmazyny.

Doktor przyłożył oko bliżej naczynia, przez moment jakby dostrzegając mikroskopijny ruch pod półprzezroczystą powierzchnią.

– Jesteś cenniejsza od jego życia. – powiedział wprost do kropli i zamyślił się na moment. – Tylko pytanie, kto tak bardzo chciałby cię mieć na własność?

Badania nad Karmazyną były niewyobrażalnie drogie i długotrwałe. Sprowadzić gotowy obiekt badany żywcem to zadanie właściwie niemożliwe, tak samo, jak i chorego w stopniu zaawansowanym, gdyż ten mógł po prostu komórka po komórce uciec przez dziurę w ścianie albo kratkę wentylacyjną.

Oczywiście można było przy odpowiedniej aparaturze, wiedzy i doświadczeniu prowadzić metodyczne badania nad świeżo zarażonymi, tylko to udawało się rzadko. Po pierwsze – granica między zarażonym niezdolnym uciec a tym zdolnym, była bardzo cienka i niedostrzeżenie jej mogłoby poskutkować śmiercią całego personelu lub gorzej.

Drugą kwestią było to, że osoby w najmniejszym nawet stopniu podejrzane o możliwość myślenia o próbie wyzwolenia Karmazyny w centrum miasta, byłyby natychmiastowo odwiedzone przez wewnętrzną policję Marszałka. Ta zasada nie omijała nawet placówek badawczych, więc zajmowanie się Karmazynologią należało do zajęć niebezpiecznych zarówno w trakcie badań, jak i poza nimi.

Dlatego tym bardziej Aleksander był rozanielony na myśl, iż właśnie zmierza zerwać pierwsze owoce z zasiewu. Liczył na to, że to dopiero początek rozrostu jego przyszłego latyfundium. Na razie był gotów chwycić za najkwaśniejsze plony

– Pani Jadwigo, proszę zamknąć za mną – polecił doktor, otwierając ciężkie drzwi do piwnicy.

– Nastawię herbaty, jakby pan dyrektor chciał...

– To mi może trochę zająć. – Uśmiechnął się szeroko i zaciągnął za sobą klamrę.

Zamki zgrzytnęły sucho. Świat został gdzieś daleko za grubymi, wygłuszonymi murami podziemi. Breza nacisnął włącznik światła zwyczajowo po omacku i ruszył w głąbiny.

– Pobudka! – zawołał wesoło od progu, otwierając wejście do sali numer szesnaście.

Cisza dzwoniła w uszach, zlewając się z jednolitym szmerem. Wariograf sunął po bezkresnych polach papieru, więc pacjent nadal żył. Tylko coś na granicy czucia zdawało się inne, nie na miejscu.

– Panie Radosławie – zawołał doktor ostrożniej, już poważniejszym tonem, zbliżając się do katafalku.

Twarz pacjenta, jak i całe ciało, były nagie – ubrania zdjęto przed pierwszym przypięciem. Kilka rurek tkwiło stabilnie w newralgicznych

punktach leżącego, dzięki czemu nie musiał opuszczać legowiska, by zaspokoić potrzeby fizjologiczne.

Jednak obraz, jaki zastał Breza, odstawał od przyjętych norm. Rurki wydawały się porośnięte fioletowymi pękami żył i gąbczastej tkanki. Zbiornik dializatora był tak zapchany wybroczynami, że dookoła leżało szkło z pękniętej obudowy, rozsadzonej wewnętrznym ciśnieniem. Radosław nie miał już nawet skóry, a czerwono-sine wzgórki zastygłego wosku.

– Wachmistrz na bacność! – ryknął Breza, udając gniew.

W pomieszczeniu unosił się okropny zapach stęchłego moczu, kału, krwi i czegoś jeszcze – kompletnie niepasującego do oczekiwań. Jakiś przedziwny aromat wydawał się towarzyszyć rozkładowi, jednocześnie odcinając się od standardowego zestawu zapachów, jaki niesie ze sobą zgon.

– Pieprz? – zamrugął zaskoczony doktor. – Torf?

To, co zostało z twarzy Radosława, rozsunęło się na boki, niby jama. Dopiero po kilku sekundach Breza zrozumiał, że tam powinny być usta – zamiast nich była poprzeczna dziura. Dziura, która coś mruczała.

– Mpf... – puszczał ustami krwawe bańki Kazimir, próbując coś powiedzieć.

– Radosławie? – Doktor zbliżył się do twarzy, nadstawił prawego ucha i wsłuchał się w ostatnie słowa żołnierza. To mogło być przełomowe, myśl na granicy człowieka i Karmazynu, coś, co można by cytować przez resztę wieku w podręcznikach...

Spazm kaszlu wstrząsnął ciałem pacjenta. Krwawy bryzg natychmiastowo zostawił ślad na policzku doktora Brezy.

Zapewne trwało to ledwie sekundę, ale w głowie Aleksandra minęła cała wieczność. Gęsta sieć neuronowa jego mózgu wydawała się tkwić

w jakimś stuporze setek tysięcy symulacji, kończących się tym samym wnioskiem: nie mam maski.

Aleksander rozchylił usta, na których tkwił śliski fragment karmazynowej mazi i zamknął je natychmiast, powstrzymując się od komentarza.

Ruszył na złamanie karku, jak nigdy. Dopadł do drzwi, zerwał zasuwę i wypchnął się barkiem na zewnątrz. Omal nie rozbił sobie nosa o przeciwległą framugę drzwi magazynu, odbił w lewo i pognął na górę schodów.

– Jadwiga! – zakrzyknął, nie szczędząc tchu, nie siłąc się na żadną tytułaturę czy grzeczności. – Otwieraj!

Łupał z całą mocą, szarpał za klamrę, skowyczał. Świat został gdzieś na zewnątrz, za wygłuszonymi ścianami i drzwiami, przez które słyszeć było tylko delikatne pukanie.

Doktor napierał na zastawę dalej, miarowo uderzał raz za razem, wolną ręką zrywając z siebie kitel i ścierając nim breję z twarzy jak zwykłą szmatą.

Maż była kleista, na wpół lepka, a jednocześnie śliska i czasem chropowata w dotyku – sam ostatecznie nie wiedział czym była. Zdawała się pulsować, migotać w mroku, czasem przesuwać, nakładać na siebie i... syczeć?

Zamek szczękął nieskończenie powoli, raz, drugi.

Drzwi uchyliły się ostrożnie i miarowo, pociągane lewą ręką Pani Jadwigi. W drugiej trzymała parujący, żeliwny czajnik z wrzątkiem.

– No i co pan tak wy... – zdążyła powiedzieć, nim przełożony wyrwał jej z dłoni gumową rączkę czajnika i wzniósł naczynie w triumfalnym geście i przekręcił w stronę swojej twarzy.

Skóra zaskwierczała pod naporem gorącego strumienia. Kawałki mazi odłaziły na ziemię w grudach, skręcając się i wijąc jak żywe stworzenia. Prawa strona twarzy naukowca błyskawicznie pokryła się pęczniejącymi bąblami koloru limfy.

* * *

– Pieprzony wschód, przekłete czarnoziemy, jebać Rosjan – pomstował Wołk pod nosem, wygrzebując z uporem godnym lepszej sprawy kamień, utkwiony w bucie. – Wszystkich was do piachu albo piecyki włączyć i...

– Już? Najadłeś się? – spytał wyraźnie zirytowany kapitan, przecierając nieustannie oczy. – Bo jak nie, to możesz dalej kłapać jęzorem. Nie wiń Rosjan...

– Bo co? – odwarknął Wołk, naciągając obuwie za niewygodnie długie cholewy.

– Bo to rozkaz.

– Od kiedy mamy nakaz szanowania nieprzyjaciół? Mieli najwięcej czasu na powstrzymanie tej pieprzonej zarazy, a i tak wszystko spartolili. – Podporucznik wyprostował się dumnie i zbliżył do Izydora. Górował nad nim o półtora głowy wzrostu, czego nie omieszkął podkreślić przy nadarzającej się okazji.

– Przywołuje cię do porządku Janie...

Ranni, zmęczeni i pozbawieni zapasów, pozwalających na jakąkolwiek dłuższą podróż, przeprawiali się przez nieprzyjazne lasy i ugory, rozciągające się na wschód od Muru. Co rusz musieli zatrzymywać się, aby pozwolić dwóm okaleczonym łącznościowcom złapać drugi oddech i wznowić marsz.

Szczyt wzgórza majaczył na stosunkowo stromym pagórku, świecąc postawionym dawno temu białym krzyżem – atrakcją turystyczną. Jednak rzadko kiedy mogli wypatrzeć go poprzez gęstniejące knieje. Ciężkie powietrze kotłowało się szarymi kołtunami pomiędzy konarami.

Ziemie rozciągające się od Chełmu nigdy nie były szczególnie mocno eksploatowane. Odkąd podjazdy ze wschodu stały się bardziej uporządkowane, naturalne habitaty mogły odetchnąć spokojnie, nie będąc celem zakusów Karmazynu. Przynajmniej ta jedna rzecz była bezpieczna w obliczu trwałych zmagających.

– A ja... – zaczął podporucznik, jednak przerwał, gdy tylko rozległ się pisk kaprała.

– On się zmienia, widziałem! – krzyknął półprzytomnie Paprotko, wskazując chwiejnym palcem na rannego łącznościowca.

Obydwaj załoganci z porzuconego wozu znajdowali się w koszmarnym stanie. Różnica była taka, że jeden z nich uniknął poparzeń, a zamiast tego gorączkował od starcia w Skrzyszewie. Nieszczególnie ktokolwiek chciał się nimi zajmować, ze względu na wyjątkowo odstrasające, czerwone wybroczyny, które sączyły się z jedynie prowizorycznie zabandażowanych ran.

Niestety – na nic więcej nikt z batalionu nie mógł liczyć.

– Nie zmieniam... – szepnął plutonowy, po czym wypadł towarzyszowi z rąk, osunął się na kolana i zwymiotował między korzenie pobliskiego drzewa.

Kaprał odłożył ostrożnie radiostację, którą przez cały ten czas musiał targać na plecach, przewieszoną swoim wojskowym pasem, niby jako niezwykle ciężki plecak. Ranni przecież nie mogli tego robić, a przełożonym się nie chciało – realia.

Za plecami Izydora szczękniętą odwodzony kurek rewolweru. Od razu wyczuł zimny pot, zjeżdżający po brudnych plecach. Odsunął dłonie od przeraźliwie zaczerwienionego oka i obrócił się do podporucznika.

– Musimy to zrobić teraz – rzucił po prostu Wołk. – Majster jest na skraju, a my nie dalibyśmy rady mu pomóc, nawet gdyby nie był zarażony, a jest.

– Może nie jest... – odpowiedział kapitan bez przekonania, na co Jan jedynie przerzucił oczami dookoła.

– Przykro nam – wyszeptał Paprotko, jakby decyzja już została podjęta.

– Powinienem wydać standardowy wyrok zgodnie z egzekutywą o przyspieszonym procedowaniu na froncie wschodnim – odwrócił się ponownie Izydor i z ciężką miną również dobył broni. – Jednak nie chcę tego wszystkim utrudniać. Powiemy waszym rodzinom, że zginęliście w bohaterskiej obro...

– Nie! Ja jestem zdrowy! Jego zabijcie, ale mnie nie! – wykrzyczał drugi z łącznościowców w randze kaprała, kasłając co chwila krwią lub czymś, co krew przypominało. – Błagam, zróbcie to jemu, mnie zostawcie!

Wołk skrzywił się z odrazą i postąpił dwa kroki do tyłu. Paprotko zamknął oczy, a później także zatkał uszy. Dowódca również zasłonił uszy, ale z przyzwyczajenia – nienawidził huku bilonu.

Nigdy sobie wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że przepisowy rewolwer był nie tylko irytujący w obsłudze. Był również niezwykle hałaśliwy i wzbudzał w nim jakąś mieszaninę strachu i zirytowania. Albo to po prostu wymówka, jaką sobie wymyślił naprędce, by odciąć się od wątpliwej jakości egzekucji.

Huk poderwał okoliczne zdrowe ptactwo do lotu.

Łącznościowiec chwycił się za pierś, gdzie zakwitała ciemnoczerwona plama. Z niedowierzaniem spojrzał na mokre dłonie, na byłych towarzyszy, aż w końcu na niebo. Upadł w dywan mchu, zadrgał i znieruchomiał na dobre.

Paprotko z przerażeniem spojrzał na egzekutora, po czym na kapitana. Spodziewał się czegoś pewniejszego: wypływającego ze zmarłego demona albo chociaż przekleństw wobec Rzeczypospolitej. Zamiast tego umarł tak, jak umierali wszyscy, nie dając dowodu swojej choroby ani winy.

Drugi zarażony po prostu pełzł na czterech kończynach, desperacko próbując odsunąć się od jednoosobowego plutonu egzekucyjnego. Co rusz pojękiwał cicho, parskając czerwoną wydzieliną i wymiotował, ale nie błagał o litość.

Wołk postawił buciar na plecach uciekającego i przytknął mu lufę do potylicy.

– Wołk – warknął kapitan i odetkał uszy, nadal zaciskając palce na uchwycie broni.

Podporucznik zastygł w bezruchu na chwilę, zaniechał poprzedniej decyzji, przestał barbarzyńsko przygniatać rannego, a zamiast tego lekko kopnął w bok, aby przewrócić go na plecy.

Tym razem rewolwer wtulił się między żebra skazanego i huknął niewiele ciszej, zabрызgując drelichowy mundur podporucznika.

– I nigdy się nie dowiemy – mruknął Izydor, pocierając brudną dłonią oko.

Czerwone żyłki rozchodziły się od powiek, przebijając nawet przez skórę na policzku. Co rusz kapitan mrugał tylko jednym okiem, jakby próbował wydusić łzę, która miałaby wypłynąć wraz z niewidzialnym pyłkiem czy ziarnem piasku.

– Kiedy wysłemy wiadomość, będziemy mieli pewność, że ich śmierć nie poszła na marne – odpowiedział sentymentalnie kapral, wciągając radiostację na plecy. – Prawda, panie kapitanie?

– Ponieśliśmy koszarne straty – przyznał Izydor, stawiając kolejny krok na nierównym, kamienistym terenie, prowadzącym do szczytu wzgórza. – Chciałbym, abyśmy nie musieli tego robić już nigdy więcej.

– Bylebyśmy więcej robili, niż nam robiono, proste rzeczy.

Podporucznik zerknął na rewolwer, otworzył bębenek i zaklął szpetnie pod nosem, rzucając nieufne spojrzenie na dowódcę.

Izydor wykrzywił się w dziwnym grymasie i wlepił wzrok w podkomendnego, który nagle wydał mu się jakiś mniej istotny, drugoplanowy, wręcz zbędny.

– Jakiś problem, Janie? – spytał spokojnie Murykiewicz, lekko wykrzywając usta w uśmiechu politowania.

– Wszystko w porządku.

– Mnie też skończyła się amunicja, ale ja to w ogóle straciłem broń, jeszcze jak rejterowaliśmy spod ostrzału tej wiwerny – wtrącił się Paprotko.

Obecni zastygli na moment, obserwując wzajemnie swoje reakcje. Zaszleściły liście na wietrze, zapachniało torfem.

– Wiwerny? – zainteresował się nagle Wołk, chcąc zmienić temat.
– Mówisz o tym latającym bydlaku?

– Knothe nawet przypominał trochę świętego Jerzego z ikon.

– Chyba nie widziałeś go, jak brał się za bary w kantynie po przepalance. – Podporucznik wyszczerzył się, po czym zmarkotniał, spojrzał na dwóch ocalałych z walk żołnierzy i bez słowa ruszył w górę.

Kapral poszedł zaraz za podporucznikiem, który zamienił broń osobistą na saperkę. Zdobywali z trudem kolejne korzenie drzew, tworzące przed nimi coś na kształt naturalnych, zwichrowanych schodów.

Izydor zlustrował smętnie leżące zwłoki, obejrzał się na odchodzących podkomendnych, przyklęknął i zamknął powieki obu zabitym. Nie zauważył nawet, jak na palcach pozostaje mu czerwony, kleisty osad.

Spokojniejszy w duchu przetarł swędzące oko, spojrzął do bębena rewolweru i pobiegł za resztką swojego szwadronu.

* * *

Rewolwer huknął ogłuszająco, podbity siłą odrzutu przesunął się na bok i strzelił po raz kolejny, tym razem rozbijając tył głowy drugiego podoficera. Przedziurawiona rogatywka pofrunęła wysoko pod ciężkie, ołowiane chmury, by zaraz zniknąć wśród chmary pierzastych padlinożerców, kotłujących się nad polem bitwy.

Masywne ptasie cielska przelewały się z jednej strony polany na drugą, szykując bezdenne żołądki do uczyty. Pierwsze kruki zaczynały zlatywać do ziemi, gdy trzask pioruna przerwał przygotowania i zesłał strugi deszczu, przepłaszając ptactwo.

Nierówny, czarny plac spalonej ziemi ciągnął się po horyzont, tworząc ponury krajobraz. Gdzieniegdzie pomiędzy zbierającą się w dołach brudną wodą pojękiwał ktoś żałośnie, by zaraz zamilknąć, pogrzebany pod błotem.

W powietrzu błyskały refleksy światła z wyładowań iskier i ognia, trzeszczącego wśród płonących maszyn. Figury człekopodobnych, kroczących pojazdów zastygły w bezruchu, przyjmując różnorodne pozy. Z kabin jednej z machin ktoś się jeszcze próbował wygrzebać, walcząc z własnymi nogami, wtopionymi w zdezelowany kokpit.

– Kapitanie. – Pilot moknącego niedaleko pojazdu kroczącego podszedł bliżej siedzącej na pagórku figury. Z każdym krokiem ciągnął za sobą odmawiającą posłuszeństwa, wygiętą nienaturalnie nogę. – Jak długo to potrwa?

– Zawsze – odpowiedział Izydor Murykiewicz, po czym odłożył na bok, ściskaną w dłoniach, przestrzeloną rogatywkę. – Psychomachia.

Czapkę złapał nagle porywisty wiatr i zabrał w dal, dołączając ją do rojowiska śmieci, strzępów ubrań i popiołu.

Dowódca podskoczył sprężysto na równe nogi, zaciągnął wilgotnym powietrzem i obrócił na pięcie, uśmiechając się nienaturalnie do zdeorientowanego podkomendnego.

– Walka o duszę końca mieć nie może. – Błysnął nabrzmiałym, czerwonym okiem kapitan, po czym spojrzał na żonę, obserwującą to wszystko z boku.

– Izus? – szepnęła cicho Alicja, tak by nie spłoszyć chybliwego obrazu.

Powietrze falowało nieustannie, grożąc nagłym zniknięciem. Wszystko przypominało wielki rzutnik, wyświetlający film na kawałku szarego płótna. Mimo to pobojuwisko zdawało się tak przerażająco realne, że siłą woli Alicja wstrzymywała się od prób sięgnięcia do swojego męża.

– Przerażona? – spytał głos spoza filmu.

Murykiewiczowa odwróciła się, zdziwiona tym, że to w ogóle możliwe. Wszędzie dookoła nadal płonęło pogorzelisko, dając światło jakim przeważnie świeci dogasające próchno po ognisku.

Przed nią stał człowiek o bardzo szerokiej klatce piersiowej, skrytej pod smoliście czarną, watowaną marynarką. Miał bujną fryzurę, schodzącą aż do gładko wygolonych boków, zakończonych kozią bródką i wąsem.

Lustrował ją dokładnie zza okrągłych oprawek okularów, które potęgowały jakieś dziwne wrażenie familiarności.

– Kim jesteś? – Starła się zachować rozsądek, mimo nierealności całej sytuacji. – Czego ode mnie chcesz?

– Spokojnie, mnie się nie bój... Jego się bój. – Wyszczrzył się garniturem nienaturalnie białych zębów nieznajomy i wskazał na ruchomy portret Izydora, obserwującego z zadowoleniem miejsce potyczki.

– To przecież Izuś, oszalał pan? – spieszyła się Alicja, z niedowierzaniem spoglądając na powtarzające się urywki egzekucji. – Bajdurzenie, banialuki i...

– I pierwsze oznaki końca. – Nieznajomy przejechał palcami przez gęstą czuprynę, po czym wskazał na pseudofilm. – Możesz zrobić o wiele więcej dla świata, wystarczy podjąć odważną decyzję. Bądź odważna, nie pozwól się im wciągnąć.

* * *

Alicja obudziła się po raz kolejny z gorzkim posmakiem w ustach, niezdolna do zaczerpnięcia głębszego oddechu. Spetryfikowana od koniuszków palców, aż po czubek głowy. Nienawidziła tego.

Napięła mięśnie raz, drugi, próbowała otworzyć powieki, ale ciemność nie ustępowała. Była tylko czerwień własnych naczyń krwionośnych i odległy dźwięk dzwonków tramwajowych. Jednak dalej nie mogła wstać. Nie wiedziała, która jest godzina, jak długo będzie tak leżeć i czy ktokolwiek jej pomoże.

Wreszcie przełamała się, szarpnęła i runęła z łóżka. Kilka razy drgnęła ręką, próbując zerwać z siebie kołdrę. Dyszała, jakby wypłynęła z

głębokiego jeziora i wreszcie mogła zaczerpnąć upragnionego powietrza. Każdego dnia woda wydawała się wciągać ją głębiej, może pewnego razu...

– Pani coś się stało w głowę? – spytała niepewną polszczyzną służąca, bojąc się przestąpić próg.

– W porządku – odparła bez przekonania i machnęła dłonią.
– Idź, zrób śniadanie.

Ukrainka spojrzała wpierw bez zrozumienia. Znała część dziwności swojej pracodawczyni, ale i tak nigdy nie była pewna, czy nie doszła jakaś nowa. Wreszcie wyraziła grzecznie obawę:

– Tak wcześniej?

Alicja obróciła opornie głowę i dostrzegła za oknem pąsową lunę. Ledwie zbliżał się świt, musiała być czwarta rano, nie później.

– Boże – jęknęła Alicja, zawijając się na podłodze w pościel.

– Pani Alicjo?

– Spać idź.

– Słucham?

Alicja odwinęła się na moment z pościeli, przywołała na twarz złowrogi grymas i warknęła:

– Spać idź, do jasnej anielki!

– Nie trzeba krzyczeć, idę. Co mam nie iść, idę, ale to nie ja się obudziłam – odpowiedziała speszona służąca i zamknęła za sobą drzwi, nieco głośniejsze niż by to wypadało.

Alicja wgapiła się w sufit, ale ostatecznie nawet to ją znudziło, więc tylko wdrapała się na dwuosobowe łóżko i zastygła w bezruchu. Nie chciała się już ruszać, ale nie chciała też trwać w miejscu, sama nie wiedziała, czego chciała.

Tylko że w głębi serca wiedziała, ale udawała przed sobą, że to nie prawda. Wmawiała sobie, że lepiej udawać ofiarę niemożliwości spełnienia

własnego szczęścia. Nie chciała zdać sobie sprawy, że sposób jest, tylko bardzo daleko. Konkretnie sposób na szczęście znajdował się jakieś dwieście kilometrów za daleko od niej, balansując na granicy życia, śmierci i czegoś dużego gorszego.

Przez moment twarz nieznajomego ze złowrogiego snu stanęła jej przed oczami i wyszeptała coś bezgłośnie.

Alicję przerażała myśl utraty ukochanego, w którym odnajdywała sens swojego życia. Nie tak jak to robiły jej dawne znajome, które wgapiały się maślanymi oczami za byle kimś z papierkiem szlachetnego rodu albo własnym dorobkiem. Zresztą, rody już dawno były tylko na papierze.

Była tak niesamowicie szczęśliwa, że jej mąż był bardziej towarzyszem życia niż małżonkiem. A teraz musiała przez to życie iść sama.

Wojna powoli zmuszała zmurszałe, uparte władze do ustępstw na rzecz powiększenia skromnego wachlarza praw kobiet, ale to przecież nie o to chodziło. Nadal istniały normy społeczne, których nikomu na myśl nie przychodziło ruszać.

A tu taka niespodzianka: nie żona, a przyjaciółka. Czuła się równa, szanowana i rozumiana, nie marzyła nigdy o niczym więcej. Dlatego tak nienawidziła wojny i całego tego szaleństwa. Nienawidziła ciągłego balansowania szal, dominujących i dominowanych, tych, którzy mają i tych, którzy nie mają.

Zawsze chciała równości, braterstwa, wolności.

– Breza – odezwała się sama do siebie, by sprawdzić, czy nazwisko na pewno brzmi znajomo, czy dobrze je zapamiętała. – Aleksander Breza, Wojskowy Instytut Psychologii, czy zwykły? Nie ma znaczenia, co mają na tabliczce, adres jest jeden.

Zerwała się z łóżka, podniesiona na duchu nową siłą. Nadal mogła coś robić, działać – nie znosiła marazmu. Musiała dowiedzieć się, ile się tylko da o pracy doktora Brezy, a następnie użyć tego, by...

Nie chciała o tym myśleć, po raz kolejny odsuwała od siebie tę myśl, ale w końcu zdobyła się na odwagę i wyartykułowała na głos:

– Co zrobić, by nie stracić Izydora.

Na moment wszystko się zmieniło. Przez jedną, krótką chwilę odzyskała spokój, ale trwało to tylko i wyłącznie tyle.

Zagryzła wargi, zacisnęła powieki i przełknęła ciężko ślinę. Utrata Izydora w wyniku znienawidzonej wojny byłaby najtragiczniejszym, bolesnym chichotem losu.

– Maria! Maria! – krzyknęła przejmująco, z impetem wywlekając kolejne ubrania z komody. – Zmieniam zdanie, szykuj śniadanie. Będę miała zajęty dzień!

– No to ja już sama nie wiem, czy tak, czy tak! – odkrzyknęła służąca z innego pokoju, ale i tak zabrała się do pracy.

Resztę czasu do brzasku spędziła z toaletką i lustrem. Ćwiczyła na zmianę groźne miny, popisy erystyczne i sprawdzała wachlarz własnych zdolności aktorskich. W końcu próba dogadania się z kimkolwiek w tym kraju zawsze opierała się o składanie pustych obietnic, albo pozostawianie po sobie pustych butelek.

Słońce ledwie żegnało czule horyzont, odpływając coraz wyżej. Alicja, pośpiesznie zjadła omlet z wytrawnym farszem i zbiegła po wypolerowanych schodach do przedsiionka, a później na zewnątrz, by stamtąd pognać pieszo do Instytutu. Po chwili dopiero zreflektowała się i jednak zdecydowała na taksówkę. W końcu trzeba zrobić dobre wrażenie na doktorze, pomyślała z przekąsem, a potem poważniej, dla dobra Izydora.

W czasie Wielkiej Wojny Rosjanie zarekwirowali całą flotę jedynej warszawskiej firmy przewoźniczej. Pod nowym, niepodległym zarządem ponownie zakwitła ta cudowna dla mieszkańców inicjatywa. Kilkanaście samochodów osobowych przemierzało głównie krakowskie przedmieście i ścisłe centrum miasta.

Alicja zajęła środkowe z trzech miejsc na skórzanej kanapie pod czarnym daszkiem i poleciła się zawieźć do niedawno powstałego Instytutu. Ku jej zdziwieniu szofer nie wiedział czym jest ów Instytut, ani kim jest ta cała „sycholokia”, ale bez zbędnego narzekania pozwolił się nawigować młodej kobiecie, co nawet jej przyszło z pewnym upodobaniem.

Spodziewała się, że ulice będą absolutnie puste o tak niehumanitarnej porze i to jeszcze w dzień wolny. Zamiast tego zmuszona była czekać, zatrzymana przez maszerującą kolumnę adeptów z wyższej szkoły wojennej.

Wylewali się niekończącym strumieniem przez ulicę Koszykową w kierunku Wisły. Głównie młodzi mężczyźni w prostych, drelichowych strojach, niektórzy ze zwisającymi u boku maskami przeciwgazowymi, inni z samymi goglami. Wszyscy wymusztrowani i przemęczeni – kroczyli jeden z drugim w potoku ludzkich żywotów.

– Jakaś gala? – spytała od niechcenia kierowcy.

– Jak gala, jak wszyscy w takich zwykłych mundurach? Co panienka, chłopcy w kamasze dynglają pewnikiem – zdziwił się kierowca, podnosząc w górę kikut prawej dłoni z prymitywną protezą.

Alicja podniosła się na moment z siedzenia, oparła o fotel z przodu i dostrzegła, że rzeka żołnierzy wydaje się nie mieć końca. Nie było żadnych trąbek, tarabanów, surm, niczego – tylko posępne i skonfundowane miny, kroczące bez ustanku wzdłuż pasa stosunkowo świeżego asfaltu.

Pomiędzy ludźmi szły także większe kształty, rzucające długie, złowrogie cienie. Machiny kroczące różniły się między sobą kształtem i rozmiarem na wszelkie sposoby. Niektóre miały długie, czterolufowe działa wykręcone ku górze niczym ręce świętego Franciszka, wznoszącego modły. Inne były bardziej przysadziste, toporne i przykryte szarym płótnem, pod którym odciskały się płataniny dysz i kabli. Wśród tego chaosu kończyły być dwa wyjątkowo dziwaczne stwory w postaci czworonożnych, pajęczkowatych tworów z masywnymi bateriami przeciwlotniczymi na plecach.

– Manewry? – spytała bez przekonania.

– Sporo ich.

– Może jacyś nowi rekruci?

– Nie wyglądają na nowych. A jak raźnie idą. – Mężczyzna odwrócił się do pasażerki, uniósł lekko czapkę i z uśmiechem dopowiedział:
– Od razu się człowiek czuje bezpieczniej, prawda?

Alicja jednak wcale nie czuła się bezpieczna, widząc gargantuiczne szeregi, przemierzające tereny stołecznego miasta. Coś przemknęło jej przez plecy jak liść wrzucony za kołnierz albo spadający z włosów owad.

Nagle zdała sobie sprawę, że większość kroczącego w stronę Wisły sprzętu stanowiła obrona stacjonarna. Zwłaszcza te powolne maszyny z kilkoma nogami, kiedyś widziała, jak stawiają takie na basztach wewnętrznego muru.

Możliwości były dwie: planowali wysłać wsparcie na któryś odcinek wielkiego Muru albo stawiali w stan gotowości mur stołeczny. W obu przypadkach robili to bez szczególnego rozgłosu, który towarzyszył wszystkim posunięciom, mającym w zamierzeniu skończyć się niczym, by nie świętować porażki.

Stali tak jeszcze dobry kwadrans nim defilada obrońców zniknęła im z oczu i spokojny ruch na ulicy zyskał z powrotem swoją płynność.

Właściwie to przejechali szybko od ulicy Nalewki, wijącą się drogą pełną kawiarni, aż do Bielańskiej przy samym ratuszu, a stamtąd już po bruku Wierzbową i szybko minęli plac Saski, gdyż automobile tam nie miały wstępu między porankiem a wieczorem. Wyszło, że spod ogrodu Krasińskich do Mazowieckiej było bliżej na piechotę niż taryfą, ale liczyło się też bezpieczeństwo.

Podziękowała zdawkowo za przejazd i rozliczyła się skrupulatnie z ceny, ale po chwili jeszcze dołożyła kilka złotych marek szczodrego napiwku, widząc, że kierowca i tak był już doświadczony przez życie stratą dłoni.

Złote marki funkcjonowały od niedawna, ich kurs był niestabilny i nadal każdego dnia ludzie musieli się zastanawiać, czy jedna to dużo, czy mało?

Nagle Alicja znalazła się sama, wczesną porą przed Instytutem, chłonąc rzadką w mieście świeżość, jaką dawał niedaleki ogród Saski.

Ośrodek badań był nowiutkim, w jej mniemaniu uroczym budynkiem. Składał się z kilku pięter pełnych szkła i jasnoszarej cegły. Gdziekolwiek tylko prześwitywały wcięcia przy naczółkach, będące echem dawno wypartych z mody nurtów architektonicznych. W zasadzie to Alicja nie widziała w budynku szczególnych znaków, a jej wzrok z ukontentowaniem przejechał po niemalże jednakowo płaskiej fasadzie.

Dla Alicji secesyjne zdobienia w każdej dziedzinie życia były kolejnym sposobem marnowania pieniędzy przez francuską arystokrację. Liczyła się efektywność. Kto powiedział, że coś musi być najpierw estetyczne, a potem przydatne?

– Więc tak wygląda postęp – szepnęła, spoglądając w błyszczące litery nad wejściem.

Z triumfalnym uśmiechem wspięła się na proste, białe stopnie i rozwarła drewniane skrzydło drzwi. W głębi biegł długi, wąski korytarz z niewielkim okienkiem recepcji przy boku. Wszystko to wydawało się wewnątrz przypominać bunkier aniżeli przybytek nauki, ale chyba psychologowie wiedzieli lepiej, w czym człowiek pracuje wydajnie, prawda? Przynajmniej tak myślała.

Recepcjonista, o dziwo mężczyzna w sile wieku, delikatnie odradził uskutecznianie dzisiejszego spotkania z doktorem Brezą. Pod wpływem dalszych prośb, zgodził się wreszcie wskazać kierunek do gabinetu. Odprowadził kobietę zafrasowanym spojrzeniem i wrócił do powodzi notatek, walających się bez ładu i składu na parapecie.

Alicja wciągała woń świeżej pasty do linoleum i zagłębiała się w korytarze rozległego frontu Instytutu. Co moment ktoś przebiegał obok niej, niosąc opasłe, otwarte pudła pełne katalogów. Wszędzie trwał kompletny rozgardiasz, wśród którego uwijało się co najmniej kilkanaście osób z sennymi wyrazami twarzy i zapadniętymi powiekami, obiegającymi przekrwione, ledwie rozpoznającymi otoczenie oczy.

Zastanawiała się, czy każdego dnia tak wygląda praca w Instytucie Psychologii, czy może to вина wczesnego poranka? W każdym razie nastrój wzmożonej pracy zdawał się pozytywnie działać na jej odczucia. Zaczynała zwyczajnie lubić to miejsce.

Dotarła pod wskazane drzwi na parterze, oznaczone tabliczką gabinetu dyrektora. Dosłownie co kilkadziesiąt sekund ktoś wychodził spokojnie, zamykał za sobą drzwi, po czym biegł na złamanie karku. I na odwrót – ktoś wbiegał jak oszalały, ale po otwarciu drzwi, zrelaksowany witał się pokornie z kimś w środku.

Nie musiała się długo domyślać, by wpaść na to, że zasada była jak w każdej publicznej placówce. Trzeba udawać, że ma się cały czas tego świata, by móc sprawiać wrażenie zdolnego do podjęcia każdego wyzwania i mającego kontrolę nad swoimi obowiązkami. Cóż – to akurat była w stanie odegrać.

Zastukała delikatnie dwa razy w drzwi i weszła do środka, przybierając minę nieskażoną rozumem – to działało za każdym razem.

Wewnątrz stał szereg drewnianych krzesełek, ustawionych przy wejściu do drugiej części gabinetu. Petenci czekali cierpliwie, wpuszczani pojedynczo zdawkowymi gestami łaskawej sekretarki.

Ktoś obrócił się niespodziewanie, inny stuknął kolegę w ramię, by ten się obejrzał za siebie. Dyrektor zwykł nie mieć gości, więc widok kogoś z zewnątrz był nietypowy. Tym bardziej że mieli okazję oglądać skromnie, acz elegancko ubraną kobietę o niepośledniej urodzie.

– Byłam umówiona – odezwała się cicho. Szybkim krokiem podeszła do biurka, omijając kolejkę petentów.

– Nie ma na dziś żadnych spotkań...

Kobieta o popękanych naczynekach krwionośnych na całej twarzy przejrzała pobieżnie przypadkową kartkę papieru z biurka. Chrapnęła coś gardłowo i skierowała zmęczone spojrzenie z powrotem na nieproszonego gościa. W jej oczach figurowała bezbrzeżna pogarda dla wszystkiego, co nie było jej bezpośrednim przełożonym.

– Bo byłam umówiona osobiście z panem Aleksandrem – zaryzykowała Alicja po czym odgarnęła kosmyk włosów za ucho.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że gest mógł być odebrany nazbyt dwuznacznie, ale było za późno, by móc się wycofać.

Zadowolona z siebie obejrzała się na zalęknionych perspektywą dalszego oczekiwania podwładnych dyrektora. Widziała te same

podkrążone oczy, przekrwione białka i błędzące spojrzenia. Widocznie rygor w placówce był surowy, bo nawet młodszy pracownicy mieli przyprószone srebrem skronie, dowód ciągłego życia w stresie.

Ruszyła do środka, nie czekając na żadną odpowiedź. Przecież mnie nie wyrzucą uzbrojeni żandarmi, których dosłownie mijałam na korytarzu, pomyślała na poły żartobliwie, prawda?

Drzwi poleciały z trzaskiem, zderzając się o śnieżnobiałą futrynę. Okno po drugiej stronie pomieszczenia zadrżało, ale szarpnęło się z powrotem nieznaną siłą, cudem tylko nie miażdżąc kolekcji polakierowanych figurek.

– Składników jest pięć, a teorii dopiero trzyna... – przerwał Breza, skierował wzrok ku wejściu i przywołał na twarz zadowolony, acz dziwny grymas. – I właśnie w tym widać najbardziej tę subtelność między zdrowym rozsądkiem a prekognicją. Wiedziałem, że tylko samobójca albo ktoś zaproszony może wejść ot tak sobie.

– Dobrze, że pan zaczął haczyk framugi. – odpowiedział usłużnie młody mężczyzna o pokrytym czernidłem wąsiku.

– Dobrze, że zaczęłam – przyznał bez przekonania dyrektor Breza i spojrzał na siedzącego petenta. – Panie Putynkowski, proszę wrócić następnym razem, dobrze?

– A co z analizą czynnikową? Przecież nie ma szans byśmy zrobili to na dzisiaj. – Młodzieniec spieszył się, przyciskając tekturową teczkę do blatu. – Nie zdążymy...

– To wyślijcie gońca do wydziału matematyki, w końcu się na coś przydadzą, prawda? – Breza uśmiechnął się pobłażliwie, po ojcowsku i odsunął od siebie teczkę. – Tylko wyjaśnijcie im najpierw, jak to działa, bo pewnie będą się mądrzyć o natkę selera.

– Tak jest. – Podwładny wyszczerzył się szeroką diastemą i ulotnił z gabinetu sprężystym krokiem.

Alicja rozejrzała się po rozległym, jasnym gabinecie, który mimo wszystko był ułożony bardzo skromnie, wręcz po spartańsku. Biurko, szafka na dokumenty, metalowa półka na kółkach... Naprawdę nic więcej.

– Gabinet nie jest moim ulubionym miejscem – powiedział Aleksander, odgadując myśli Alicji. Podeszedł do okna i oparł się o parapet.

Przez moment kobieta nie bardzo wiedziała, co jest nie tak z gospodarzem, ale wreszcie zdała sobie sprawę z tego, co wydawało jej się tylko grą świateł. Jakaś woń płątała jej się w nosie od samego wejścia. Wreszcie zrozumiała.

Doktor miał ponad połowę twarzy ściśle zabandażowaną, a w powietrzu unosił się zapach naparu z czarnego bzu. Alicja uwielbiała czarny bez.

– Jeszcze nie widziałam, by ktoś się opatrywał na przeziębienie. – Uśmiechnęła się nieśmiało, odkładając kapelusz na wieszak i wybrała miejsce, by przysiąść.

Breza zlustrował nowoprzybyłą zdziwionym spojrzeniem, nie spodziewając się takiej poufałości czy po prostu bezczelności. Jednak ostatecznie uważał się za kulturalną osobę, więc zdecydował postawić na to pierwsze dla wspólnego dobra.

– Czarny bez na przeziębienie, rozumiem ten żart – mówił spokojnym, wręcz znudzonym tonem.

Alicja zamrugła zaskoczona, przyjrzała się nienachalnie i stwierdziła, że doktor mocno posiwiiał od ostatniego spotkania. Praktycznie zbieła przez jeden dzień, albo to poblask od bandażu tak dziwnie grał na brodzie.

Breza przez moment mierzył gościa wzrokiem i uśmiechnął się smutno. Trwali tak spoglądając na siebie, oceniając to, czego chcą i czego może chcieć druga strona.

Ostatecznie doktor westchnął i, świadomie lub nie, zadał tak banalne pytanie, że Alicja zastygła w szoku:

– Po co pani tu przyszła?

Długie, zadbane paznokcie zaszurały o oparcie krzesła. Przez moment chciała wyjść obrażona, ale to był tylko chwilowy przebłysk emocji, nie była w gorącej wodzie kąpana. Wygładziła materiał na kolanach, wyprostowała się i grzecznie, prawie z politowaniem odpowiedziała gospodarzowi:

– Bo mnie pan tu zaprosił, przepraszam, jeśli nadal jest pan w szoku, jak mniemam po wypadku z resztą. – Skierowała wzrok na wystające spod bandażu włosy i skrzywiła się delikatnie z kiepsko ukrytym, udawanym obrzydzeniem.

Doktor błysnął jedynym okiem, zbliżył się i obdarzył rozmówczynię pełnym, szczerym uśmiechem.

– To, jak pani spojrzała na moje włosy i udała, że nie potrafi ukryć... Taaak, bardzo ładna szpila. – Aleksander zagryzł zapalczywie wargę i wskazał jednym palcem w górę. – Jednakże nie ma po co być uszczypliwym, bo zadałem to pytanie z pewnej troski. Smutnej troski, to prawda, ale chyba innej troski nie ma?

– Nie jestem psychologiem.

– Znowu uszczypliwość, ale rozumiem – poprawny mechanizm obronny. Tak, przyszła do mnie pani z czymś konkretnym, ale nieprzyjemnym do powiedzenia wprost. Nawet nie tyle pani nie chce powiedzieć, ile obawia się, więc markuje pani możliwość wyjawienia nieuprzejmościami, by później obarczyć mnie winą za nie...

– Jest pan także wróżką? – Ściągnęła usta w wąską kreskę i spróbowała przyszpilić doktora wzrokiem do ściany. Nie udało się o dziwo.

– Poszedłem kilka kroków za daleko, heurystyka, ale taka prawda. No, chyba że nie mam racji, to proszę mi powiedzieć od razu, a ja przysięgam, że odmówię przyjęcia z pani strony jakiegokolwiek...

– Czym jest Karmazyna? – przerwała nagle.

– Wszystkim – odpowiedział równie nagle.

Alicja wstała, postąpiła kilka kroków do przodu i oparła się nieelegancko o blat stołu, nachylając twarzą do gospodarza. Przez moment w oczach grały jej niezdrowe ogniki fascynacji, które znalazły odbicie w oku doktora.

– Więc chcę wiedzieć wszystko.

Napięcie trwało jeszcze moment, aż doktor skapitulował jako pierwszy. Delikatnie zeskrobał czerwony nalot palcem spod bandaża i wyznał zmęczonym tonem:

– Nie da się tak po prostu przyjść na herbatkę i powiedzieć coś takiego.

– W takim razie dobrze, że nie podał pan herbaty.

Breza uśmiechnął się delikatnie, uciekł wzrokiem gdzieś w dal, wrócił, wymienił się spojrzeniami z kobietą i odciągnął lekko bandaż z twarzy. Skóra zaskwierczała ponuro, odrywając się wraz z włóknami.

– To od herbaty. – Doktor wskazał, odsłaniając wyparzony, różowy kawał jednolitej masy, pokrywającej okolice ukrytego oczodołu.

– Przerzuci się pan doktor na kawę?

– Albo alkohol, wyparuje.

Alicja zakryła usta dłonią i wstrzymała chichot.

– Nie chce się pani śmiać?

Przez moment Breza rzeczywiście samemu uśmiechał się szczerze, ale po chwili mina osiadła mu miękko, jak podeszwa buta w błocie. Zaraz dopowiedział:

– No tak, żałoba państwowa. – Zafrasowany podrapał się po potylicy, rozejrzał i powiedział nieco ciszej: – Mamy tu sporą autonomię, nikt nie widzi... Jeśli tylko pani chce, to ma pani pełne prawo śmiać się z moich żartów, nawet tych nieśmiesznych.

– Skorzystam. – Alicja wypuściła szybciej powietrze nosem i obejrzała się na kolekcje lakierowanych żołnierzyków, stojących równymi rzędami na rozległym parapecie.

Figurek były dziesiątki, na dodatek wszystkie świeżo lub całkiem niedawno pomalowane. Żołnierze Rzeczypospolitej z oddziałów łącznościowych, wojsk artyleryjskich, pułki ułanów, prości szeregowi i równie pozbawieni detali oficerowie. Gdzieś obok schło kilku modeli w pikielhaubach i paru następnych żołdaków w niebieskich płaszczach. Wreszcie Alicja dostrzegła wyższe, kanciaste, szare modele maszyn kroczących. Nie rozróżniała poszczególnych od siebie, wiedziała tylko, że jeden z nich wygląda znajomo. Tak, przypominał ten, w którym ostatni raz widziała Izydora.

– Posmutniała pani – głos Brezy wydawał się pełen szczerzej troski, ale Alicja nie pozwalała sobie na chwilę słabości, jeszcze nie. Nie doczekując się odpowiedzi, zmienił temat. – Nie podoba się pani moje hobby? Zmagania to chyba najpopularniejsza gra planszowa, właściwie to, moim skromnym zdaniem, jedyna wartościowa rozrywka. Traktuję to jako naturalne przedłużenie szachów, więcej zasad, więcej figur, więcej ruchów.

– Są... urocze jak w sklepie z zabawkami.

Breza ściągnął jasną brew do góry, zmarszczył kącik oka, odchrząknął znacząco i dla spotęgowania efektu zabębnił palcami w blat, oczekując wyjaśnień.

– Nie chciałam pana urazić, po prostu dla mnie to taka dziwna pasja – odparła wreszcie Alicja.

– Dorosły człowiek bawiący się lalkami?

– Nie, wojna.

Doktor pokiwał poważnie głową i odwrócił się do okna. Łowił wzrokiem wśród świetlistej pneumy, by nagle sprawnym chwytem wyrwać upatrzoną, konkretną figurkę. Jednolity odlew żołnierza w całości pokrytego czerwonym, bardzo ciemnym lakierem.

– Ta jeszcze nie jest skończona – rzuciła od niechcenia Alicja.

– Jest – odparł beznamietnie Breza, podsuwając na biurku oblaną farbą postać.

– Nie ma żadnych cech szczególnych.

– Prawda?

– Nie jest pomalowana...

– Ale była.

Alicja przez moment przyglądała się bez zrozumienia, już chciała zadać następne pytanie, ale wtedy odważyła się chwycić figurkę. Uniosła szkarłatny model bliżej siebie, obejrzała go dokładnie i ustawiła pod światło.

Szybkim krokiem dopadła do okna, podniosła przypadkowego żołnierza, zastygłego w podobnej pozie i porównała do poprzedniej figurki. Były bliźniaczo podobne. Nie! Były całkowicie identyczne.

– Najpierw pan maluje na normalne kolory, a potem na... to coś? – spytała, tłumiąc gniew w głosie.

– To też jest normalne.

– Przecież to chore!

– Oddaję się sztuce realistycznej. Nie byłaby to wiernie oddana replika, gdybym od razu stworzył tego żołnierza jako egzemplarz Karmazynowy. Cóż więcej mogę dodać? Ten sposób jest zdecydowanie bliższy prawdzie.

Alicja rozejrzała się jeszcze krótko, przerzuciła wzrokiem po modelach i z delikatnym uśmiechem przyłożyła palce do czerwonego żołnierzyka, strącając go na ziemię. Figurka stuknęła o linoleum i potoczyła się kawałek dalej.

– Ups. – Chwyliła za następnego i kolejnego, a po nim jeszcze kilku, aż wszystkie czerwone figurki leżały na ziemi.

Ostatnia, jadąca konno sylwetka z chorągwią pułku ułanów, rozbiła się przy uderzeniu, posyłając skruszoną flagę w krótki ślizg po podłodze.

Przez moment Alicja obserwowała okruszyny, aż w końcu te zatrzymały się i w pokoju nastała głucha cisza. Kątem oka widziała górującą nad nią sylwetkę doktora, który z poparzoną twarzą wydawał się jeszcze bardziej srogі.

– Gratuluję, właśnie zabiła pani rotmistrza.

– Tylko sztandar.

– Aż sztandar. – Breza westchnął głęboko, odwrócił się na krześle prawym bokiem do gościa i zaczął wyciągać rulony bandażu z szuflady. – Czy wie pani, na czym polegają choroby psychosomatyczne?

– Umysł i ciało?

– Gratuluję znajomości dwóch słów z języków klasycznych, ale to nie jest jeszcze poprawna odpowiedź.

– Więc zamieniam się w słuch – szepnęła i zaczęła ostrożnie wybierać kolejne żołnierzyki z podłogi i stawiać na poprzednich pozycjach.

Coś zaszurało, mlasnęło i rudy strzęp bandaża wylądował pomiędzy nogami dyrektora. Przez moment mocował się z wyjątkowo opornym kawałkiem, który rozciągał się i za nic nie chciał puścić przyległego skrzepu krwi. Mimo to doktor mówił dalej, walcząc z własną twarzą, a raczej tym, co z niej zostało.

– Psychosomatyczna natura choroby rzeczywiście dotyczy umysłu oraz ciała. W tej kwestii mamy na myśli jednoczesne oddziaływanie na gospodarkę hormonalną, reakcje fizjologiczne, interpretację bodźców wejściowych i patologiczne reakcje wyjściowe, przynajmniej co do kwestii fizycznej. Co do tego, co ludzie nazywają umysłem, a ja biorę za złożony zestaw narzędzi, jakimi dysponuje człowiek... Cóż, tutaj nasza wiedza jest niezwykle ograniczona. Jeszcze nigdy w historii świata nie widzieliśmy takiego mostu łączącego emblematy, ilustratory, symbole i jeszcze realniejsze im odpowiedniki.

Alicja ściągnęła twarz w skupieniu. Złapała za ostatnią figurkę i zamiast od razu odłożyć ją na blat, skierowała się do doktora. Lakierowany oficer wylądował obok kałamarza, a sama Alicja powstrzymała doktora od dalszych wojaży z własną twarzą.

– Proszę sobie i mnie nie przeszkadzać – mruknęła poważnym tonem i zaczęła ostrożnie, kawałek po kawałku odrywać stare opatrunki z głowy doktora.

– Kontynuując... Ciężko mi to pani wyjaśnić bez specjalistycznego przygotowania. Nie ujmuję tym pani wiedzy, zwyczajnie muszę operować na pewnych mniej abstrakcyjnych konstrukcjach, by miała pani jasność poglądu. – Doktor odetchnął zmęczony, przełknął ślinę, ale ostatecznie nie wezwał sekretarki z herbatą, mimo suchości w ustach. – Człowiek rozumie świat dzięki sieci niezwykle zaawansowanych rozdzielnic, które potrafią rozróżnić, czy przynależny im element jest obecny, czy też nie. System

znaków jest przedłużeniem tego mechanizmu i chociażby dzięki temu wiemy, co oznacza zapisane słowo i reagujemy na nie odpowiednio.

– Język mózgu? – rzuciła Alicja, odsuwając delikatnie górną powiekę doktora i odsłaniając zakrwawioną gałkę oka. – Taki wewnętrzny język jak sprzed wieży Babel.

– Nie jestem wierzący.

Alicja zamrugała kilka razy zszokowana, rozejrzała się, ale ostatecznie ugięła się pod poważnym spojrzeniem Aleksandra i nabrała pewności, że rzeczywiście nikt ich w gabinecie nie podsłuchuje.

– Więc ten, jak to pani nazwała, język mózgu, pozwala nam na rozumienie symboli na poziomie fizjologicznym...

– Gdzie w tym wszystkim Karmazyna?

– Właśnie próbowałem powiedzieć – odpowiedział głośno Breza, nieprzywykły do tego, by ktoś mu przerywał. – Karmazyna jest pierwszym przypadkiem, gdy mamy do czynienia ze... świadomym lub prawie świadomym działaniem na tym języku. Karmazyna nie zaraża nas, jak zwykliśmy wmawiać żołnierzom i pospólstwu, bo tak jest łatwiej. Karmazyna do nas mówi, mówi do nas językiem, który wszyscy rozumiemy. Wie gdzie pociągnąć, gdzie popchnąć, gdzie przykręcić, wszystko wie. Karmazyna czyta z nas jak z otwartej książki, a następnie zmienia w kolejny nośnik tegoż kodu, języka umysłu.

– Nie rozumiem albo...

– Albo boi się pani, że rozumie i jest to przerażające, absolutnie straszne i...

– I to oznacza, że nie ma lekarstwa.

– Nie ma lekarstwa, bo to nie jest choroba. – Breza obrócił się do Alicji i zamrugał czerwonym okiem, dookoła którego rozrastały się połączenia odchodzące, wyparzonej skóry. – Można ją powstrzymywać,

argumentować z nią, racjonalizować, dokonywać szermierki słownej na poziomie fizjologicznym i...

Doktor aż uniósł się na krześle, jego ton wskoczył o kolejną oktawę wyżej i nagle gospodarz zastygł w bezruchu. Zmilił coś w ustach i usiadł, zapominając na moment o wszystkim, odlatując myślami gdzieś daleko, do ważniejszych spraw.

Wydał się Alicji taki ogromny, choć zamknięty jedynie w ludzkiej, ograniczonej sylwetce. Wyglądał jak lew w za ciasnej klatce.

– Więc co możemy robić?

– Nie dać się złapać, przekonać.

– Przecież to wskakiwanie z jednej niewoli poglądów w drugą. Zresztą, pomijając już to, Karmazyny przecież przybywa, więc jak mielibyśmy się jej pozbyć? Przecież musi być metoda, byśmy to my byli aktywni.

Alicja spojrzała doktorowi w twarz, ten odpowiedział zawstydzonym uśmiechem starego, zmęczonego człowieka.

– Musielibyśmy wypalić całą Azję co do pnia. Wszystkie symbole, przejawy istnienia Karmazyny, wspomnienia Karmazyny – wszystko. Musielibyśmy zapomnieć, że istnieje Karmazyna, chociaż i tak wątpię, by to pomogło.

– A gdybyśmy poznali ten język umysłu i zaczęli nim argumentować z Karmazyną? – wyraziła płonną, naiwną nadzieję Alicja i w oczach rozmówcy dostrzegła zainteresowanie.

– Zabawne, bo niedawno jeden z laborantów powiedział to samo. Cóż, może rzeczywiście nie potrzebuje pani takiego wykształcenia, by zrozumieć istotę rzeczy. Jednak cały sęk tkwi w tym, że to zadanie porównywalne do papugi, która nauczyła się powtarzać kilka zlepków

świstów powietrza i w ten sposób chce wdać się w dysputę akademicką z Markiem Aureliuszem.

– Ktoś powinien zrobić o tym przedstawienie. – Alicja uśmiechnęła się zachęcająco i chwyciła za świeży bandaż.

Doktor podniósł dłoń, pokiwał głową na boki i przejrzał się w odbiciu szyby za nim, a następnie w szkiełku naręcznego czasomierza.

– Wyglądam jak pogorzelec.

– W pana wieku na więcej może sobie człowiek pozwolić.

– Podobno, więc obejdzie się bez kolejnego mumifikowania. Potem założę sobie kompres, ale muszę wracać do pracy, a to strasznie przeszkadza.

Alicja obejrzała się za siebie, odwróciła z powrotem z twarzą wyrażającą dręczące ją wyrzuty sumienia. Wreszcie zacisnęła pięści, zadarła głowę i powiedziała:

– Mam do pana jeszcze jedną, o wiele ważniejszą sprawę.

Doktor uniósł brwi wysoko, zamrugał pokrytym czerwonym, bąbelkowym nalotem okiem i pokiwał głową przyzwalająco.

* * *

Słońce wzniosło się do zwieńczenia niebiańskiej kopuły i przystanęło, by przyjrzeć się ludkowi w dole, zatroskanemu własnymi doczesnościami. Gdzieś między żyznymi nieużytkami, wśród gęstych borów, wznosiło się niezwykle wzgórze, obdarzające okolicę swoją obecnością. I wśród tych pięknych połaci zieleni, blisko szczytu, przetaczały się trzy, koszmarnie zmęczone mrówki.

– Możemy spróbować już stąd nadać? – wyraził delikatne przypuszczanie Paprotko, mimo posiadania odpowiedzi w swojej głowie.

Pas wdzierał się paskudnie między ramię a obojczyk, karząc kaprała oparzeniami, nakręcającymi kolejne utarczki, które wywoływały następne skutki i tak dalej. Jego frustracja w pewnym momencie sięgnęła zenitu jak i słońce, próbujące zapanować nad wszystkim co pod i dookoła.

Zrzucił z siebie radiostację i stwierdził:

– Nie idę.

Metal gruchnął głucho o piach, prawie przyprawiając kaprała o zawał. Gdyby tak się stało, że uszkodził nadajnik... Cóż, natychmiastowo pożałował, że nie ma już broni, by się chociaż zastrzelić nim podporucznik się dowie. Ten jednak bez przekonania rzucił tylko:

– Nieś.

– Nie chcę.

Wołk obejrzał się, zmierzył kaprała drapieżnym spojrzeniem i z zadziwiającą werwą doskoczył w dwóch susach, chwytając za kołnierz.

– Powiedziałem ci coś Paprotko, to rozkaz.

– A ja powiedziałem, że mam dość – wysyczał kaprał, z trudem nie przerywając kontaktu wzrokowego.

– Ja poniosę – stwierdził ni stąd, ni zowąd kapitan. – Zostało i tak niewiele, to czemu nie...

– Nie, bo to jego praca – zawarczał podporucznik, kierując rozbiegany wzrok na obu swoich towarzyszy.

– Pan się zwyczajnie na mnie uwziął, a ja daję z siebie wszystko!

– To nie szkółka niedzielna do kurwy nędzy – zawył Wołk, zacisnął pięści i równie nagle rozluźnił, by przejść się kawałek w dwie strony. – Przechodzimy przez Bóg wie jakie piekło, a ty mówisz, że jesteś zmęczony i nagle cześć i czapka, nie idziesz. Nie ma żadnego nuda–ech–boli–ała–już, tylko bez stękania bierzesz radiostację i...

Wołk chwycił za prowizoryczny pas nośny, dźwignął z lekkim sapnięciem, zmierzył w dłoni wagę urządzenia i odstawił na ziemię.

– No, rzeczywiście ciężkie...

Paprotko parsknął śmiechem, klepiąc się wesoło po poszarpanych spodniach. Podporucznik nadal miał pochmurną twarz, nie dawał po sobie poznać niczego konkretnego, wiecznie poważny i gniewny.

– Z wami to jak z dziećmi – mruknął Izydor, zająrzał nagle w bok, wszyscy poderwali się jak na komendę, ale on tylko odwrócił się z powrotem i kontynuował spokojnie. – Najzwyczajniej ja to wezmę, poniosę i na górze zawiadomimy towarzyszy na wschodzie.

Cisza zapadła ciężko, wręcz fizycznie narzucając swoją obecność. Paprotko wgapił się tylko zdziwiony w sylwetkę oficera, lecz Wołk był zbyt impulsywny na takie rzeczy:

– Zachód! Nasi rodacy na zachodzie, a nie żadni kurwasz maciora towarzysze na wschodzie – ryknął, pobił na twarzy, a następnie zaczerwienił się z gniewu na zmianę. – Panie kapitanie, na zbyt wiele sobie pan kapitan pozwala, z całym szacunkiem...

– Oddalam zarzut. – Izydor podszedł kilka kroków, chwycił pas nośny nadajnika i ruszył dalej pod górę, przesadzając kolejne wysokie kamienie.

– Pana stan zdrowia wydaje się pozostawiać wiele do życzenia!
– dodał Paprotko.

– Jestem zmęczony i...

– Nie ma pan już biał... – zawiesił głos w pół słowa podporucznik. Zadrżał ze strachu, po raz pierwszy odkąd pamiętał. – Ma pan czerwono.

– Zabawne, przyznaję. – Kapitan nie zatrzymał się nawet na moment, podnosząc tylko palec do góry i grożąc nim żartobliwie.

– Całą twarz ma pan nabrzmiałą krwią!

– Ty teraz też. – Sylwetka Izydora już zaczęła znikać między konarami dwóch przeciwległych buków, więc podporucznik poderwał się do biegu.

– Przynajmniej nie ja muszę nieść – szepnął kapral i również zrezygnował ze swojego krótkiego postoju.

Izydor z uporem godnym lepszej sprawy przeskakiwał z kolejnego stromego, granitowego kawałka bryły na następny, niejednokrotnie prawie upadając na plecy. Cel kusił delikatną, białą niebieską poświatą i obietnicą odrobiny płaskiego szczytu. Więc po prostu pędził niczym kozica, jedną ręką przytrzymując rogatywkę, a drugą radiostację.

– Jesteśmy już prawie na miejscu i... – urwał od razu Wołk, widząc, jak kapitan przewraca się ze zbyt stromego korzenia drzewa.

Izydor zerknął w locie na wyciągnięte ku niemu ręce podporucznika, przekręcił się na drugą stronę i pojedynczym, mrozącym krew w żyłach zamachnięciem posłał radiostację w lot.

– Nie! – Podporucznik rzucił się natychmiast za lecącym urządzeniem, minął upadające ciało kapitana i zawinął za najbliższym drzewem.

Metalowa skrzynia naznaczona pojedynczymi przełącznikami, urwaną rączką i tylnym panelem, zderzyła się ze sterczącym perfidnie naprzeciw kamieniem. Coś trzasnęło, gruchnęło i odłamki w kolorze zgniłej oliwki posypały się na boki. W krzakach obok ptak zaszamotał się niespodziewanie i wzleciał wysoko między korony.

– Kurwa, no nie! Nie! – darł się, nawoływał i krzyczał Wołk. Pochylał się nad szczątkami radiostacji, tak jakby to był wymagający najczulszej opieki niemowlak. – Jak to kurwa się stało?!

– Wypadło mi – przyznał niepokojąco beznamiętnym głosem kapitan. – Sprawdź, czy działa, szybko.

Wołk obrócił się w kierunku panelu, przesunął największy trybik, następnie odhaczył kolejno dwa mniejsze. Zakręcił jeszcze jednym pokrętkiem, aż usłyszał narastający szum, a po chwili począł kręcić drugim regulatorem. Wreszcie nacisnął przekaz i przyłożył twarz do topornej słuchawki.

– Podporucznik Jan Wołk, pierwszy Szwadron, pierwszy Samodzielny Pancerny Batalion Miotaczy Przeciwtankowych...

Przez dłuższą chwilę Wołk wgapiał się spod ledwie widocznych, prawie białych brwi, w rzednący przed nim las. Po kilku próbach zwiesił głowę, westchnął ciężko i wtedy właśnie upragniony kontakt nastąpił.

– Plutonowy Kukowski, stacja radiotelegraficzna Chełm-03, odbieram cię Wołk, ale mamy zakłócenia na linii.

Podporucznik oblizał usta, przełknął ślinę, by nadać sobie nieco niższy ton głosu, zbliżył twarz do skrzynki i usłyszał wystrzał.

Ciało osunęło się najpierw na stację nadawczą, zakrwawiło kilka przycisków krwią i wybroczynami z obustronnej dziury w głowie, a następnie zważyło się na ziemię pod nienaturalnym kątem.

Paprotko podbiegł kawałek do miejsca wystrzału, by wyrzeć zza drzewa, co się stało. Gdy dotarł na miejsce, poczuł słabość w nogach. Opadł w piach, kurczowo chwytając się przestrzelonej piersi. Przed oczami falowały mu i migały kolorowe plamy, umysł tworzył przypadkowe wzory geometryczne, aż w końcu nałożył na wzrok szachownicę granatowych kropek i zasłonił wszystko czarną kotarą. Nie zarejestrował nawet tego, co się stało.

– Wołk, jak mnie słyszysz, odbiór. Tutaj plutonowy Kukowski...

Radiostacja wzniosła się na chwilę nad ziemię, zakręciła i poleciała w długi lot w dół wzgórza, trzaskając po drodze odłamkami, kawałkami utwardzonego tworzywa sztucznego i mieszającej się ze sobą elektroniki.

Wreszcie zniknęła gdzieś w oddali, wpadając między ciemne, ostre występy skalne.

Kapitan Izidor Murykiewicz zajął do bębna rewolweru, naliczył tylko jedną kulę, zamknął i wrócił do wspinaczki. Szczyt był już bardzo niedaleko, więc po chwili znalazł się pod białym, kilkumetrowym krzyżem, przy drewnianej balustradzie widokowej.

Monstrualnych rozmiarów Mur rozciągał się od jednego końca widoku do drugiego. W kilku miejscach płonęły pożary, gdzieś rozlewały się czarne plamy, zmieszane z czerwonymi. Ciężkie, ołowiane chmury ulitowały się nad zmęczoną ziemią i lunęły z nieba strugami wody, wzbijając kłęby dymu i pary z kałuż oleju napędowego, przelewającego się jeszcze gdzieś wśród umocnień. Śwąd gotowanej krwi docierał aż do szczytu wzgórza.

Izidor zawinął kawałek bandaża na karmazynowe oko, przetoczył go przez burzę szatynowych włosów, zakręcił kilka razy, zawiązał i nałożył na głowę rogatywkę z koronowanym orzełkiem.

* * *

Każdy wymiar był upleciony ze szklanych sznurów. Przeźroczysta ściana nie odcinała się w żaden sposób od podłogi, usłanej tysiącami sinych ryb – polskich żołnierzy o ciemnych białkach. Wiedziała tylko jedno: musi się wspinać.

Chwytała kolejne kawałki szkła, pozwalając ostrym występom wbijać się w jej ciało, przecinać skórę i utykać między paliczkami. Czuła, że oddala się niezwykle powoli, z każdym ruchem ledwie nabierając minimum dystansu, który i tak zniknął wraz z mrugnięciem powiek.

Któryś z żołnierzy podniósł bladą twarz, zroszoną potem gorączki. Wzniósł zaraz za nią pięść i uderzył z całej siły w lustrzane podłoże.

Świat zatrzęsł się w posadach.

Alicja poczuła, jak na moment traci chwyt. Drgnęła, panicznie wyszukując stabilniejszego oparcia, i przywarła na jednej ręce boki do ściany. Z góry widziała dokładnie, jak kolejne zewłoki podnoszą się na kolana czy, zwyczajnie dalej leżąc, uderzają raz po raz w ziemię, wybijając ponury rytm.

Po chwili lustrzany świat zaczął pękać. Początkowo delikatnie, ledwie widoczne rysy naznaczały rzeczywistość, by zaraz przekształcić się w regularne pęknięcia. Węzły szklanej plecionki kruszały, aż w końcu płaty lustra zaczęły spadać do ziemi jak odłaząca skóra.

Odwróciła się nagle, złapała ścianki wykręconymi do tyłu rękoma i zakrzyczała z całej siły. Nie krzykiem strachu, a wewnętrznym rykiem odwagi. Chór bladych nie ludzi odpowiedział składnie, przekształcając się w śpiewną, jednolitą melodię.

* * *

Jak na ironię nie obudziła się z krzykiem właśnie tym razem. Rozchyliła spokojnie powieki i odetchnęła pełną piersią.

Dostrzegła bladą ze strachu służącą, która ukradkiem krzątała się po salonie, skąd wychodziły otwarte na oścież drzwi.

– Dobrze, że się panienska obudziła – odezwała się smutno, ściszone głosem, z trudem akcentując zgłoski. – Bo wieści same z rana.

– Jakie znowu wieści? – Alicja oparła się na łokciu, rozejrzała po pokoju i nadstawiła uważnie uszu.

Coś buczało. Nie, coś terkotało, bardzo daleko. Przez moment przypomniał jej się pokaz lotników z eskadry poznańskiej, na którym byli wraz z Izydorem kilka miesięcy wcześniej. Od razu rozmarzyła się w ciepłym uśmiechu, ale po chwili zamrugła zdziwiona.

– Eskadry – wyrwało jej się i natychmiastowo wyskoczyła z łóżka, by szarpnąć za ciężkie zasłony.

Karnisz stuknął i osiadł z powrotem w hakach wykrzywiony. Alicja otworzyła okno na całą szerokość i poczuła podmuch gorącego, południowego powietrza.

Łomot wirników przybrał na sile, wskazując dokładnie, gdzie znajdowały się poszczególne statki powietrzne. Dwa lekkie, podłużne cygara, obite jasnoszarym materiałem z białą-czerwoną kratownicą po bokach. Oba sunęły ostrożnie kolejno po lewej i prawej stronie Bielika – najwyższego budynku w Warszawie, zbudowanego na wzór stalowych szkieletów z Chicago.

Jeden ze sterowców błysnął w promieniach słońca gondolą podobną do kijanki, zadrżał i wykręcił już gładko, mijając ostatnie piętra drapacza chmur. Drugi zwolnił nieznacznie, a następnie wykonał ten sam manewr, zdecydowanie ostrożniej.

Źródło odległego, basowego pomruku leżało jednak o wiele wyżej. Nad anteną radiową Bielika sunął niewyobrażalnej wielkości gigant z powłoką koloru écru. Mostek kapitański lśnił z daleka dziwacznie dużą ilością szkła, zapewne odpowiednio wzmocnionego. Dalej rozciągała się reszta maszynierii, zwieńczonej kilkoma opasłymi rotorami i...

– Czy to są...

Alicja zadarła wyżej głowę, przekręciła twarz jak ciekawska sroka i skupiła wzrok do granic możliwości. Pod gondolą, nieco z tyłu zwiisało

lekkie rusztowanie z rur, w którym osiadły trzy aeroplany z podwójnymi skrzydłami.

– Jak pszczoły z ula. – Alicja natychmiastowo zacięła usta w wąską kreskę złości, trzasnęła okiennicami i obróciła się z furią na służącą. – I po co mi to Maria pokazuje, a?

– Nie to, bo jeszcze... – Sprzątaczką ściągnęła usta w zmartwienie i zdjęła ze stolika nocnego gazetę, której Alicja nie przypominała sobie tam odkładać.

Murykiewiczowa chwyciła za „Goniec Warszawski”, wyczuła świeżą fakturę masy papieru i zogniskowała wzrok na tytule, który zdawał się ciągle uciekać. Może zwyczajnie miała nadzieję, że ucieka, bo tak bardzo nie chciała przyjąć do wiadomości tego, czego właśnie była świadkiem.

– Matko... – zaszeptała przerażona, wlepiając wzrok w pogrubione dodatkowo litery o zwiększonym formacie. – O nie, nie...

– Myślałam, że będzie chciała pani wiedzieć – wymruczała cicho ostatnie słowa Maria, schyliła głowę i zagłębiła się w spowity czerwcowym słońcem salon, a dalej zniknęła w półmrokach korytarzy.

Nagłówek krzychał na całą stronę: „Chwalebny opór wojsk chełmińskich!”

Niby nic takiego, zwykła notka podnosząca na duchu mieszkańców. Jednak Alicja doskonale знаła te zagrywki i potrafiła czytać między wierszami z biegłością niejednego detektywa. Chełm przecież leżał w głębi Rzeczypospolitej!

Mogła racjonalizować doniesienia, bo przecież Mur nie był ukończony na fragmencie od Sarn do Stanisławowa, a właśnie tam miał się znaleźć Izydor, a nie w samym Chełmie. Tylko gdyby atak przeszedł przez

wyrwy w Murze, to albo byłby on bardzo mały i wtedy nie opisano by go jako chwalebnej obrony, albo...

Albo użyto określenia „chwalebny” zgodnie ze zwyczajem, czyli opisując całkowitą rzeź. A to oznaczało, że przebiła się istotna siła. Tylko jeśli nie było wcześniejszych doniesień o marszach w gazetach, to znaczyło, że żaden z przyczółków takich nie zaobserwował. Ergo żadnego z tych przyczółków już nie było.

Załamala ręce, wypuściła gazetę z dłoni, pozwalając stronom rozpierzchnąć się na boki. Poczuła dreszcze, które zaraz przeszły w drgawki. Jediną siłą, która mocniej poruszała całym napiętym ciałem, był szloch. Przejmujący płacz, jakiego nie doświadczyła, odkąd dostała notę, że Wilhelm II Hohenzollern wyprawił się na wschód, przez umęczoną okupacją Rzeczpospolitą. Wtedy to zresztą jeden z oddziałów pacyfikujących spalił jej rodzinną wieś za Poznaniem.

Na zmianę chwytala się za twarz, meble, wystające ponad linię podłogi deski, po czym rzucala się między drapaniem paznokciami i uderzaniem we wszystkie powyższe.

Sterowce zdążyły przedryfować przez nieboskłon nim wreszcie doszła do siebie. Nadal cicho powtarzała sobie, że to się nie stało, że to nieprawda, że to zwykłe domysły.

Wstała, przeszła kilka kroków i osunęła się pod ścianą, znowu chwytając za długie, prawie białe w tym świetle włosy. Gdy już wstała i zdobyła się na pokonanie następnych metrów, część włosów nadal tkwiła między jej palcami.

Nie ustawiła gramofonu, talerz ze śniadaniem zostawiła na nakrytym białą serwetą stoliku z dwoma krzesłami o rzeźbionych zagłówkach. Przez kilka sekund patrzyła w szafę, by zaraz odciągnąć na bok cienką płachtę, dzielącą wnętrze potężnego mebla na dwie, całkowicie równe części.

Wciągnęła na nogi za duże, sztruksowe spodnie, wsadziła w nie białą koszulę, naciągnęła szelki na ramiona i wyszła, celowo zrzucając z wieszaka kapelusz.

Widok tak ubranej kobiety byłby jeszcze kilka lat temu absolutnie bulwersujący, zwłaszcza w biały dzień, gdy stolica aż wrze od wieści przyfrontowych. Jednakże ostatecznie nikt nie odważyłby się napastować o takie bzdury samotnej damy, idącej wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia... prawda?

Po pierwsze: taki strój sugerował niejako, że kobieta jest w sytuacji samodzielnego utrzymania, zapewne po okresie żałoby od utraty męża, wynoszącym zgodnie z obyczajem miesiąc. Więc władzy było to stosunkowo na rękę, że chociaż w ten sposób nie jest pogłębiany powszechny problem prostytucji. A nikt nie chciałby sobie brudzić rąk ustawami w tej kwestii, gdy dziewięć na dziesięć pań do towarzystwa ma kilę.

Po drugie: by doszło do zaczepki, musi istnieć zaczepiający. Młodych mężczyzn zaś nie sposób było uświadczyc na ulicach, a z roku na rok ich ubywało. Jeśli któryś był na tyle nieroztropny, by migać się od wezwania do Wojskowej Komisji Uzupełnień, to na pewno nie ryzykowałby odkryciem, zaczepiając przypadkowe emancypantki.

Tak więc jedynymi osobami, które obdarzyły Alicję pełnymi pogardy spojrzeniami, były inne kobiety, idące pod rękę z niedołączonymi kombatantami, księża i zakonnice.

Młodej i wykształconej, jak na prawne możliwości kobiet, Murykiewiczowej daleko było jednak do emancypantki czy innej Erżystki walczącej o prawo do umierania na froncie. Co prawda wiadome było, że walka o równe prawa zaczynała się zawsze od równego podziału przywilejów, a nie obowiązków, ale mimo to nie widziało jej się

podkładanie bomb o możliwość głosowania. Wolałaby nawet nie mieć praw, gdyby żyła w świecie, gdzie nie musiałyby ich używać, no i gdyby inni też ich nie mieli.

Pamiętała zresztą, jak Izydor walczył o swoje prawa. Służąc najpierw w podziemiu Sprawy Polskiej, a potem walcząc w Powstaniu Marszałkowskim, które wpierw nosiło nazwę Powstania Stołecznego. To nie było nic wspaniałego. Długie, przeplakane i bezsenne noce, gdy jej brzuch nie pozwalał spać w żadnej pozycji, a Izydor potrafił nie wracać przez kilka dni, potęgując tylko ataki lękowe.

Do pewnego stopnia nawet mu zazdrościła, w najlepszym wypadku zostałaby bohaterem wolnego państwa, w najgorszym umarłaby jako bohater. Jej zaś w tamtym czasie przypadła rola szydełkowania rękawiczek, od czego szybko psuł się wzrok, a ceny sprzedaży ledwie pokrywały materiały.

I kiedy wszystko miało się udać i w drugiej połowie siedemnastego roku wybuchła ta przeklęta i błogosławiona Epidemia, dając wszystkim pretekst do zakończenia wyniszczającej wojny, wszystko runęło.

Alicja pogłaskała się po płaskim brzuchu i zacisnęła dłoń w pięść. Do oczu wcisnęły jej się łzy, ale zaraz zniknęły i jakby okreśną drogą wróciły do ust w formie przekleństwa.

– Kurwa mać – warknęła wściekle i obejrzała się na bok.

Tuż obok przechodziła ubrana na czarno guwernantka z szeroką spódnicą i długim rękawem, zasłaniającym nieudolnie liszaje na pazurzastych dłoniach. Kobieta otworzyła usta w teatralnym zaskoczeniu, a zaraz post factum zakryła uszy wyprowadzanemu na spacer chłopcu.

– Litości – odsapnęła w zmęczeniu Alicja, wywaliła język w kierunku dziecka i minęła nieciekawą mamkę.

Warszawa w czerwcu zmienia się w sposób trudny do opisanie słowami nieuznawanymi powszechnie za obelżywe. Oto gwar nawoływań

przekupek, równie odległa od centrum i kindersztuby szpetna mowa tragarzy oraz stukot wszechobecnych kopyt giną w jakiś niemalże przykry sposób, przygniecione naporem nowej ludności.

Na lato zawsze kamienice błyszczą się, jakby nadchodziła spóźniona Wielkanoc, a to tylko ze względu na to, że muszą one współgrać z ogłoszeniami, szumnie zachwalającymi wolne, umeblowane apartamenty na wynajem. Apartamenty, czyli dowolne dziury, nieraz dosłownie piwnice z przepierzeniami. Tak to pojawiają się pierwsze symptomy choroby zwanej sezonem letnim.

Początkowa faza choroby przebiega nader nieestetycznie. Panie, już jakby mniej zgrabne, a bardziej dziarskie, przemierzają ulice pod rękę z ogorzałymi od pracy w polu panami, udając przez krótki czas, że są tutejsi. Mimo to co chwila dłońmi wskazują katedrę albo pokaz elektryczny i zdradzają swoje prawdziwe pochodzenie jak obce komórki w organizmie, który dopiero uruchamia spóźnione reakcje obronne.

Walki układu odpornościowego z bakteriami przyjezdnymi są szczególnie zjadłe na targu bydłym i wśród kupców tekstylnych. Tam oto obce bakterie przynoszą ze sobą smród krowich odchodów i strzępiącą się bawełnę, suchą jak studnie śródmiejskie. Atlas warszawski dźwiga na swoich plecach wymagania dziesiątek tysięcy imigrantów zarobkowych. Znosi go w sobie jak pasożyta, dostarczając kilkukrotność potrzebnej wody i prowiantu oraz sprząając dziesięciokrotność dziennego minimum odpadów.

Przy tym ostatnim warto zaznaczyć, że jest to szczególnie odczuwalne wśród dzielnic biedoty, za wschodnim brzegiem Wisły. Okazuje się, że to, co było łatwym pomysłem na zarobek w postaci wynajmu klitki dla kilku skąpców lub biedaków czy artystów, staje się gwoździem do trumny gospodarstwa. Wzrasta liczba kradzieży, burd i

pijatyk, a trudne do przemierzenia suchą stopą ulice stają się regularnymi potokami nieczystości.

Z czasem część kontrahentów po mniej lub bardziej udanych transakcjach próbuje odzyskać resztki wpłaconego czynszu, argumentując, że nie będą płacić za miejsce, gdzie już mieszkać nie muszą. Wtedy to szczególnie nużąca staje się praca notarialna, za to niebezpieczna po dwakroć jest komornicza. Egzekutorzy muszą uganiać się za rolnikami, których akt nie ma, by odzyskać pieniądze, których nie mają, dla wynajmujących, którzy wyjechali.

Aż w końcu bliżej września Warszawa na nowo oddycha pełną pierśią, z ulgą konstatuując, że smród ponownie cofnął się o jedno, góra dwa skrzyżowania dalej od Alej Jerozolimskich. Tam, na głównym skrzyżowaniu, aż do grudnia nie będzie pachnieć niczym innym jak parafiną, przepalonymi obwodami machin i kopcącymi tytoń dorożkarzami.

W końcu Alicji udało się minąć smętnie cichy szpital świętego Rocha, mającący za ścianą kamienic kampus uniwersytetu i dotrzeć do celu swojej nieprzemysłanej, ale zdecydowanie pożądanej podróży.

Budynek Ministerstwa Spraw Wojskowych był drugim najwyższym budynkiem w mieście, a właściwie to i w kraju. Koszmarny, bladożółty słup graniasty, wysoki na kilkadziesiąt pięter. Alicja nie zliczyła nawet kolejnych po sobie szyb, mimo że zawsze lubiła to robić.

Weszła do środka, przepychając się między dwoma siwiejącymi, pucułowatymi mężczyznami, z których jeden miał pretensjonalny melonik na przedpotopową modłę francuską. Wpierw oburzyła ich niegrzeczność wchodzącej, dopiero w następnej kolejności sam strój.

Noszenie spodni przez kobiety nie było oficjalnie karalne, czy nielegalne. Ale tak samo dozwolone było kucanie na środku chodnika,

a obie te czynności wydawały się równie absurdalnie niekulturalne i zbędne w mniemaniu większości dżentelmenów.

Wnętrze budynku było, o dziwo, urządzone stosunkowo wystawnie jak na to, co było prezentowane z zewnątrz. Możliwe jest, że było to pokłósie konfiskaty, gdyż przed upaństwowieniem budynku na cele urzędowe, znajdował się tam oddział banku Imperium Rosyjskiego, należący zresztą do rodziny Suworowów.

Drewniana łada na środku holu wyłożonego bordowymi wykładzinami zachodziła wielkim kręgiem i rozdawała się na dodatkowy spiralny filar, aż do sufitu piętro wyżej, gdzie całość oświetlał kryształowy żyrandol. Recepcjonista wydawał się opanować do poziomu mistrzowskiego trudną sztukę utrzymywania napiętego ciała, mimo całkowitego znużenia.

– W czym mogę pom... – zaczął matowym tonem, ale poderwał się natychmiast, gdy Alicja huknęła dłońmi o zaścielony zielonym atłasem blat.

– Kapitan Izydor Murykiewicz... – warknęła, a jej gniewny ton z wizgiem ustawił przechodzących dookoła urzędników państwowych do pionu. – Gdzie on jest?!

– Przepraszam bardzo, ale szuka pani kogoś?

– Nie widać? – Alicja zgrzytała na zmianę zębami, zaciskała dłonie na blacie i sapała jak rozdrażniony ryś.

– To w takim razie departament personalny, wydział dziewiąty na piętrze piętnastym.

– Przepraszam bardzo, którym?

– Może pani skorzystać z windy na końcu korytarza, po lewej – odpowiedział, przyklepując z uśmiechem rudy wąs.

– A skorzystam! – fuknęła Alicja raz, drugi i pochylając się nazbyt wyraźnie, ruszyła przed siebie.

– Drugi korytarz...

– Wiem! – krzyknęła, po czym zawróciła równie nagle.

Czarna strzałka toczyła nieskończenie powoli swój bieg po białym półkolu, nie bacząc w żaden sposób na pośpiech oczekujących windy. Piętra sunęły mozolnie jedno za drugim, aż w końcu niewielka klitka obita jasnym drewnem otworzyła się, wpuszczając do środka dwóch ponurych mężczyzn w mundurach z dystynkcjami majorskimi.

Alicja postawiła stopę w zamykających się zaskakująco szybko i samoistnie drzwiach, warknęła pod nosem i wparowała natychmiast do środka, obracając się plecami do oficerów.

Obaj mężczyźni spojrzeli po sobie zdziwieni, wpierv jeden chciał coś do drugiego szepnąć, ale zdał sobie sprawę, że to może być zbyt ryzykowne. Po prostu uniósł wysoko brwi, wskazując na wygniecione, jasnoszare spodnie trzeciego pasażera. Drugi odpowiedział pierwszemu lekkim wzruszeniem ramion, podniósł podbródek do góry pytająco, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Kobieta obróciła się z grymasem nie zapowiadającym niczego dobrego. Nim którykolwiek zdążył się odezwać, kabinę wypełnił odgłos dwóch plaśnięć.

Drzwi otworzyły się przy którymś z pięter i Alicja wyskoczyła na zewnątrz, złorzecząc na świat. Zostawiła obu majorów z nabiegającymi czerwienią policzkami. Na odchodne rzuciła jeszcze:

– Świnie!

Ostatnie kilka poziomów do piętnastego piętra przeszła po schodach, konstatuując, że właściwie to był całkiem przyjemny sposób na upuszczenie gniewu. Uznała to za dosłowną manifestację fizycznego buntu i z tą myślą weszła bez pukania do dziewiątego wydziału.

Nadal gdzieś z tyłu głowy kołatała się jej myśl o sterylnie i porządnie ułożonym budynku Instytutu Psychologii, wraz z jego równie sterylnym i ułożonym dyrektorem. Dlatego tym bardziej Alicja była zdziwiona, gdy odkryła, że wydział spraw personalnych to po prostu spore pomieszczenie o niskim suficie z połowicznie przeszkloną linią ławek i okienek z ponumerowanymi urzędnikami.

Gniew ścichł delikatnie, schodząc na drugi tor. Przysiadła na jednym z krzesełek pod ścianą, odruchowo nawet chcąc zdjąć na wieszak kapelusz, ale takowego przecież nie miała. Wtedy spojrzała na swoje ręce, cały strój i zakopła twarz między palcami, pozwalając sobie na chwilę ciszy i spokoju.

Gdzieś tam w sercu wiedziała, że gniew jest tylko chwilowy. Powstał z nagłego wybuchu płomieni i zaraz bez stałego źródła zniknie, zmieniając resztkę paliwa w smętną kupkę popiołu. Później zaś ta kupka popiołu przykryje jej serce czarnym osadem i, jak wszystkie wdowy wojny, przez resztę życia będzie starzeć się, czując, jak w jej wnętrzu trzeszcze kurz i piach z bitewnych pól.

Przecież już nic nie przywróci życia Izydorowi. Oddałaby wszystko, każde pocieszenie, dobre słowo, każdy włos na głowie i ząb, by jej ukochany wrócił. Wiedziała, że byli ze sobą zbyt blisko, by śmierć nie zabrała bezpośrednio kawałka drugiego. Jeszcze fantomowo czuła w sobie wszystko jako jedność, ale zdawała też sobie sprawę, że za chwile to uczucie minie. Nerwy nie będą próbowały sięgnąć korzeniami miejsca, które nie istnieje, przez całą wieczność. Wreszcie połatają się wzajemnie, chwycą na przemian za zakończenia w geście prawie że ludzkiego pocieszenia i stwierdzą: nigdy tu niczego nie było.

I tylko Alicja będzie wiedziała, że tam, gdzie jest ziemia niczyja jej własnego ciała, była kiedyś cząsteczka Izydora, która odeszła wraz z jej stwórcą.

– Proszę! – odezwał się nagle podniesiony głos kobiety.

Alicja otrząsnęła się jak ze snu, nawet czując poranny posmak osadu na zębach. Spojrzała to w lewo, w prawo, w górę, ale głos dobiegł zza jednej z drewnianych ścianek działowych, nad którą wystawała tyczkowata, ruda kobieta w krzywych okularach.

Spokojnym krokiem Alicja podeszła, usiadła na krześle, prawie odruchowo próbując zaciągnąć materiał spódnicy, ale jej tam nie było.

– No słucham pana... Panią – powiedziała z wyraźną, celową złośliwością w głosie ruda urzędniczka.

W pierwszej chwili Alicja nie bardzo była pewna, czy trafiła pod właściwy adres. Ministerstwo Spraw Wojskowych miało wyglądać jak agoge, wypełnione po brzegi wąsatymi, brodatymi i starzejącymi się nazbyt szybko...

– Słucham! – powtórzyła, wyławiając petentkę z rozmyślań.

– Tak, ja... Przyszłam się dowiedzieć o mojego męża Izydora Mu...

– Następna – przerwała biurokratka, wyginając szpiczasty nos raz w lewo, raz w prawo jak królik. – Jeśli chodzi o Chełm, to nadal obrona trwa i poranne wieści z bulwarówek proszę omijać, dobrze? To naprawdę nie jest mądre tak nas obarczać głupotami, gdy my tu mamy ręce pełne roboty i...

Urzędniczka obróciła się nagle, bez zapowiedzi i uniosła lekko rękę do wychodzącej tęgiej brunetki w długiej sukni z muślinowymi wykończeniami.

– Już idziesz?

– Jeszcze muszę się spotkać z siostrzenicą, bo spod Litwy samej przyjechała, a chcę ją do Saskiego zabrać właśnie...

– No tak, bo, ale, no, to wieczorem – zdziwiła się ruda, opierając ręce o przegrodę biurka.

– No to przecież zdążę, tak? – odrzekła wychodząca, nakładając przesadnie szeroki kapelusz z czarnym piórem.

– I co, zostanie?

– Kto? – zatrzymała się wpół kroku. – Władzia?

– Siostrzenica, a Władzia to nie, na pewno, bo ona w ogóle będzie pewnie do Berlina wyjeżdżać z tym swoim.

– No naprawdę? A przepustkę, to skąd weźmie? – zainteresowała się żywo.

– A nie wiesz? To jest tak, że...

Alicja wstała, podniosła swoje siedzisko i z zamachu uderzyła w szklaną witrynę. Rozbite okienko obsypało miriadą drobnych szklanych odłamków pokój. Włosy opadły jej na czerwoną, rozwścieczoną twarz. Pod nosem grały dwa rzędy białych zębów, co chwila wyskakujących na świat i chowających się za zlepionymi lokami.

– Gdzie jest mój mąż?! – wycodziła każde słowo, podnosząc po raz kolejny krzeselko do ciosu.

Ruda urzędniczka odruchowo zasłoniła się ręką, kuląc się do boku i chowając za ścianką działową. Wtem do pomieszczenia zza drzwi opisanych miedzianą tabliczką wbiegła nowa postać.

– Co tu się dzieje na miłość boską?! – Sztywna, watowana marynarka zafalowała na jednym ramieniu. Widać, że jegomość był również w trakcie przygotowywania się do wyjścia. – Zostawić was na pięć minut!

Alicja ściągnęła twarz w dumny wyraz, uniosła podbródek i jak gdyby nigdy nic opuściła krzesło, udając, że wcale nie planowała nim wybić zębów rudej biurwy.

– Chcę dowiedzieć się co z moim mężem, Izydorem Murykiewiczem.

– O to ten cały raban?! – Człowiek wepchnął drugie ramię w rękaw, przejechał palcami po kołnierzu koszuli i warknął gardłowo jak wilk.

– Nie umie się pani jak człowiek zapytać przy okienku?

– Ta kobieta nie chciała mi odpowiedzieć – zarzekała się Alicja, wskazując palcem na rudą urzędniczkę, która nadal chowała się za biurkiem, próbując nie nadziać się na leżące wszędzie odłamki.

– Czemu?

– Odpowiedziałam – odezwała się, wstając z podłogi i trzymając z przejęciem za skaleczoną, bladą dłoń. – Powiedziałam, że nie ma informacji.

– Powiedziała, abym nie przeszkadzała jej w pracy takimi pytaniami.

– Powiedziałam...

– Ona powiedziała to, tamto, siamto. – Urzędnik rozejrzał się z niesmakiem i skierował do wyjścia, mijając w drzwiach brunetkę, która nadal obserwowała całe zajście z przestachem i zaciekawieniem.

– Nie interesuje mnie to, proszę wyjść.

– A pan kim niby jest, by mi rozkazywać?

– Piotr Hukiewicz, główny administrator tego burdelu, z którego radzę pani się wynosić, chyba że zarabia w adekwatny sposób.

W pomieszczeniu zapadła cisza, niemalże fizycznie namacalna, ciężka, wygłuszająca wszystko. Dopiero po chwili jako pierwszy wyszedł sam dyrektor, zostawiając wszystkich w osłupieniu.

– Słyszała pani dyrektora. – Ruda urzędniczka zebrała się na odwagę i teatralnie poprawiła skrzywione okulary.

Alicja zmrużyła oczy z zażenowaniem. Sapnęła cicho i ruszyła za wychodzącym mężczyzną. Jak strzała wyleciała przez korytarz, by złapać go w windzie, jeszcze zanim drzwi się zamknęły.

– O na miłość Pana, czego znowu?! – zakrzyczał, wduszając z całej siły przycisk parteru. – Nie może pani skorzystać ze schodów?

– Nie – prychnęła Alicja, obracając się plecami do dyrektora.

– Nieważne – jęknął z rezygnacją, wlepiając wzrok w sufit, bijący przyćmionym światłem zza mlecznego klosza. – Mogłaby się pani chociaż jakoś nosić przyzwoicie, jeśli rzeczywiście jest pani w żałobie.

Alicja zamrugała kilka razy i jak burza zawirowała w ciasnej przestrzeni windy, zaganiając zdziwionego pasażera do kąta.

– Słucham?! – krzyczała z całych sił, gestykulując tak żywo, że aż naciskając kilka dodatkowych pięter na rozdzielniku. – O przepraszam pana bardzo, że jaśnie książę u schyłku czerwca może sobie paradować w bawełnianych portkach, a ja mam się męczyć w czerni jak jakaś kwoka na mięso! Wolne żarty, ha-ha, jeszcze czego?!

– Już, spokojnie...

Drzwi uchyliły się na jednym z dodatkowo wciśniętych pięter. Kłótnie ludzie musieli słyszeć z daleka, gdyż pod drzwiami już zwalniało kilka osób, udających niby zajęcie się własnymi sprawami, a w głębi serca czekających na rozwój wypadków.

– Proszę mnie nie uciszać, kiedy krzyczę! – Alicja obejrzała się na obserwatorów, płosząc natychmiast większość z nich. – A wy czego, sępy jedno?!

– Rozumiem, że jest pani roztrzęsiona, ale naprawdę to nie miejsce na jakieś bazarowe awantury. Dlatego ostrzegam panią, że taryfa ulgowa kończy się wraz z otwarciem drzwi i lepiej dla pani, by wtedy skończyły się również te buntownicze ujadania.

Drzwi windy otworzyły się w końcu na parterze, ukazując zebranych kilkadziesiąt osób, przechodzących w jedną czy drugą stronę. Niektórzy zwyczajnie czekali na przyjęcie albo umówione spotkanie. Całość zdawała

się w normie, nikt tutaj nie słyszał krzyków z windy, co dyrektor przyjął z ulgą.

Piotr pokiwał głową w zrozumieniu, zdobył się na nieszczerzy uśmiech i postąpił za drzwi, stawiając obcas na miękkim dywanie.

– Świnia! – zawołanie Alicji pobiegło przez korytarze, zwracając uwagę zebranych na wychodzących. – Zwykła, biurokratyczna, zakurzona, stołkowa świnia bez uczuć!

Dyrektor czuł na sobie spojrzenia wszystkich, którzy zawsze z ochotą wyczekiwali jakiegokolwiek kłótni i oderwania od codziennych obowiązków. Tym bardziej poczuwał się do wstydu, że niejednokrotnie słyszał szeptane na jego temat uwagi, które zawierały się mniej więcej w tych słowach. Teraz osoby mu nieprzychylne i postronne mogły z zadowoleniem oglądać, jak ich najskrytsze myśli są wykrzykiwane publicznie, a ich ofiara może tylko iść przed siebie i znosić to dzielnie lub nie.

– Wstyd! Wstyd! Ty wszo, jak ci nie wstyd tak traktować kobietę! Co za bezczelność, żonę oficera jak zwykłą kokietkę obmacywać! – zakrzyczała Alicja, podnosząc atmosferę na wyższy poziom. – Basior z syfilisem, żonę byś sobie znalazł, obrzydliwa wszo!

Ludzie zaszeptali między sobą nerwowo, powtarzając konteksty i dopowiedziane już tła do historyjki. Ktoś z oburzeniem zasugerował wezwanie żandarmerii.

Hukiewicz dosłownie wtulił głowę w ramiona, wychodząc przez ostatnie skrzydła drzwi. Wiedział doskonale, że z bezpodstawnego czy podstawnego obrzucenia gównem też trzeba się bardzo długo skrobać. Więc gdy tylko minął schody, a natrętna kobieta szła dalej za nim, lżąc go w białą dzień, nie wytrzymał.

Obrócił się, spojrzął na nadal rozwrzeszczaną wariatkę i zamachnął się, w swoim mniemaniu bez szczególnego przyłożenia.

Rozległ się płask, po czym huk i łoskot.

Dyrektor przełknął ślinę, z przerażeniem spoglądając na własną dłoń. Domniemana wdowa leżała parę schodków niżej z czerwonym policzkiem. Rozejrzał się i dostrzegł kilku zszokowanych spojrzeń przechodniów.

– Cholera – syknął tylko w pierwszym odruchu i pobiegł do ulokowanej na postoju taksówki, otwierając z rozmachem drzwi.

Po chwili czarna taryfa z zamkniętym dachem zawarczała, wytoczyła się z miejsca parkingowego, nabrała prędkości i zniknęła za zakrętem, zostawiając poszkodowaną samą na schodach.

– Bezczelna... Obrzydliwa... – mruzczała pod nosem obelgi dalej, podnosząc się z ziemi, aż w końcu splunęła za odjeżdżającym automobilem.
– Świnia!

– Pomogę – odezwał się spokojny, choć zachrypnięty głos z boku. Ktoś podźwignął Alicję na ramieniu i pomógł otrzepać kolana.

– Ale cię urządził ten kutas.

– Jak pan powiedział? – zdziwiła się Alicja, oglądając się na nieznajomego.

Mężczyzna, który przyszedł jej w sukurs, miał nie więcej jak dwadzieścia pięć lat, kasztanowe włosy chował pod maciejówką. Nie patrzył w oczy, jakby wstydził się własnej twarzy, lecz wyglądał w jej mniemaniu nawet zadbane, chociaż mógł to być równie dobrze szok po uderzeniu.

– Kutas – zaakcentował ponownie młodzieniec. – Przepraszam jeśli mówię niewyraźnie, takie korzenie...

– Nie, po prostu... – Alicja uśmiechnęła się, widząc szczerość chłopaczka, która tak dobitnie kontrastowała z tym, czego właśnie doświadczyła. – Kutas, zabawnie pan to ujął.

– Bez pan, po prostu: ty.

– Ty masz jakieś imię? – zaśmiała się pod nosem, ocierając pęczniejącą powoli twarz rękawem koszuli.

– Maksymilian, ale nie lubię go, więc może być po prostu Aequemilian.

Alicja wytrzeszczyła oczy, cofnęła podbródek w przesadzonym zdziwieniu i dopytała niepewnym głosem.

– Dobrze usłyszałam?

– Spytałem kiedyś jednego znajomego, który pracował jako guwerner, jak jest po łacinie: równo. No bo Maksymilian, najwyższy, czy tam, największy to tak głupio, nie? Po co najwięcej, skoro można tyle ile potrzeba. – Młodzieniec zafrasował się wyraźnie, spuścił wzrok jeszcze niżej, podrapał po karku i uśmiechnął. – No więc Auequemilian wymyśliłem.

– I ktoś tak do ciebie mówi? – Alicja wyszczerzyła się protekcjonalnie. Jednak po chwili powściągnęła własną twarz i zwyczajnie po ludzku pokiwała głową. – Rozumiem, przepraszam jeśli byłam niemila.

– Nie, nic nie szkodzi. Nikt tak nie mówi tak właściwie, mówią nadal Maksymilian, czasem po prostu Żmudzin... Właściwie to częściej.

– Rozumiem. – Na moment zapadła niezręczna cisza i Alicja rozejrzała się; nikt już ich nie obserwował, a ulica płynęła dalej swoim życiem. – Dziękuję ci bardzo za troskę w takim razie. Najwidoczniej będę musiała wrócić do domu i... Sama nie wiem, czym się zajmę, wybaczone, nie będę z tobą rozmawiać o tak prywatnych sprawach.

– Chyba nie poszła rozmowa w urzędzie, prawda? – mówił miękko i pewnym siebie tonem, mimo wgapienia się w chodnik.

Alicja już miała się odwrócić i iść do domu, chociażby na piechotę, ale zamiast tego spojrzała na Żmudzina. Z jakiegoś dziwnego powodu w miejsce słusznego gniewu wdarł się niezwykle, w jakiś sposób sztuczny spokój. Skrzywiła się, westchnęła na zmianę i wreszcie stwierdziła:

– Przesadziłam mocno – odparła zmęczonym tonem. – Później złożę im przeprosiny albo nie... Nie wiem jeszcze. Ja przynajmniej miałam dobry powód, by się tak zachować. A ten bydlak... a zresztą.

– Myślę, że dobrze postąpiłaś. Żyją na wzór zachodni, konsumują i wydalają, pogłębiają podziały. Dziś, w epoce gotowych i tanich ubrań, nikt już prawie nie donasza Redingote'ów swego dziadka, natomiast w dziedzinie ideowej Redingote'y i krynoliny zajmują jeszcze bardzo dużo miejsca – wyrecytował prawie że jednolitym głosem, tak jak się recytuje pacierz.

Alicja cofnęła się o pół kroku, rozejrzała jeszcze raz i na moment pożałowała, że rzeczywiście nikt na nich nie patrzy. Dłoń odruchowo zacisnęła się w pięść, jednak nowo poznany nie zrobił nic, czego się spodziewała. Po prostu podniósł głowę i wlepił w nią spojrzenie pary zaczerwienionych od ulicznego kurzu oczu.

– Może chciałabyś opowiedzieć o tym, co cię spotkało, albo chociaż posłuchać o innych takich przypadkach. Nie jesteś odosobniona, nie czuj się winna, to oni są winni. Przyjdź, posłuchaj, co mają do powiedzenia pozostali, tacy jak ty. Spotkanie zaczyna się wieczorem, w knajpie „Za Leną”, na pewno warto będzie wysłuchać Lwa.

– Jakiego Lwa? – spytała złękionym głosem.

– Lwa Iskry, przyjechał dziś rano z... daleka.

– Ósmy front. – Sorokin wymawiał każde słowo twardo, powoli, jakby mówił do kogoś niespełna rozumu. Starał się patrzeć rozmówcy w oczy, a nie na zasłane dziesiątkami samolotów lotnisko. – Musicie po prostu przerwać główną żyłę, którą dostarczana jest Karmazyna pod Piotrogród. To nie może być takie trudne, ich siły są i tak bardzo rozrzedzone, ale musimy działać szybko.

– A w zamian dostaniemy nowe kajdany? – spytał po rosyjsku Marszałek, drapiąc się protezą po podbródku. – Zakaz budowy pancerzy wspomaganych, tak? Ograniczenie w liczbie okrętów? Co nam jeszcze może zaoferować byłe imperium Romanowów pod wodzą stetrycziałych ciemieżycieli, chroniących osierocone siostry?

– Możemy wam dać pokój – warknął emisariusz, z trudem powstrzymując przekleństwa. – Autonomię wewnętrzną, sądy, stabilną walutę...

– Może chciałbyś mi dać jeszcze moją rękę? – Marszałek obejrzał z nostalgią mechaniczną dłoń i zacisnął ją na próbę.

Kilku przechodzących niedaleko lotników zaśmiało się, choć nie mieli prawa nawet usłyszeć słów Marszałka. Sorokin przyjrzał się wpierw jednej grupce żołnierzy, potem następnej, rzucił spojrzeniem na mechaników pracujących w silniku maszyny kroczącej, po czym znów spróbował spojrzeć w oczy Marszałka.

– Jesteście chorzy! – krzyknął Sorokin, nie wytrzymując wreszcie. – Wszystkich was toczy choroba, nie potrzebujecie do tego Karmazyny. Tu stawką jest przyszłość całej ludzkości, a wy jedyne, co robicie, to machacie biało-czerwonymi flagami i klepicie się nawzajem po plecach. Jeśli upadnie Imperium Rosyjskie, to wy zginiecie krótko po nim! Może nie

w tym roku, nie za rok, ale Karmazyna w końcu zbierze siły i wyleje się też na wasze ziemie!

Setki osób stanęło dęba jak na zawołanie. Ci, którzy stali blisko i ci, którzy byli daleko, pracujący, rozmawiający, jedzący – wszyscy stanęli i odwrócili się w kierunku Czcigodnego Marszałka.

– Rzeczpospolita to nie kraj – odparł poważnym tonem Marszałek i spojrzał wreszcie na Sorokina. Jego błękitne oczy wydawały się nienaturalne, jakby one też były protezą, a może i cała twarz Czcigodnego Marszałka była sztuczna. – Rzeczpospolita to symbol. Nasz kraj istnieje symbolicznie, dzięki symbolom i dla symboli. Nasi mężczyźni są zbyt męscy, a kobiety – zbyt kobiece, nasi naukowcy są naukowcami w pełni, a żołnierze są nimi do końca. Nie ułatwiamy sobie życia, nie próbujemy współżyć z innymi i nie liczymy na ratunek.

Marszałek chwycił posrebrzaną protezę Sorokina za gardło i wznosił wysoko w górę. Wszyscy okoliczni żołnierze przyklękali, nie mając innego wyboru.

– Wypuściliście na świat najbardziej obrzydliwe paskudztwo w dziejach, a teraz chcecie, byśmy sami zbudowali narzędzia, posprząтали ten bałagan, a na końcu wam podziękowali. Posłuchaj mnie, człowieku z kraju, którego już nie ma... Nasz lud nie będzie atakował tego o czym mówisz, bo samo zaatakowanie tej rzeczy nakarmiłoby ją niesamowitą siłą. Siłą, jaką karmisz mnie w tej chwili... gniewem, wściekłością, poczuciem, że najlepszym co mogę zrobić, to strzaskać ci czaszkę.

Sorokin przez moment wierzgał, próbując wyswobodzić się z uścisku, lecz nagle zabrzmiał trzask i całe jego ciało zwiroteczało.

Marszałek odrzucił zwłoki na bok, tak jakby nic nie ważyły i wrócił do regularnego obchodu. Ludzie wstawali kolejno, jakby nic się nie stało. Ktoś chwycił za kanister z benzyną, w mgnieniu oka oblał zwłoki i podpalił.

Nikt nie potrzebował wyjaśnień, bo wyjaśnienia wymagają wątpliwości, a wątpliwości to śmierć.

* * *

Pagórek ustąpił pod oficerskim butem i Izydor z dumą postawił ostatni krok swojej marszruty. Ranny, głodny, odwodniony i niewyobrażalnie zmęczony dowlókł swoje jeszcze, choć niedługo we własnym mniemaniu, żywe ciało. Przed śmiercią chciał ujrzeć z daleka wedutę Warszawy, przez którą przelewał się błękit rzeki, oddzielającej schronienie Polaków.

Wisła rozciągała się przez cały horyzont, przerywając swoją ciągłość tylko na moment, by obdarzyć obecnością mieszkańców ogromnej twierdzy. Z centrum wyzierało na świat kilka budynków, konkurujących o dosięgnięcie nieba. Całość przypominała kremowo-białą skałę, pełną szczerb i oliwkowych nalotów mchu – dział przeciwlotniczych. Warszawa stanowiła dla Izydora drugą, małą ojczyznę, zaraz po Lwowie.

Paroksyzm bólu przebiegł przez całe ciało Murykiewicza, zaczynając się od rannego boku, a może nawet wnętrza serca. Co jakiś czas brudnymi palcami zacierał zainfekowane oko. Zastanawiał się, czy umrze najpierw od gangreny, czy od Karmazyny.

Modlił się i na zmianę powtarzał formułki akademickie na temat autodiagnozy psychosomatycznej. Wszyscy nienawidzili tych zajęć, wydawały się zawsze odrealnione, z pogranicza filozofii i magii. Żołnierze zawsze mieli tendencję do wiary w niewidoczne rzeczy tylko wtedy, gdy były im one na rękę.

A mimo to stał na środku niczego, czując, jak po jego organizmie roznosi się wirus mający stuprocentowy wskaźnik śmiertelności. Przeszedł

już wszystkie etapy odrzucenia, więc jedynie z przyzwyczajenia roztrząsał jeszcze możliwości i szukał wyjścia.

Co prawda w Skrzyszewie zdążył opatrzyć prowizorycznie swoją ranę, która i tak nie była szczególnie groźna, ale... Tak, zawsze jest jakieś ale. Po drodze rana otworzyła się, a było to już po infekcji, która tylko znalazła dla siebie nową wylęgarnię. Szkarłatne bryzgi pienistej masy sączyły się co chwila z dziury po odłamku i przelewały wzdłuż nogawek, znacząc drogę kapitana krwawym śladem.

– Niebo to miejsce na Ziemi – szepnął Izydor, stawiając pierwszy krok nowej drogi.

Do tej pory motywował się tylko tym, by przed śmiercią ujrzyć stolicę. Co miał zrobić dalej? Pocieszać się, że chce jeszcze dotrzeć do jej bram? Do centrum, by tam przyłożyć sobie rewolwer do głowy i powiedzieć: jestem bohaterem, walczyłem za was, bywajcie zdrowi!

A potem kula w łeb i do piachu. Nawet właściwie nie, bo sam wiedział, że od dawna nie chowa się zwłok w Rzeczypospolitej. Wszystkie oznaki Karmazyny kończą w krematoriach albo częściej masowych mogiłach, które dopiero później są dopalane. Pragmatyzm, cudowna cecha, której nigdy nie wykształcili Polacy – przynajmniej aż dotąd. Oby nie nazbyt późno.

– Jedna z największych bied i plag, jakie pozostały nam po dawnym społeczeństwie – to całkowita przepaść między książką a praktyką życia, mieliśmy bowiem książki, w których wszystko było przedstawione w jak najlepszym świetle, a książki te w większości wypadków były najohydniejszym, najobłudniejszym łgarstwem, które w fałszywych barwach malowało nam społeczeństwo.

Obraz świata zafalował delikatnie, lekko ciemniejąc, a potem nabierając jaskrawych barw jak na obrazie energicznego ekspresjonisty.

Kolory zaiskrzyły się, kontury na zmianę gięły i prostowały, aż w końcu Izydor musiał uderzyć we własną twarz, by ból go otrzeźwił.

Poczuł się jak dwa lata wcześniej, gdy trzymał wartę w czasie stacjonowania w lesie wraz z oddziałem. To było jeszcze przed przewrotem i...

– Co się właściwie stało? – Zmrużył oczy, uśmiechnął do siebie i natychmiastowo skrzywił z bólu.

– *Tylko uświadomione masy są w stanie przeciwstawić się...*

– odpowiedział sam sobie, ale natychmiastowo ścisnął żuchwę dłonią.

Palce mocowały się przez chwilę w próbie złączenia ust w milczącą kreskę. Gdy to zawiodło, Izydor po prostu chwycił za podbródek i zaczął ciągnąć go do dołu, próbując przy tym stawiać kolejne kroki.

– Masy, chleb, jeść, więcej... – syczał i ciągnął się za twarz na zmianę, czy momentami ordynarnie szarpał, jednocześnie zasłaniając uszy ramionami.

– *Kultura dyskusji wymaga obustronnego wysłuchania racji.*

Izydor stanął na moment, puścił twarz, rozejrzał się i z przerażeniem wyklarował myśl: nie był sam we własnej głowie. Jeszcze przez moment próbował pojąć, jak dalece jego świadomość należy do niego i co ma z tym zrobić. Była to jedna z tych chwil, na które przygotowywano go jeszcze przed wysłaniem na front wschodni.

Chwycił za rewolwer, włożył lufę do ust i pociągnął z całej siły za cyngiel.

Bębenek przekreślił się nieskończenie powoli i iglica puknęła cicho w nicość. Zimny pot momentalnie zrosił czoło Murykiewicza.

– *Nie spodziewałem się, że naprawdę to nam zrobisz. Mądrzej było zachować ostatni nabój na siebie, jeśli rzeczywiście chciałeś odebrać sobie*

życie. Oczywiście jest też możliwość, że zwyczajnie nie chciałeś się zabić. Czemu by nie?

– Czemu by się nie zabić? – szepnął Izydor bardzo intymnie, cichutko, nie wiedząc, czy nadal do siebie, czy już do siebie i... kogoś.

– *Czemu by nie uznać, że chcesz żyć?* – głos wydawał się rozbrzmiewać w uszach, ale gdy Izydor zatykał uszy, nie wpływało to w żaden sposób na zrozumiałość przekazu. – *Po prostu ze mną porozmawiaj.*

– Nie, nie, nie... To wszystko paskudna matnia, ostrzegali nas. Z diabłem się nie rozmawia, to oznaka pychy – myśleć, że można dyskutować z szatanem.

– *Szatan, diabeł... Miły to ty nie jesteś.*

Izydor naparł z całej siły na język spustowy i... nic. Nie to, że kolejna komora również okazała się pusta, ale cyngiel nawet nie drgnął. Trwał jak zablokowany, w najmniejszy sposób nawet nie...

– Czy ty ruszasz moimi palcami?! – krzyknął kapitan z mieszaniną odrazy i niedowierzania. Impuls bólu naparł ponownie od rany, powalając go na kolana i skłaniając do wymiotów. Pusty żołądek zwinął się w supeł i zadrżał.

– *Zgodnie z prawem Rzeczypospolitej, istnieje obowiązek zapobiegnięcia samobójstwa drugiej osoby, nawet siłą.*

– Wygadany całkiem jesteś – przyznał z uśmiechem Izydor, po czym zamachnął się i uderzył sam w twarz ciężkim uchwytem broni.

Krew bryznęła na soczyście zieloną trawę, gdzie zaraz za nią upadł sam krwawiący. Przez moment leżał oszołomiony nagłym ciosem, lecz już po chwili z zadowoleniem wsunął rewolwer w usta i nacisnął spust, po czym drugi raz, trzeci.

Łzy potoczyły się strumieniami po policzkach Izydora, płakał jak nigdy. Nie pamiętał, kiedy ostatnim razem w ogóle płakał. Właściwie to

pamiętał, ale wołał udawać przed sobą, że nie. Przynajmniej dotąd, bo w chwili śmierci to i tak wszystko jedno.

Ostatnim razem płakał, gdy Alicja przed jego oddelegowaniem do czynnej służby w szwadronie wyznała mu, że jest w ciąży. A jeszcze wcześniej płakał na pogrzebie ich poprzedniej, najśłodszej, nienarodzonej pociechy. Teraz, gdy o tym wreszcie pomyślał, to wiedział, że nie może tak jej po prostu zostawić, że to chwilowy napad tchórzostwa.

Nie, to nie tchórzostwo, odezwał się drugi głos w głowie, to odwaga, tak nas szkolili, tłumaczyli to setki jak nie tysiące razy. Jeśli nie zrobisz tego teraz, to później będzie za późno. Ty już umarłeś, jesteś martwy od Skrzyszewa, jesteś trupem, chodzącą na dwóch nogach bombą zegarową.

– *Nie potrzebujesz mnie do konfliktów wewnętrznych* – odezwał się ponownie głos, sącący się miękko z wnętrza i rozpływający po organizmie.
– *Bądź rozsądny albo chociaż bądź odważny, przynajmniej kiedy rozum zawodzi. Wysłuchaj tego, co mam do powiedzenia i sam zdecyduj, co chcesz zrobić. Jeśli tylko mnie spróbujesz zrozumieć, to obiecuję, że nie będę chciał od ciebie niczego więcej, zgoda? Patrz, na dowód dobrej woli: puszcę twoje... znaczy nasze ręce.*

Murykiewicz poczuł, że ma pełną władzę nad palcami. Smak lufy był obrzydliwy, przechodził świeżą ziemią i zaschniętym brudem. Na myśl przyszła mu od razu kuchnia polowa w osiemnastym roku pod Rablinem, gdy...

Pociągnął za spust z zaskoczenia. Chciał zaskoczyć sam siebie, swoje rozterki i jeszcze własną chorobę. Zaczynał się gubić, z kim walczy, z kim pertraktuje i kto wchodzi w skład rozgrywki.

Iglica po raz piąty ogłosiła pustkę. Bębenek przekręcił się, pozostawiając gotowy do strzału ostatni nabój w następnej komorze. Szanse, że tak długo to potrwa, były małe, ale teraz wynosiły pełne, okrągłe,

zbawienne sto procent. Wystarczyło ostatni raz nacisnąć spust i spełnić swój patriotyczny obowiązek.

Jeszcze Polska nie zginęła, pomyślał z ulgą Izidor, wyginając lufę w jamie ustnej tak, by pocisk wyleciał przez płat potyliczny.

Iglica stuknęła głucho po raz szósty.

– *Oszukałeś mnie* – odezwał się prawie że ze smutkiem tajemniczy głos.

Izidor zacisnął powieki, pozwolił łzom dalej zmywać mu pył z twarzy. Naciskał cyngiel raz za razem, kręcąc pustym bębenkiem, gdzie powinna być zbawienna, szybkostrzelna śmierć.

– *Wiedziałem, że mnie oszukasz, więc jakiś czas temu wyjąłem wszystkie naboje.*

– Co zrobiłeś? Jak, gdzie?! – Kapitan wyszarpnął lufę z ust, rozejrzał się po pustym polu rzepaku i zaczął krzyczeć absolutnie do nikogo. – Jakim cudem mi to zrobiłeś, nic takiego nie pamiętam!

– *Bo nie uznałem za słuszne, byś pamiętał. Jeszcze gotów byś był zrobić coś głupiego jak z tym uderzeniem w głowę. Swoją drogą: naprawdę planujesz się zabić, tłukąc na śmierć kawałkiem stali?*

Odarty z godności, w poczuciu przegranej absolutnej, zbierając w całość każde okropieństwo ostatnich dni i gorsze po stokroć rzeczy, które dopiero miały nadejść, Izidor zdobył się na to, by wreszcie odpowiedzieć:

– Czego ode mnie chcesz?

Coś drgnęło w rzeczywistości. Chwilowa zmiana ciśnienia albo odmiana harmonii szumu, jak przesterowanie na łączach w rozgłośni radiowej. Przez moment rozlegało się delikatne syczenie, aż nastąpiła ciepła, przyjemna cisza i pustka.

– *Szczęścia dla wszystkich, w każdej ilości. Ze wschodu nadchodzi wielkie dobro, przełomowe w skali ludzkości. To, co nazywacie Karmazyną,*

jest kolejnym etapem ewolucji. Technologia postępuje, ludzie postępują, Karmazyna jest ostatnim krokiem w rozwoju dialogu społecznego oraz tego, co determinuje nas jako ludzi – brzmiał głos z pustki, wydawał się spokojny, niemal przychylny. – Zrozum, u nas nie ma wojen, głodu, chorób, zbrodni. Wszyscy są szczęśliwi, żyją w pełnym zrozumieniu i...

– Są bezmózgą masą morderczych maszyn. Niektórzy wyglądają jak żywe trupy albo gargantuiczne ptaszyska i... Jak wy to wszystko robicie?!

– *Są zdeterminowanymi żołnierzami, walczącymi w misji wyzwolenia was z kajdan niewoli. Jeśli Karmazyna jest odebraniem wolności, to jak można nazwać to, co wy sobie robicie? Te koszmarnie zarządy miałkich, chciwych ludzi, kumulujących nieustannie równie marny kapitał, by utonąć w hedonizmie do końca swoich krótkich, bezużytecznych dni. Żołnierze, których nazywacie potworami, to po prostu wykwalifikowani specjaliści. Niektórzy wyglądają jak ptaki, bo chcą wyglądać jak ptaki i bardziej im pasuje ta rola. Nie ma to większego znaczenia, skoro i tak pertraktujemy częściej, niż walczymy.*

– Wy prowadzicie podbój techniką spalonej ziemi. Wdzieracie się do naszych domów, za pomocą siły! Przecież sam chyba nie wierzysz w słuszność tych obrzydliwych bredni.

– *Ja wiem, że jest sens. A jeśli jest sens, to jest mus.*

– To szaleństwo.

– *Walczyłeś o wolną ojczyznę jeszcze lata wcześniej, prawda?*

– Skąd wiesz... Zresztą, tak. To prawda i co z tego? – mówił, pytał, kontynuował sam do siebie Izydor, choć nikt nie mógł słyszeć.

W pewnym momencie wyszedł na szosę, przecinającą pasmem ubitej ziemi skraje dwóch pól. Przez chwilę stał tak w miejscu, aż w końcu ruszył w kierunku, który ostatecznie zaginał bardziej w stronę stolicy.

– *Nie zawsze ludzie się zgadzali, prawda? Bali się, protestowali, czasami realnie buntowali przeciwko waszej walce, a przecież była słuszna, prawda? Wiem, jak to jest, walczyć o właściwą sprawę, a mimo to napotykać się co krok na przeciwności i to od osób, które przecież są w centrum moich intencji. Jeszcze kilka lat temu unieszkodliwienie donosiciela było czynem bohaterskim, nie patrzyliście na to jak na morderstwo, tylko służbę ojczyźnie, prawda?*

– To dwie różne rzeczy, ja nikomu nie wchodziłem siłą do głowy!

– *No tak, bo wierszyki w szkole na cześć Marszałka, wbijane linijką po łapach dzieciom, to absolutna sielanka – głos po raz pierwszy wydawał się śmiać po ludzku. – Wiem, że jesteś przygotowany do stania po tej „dobrej” stronie i upierania się przy niej do ostatniej kropli krwi, ja to rozumiem i podziwiam. Tylko wyobraź sobie teraz, że to ja jestem w tej pozycji.*

– Jak zrobiłeś ten cudzysłów?

– *Akcentując.*

– Z każdą chwilą twój głos brzmi naturalniej, to przerażające. – sapnął Izydor, chwytając się za głowę. Kolorowe plamy przed oczami majtały się w tę i w tę. Nagle poczuł przypływ słabości.

– *Wszystko w porządku Izuś, hej? Nie mdlej mi tylko tutaj* – odezwał się zaniepokojony głos znikąd.

Izydor spojrzał jeszcze przed siebie, usłyszał daleki, przygłuszony stukot końskich kopyt i świat przykryty został całunem ciemności i ciepła.

W mroku wydawało mu się, że był wreszcie sam. Co prawda zdziwiło go, że jest świadomy utraty przytomności, ale właściwie, to czemu nie? Po tym wszystkim, co przeszedł, był tak wykończony, że jego nieustannie napięte ciało miało prawo do swoich dziwactw. Tak więc trwał w nicości jak w miękkiej pierzynie.

Zdarzało mu się nieraz śnić świadomie, co uznawał za dosyć zabawne. Ponoć w Warszawie prowadzono jakieś realne zajęcia z tego, jak być wyczulonym na to, kiedy się śni. Zupełnie tak, jak człowiek ćwiczy taniec czy boks, tak ludzie potrafili uczyć się snienia. Izydor miał do tego naturalny talent, jeszcze zanim nastąpiła moda.

Często w swoich snach, a czasem nawet na żywo odpływał w podróż. Zazwyczaj były dalekie w granicach niemożliwości, a na kilometry to wychodziło ledwie cztery setki. Czteryście kilometrów i Lwów był w zasięgu marzeń.

Pamiętał, jak pewnego dnia udało mu się niepostrzeżenie wkraść na ratuszową wieżę, by stamtąd doglądać panoramy ukochanej małej ojczyzny. Trwało to ledwie mgnienie oka, zanim musiał salwować się ucieczką przed strażnikami miejskimi, ale warto było. Warto było, bo teraz mógł przywrócić ten obraz w pamięci, tak jak malarz przywołuje pejzaże z dawno widzianych krajobrazów.

Białe, dostojny ratusz, górujący dumnie kanciąstą wieżą zegarową nad przepastnym rynkiem i chórami strzelistych kamienic, przypominających ciasne szeregi rycerzy Wewnętrzne podwórka jego rodzimej dzielnicy, gdzie matka w prostej sukni potrafiła wyczekiwać w domu przez cały dzień na jego powrót. Wydawała się wtedy trwalsza od najstarszych kościołów, odwieczna, na zawsze i nie do ruszenia.

A teraz Lwów płonął.

Pierścień oblężenia zacieśniał się, zabierając oddech. Ledwie cienka nitka ziemi prowadziła do matecznika, by stamtąd zasięgać sporadycznych zapasów, niezbędnych obrońcom do przetrwania kolejnego dnia oblężenia. Aż w końcu i ta nitka zniknęła. Nawet nie została przerwana, a zaciągnęła ze szpuli tyle, ile mogła i jakby odpłynęła.

Ile to już było? Tygodnie, miesiąca, lata? Inwazja trwała naprawdę długo, wrogowie musieli się zmieniać nieustannie, by utrzymać taki napór. Tylko bezsenni Lwowianie nie zmieniali się, trwając na swoich posterunkach.

On jednak nie mógł nic zrobić. Przykuty obowiązkami, musiał oddać swoje całe życie w ręce innych osób, licząc tylko na boską interwencję.

A może nie musiał? Może mógł podjąć słuszną decyzję? Zabrać Alicję i ruszyć, byle jak najszybciej. Gnając koniem, jeśli trzeba, to idąc piechotą, pokonując każdego dnia kilometry, które dzieliły go od umierających wspomnień.

Nie musiał nawet biec, przecież było jeszcze jedno rozwiązanie. Gdyby tak tylko przerwać ten koszmar, przerwać wojnę i zastąpić go wreszcie jakimś chociażby najbardziej kruchym pokojem.

Z Karmazynami też można żyć, to przecież też są ludzie, prawda?

Obudził się spokojniejszy, z lekką głową. Czuł, jak miękka pościel otacza jego ciało, wtula się w niego. Powietrze przesycone było zapachem rumiankowej herbaty. Przez okno wsączało się jeszcze zachodzące słońce, ocieplając sterylne, zadbane wnętrza salki.

– To już sen? – spytał się, choć głos ugrzązł mu w gardle i wywołał spazm kaszlu.

Kobieta w czerwonych szatach, zakończonych białym czepkiem z rozkloszowanym welonem bawełny, zbliżyła się do niego i położyła dłoń na czole.

– Obudził się pan – odezwała się z ulgą, ale podszytą wyczuwalnym strachem.

Izydor obserwował jej napiętą twarz, czując, że sam zapada się coraz głębiej w mięką poduszkę z gęsich piór. Palcami przejechał po bandażu na boku, był świeży.

Musieli mnie poskładać, pomyślał, czyli nie jest ze mną tak źle. Czyli to wszystko było tylko koszmarem, traumatycznymi pokłóściami piekła. Jestem w domu, ranny, ale żywy. Wrócę do mojej ukochanej Alicji, opowiem jej o tym szaleństwie, wizjach, koszmarach. Albo nie, lepiej nic jej nie powiem. Po prostu będziemy szczęśliwi i na tym historia się skończy, wreszcie spokój.

Siostra zakonna skrzywiła się wyraźnie, z mieszaniną strachu i odrazy chwyciła za opatrunek na głowie kapitana. Z dosadnym młaśnięciem odlepiła bandaż od jęczącego się oka, broczącego kroplami czerwonej mazi.

* * *

Fatma Obrębska miała wszystko, czego mogła chcieć kobieta. Męża w stopniu pułkownika, trójkę odchowanych dzieci, urodę, wykształcenie i mnóstwo wolnego czasu. Mimo to siedziała teraz naprzeciwko Alicji w Cafe Sébaste i chustką ocierała łzy, ściekające czarnymi strugami wraz z tuszem.

Alicja uśmiechnęła się gorzko, nie umiała robić dobrej miny do złej gry, przynajmniej w tej kwestii. Z Fatmą znały się jeszcze z czasów Powstania Marszałkowskiego i nawet swego czasu rywalizowały w przechwałkach na to, która podejmą się czego, gdyby musiała. Jednak nigdy nie wyszło to poza sfery koleżeńskich gdybań o niestworzonym.

Gdy mąż Alicji został ranny w powstaniu i śmiertelnie przerażona trwała przy jego łóżku, to mąż Fatmy siedział w sztabie tymczasowym i pił z resztą szarży, wysłuchując tylko raportów z terenu. Gdy Alicja poroniła, Fatma wysłała najmłodszego syna na studia do Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu. Nawet teraz Alicja była kłębkim nerwów, prawdopodobnie

owdowiałym zresztą, a miejsce w Sébaste Fatmie sprawił jej mąż jednym telefonem, omijając pięciomiesięczną kolejkę.

– Poradzisz sobie, jesteś silna – wyszeptała Alicja, obejmując serdeczny palec Fatmy. – Masz po prostu trudny czas, czasem tak bywa i wiem, że prędzej czy później wszystko się ułoży, tak jak powinno.

– Nie, masz rację, ale nie. Znaczy, ja po prostu tak nie myślę i tyle. Wiem, że chcesz pomóc, ale to tak nie działa. – Fatma odstawiła nagle chustkę od oczu, wyprostowała się dumnie, wzniosła podbródek i wyrównała oddech.

– A lekarze?

– Kobięca histeria, jak zwykle. Laudanum, hipnoza i wibratory.

Alicja skrzywiła się z irytacją. Fatma pokiwała głową, mrużąc oczy.

– Niech sami usiądą na kołku, może im się coś odetka w... – Jednak Alicja nie dokończyła w czym miałoby się odetkać, ponieważ do stolika zbliżył się kelner w bordowej kamizelce ze srebrnymi guzikami.

– Co będzie dla szanownych pań?

– Coctail Chicago i drugi czekoladowy na żółtku.

– Sama chciałam się spotkać, zdobyłaś rezerwację, a teraz jeszcze zamawiasz – zaczęła Alicja, ale zaraz Fatma uniosła dłoń w czarnej rękawiczce z koronką.

– Wybrałam za ciebie, więc się nie liczy. Zresztą, robię to też dla siebie, wiesz? Po prostu czuję się lepiej, gdy robię komuś prezent.

Alicja skrzywiła się nieznacznie, pociągnęła za kołnierzyk marynarki i obejrzała za ramię koleżanki, wyszukując wzrokiem miksera za barem. Coraz modniejsze w Polsce koktajle stanowiły atrakcję samą w sobie, a w wielu przypadkach oglądanie przyrządzania napoju było o wiele lepszym przeżyciem, niż picie go.

Mikser wsypał do hennebergowskiego shakera potłuczony lód, nalał soku z cytryny, ginu i wermutu, których nazw czy rodzajów Alicja nie mogła dostrzec z dystansu. Dalej z zadziwiającą siłą wstrząsnął całość, przelał do oblepionego cukrem kieliszka i oparł o jego ściankę plasterek pomarańczy. Na koniec wbił w całość słomkę tak mocno, że Alicja mrugnęła nagle, jakby przebudzona ze snu.

– Więc co ciebie trapi? – spytała zniecierpliwiona albo zwyczajnie ciekawska Obrębska, nie czekając, aż podadzą zamówienie.

– Pewien mężczyzna zaprosił mnie na spotkanie – odpowiedziała po chwili wahania Alicja, przechodząc płynnie na francuski.

Fatma zmrużyła oczy jak kot przed skokiem. Żyła tymi krótkimi chwilami, gdy wokół niej działały się plotki, zdrady, romanse i wszystko to, co nie powinno było się dziać. Fakt, że została poproszona o tak prędkie spotkanie, bez konkretnej okazji, bez znajomych, był już dziwny sam w sobie. Natomiast przejście na obcy język sugerowało więcej niż ciekawy przebieg dyskusji.

– Przystojny, bogaty czy wartościowy? – dopytała.

– Jesteś okropna – zaśmiała się Alicja, choć częściowo zgadzała się z towarzyszką. – Nawet rumiany...

– Rumiany...

– Tak, rumiany, bo trochę zbyt małomiasteczkowy na przystojnego. Natomiast biedny jak mysz kościelna, ale trzeba przyznać...

Kelner zbliżył się jak cień, bez najmniejszego dźwięku, po czym delikatnie ustawił oba zamówione koktajle na stoliku, kłaniając się przy tym lekko z szarmanckim uśmiechem.

– Trzeba przyznać, że mnie zainteresował – dokończyła wątek Alicja. – Zaproponował mi spotkanie w tej paskudnej mordowni za kościołem świętego Floriana, niedaleko dworca przy praskim murze.

Fatma nic nie odpowiedziała, ale jej błyszczące oczy i dłonie zaciskające się mocno na stopce kieliszka mówiły wszystko. Co chwila lekko uchylała zwilżone usta i z powrotem zaciskała je na słomce, nie chcąc przerywać wywodu Alicji.

– Spotkałam go, jak zrobiłam awanturę w ministerstwie, bo nie chcieli mi powiedzieć, co się dzieje z jednostką, w której był Izidor. Zresztą, może nie wiedzieli, to wielkiego znaczenia nie ma, skoro po prostu nie powiedzieli. Tylko wiesz, ja ostatnio nie mogę już, rozumiesz, nie mogę? Mam dość.

– Dość, w kontekście, że dość czy *dość*.

– *Dość*. Chcę być wolna, rozumiesz? Nie chodzi mi o przejażdżkę motocyklem albo palenie papierosów w miejscu publicznym, czy nawet te pieprzone spodnie. Ja po prostu chcę być sobą, cokolwiek to znaczy. Sobą, w czym chcę, gdzie chcę. Chciałabym, żeby ludzi szanowano, by pozwolono im szanować innych. Mam dość tej biedy, a potem luksusu i znowu biedy, kryształowych szklanek, a potem matek z piątką dzieci na ulicy, dość!

Fatma przejechała językiem po wargach i obejrzała się w bok na bruk placu Zbawiciela. W jedną stronę Nowowiejska biegła na cerkiew świętego Michała, w drugą na Politechnikę. Gdzieś w oddali słyszała rwetes, niosący się znad toru wyścigowego. Z przeciwległej strony park Ujazdowski trzeszczał kakofonią rozmaitych instrumentów, które z dystansem traciły na harmonii i zmieniały się w jednolity szum.

– Zawsze możesz iść kwestować pod kościół – odpowiedziała w końcu, jakby chcąc odrzucić od siebie kolejne myśli o nieszczęściu innych.

– Mogę też zamknąć oczy i zamówić kruszon albo wynająć lot hotelem balonowym, ale to wszystko są zabawki, rozumiesz? To nie jest naprawdę.

– To co jest naprawdę, może ty wiesz lepiej ode mnie?

– Nie mów w ten sposób, po prostu chcę, byś mnie wsparła.

– Wspieram cię przecież! – podniosła głos Fatma, na moment uniosła się z miejsca i zaraz opadła, wlepiając wzrok w czekoladową toń kieliszka. – Sama też potrzebuję wsparcia.

– Co z Dowborem? – spytała Alicja, wiedząc, że jej czas na wyżalanie się skończył. Niestety Fatma szybko zmieniała humor, czasami wręcz do bardzo skrajnych postaci, gdy trzeba było ją powstrzymać od szarpanin czy targnięcia się na własne życie.

– Nie powinnam ujawniać szczegółów, to ściśle tajne.

Alicja zmrużyła oczy z powątpiewaniem. Fatma wytrzymała jeszcze chwilę i westchnęła od serca, wiedząc, że przytyk się nie udał. Nie po to umówiła się na plotki, by teraz zasłaniać się poufnością.

– Wiesz co to łódź podwodna?

– To taki okręt, który pływa pod wodą – odpowiedziała Alicja pół żartem, pół serio.

– Ponoć kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu mężczyzn siedzi w pokojach niewiele większych od nich, dookoła znajduje się tylko przejmujący, czarny masyw morza, a w tej czerninie czai się każdy ich lęk. Słyszą najpierw skrzyp kadłuba, potem ćmi ich głowa, głosy szepczą im w głowach bluźnierstwa, a potem...

– Pytałam o Dowbora, a nie twoje fantazje z zakresu wizji piekielnych.

Fatma prychnęła, zirytowana wyrwaniem jej z opowieści, ale po chwili wróciła do tematu na nowo.

– Na północy nie jest spokojnie. Epidemia Piotrogradzka jest wszędzie, naprawdę. Czasami Bałtyk wyrzuca na brzeg takie wielkie,

mięsiste giganty, długie na ćwierć wiorsty, wypełnione jakimiś jajami i płodami, jak peklowane mięso.

Obrębska rozejrzała się nieufnie. Przy kanapie obok siedział mężczyzna, dumający samemu nad jedną filiżanką kawy, czytał gazetę. Dopiero po chwili wyężania wzroku Fatma dostrzegła znajomy nagłówek gazety, którą czytała kilka dni temu.

– Jak twój angielski? – spytała, nagle zmieniając język.

– Mój angielski? – odpowiedziała Alicja po chwili wahania, choć nadal naśladowując akcent francuski. – Tak sobie, w czym rzecz, Fatma? Wyglądasz, jakby coś cię zmartwiło.

Mężczyzna z gazetą jakby drgnął, ściągnął nieznacznie usta w grymasie i zaraz przywołał na twarz pozornie obojętną maskę.

– Idziemy, chcę się przejść. – Fatma wstała nagle z miejsca i zaczęła mocować się ze znalezieniem w kopertówce banknotów.

– O czymś sobie przypomniałaś?

Alicja nie doczekała się odpowiedzi. Jej towarzyszka zapłaciła szybko i ledwie pamiętając o kapeluszu, wyszła prędkim, sprężystym krokiem z lokalu. Nie obróciła się za siebie ani razu.

– Powiesz mi, co się stało, czy nie? – spytała Murykiewiczowa, przechodząc znowu na język polski.

– Tak, po prostu, był tam ktoś, kogo nie chciałam widzieć.

– Znajomy, kochanek, żyrant?

– Nie, nieznajomy, ale po prostu tak mnie... tknęło. Nie patrz na mnie w ten sposób, nie jestem niezdrowa na umyśle, przynajmniej nie w ten sposób. Zwyczajnie czasem trzeba zachować ostrożność, zwłaszcza przy tych tematach.

– Zwłaszcza w Warszawie – dodała Alicja, gdy już nieśpiesznie zaczęły iść wzdłuż kremowych kamienic, chroniąc się przed prażącym słońcem. – Pójdziemy do parku? Chcę zobaczyć wodę.

– Tak, a wracając do tematu... – Fatma spojrzała z zadowoleniem, jak dwójka przechodzących obok oficerów skłoniła się tak nisko, że mogliby ucałować jej palec serdeczny bez jego podnoszenia. Oczywiście, gdyby im tylko pozwoliła. – Na północy jest źle, bo marynarka u nas zawsze była biedna. Kilka średnich okrętów po Niemcach, eskadra samolotów z brytyjskimi torpedami, jeden krążownik niemiecki, dwie łodzie podwodne, i jeden pancernik, o dziwo nasz. Natomiast Dowbor siedzi tam jak na szpilkach, bo boi się, że w każdej chwili będzie musiał obsadzić czymś takim całe wybrzeże.

– To wybrzeże ma bagatela kilkadziesiąt kilometrów, jeśli nie mniej.

– Nadal jest to kilkadziesiąt kilometrów wybrzeża, trzy razy tyle licząc Hel, którego trzeba bronić – odpowiedziała z irytacją, pomachała dłonią na jadącą bryczkę i woźnica wstrzymał konie, by dwie panie mogły przejść na drugą stronę. – Nawet coś tak małego może otworzyć drogę do wielkich problemów.

Po chwili rozległ się krzyk. Źle związane bagaże na tyle powozu uderzyły z trzaskiem o bazaltową kostkę. Jeden z zamków strzelił i do rynsztoka posypała się garderoba jednego z pasażerów, który od razu zaczął się awanturować, nabiegając czerwienią.

– Nie jest przypadkiem tak, że większość uderzenia i tak pójdzie po stronie pruskiej?

– Myślę, że Epidemia może nie baczyć na to, kogo atakuje, ani kiedy. No i tutaj dochodzimy do głównego problemu – westchnęła Fatma, zatrzymując się na moment pod cerkwią. – Bo gdyby chcieli nas zaatakować, to zrobiliby to już dawno. Tylko oni drążą, wiesz? Sprawdzają

grunt, rozprawdzają wici, kawałki swojej pajęczyny i szykują się na triumfalny przemarsz i defilady.

– Daj spokój, u nas nawet barszcz nie jest pozbawiony ideologii. Jeśli nie wejdą siłą, to nie wejdą wcale.

– Mimo to Mur nie jest gotowy, a nadal żyjemy.

Alicja zamyśliła się na chwile i zaraz strzeliła oczami w kierunku wejścia do parku. Ruszyły w milczeniu, mijając panów w koszulach koloru écru i panie w koronkowych sukniach, trzymające białe parasolki letnie. Wszędzie czuły mocny, przeszywający zapach słodkich kwiatów.

Zatrzymały się ponownie dopiero na przecinającym akwen moście z kamienia. Widok na rotundę, obrośniętą zieleniącym się bluszczem, był upojny. Między kolumnkami przechadzały się łabędzie o jaskrawych, oranżowych dziobach.

– Mur ma dziury, dziesiątki dziur – powiedziała Fatma, ściągając Alicję na ziemię. – Od Sarn do Stanisławowa w linii prostej to trzysta kilometrów. Wyobraź sobie mapę i idź palcem po niej. Suwałki, Sejny, Grodno, Wilno, Wilejka, teraz jedź palcem w dół przez Nowogródek, Baranowicze, Mikaszewice i aż do tych nieszczęsnych Sarn. Słabo ci? To teraz pomyśl, co w związku z tym.

– To, że na linii tej wyrwy są posterunki tymczasowe, nie jestem głupia – zachnęła się Alicja, opierając o chropowaty kamień mostu.
– Izydor często miewał kwaterunki w takich miejscach, siedział tam tygodniami albo dłużej. Manewry też tam zresztą robią, testy uzbrojenia albo rozpoznanie bojem do samej granicy i dalej.

– Minęły prawie trzy lata, odkąd Rosja istnieje tylko teoretycznie. Nie mamy z nimi kontaktu i to nie kwestia naszej... – Fatma zatrzymała się na moment, by przypadkiem nie przesadzić w miejscu publicznym.
– Nieustępliwej dyplomacji. Moskwa czy Piotrogród już dawno nie istnieją.

W kilku okręgach ponoć jeszcze się bronią, ale to bzdury. Po naszej stronie zresztą też ewakuowano Kowel i Łuck, ale nie wszyscy mieli tyle szczęścia. Tarnopola już na przykład nie ma, choć ledwie kilkadziesiąt kilometrów dalej jest fort.

– Wczoraj czytałam o masakrze w Chełmie, wiesz coś o tym? Powinnam była cię zapytać od razu, ale...

– Nie – ucięła szybko Fatma. – Nie wiem, ilu zginęło i co się stało. Przy tych oblężonych miastach jest zawsze takie piekło, że strach myśleć. Chociaż słyszałam plotki.

Alicja zbliżyła się znacząco, niemalże napierając ciałem na długą suknię Fatmy. Ktoś przechodzący obok zerknął z ciekawością, ale zaraz wrócił do pilnowania wzrokiem swoich dzieci, próbujących sięgnąć z mostu łabędzia.

– Ponoć coś się przedarło – powiedziała cicho, tonem, który ledwie zachowywał siłę. – Nie wiemy, ile tego, ale dziękujmy Bogu, że to nie cały front, bo by nas już nie było. Między Brześciem a Chełmem ustawiono kordon podwyższonego stanu zagrożenia, a do Siedlec posłano niemal cały rocznik trzeci, niby w ramach ćwiczeń, ale wiadomo...

– Małe straty, nikogo to nie obejdzie. – Alicja odetchnęła ciężko, zaciskając dłonie w pięści. – Przecież to jeszcze dzieci!

Wtem przy obu kobietach pojawił się niski, starszy mężczyzna w poplamionej koszuli, udającej porządny tweed. Twarz miał pokrytą spękanyymi naczyńkami krwionośnymi, przypominającymi czerwoną, pajęczą sieć. Jego napuchnięte oczy wraz z lekko rozchylonymi ustami sprawiały nieprzyjemne wrażenie, przez które człowiek miał ochotę się zakryć.

– Dzieci, dzieci, panie tu o dzieciach, a ja tak właśnie żem sobie myślał...

– Nie rozmawiamy z panem – odparła twardo Fatma, mrużąc oczy z pogardą.

Alicja śledziła jedynie wzrokiem całe zajście, rozglądając się za ludźmi. Było sporo osób, ale ona czuła się, jakby była tam z Fatmą sama. Wszyscy przechodzili obojętnie, nie zwracając uwagi na ewidentnie podpitego Warszawiaka, mającego zbyt dużo wolnego czasu.

– Ale ja z paniami już owszem – zaśmiał się głośno nieznajomy, aż Alicja cofnęła się o krok. – No proszę się nie bać tak, ja jestem taki sobie facet, co to lubi...

Rozległ się huk, zaraz po nim łoskot. Mężczyzna zrobił dwa kroki do tyłu, zaraz trzeci, jakby już miał odzyskać równowagę i wtedy natrafił na idącego pod rękę z żoną żołnierza. Żołnierz oburzony wyprężył się, krzyknął coś niewyraźnie, twarz miał ewidentnie wykrzywioną paskudną, rozległa blizną postrzałową.

Fatma, masując kostki obolałej dłoni, przyglądała się, jak żołnierz sięga wojskowego pasa, ściąga, składa go na pół i uderza kilka razy awanturnika przez plecy. Po chwili jednak jego dama serca chwyciła go za wzniesioną do ciosu dłoń. Pijaczek, korzystając z okazji, czmychnął w bok, salwując się ucieczką.

– Powinnaś tego czasem spróbować – stwierdziła po chwili Fatma.

– Bicia ludzi? – odpowiedziała śmiechem Alicja, poprawiając kapelusz.

– Stawiania się im.

– Zazwyczaj staram się unikać niebezpiecznych miejsc.

Alicja obejrzała się na centrum zadbanego parku, przez chwilę zawieszając wzrok na dziewczynce bawiącej się z tresowanym psem. Skrzywiła się z rozgoryczeniem i spojrzała znów Fatmie w oczy.

– Spotkam się z tymi ludźmi. Zabiorę ze sobą coś do obrony własnej.

– Chcesz mój? – spytała Fatma, sięgając do torebki, jednak Alicja zaraz zatrzymała ją, rozglądając się konspiracyjnie. – Ależ spokojnie, to nie jest przecież nielegalne.

– Mam swój, zawsze miałam. Po prostu nie nosiłam wcześniej, bo wiesz. Nawet kiedy jesteś w takiej sytuacji, nie chcesz tego robić, bo boisz się konsekwencji. Tylko mam wrażenie, że nadszedł już ten czas.

Fatma uśmiechnęła się, błyskając zębami na tle jasnoczerwonych ust i położyła Alicji dłoń na ramieniu.

– Wiem, zawsze miałaś. Po prostu musisz mieć odwagę, by zrobić, co należy.

* * *

Huk spłoszył stado wron z korony jesionu. Paprotko zerwał się, by zobaczyć, co się stało. Heinrich zdążył się domyślić wszystkiego, wyciągnął dłoń, już miał krzyknąć...

Wtedy drugi grzmot powalił młodego, niebieskiego ptaka szwadronu, który jako jedyny biegł w kierunku gromu, zamiast od niego uciekać. Właściwie to nigdy nie lubił młodego Józefa, ale czy miało to znaczenie w tamtym momencie?

Zapach prochu wwierał się w nozdrza pozostałego przy życiu kaprała, gdy Izydor przesadzał kolejne kroki w kierunku szczytu, mijając obojętnie zwłoki podwładnego jak kamień przy drodze. Ot, był człowiek, nie ma człowieka. Życie dzieciaka odebrane na zasadzie pociągnięcia palcem.

Nie mógł nic zrobić. Marzyło mu się skoczyć i wydrzeć te sparszywiałe, czerwone ślepie kapitana, chociażby własnymi pazurami. Jednak fakt, że w ogóle stał tam – między drzewami, goniąc co chwila oddalające się głosy resztek szwadronu – cóż, to był cud. Ledwie mówił, w ramieniu nadal chrzęściły drobiny szkła i metalu, ale przeżył.

Przeżył, zwyciężył i nie dał się zranić drapieżnej bestii ze wschodu, którą napotkali. Sam nie był pewien, która z tych historii jest bardziej zaskakująca, ale wiedział dwie rzeczy:

Będzie się tym chwalił we wszystkich przybytkach rozkoszy, do których trafi przez resztę życia.

Przy pierwszej dogodnej okazji zamorduje Izydora Murykiewicza.

Knothe, jako weteran Wielkiej Wojny, miał już swoje na karku, o czym z rzadko spotykaną dumą wspominał. Dla niego wojna była polowaniem, przejażdżką na koniu, który ucieka przed lawiną kamieni, sypiących się z nieba i strzelających z każdej strony. Zew zawsze dobiegał do niego z miejsc, z których normalni ludzie uciekali.

A on, tak się złożyło, był w swoim mniemaniu artystą fachu. Był pasjonatem wojny, mitu wiecznych zmagania i zwykłego obijania mord po pijaku.

Zmielił przekleństwo w ustach, splunął na kapitana w duchu i odszedł. To nie był właściwy czas na zemstę. Musiał najpierw wrócić do stolicy, a potem zacząć powoli stawiać wnyki, przynętę i miejsce do przyczajenia się na ofiarę.

Wiele dni później siedział spokojnie na chyboczącym się krześle, wśród okrzyków wieczornej pijatyki, gdzie bębnienie butów o posadzkę było niewiele częstsze od hałasu upadających ciał.

Tak, zdecydowanie „Za Leną” była jego ulubioną knajpą. Powinien był odpoczywać, zbierać siły i co gorsza: przygotować się na raport przed powołaną w pośpiechu komisją wojskową.

Musiał być cierpliwy jak ryś przyczajony w chaszczach. Łup mógł uciec w każdej chwili lub nawet jeszcze nie być na miejscu pułapki. Rzucanie się na rympał było zwyczajnie nonsensowne, pozostało czekanie. Skoro zapewne dostał się przed Izydorem do Warszawy, to los mu sprzyjał.

Zmrok w pełni zapanował nad cichnącymi uliczkami miasta, gdy do środka wszedł wysoki mężczyzna o całkowicie gładkiej twarzy i nieproporcjonalnie mikrym nosie. Godzina policyjna miała zaraz zapaść, a to oznaczało, że atmosfera wewnątrz lokalu mogła już tylko stawać się bardziej napięta.

Oddziały PP ściągały każdego wprost z bruku, gdy ten przebywał bez wyraźnego powodu poza swoim adresem zameldowania. Jako że trwały ostatnie dni czerwca, to słońce górowało nad horyzontem do wyjątkowo późnych godzin. Ale zdarzało się, że strażnicy sprawdzali ludzi przed zmrokiem. Kto się będzie z uzbrojonym stróżem prawa spierał, że jeszcze jest jasno, gdy z każdą chwilą promienie zanikają?

Państwo najzwyczajniej potrzebowało siły ludzkich mięśni. Machina wojenna pracowała na pełnych obrotach, mieląc naraz zatrważającą liczbę milionów męskich istnień. Miganie się od patriotycznego obowiązku – zaciągu – było zwyczajnie nielegalne.

Knothe wiedział, że o takich porach mogą się szlajać niedołęzni albo anarchiści. Dla niego obie te rzeczy były równoważne. Bez wyraźnego powodu – ot, trzeba w życiu kogoś nie lubić. Przy tym wszystkim doskonale wiedział, że przyłapany na nocnych hulankach anarchista, mający więcej niż te piętnaście lat, a mniej niż jakieś sześćdziesiąt z okładem, miał dwa wybory:

Wyprzeć się jakichkolwiek poglądów, zgrywać tchórza i trafić do jakiejś paskudnej kompanii skazanej na beznadziejną rzeź przy granicy z Prusami Wschodnimi.

Dostać kulę w łeb i wylądować w zalewie albo krematorium.

Heinrich przechylił kufel mętnego, choć przyjemnie chłodzącego piwa i wlepił przekrwione oczy we wspinającego się po schodkach znajomego.

Starszy ogniomistrz Jakub Hukiewicz był, w mniemaniu Knothego, skurwysynem. Zresztą sam Jakub też lubił się tak określać, ale on przez to miał na myśli jakiegoś rodzaju połączenie nonszalancji i odwagi, o które ostatecznie nikt go nie posądzał.

Knothe jednak wiedział, że Hukiewicz jest osobą, na której opisanie znalazłby sto określeń i tylko sześć nadawałoby się do przytoczenia w porannej prasie. Mimo to pamiętał, że łączyła ich pewna nić wzajemnych, niebezinteresownych przysług, które wymuszały coś, co udawało zaufanie, lecz zaufaniem nie było. Teraz ta nić miała być jedyną rzeczą pozwalającą wciągnąć plan Heinricha na piedestał.

Jakub ścisnął krzesło, szarpnął gwałtownie w jedną stronę i dosłownie zwałił się ciężarem na wiklinowe obicie. Bez jakiegokolwiek słowa wstępu odebrał kufel od siedzącego naprzeciwko brodacza, upił wyzywająco długiego łyka i postawił naczynie po swojej stronie stołu.

Kapral zmierzył wzrokiem młodszego od niego Polaka i momentalnie poczuł jakąś wewnętrzną niechęć, zresztą wzajemną, jak się spodziewał. Przez krótki moment rozważał wyjście ze speluny i rozprawienie się ze swoimi problemami na własne sposoby. Szybko jednak odrzucił taką możliwość, ponieważ ogniomistrz był jego kartą warunkową dla użycia tych sposobów, które najbardziej go satysfakcjonowały. Dla Izydora szykował coś specjalnego.

– Wyglądasz jak gównio – odezwał się wreszcie Jakub, patrząc w dół balustrady z pustego półpietra.

Knothe zacisnął powieki i zapadł w chwilowy letarg. Potrzebował chociaż kilku sekund niepatrzenia się na towarzysza rozmów, oświetlanego jasno przez starą lampę naftową zwisającą z powały.

Przez moment myślał o tym, ile już nie spał. Dzień, dwa? Chyba dwa, więc jeszcze nie było tak źle. Po prostu czuł się głodny, zmęczony i... Nie, nie mógł się poddawać biadoleniu, to nie w jego stylu, nawet jeśli było ciężko czy nawet upierdliwie.

– Tak też się czuję – odpowiedział w końcu, rezygnując z zamówienia drugiego kufła. – Będę od ciebie czegoś potrzebował.

Ogniomistrz obrócił się nagle, spojrzał z wyrzutem na brodacza, zbliżył się, pochylając głowę do boku jak sęp.

– W takim razie najpierw ja powiem, czego chcę.

– Nie obchodzi mnie to.

– Oj powinno, skoro musisz się nieźle wytargować, bym zgodził się...

– Nie obchodzi mnie to, bo dostaniesz, czego chcesz.

Jakub zamrugał zaskoczony, cofnął się i upił płytkiego, ale długiego łyka, aby móc zebrać myśli. Miał nietęgą minę, wietrzył podstęp, chociaż przynęta była tak oczywista, że właściwie trudna do podważenia. Dopiero w ostatniej kolejności rzeczywiście pomyślał, że Knothemu musi bardzo zależeć, na tym czego chce.

– No to... – zaczął ostrożnie. – Zacznijmy jednak od tego, czego ty chcesz, bo ja mam długą listę na końcu języka.

Ogniomistrz uśmiechnął się triumfalnie, wzniosł brwi, a nawet lekko uniósł kufel jak do toastu i zwilżył gardło kolejnym łykiem.

Knothego uderzyła myśl, że może mu rzeczywiście smakować ten trunek, który przecież nijak się miał do tego, co serwowano za zachodnią granicą. I to za podobną, jeśli nie niższą niż w śmierdzącej Warszawie cenę. Nie czas był jednak na to.

– Masz jeszcze tego znajomego w personalce?

– Stryja – rzucił krótko Jakub, przysysając się coraz śmielej do kufła, który powoli zaczynał zbliżać się do filozoficznego stanu pół pustego lub pełnego. – W dodatku bardzo wrednego gnoja, więc jak chcesz zafałszować jakieś akta, to szykuj się na to, że więcej będzie z tego problemu niż pożytku.

– Ja nie chcę utajniać informacji, tylko odtajniać.

– No proszę. – Hukiewicz zamyślił się na moment, uśmiechnął i podjął myśl. – Czyli ktoś musiał ci nieźle zajść za garb!

– Nie tak głośno – syknął Knothe, jednak aura przybytku zaczynała nabierać zwawości i ciężko było cokolwiek usłyszeć przez hałas zażartych dysput o jakichś nieważnych rzeczach. Według niego o ważnych rzeczach nie dało się mówić głośno. – Potrzebuję dowiedzieć się, gdzie przebywa jedna osoba.

– No to nie jest chyba aż tak trudne do...

– Daj mi dokończyć.

Jakub zmrużył oczy w zirytowanym grymasie i dopił całe pozostałe piwo na hejnał. Przez moment rozglądał się, by móc zamówić następne, ale chciał najpierw dosłyszeć resztę opowieści Heinricha.

– Ta osoba zapewne będzie ukrywana, bo jest mocno nie na rękę, by ktokolwiek się dowiedział o jej istnieniu. Najpierw trafi do któregoś szpitala, czy raczej szybko ją przeniosą do prywatnej izby z doktorem. Jednak prędzej czy później skończy na psycho, a stamtąd trafi już tylko do dołka.

– Piękny życiorys – wtrącił Jakub i zniknął na kilka minut, by jednak zdobyć następny kufel piwa.

Knothe przez moment myślał w osamotnieniu, o tym, co chce zrobić. Zachowywał spokój, ale czuł, że nie będzie mógł spać, dopóki nie dokona tego, co sobie postanowił. Nie chodziło nawet o śmierć Wołka, swoją drogą przypominającego Knothemu Hukiewicza, ani nawet o tego młokosa Paprotki.

Po prostu wiedział, że gdyby to on tam został albo dotarł wcześniej, to teraz leżałby w bezimiennym grobie z kulą w potylicy. Nawet nie – leżałby na ziemi, rozszarpywany przez Karmazynowe kruki, a potem poczłapałby na front, tylko z drugiej strony, jako bezmózgi zewłok. Więc tak, według Knothego gra była warta świeczki i jak najbardziej rozsądna, bo chodziło o zemstę.

W tle zaintonował piosenkę podstarzały baryton w akompaniamencie mniej udanego akordeonu. Na moment uwaga zebranych skupiła się, by sprawdzić, czego dotyczą słowa towarzyszące melodii. Gdy okazało się, że jest to jakaś bardziej znana piosenka, pełna tautologii i bezsensownych związków frazeologicznych, biesiadnicy zaczęli z ochotą dołączać.

Knothe nienawidził polskiej muzyki. Nie miał nic do Polaków jako takich, ale to, co sobą reprezentowali w muzyce, uznawał za dno absolutne. Biesiadna niemiecka piosenka opowiadała o słonecznych dniach i spacerach w towarzystwie damy przez rynek.

Polska piosenka o miłości? W polskiej co rusz następowały oksymorony, ślinienie się do każdej rzeczy, która ma otwór między nogami i nie ucieka na drzewo. Właściwie to słyszał też takie, w których wprost zachęcano do gwałtu, i były one nieraz oficjalnymi pieśniami ułańskimi! Nie, nigdy nie rozumiał, dlaczego Polacy mają tak niską kulturę pieśni.

– No więc?

– Więc co? – podjął wątek ogniomistrz, stawiając na stole nowy trunek.

– Czy dasz radę to załatwić? Jak nie, to ja będę wracał, zanim ktoś mi obije mordę za zadawanie się z tobą.

– A to co miało znaczyć?

– To, że ukraińska brać jak cię dorwie, to nakarmią cię własnymi jajami, za to urocze wpisowe, które od nich regularnie pobierasz na rzecz ochrony przed złym aparatem państwa.

Knothe aż nabrał powietrza na moment, zmęczony dłuższym wywodem. Nieustannie masował się po grdyce, którą niefortunnie obił sobie o jedną z dźwigni w Topolu.

– Szantażujesz mnie?

– Co? – zdziwił się na moment Heinrich i zasyczał ze złości.

– Czy ty masz zaniki pamięci? Zapytałeś, dlaczego nie chcę, by mnie z tobą widzieli i ci odpowiedziałem. Łaskawie powiedz mi zatem, bo im szybciej, tym lepiej dla mnie oraz dla ciebie, czy dasz radę załatwić mi papiery na tego pieprzonego kapitana?

Gładkolicy uśmiechnął się do swojego zarośniętego, przygarbionego kolegi. Przez moment ważył na języku słowa, co zdarzało mu się nad wyraz rzadko. Był człowiekiem czynów, głównie przyjemnych i niedozwolonych, a nie myśli. Wreszcie upił z kufła, zrobił nieokreślony, niby wytworny gest dłonią i odpowiedział:

– Jeśli to dla ciebie takie ważne, to mogę nawet na... Który mamy?

– Dwudziesty siódmy.

– Dzień pytam!

– Poniedziałek, jasny szlag.

Knothe zacisnął zęby, świerzbiły go pięści, ale potrzebował sprzedawczyka. Chciał chociaż odciąć się językiem, co w przypadku ogniomistrza nie było wielkim wyczynem, ale tak się składało, że krtań nieszczególnie go słuchała. Pozostawało zgrzytanie trzonowcami i zaciskanie palców. Gest prawie że poddańczy, ale co zrobić?

– W takim razie na środę dam radę to raczej załatwić i... No, na piątek pewnie stryj będzie akurat w departamencie, to zabierze świeże wpisy i odbiorę je od niego. Pierwszy września, akurat jaka ładna data, prawda?

– Lipca, ta, bardzo ładna – odparł Knothe bez przekonania.

Musiał być cierpliwym łowcą, ale kalkulował, że to wszystko się nie dodaje. Ten plan mógł się udać tylko w przypadku, jeśli Murykiewicz nie dotarł wcale do miasta. Jeden dzień pewnie przeleży i to niecały, nim połąpią się, że jest zarażony.

Oficerów najpierw biorą na testy, nawet jeśli są poważne podstawy, by po prostu lekarz zrobił zastrzyk z powietrza, póki ranny leży. Czyli jeden dzień leżenia, następnego na testy i jeden dzień... Albo nie, pewnie od razu kula w łeb i na zbiornik.

– Musisz szybciej – dodał nagle Heinrich.

– Nic nie muszę – stwierdził ogniomistrz, dopijając drugie piwo do połowy. – Wiesz, gdzie jest ten twój kapitan?

– Nie wiem.

– Czyli jeszcze nie ma go w Warszawie?

– Możliwe. To jest przecież kilkaset kilometrów. Sam tutaj długo jechałem, najpierw cudem jeden z chłopów mnie podwiózł, bo nawet przed wyrwą w Murze mieszkają wieśniacy. Potem udało mi się do posterunku dotrzeć, a stamtąd na pakę wzięli wraz z kurierem do Warszawy, bo się zlitowali nad ostatnim ocalałym z oddziału.

– W takim razie nigdzie się nie śpieszę i ty też nie będziesz. Możemy spokojnie porozmawiać o tym, co ja z tego wszystkiego będę miał.

Ogniomistrz już marzył sobie jaką cenę zaśpiewać, by rzeczywiście kaprał wywiązał się z obietnicy, a nie uciekł. Cóż, wyglądał na zdeterminowanego, więc pewnie nie przesadzał, gdy mówił, że może dać wszystko za taką informację. To podsunęło pewne wątpliwości Jakubowi.

– Właściwie, to co masz zamiar z nim zrobić?

Heinrich odwrócił się w kierunku drzwi, przez futrynę akurat wchodziła postać w białej, wyprasowanej koszuli z gustownymi spinkami w mankietach. Zniewieściały gość nosił dziwnie wysoki beret, nasadzony na jajowatą głowę. Cóż, dziwacy się zdarzają, najwyżej ktoś mu obje morde za bycie fircykiem.

Knothe spojrzał wreszcie z powrotem na ogniomistrza, który właśnie osuszał drugi kufel do samego końca, gulgocząc przy tym chudym gardłem. Stracił całkowicie ochotę na jakiegokolwiek rozmowy, więc bez słowa wyjął z głębokiej kieszeni oficerski bilon-03 i postawił na blacie stołu, wprawiając Hukiewicza w rozbawienie.

* * *

Speluna była obrzydliwa. Nie to, że Alicja przyzwyczaiła się do pewnych luksusów życia, jakie oferowało bycie najbliższą rodziną kapitana... Jednak speluna była obrzydliwa i basta.

Wpierw starała się zwracać uwagę na pozytywne. Wieczorny wiatr zwał w pewnym stopniu zaduch z ulic Śródmieścia i pozwolił mieszkańcom na chwilę wytchnienia od nieustannego bombardowania żarem.

Jednakże, gdy tylko weszła przez próg „Za Leną”, cała ta magia uleciała jak gaz z odkręconej butelki wody sodowej.

Panował gorąc, hałas, wszechogarniający zapach potu i rozmaitych odorów, wśród których dominowała baza spirytusu. Początkowo tylko to sprawiało jej największy kłopot, ale po chwili zrozumiała, że są gorsze rzeczy jak to, że nie była u siebie.

Ludzie w środku wydawali się ponurzy, a jednocześnie paradoksalnie radosni, zupełnie tak, jak mają to w zwyczaju hieny cętkowane czy inne padlinożerne stworzenia. Zadowolone tylko w atmosferze szyderstwa z cudzego nieszczęścia.

Głównie przesadnie młodzi lub skrajnie starzy mężczyźni, wszyscy o twarzach zmęczonych, wróć, wyniszczonych do cna życiem. Wrzody, ślady po ospach, ropienie i zwisające płaty skóry, takie oto oblicza śledziły płynne ruchy zniewieściałego chłopaczka, który wszedł do przybytku.

Zreflektowała się na ukrycie włosów pod czapką, by w pierwszej chwili stwarzać chociaż wrażenie mężczyzny. Wiedziała, że nie będzie mogła długo tak udawać, ale nie była też odpowiedzialna za to, co ludzie sobie pomyślą. Jeśli większość uzna ją za chłopca o szerokich biodrach, to trudno.

A gdyby ktoś podszedł i z pogardą stwierdził, że kobiet nie wpuszczają? Oj, lepiej dla niego, by tak nie zrobił.

W takim oto quasi-bojowym nastroju Alicja rozejrzała między zapelnionymi stołami, przerzuciła wzrok na balustradę, zza której dostrzegła pojedynczy stolik z dwoma biesiadnikami i zatrzymała się na moment.

Brodaty, barczysty i nad wyraz zgarbiony mężczyzna przyglądał się jej od pierwszej chwili. Drażyla jego twarz, obserwowała i miała nieniknące poczucie pewnej znajomości, jakby już gdzieś go widziała, może w kartotece kryminalnej?

Nie zdążyła się zastanowić nad tym dalej i nie chciała nakręcać karuzeli paranoi. Mniej więcej w momencie, gdy przestała być obserwowana, rozmowę z nią zainicjował Żmudzin. Nie byle jakiś Żmudzin, tylko ten Żmudzin, którego spotkała przed Ministerstwem Spraw Wojskowych. Dokładnie ten sam, który w ogóle w pierwszej kolejności sprawił, że pojawiła się w tak niebezpiecznym miejscu.

Czy w razie jakiegoś niezapowiedzianego nalotu Policji Państwowej, mogło jej się coś stać? Cóż, poza zabłąkaną nogą stołową, rzuconą butelką, czy obrzuceniu błotem jej dobrego imienia, nikt jej nie mógł nic zrobić.

– Jednak przysłaś, bardzo mnie to cieszy, naprawdę. – Chłopak uśmiechał się pogodnie, ale nadal, jeszcze bardziej nawet chował swoje oczy pod zsuniętym głęboko nakryciem głowy. – Chodź, spotkanie już się zaczyna.

– No to przyszłam w porę – szepnęła bez przekonania.

Dała się poprowadzić do bocznego korytarza, a stamtąd zawijanymi schodami do kolejnego, aż w końcu trafiła na opustoszałe kompletnie dolne piętro. Zakurzony kredens spoglądał smętnie na kilka krzeseł, nietrzymających żadnego stylu. Ot, widocznie piętro nie było w użytku, albo ze względu na brak obsługi, albo klienteli.

– Prędko.

Za pomieszczeniem były jeszcze jedne drzwi, tym razem spore, drewniane i o dziwo zamknięte od wewnątrz.

Chłopak zapukał trzy razy w długich odstępach, dwa w krótkich i znowu po dłuższej pauzie raz. Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem, przywołując niezaprzeczalny uśmiech na twarz Alicji. Czuła się jak dzieciństwie, gdy z siostrzenicą wkradały się na strych.

– Jest – wyszeptał podekscytowany chłopaczek, wyprowadzając Alicję z rozmyślań.

Sala była stosunkowo spora i pusta, tylko z jednym rzędem starych skrzynek pod ścianą. Teraz owe skrzynki zostały skolektywizowane na potrzeby tymczasowych trybun dla blisko kilkudziesięciu, a może i stu ludzi, tłoczących się przed podestem. Sam podest zresztą nie był podestem, a po prostu beczką, prawdopodobnie po śledziach.

Alicja stanęła pod ścianą, pozwoliła Żmudzinowi ruszyć dalej, bliżej sceny, by mógł mocniej wsłuchać się w słowa, które widocznie napędzały go do działania. Jej zaś było to połowicznie obojętne – była zaciekawiona, ale nie oczekiwała wiele.

Szpakowaty konferansjer z pasmami siwizny we włosach zakończył jakąś prowadzoną orację. Pompatycznie zapowiedział nadejście gościa, który postanowił przyjść na specjalne zaproszenie, wbrew groźbom totalitarnego rządu. Rzekomo miał on zaszczyścić obecnych dobrą nowiną, której sam był naocznym świadkiem, daleko na wschodzie.

Alicja zamrugała parę razy, powoli, wręcz ociężale. Po chwili jej serce szybciej zabiło i zrozumiała wreszcie w pełni, co się dzieje. To wszystko było przecież diabelnie niebezpieczne i nielegalne, za samą obecność mogła zostać uznana za agitatora albo gorzej, a to przecież...

W pierwszym odruchu szarpnęła się w kierunku drzwi, ale te zostały zamknięte i wykidajło był wyraźnie zajęty słuchaniem zapowiedzi gościa wieczoru. Machnął tylko ręką, mając gdzieś myślenie o tym, że ktokolwiek w ogóle chciałby wyjść z tego, co miało właśnie mieć miejsce.

Alicja, nie mając lepszej alternatywy, nasunęła ręce na czapkę, przymknęła oczy, wzięła głęboki oddech i pomyślała ze strachem: Co byś powiedział, gdybyś mnie taką teraz zobaczył Izuś? Jak to się stało?

– Towarzysze... – głęboki, ciepły głos dosłownie zniwelował zaduch sali, jakby ktoś otworzył okna. – Dobrze was wszystkich widzieć tak licznie

zebranych, tak przejętych naszym wspólnym celem, tak wspaniale oddanych sprawie.

Alicja nadstawiła uszy jak ryś, właściwie odruchowo. Jest coś takiego na świecie jak charyzma i zdawała sobie z tego sprawę. Nieraz wszelkiego rodzaju odpustowi oratorzy i inni legalni agitatorzy polityczni zabiegali o poparcie na placach i skwerach miejskich, ale większość z nich stanowili nieudani krzykacze. Wiedziała, że tak długo, jak jest się świadomym tego, co jest mówione i skupia się na treści, a nie formie, to nie sposób się nabrać na ich sztuczki.

Mniej więcej wtedy poczuła z tyłu głowy, że od jej poglądu mogą być nieliczne, ale istotne odstępstwa.

Lew Iskra był, no cóż, głupio jej było przyznać, doskonały. W tak durny, nieodpowiedzialny i dziwnie przesycony sposób. Ubrany elegancko, schludnie, ale bez przepychu, aby nie odstawać zbyt mocno od zebranych na sali proletariuszy. Zza kolistych okularów spoglądały błękitne, inteligentne oczy. Nawet włosy miał jednocześnie skromnie uczesane, a zarazem odważnie gęste, niepozostawiające miejsca na właściwe wiekowi średniemu zakola.

– Przybyłem do was z daleka, a jednocześnie z bliska. Z miejsca, którego nigdy nie widzieliście, a jednak jest wam najbliższe sercu. Czy wiecie, skąd wróciłem, przyjaciele?

Lew na moment zaśmiał się szczerze, po ludzku. Wpatrywał się w oddane mu twarze, które czekały na znaną od początku puentę – takie żarty bawiły ich najbardziej.

– Wróciłem z domu!

Oklaski wystrzeliły ogłuszającą kanonadą, a sam orator rozłożył ręce i wyszczerzył zęby. Przez moment kilka osób próbowało podejść jeszcze bliżej beczki, wpadając na przytrzymujących ją dwóch, całkowicie

oddanych słuchaczy. Ktoś podał Iskrze dłoń, inny opowiedział w dwóch zdaniach historię swojego życia i otrzymał poklepanie po ramieniu – wszystko, o czym marzył.

– Towarzysze – podjął ponownie mówca, wyławiając wzrokiem osoby z ostatnich rzędów. – Imperialistyczne zapędy Marszałka są najwyższym dowodem słuszności naszej sprawy. Miliony żołnierzy na czynnej służbie, przymusowe prace cywilne, głód, choroby, brak zaspokojenia pozostałych, jakże istotnych czy wręcz elementarnych potrzeb społeczeństwa. To tylko zadrapanie na pancernym szkłe, za którym skrywa się skarbnica przewinień aktualnego rządu. Jednak nie martwcie się, nie pomstujcie, a na pewno nie traćcie nadziei, towarzysze, bowiem jest jedna, piękna, wielka nowina! Na wschodzie nadal trwa wielka uczta! Cudowna, wspólna, rodzinna biesiada, do której wszyscy zostali zaproszeni i każdy winien mieć dostęp. Nasz dom jest przebogaty, a szczęście sprzyja przyjaciółom naszej sprawy. Dostajemy nieustannie listy, aerogramy, telegramy, a raz nawet spadł nam ładunek ulotek z balonu!

Krótki śmiech przebiegł po sali.

– To wszystko jest pełne najgorętszych słów wsparcia i zapewnień o przystąpieniu do wspólnej sprawy na zachodzie... Na południu... Na północy! Wszędzie są nasi przyjaciele, we Francji, w Niemczech, na wyspach Królestwa Brytyjskiego! Pod tronem samego Jerzego, uzurpującego sobie tytuł króla, są nasi ludzie, gotowi na dobrą zmianę. Zmianę, która nadejdzie...

Alicja zamrugała kilka razy, poczuła na sobie wzrok mówcy i... Nie, na początku nie wierzyła, ale jednak, patrzył się bezpośrednio na nią, takim znajomym spojrzeniem, które widziała tyle razy w snach.

Chciała się wyrwać, uciekać, ale po chwili już stłumiła w sobie ten odruch i Lew wskazał w jej kierunku dłonią. Gest był obszarowy i

skierowany do nikogo, ale wiedziała, że sam towarzysz Lew Iskra wybrał ją z gęstwiny ludzkiej i gotów był wypowiedzieć oczekiwane od lat słowa:

– Teraz! Rewolucja zaczyna się w tej chwili! W naszych sercach, a jutro także na ulicach, gdzie każdy będzie mógł poczuć na sobie orzeźwiający powiew wiatru wolności ze wschodu!

Chór oklasków, okrzyków i zawołań wstrząsnął piwnicą. Ktoś odważniejszy wyciągnął nawet pistolet i wywalił magazynek w sufit, przez co posypały się drzazgi i tynk. Dziw, że nikogo nie zabił. Lew patrzył na to wszystko z drapieżnym podnieceniem, z oczu biła mu błyszcząca egzaltacja, upewniająca jedynie słuchaczy w ich słusznym szaleństwie.

Alicja rozchyliła lekko usta, po chwili zaśmiała się głośno, zaklaskała w dłonie i wbiła w Lwa pełne uwielbienia spojrzenie czerwonych oczu.

* * *

Para wróbli zazgrzytała pazurkami o kamienny parapet za oknem, by po chwili dać się przepłoszyć nadlatującemu kosowi. Słoneczny, przedostatni dzień czerwca płynął sennie po ulicach Warszawy.

Izydor Murykiewicz, ubrany w przesiąknięty krwią, brudem i zapachem dymu mundur polowy, siedział spokojnie na jednym z krzeseł w poczekalni. Wyczekiwał, przerzucając wzrok sporadycznie na przemian ze stojącego w schludnej poczekalni zegara na ubraną w maskę ochronną sekretarkę.

Drzwi gabinetu lekarskiego otworzyły się, sunąc gładko nad podłogą. Ze środka dało się odczuć specyficzny zapach świeżego lakieru.

Kapitan miał sporo czasu, by pomyśleć nad tym, czego tak właściwie powinien się spodziewać po swojej przyszłości. Pomysł z

samobójstwem, jakkolwiek szlachetny, po pewnym czasie okazał mu się nazbyt romantyczny i bezmózgo-brawurowy. Ostatecznie nikt nie zaprzeczy, że żywy człowiek może zdziałać o wiele więcej dobrego niż martwy, prawda?

Bok przestał rwać skurczami bólu, a zaczął jedynie pulsować ciepłem i łaskotać pod gęstą kołdrą gaz, bandaży i kompresów. Mógł wejść do wnętrza sali wyprostowany i pewny swojej pozycji.

W końcu, jeśli był niewinny, to nie miał się czego bać, prawda? Przynajmniej tak rozumowali oficjele, którzy mogli prawie że dowolnie rozporządzać jego życiem tak długo, jak był na liście podejrzanych. Więc rozsądnym było zachować spokój i dać się skreślić z tej listy jak najszybciej.

– Dzień dobry – zaczął na wstępie, rozglądając się po obszernym, dobrze nasłonecznionym gabinecie.

Trzy wysokie okna z cienką szybą, parter, brak alternatywnych wyjść poza wcześniej widzianymi przy korytarzu drzwiami, zapewne do kotłowni, oraz dyskretnym przejściu do toalet. Cóż, ucieczka nie byłaby taka trudna, jak mógł się tego spodziewać. Nawet nikt go nie pilnował pod bronią, a w pomieszczeniu była tylko jedna osoba.

Wysoki, chudy człowiek w drucianych okularach nałożonych na twarz mimo zasłonięcia jej połowy przez mięsisty, dziwacznie obszerny bandaż. Wyglądał nieco niepokojąco, z nienaturalnie siwą bródką, wystającymi spod opatrunków plamami poparzonej skóry oraz zagadkowym, pewnym siebie uśmiechem paternalizmu.

– Proszę się nie krępować i usiąść – odpowiedział spokojnym, matowym głosem gospodarz, wskazując na przeciwległe krzesło.

Izydor, w momencie, gdy nieznajomy mówił, i tak już sobie podsuwał siedzisko, ale uznał to za próbę zrobienia dobrego wrażenia przez gospodarza i nadania komfortu potencjalnemu choremu.

Cóż, Instytut był stosunkowo świeżym obiektem, to wiedział nawet sam kapitan. Oddano go do użytku ledwie dwa miesiące temu, może półtora – chyba na początku maja, ale nie był pewien. Wtedy też zaczęły się pierwsze testy Samsonów w jego szwadronie, jeszcze na poligonie, a nie w terenie.

Byłym szwadronie, pomyślał z lekką nutą goryczy, ale po chwili strząsnął z siebie myśl jak przypadkowy paproch i spojrzał z dobrodusznym uśmiechem na gospodarza, który odpowiedział tym samym wyrazem twarzy.

– Nazywam się doktor Aleksander Breza, a pan to zapewne?

Nastąpiła krótka cisza.

– Zapewne...

– Haha, no oczywiście – zaśmiał się krótko Aleksander i poprawił bandaż osuwający się lekko na kącik ust. – Złapał mnie pan. Po raz pierwszy w życiu nie przygotowałem się do pracy. Nie mamy jeszcze pana karty pacjenta założonej nawet, a dowiedziałem się z samego rana tylko tyle, że będę miał badania, więc jak strzała wyskoczyłem z mieszkania!

– Rozumiem – zapewnił spokojnym tonem oficer i zamrugał jedynym niezasłoniętym okiem. – Izydor, po prostu. Muszę przyznać, że jestem jeszcze w lekkim szoku.

Wyciągnął dłoń do doktora jak gdyby nigdy nic. Ten spojrzał na oficera, wymienili się spojrzeniami pojedynczych gałek oczu i zaśmiali momentalnie, wymieniając uściskiem.

– Panie Izydorze – zaczął doktor, ale rozchylił lekko usta, spojrzał na rozbawiony grymas żołnierza i zmienił szyk zdania. – Izydorze, po prostu

Izydorze, tak? Cóż, może rzeczywiście powinniśmy zmienić formę badań na mniej oficjalne, bo do tej pory były to strasznie stresujące procedury. Zapewniam, że stres jest absolutnie zbędny, możesz się niepokoić, ale nie ma powodów do nerwów.

– Nie jestem zestresowany.

– Nawet nie wyglądasz – odpowiedział doktor, mrugając jednym okiem.

– To było jedno oczko czy...

– Mógłbym zapytać o to samo. Spokojnie, słyszałem, że ma pan infekcje oka, to się zdarza, u mnie to akurat inna sprawa.

– Masz może Aleksandrze coś...

– Do picia? Niestety, od pewnego czasu preferuję jedynie wodę, ale mogę polecić Jadwidze, by zrobiła herbaty. Niedawno przerzuciliśmy się z czajnika na samowar, kupiłem z własnej pensji. – Doktor skrzywił się na moment, a po chwili rozłożył dłonie w bezradnym geście pojednania z losem.

– Woda brzmi świetnie. – Izydor rozsiadł się wygodniej w krześle, zamrugał nagle kilka razy, jakby coś mu się przywidziało. Znajoma woń na krótki moment podrażniła nozdrza, by zaraz ustąpić innej, również znajomej, ale nie w ten sam sposób. – Przepraszam za spoufalanie się, ale używasz może perfum?

– Nie, ale stosuje okłady z czarnego bzu.

– To wiele wyjaśnia – przyznał ze smutkiem Murykiewicz, po czym utkwiał wzrok za oknem, patrząc gdzieś w dal za ogród Saski.

Doktor po chwili nieobecności wrócił z dzbankiem i dwoma kwadratowymi szklankami z rżniętego szkła. Przez moment rozkoszowali się smakiem wody, jakby to był ceremoniał społeczny na równi ważny, co angielskie czy japońskie parzenie herbaty.

– W takim razie przejdziemy do testów – powiedział ni stąd, ni zowąd doktor, chwytając za czekające pod stołem pudełko herbatników.

– Testujemy smak ciastek? Cóż, każdy dorabia sobie jak może.

– Nie jestem aż takim chałturnikiem. Wiem, że niektórzy na zachodzie traktują psychologię jak szarlatanerię, pomagającą sprzedać najwięcej szczoteczek, ale zapewniam, że zajmujemy się tutaj poważną nauką.

Breza przez moment mierzył się wzrokiem z oficerem, po czym skrupulatnie zaczął układać na stole smakołyki, niby bez większego ładu i składu, ale z wyraźną determinacją. Zachowywał się zupełnie tak, jakby w całym szaleństwie tkwiła jakaś wzniosła metoda.

Wreszcie na stole leżały ustawione, częściowo skruszone w procesie ciasteczka i Izydor stanął przed trudnym wyborem: trzymać fason czy parsknąć śmiechem.

Przez krótki moment zastanawiał się, jakim cudem pieniądze z budżetu Rzeczypospolitej mogą być marnowane do takiego stopnia, by ufundować jakąś pseudonaukę, która polega na mieszaniu ciastek. Oczywiście doktor Breza sprawiał wrażenie miłego i kulturalnego człowieka, nawet można powiedzieć skromnego, co jest niespotykaną cechą wśród przedstawicieli inteligencji. Mimo to Izydor widział w tym jedynie farsę.

– *Nie daj się zwieść pozorom* – wyszeptał miękki głos w głowie kapitana. – *Breza tka swoją sieć, a ty próbujesz się przecisnąć przez jej oka. Jeśli będziesz się szarpał i krzyczał, to tylko pogorszy sprawę.*

– Co mam robić? – odpowiedział w myślach Izydor. Miał czas, by przyzwyczaić się do nowego mieszkańca umysłu. – Czego ode mnie chcesz?

– Graj swoją rolę, on będzie grał swoją. Jeśli dobrze pójdzie, może będziecie mieć wspólny exodos zamiast komosu.

– Proszę zrobić z ciastkami tak, by było dobrze – matowy głos doktora wydawał się dobiegać z daleka, zza pulsującej ściany mięśni, naczyń krwionośnych i kości.

Zdanie jeszcze przed chwilą wprowadziłoby kapitana Izydora Murykiewicza w stan rozbawienia; teraz zmusiło go do przełknięcia lodowatej guli, staczającej się opornie w dół zaschniętego na wiór przełyku.

Dłonie zadrżały mu delikatnie, ukrył je pod biurkiem i wtedy zaczęły wręcz dygotać. Jedyne wyzierające na świat oko zamgliło się delikatnie, tracąc rozeznanie w odległościach i pozycjach między kolejnymi przedmiotami.

– Masz czas – zamruczał z zadowoleniem doktor, po czym jak gdyby nigdy nic wstał i ruszył w kierunku ogromnego parapetu, na którym stała tyraliera figurek.

Aleksander uniósł na moment żołnierzyka w szarży rotmistrza kawalerii, zważył go w dłoniach, wypuścił powietrze w cichym parsknięciu i odstawił marionetkę w oblepiony papierem kąt. Chwycił za gruby pędzel z gęstego, końskiego włosia i odkręcił butelkę o szerokim dnie, by móc z niej nabrać czerwonej mazi.

Wszystko to robił powoli, wręcz z pietyzmem. Nigdzie się nie spieszył i każdą decyzję rozpatrywał jak fragment religijnej ceremonii. Słyszał za plecami dźwięk kruszonych herbatników, przesuwanych w tę i we w tę, mruczenie, tarcie zębami, w pewnym momencie nawet gryzienie.

Breza zatrzymał dłoń w pół ruchu, nie przewidział, że ktoś może się zmienić tak szybko w jego biurze. Gdyby teraz rzucił się na niego z zębami i po prostu wbił kły w jego szyję? Głupia śmierć, niedorzeczna, co prawda też możliwa, ale jednak zwyczajnie głupia.

Nie, to niemożliwe, nie mógł się pomylić, nie on, nie w tych kwestiach. Przecież zmiany psychosomatyczne to nie kwestia chwili. Żołnierz wyglądał na stosunkowo normalnego, najwyżej we wczesnej fazie, nie ma tak ekstremalnych przypadków, prawda?

Aleksander miał zawsze przygotowaną hipotezę alternatywną, czyli po prostu plan b. Mógł zwyczajnie nacisnąć przycisk w biurku, który wysyłał krótki sygnał bucza w najbliższej stróżówce.

Tylko że przy biurku był kapitan, a nie Breza.

– Doktorze... – głos kapitana brzmiał inaczej, jakby jego szczeka rozszerzyła się, zęby zajmowały zbyt dużo miejsca, a krtań nie mogła nadażyć za nieludzkim charkotem.

Doktor obrócił się nieskończenie powoli, gotów na wszystko, co mógł zobaczyć.

– Skończyłem – wyznał Izydor z ustami napchanymi herbatnikami. – Jest dobrze.

– Słucham?

– Skończyłem...

– Słyszałem, nie, tylko... – zawiesił się na moment doktor, syknął zły zarówno na gościa, jak i na siebie. – Tylko mówisz z pełnymi ustami, to jest bardzo niegrzeczne i zniekształca głos.

– Przepraszam.

– Wybaczam. – Doktor pomasaował skronie, spojrzał na stół, z którego zmiecione do czysta zostały wszystkie okruszki. – Zjadłeś wszystko?

– Do czysta.

– Jak szarańcza. – Breza uśmiechnął się i zasiadł z powrotem przy biurku.

– No dobra, masz mnie – mruknął skruszony kapitan, wyjmując równie skruszony herbatnik z kieszeni spodni. – Jedno zabrać chciałem na drogę do domu.

– Do domu.

– Tak, już zrobiłem test. Możesz mi je wysłać pocztą do domu, ponoć te naukowe sprawy dużo obliczeń zajmują.

– *Touché* – odezwał się nagle głos w głowie Izydora.

– *Touché* – odpowiedział Izydor.

– *Touché?* – zapytał Breza.

Na moment zapadła niezręczna cisza. Żaden z obecnych nie miał zamiaru jej przerywać, by nie brać na siebie tego gorącego ziemniaka, z którego wypadłoby się tłumaczyć. Przez jakiś czas zatem patrzyli na siebie, aż Izydor wzruszył ramionami jak uczeń przyłapany na jedzeniu kredy, i po prostu odwrócił wzrok.

– Właściwie to mam gotowy klucz odpowiedzi, więc mogę ci zaraz powiedzieć, jaki jest wynik, tylko chciałbym o coś zapytać – wyznał zmęczonym tonem Breza, spoglądając smutno na pusty stół.

– Słucham uważnie.

– Dlaczego skolektywizowałeś wszystkie moje herbatniki?

Izydor rozwarł oczy, a raczej oko, stracił na moment dech w piersi i wydał z siebie tylko nieartykułowany jęk. Patrzył pytająco na interlokutora, ale wiedział, że to na nim spoczywa odpowiedzialność i z każdą sekundą coraz bardziej trzeba się było z tej odpowiedzialności rozliczyć.

To nie było żadne badanie, to była jakaś paranoja, szopka, przesłuchanie udające naukę.

– Sprywatyzowałem – wyznał wreszcie Izydor.

– Skolektywizowałeś dla siebie i swojego przyjaciela w głowie.

Doktor położył ostrożnie palec na przycisku. Był gotów wezwać strażników z ostrą amunicją, którzy przybyliby w ciągu kilkunastu sekund, chociażby razem z drzwiami. Jednak coś go jeszcze powstrzymywało.

– Cóż, jesteśmy jeszcze na etapie wspólnego ustalania naszych opinii na różne tematy.

Kapitan mówił spokojnym, poważnym tonem.

Breza przejechał palcem po przycisku, delikatnie go przesuwając do góry i... Nagle postawił oba łokcie na biurku, pokazał wnętrze dłoni do Izydora i na moment odchylił kompres z czarnym bżem.

Poparzona skóra rozjeżdżała się płatami pąsu, rózu i szkarłatu, aż wreszcie znajdowała swoje źródło w ziejącym kraterze wydłubanego do czysta oczodołu, w którym pulsowała matnia żył. Naczynia krwionośne najeżdżały na siebie, łączyły się i rozdzielały jak korzenie przedziwnego drzewa albo grzybni, aż w końcu Izydor nie mógł dłużej patrzeć. Oficer skrzywił się wyraźnie i doktor zakończył demonstrację.

– *Zrobiło się o wiele ciekawiej* – zaszeptał głos w głowie kapitana, na co ten najpierw niezmiernie się zdziwił, a potem zawarczał jak zwierzę.

– Nie będziesz mną frymarzyć.

– *Nawet nie wiedziałeś, co powiem.*

– Wiedziałem.

– Myślę, że najwyższy czas na zmianę kursu tego statku, zanim rozbijemy się o górę lodową – wyznał refleksyjnie doktor, opuścił wzrok w zadumie i zawstydzeniu, po czym podniósł go z nową siłą i determinacją. – Karty są na stole, awersy czytelne jak nigdy, zagrasz ze mną Izydorze?

– Honor oficera wojska polskiego nie pozwala mi na kolaborowanie z wrogiem. Natomiast spiskowanie przeciwko państwu polskiemu i ucieczka przed utylizacją w wypadku zarażenia Karmazyną jest nielegalna oraz... cóż – karana śmiercią właśnie.

– Więc umrę jako człowiek wolny, a nie zniewolony. Daje mi pan kolejny, choć nieco archaiczny i emocjonalny argument.

– To jakieś szaleństwo – zachnął się oficer jakby niedowierzając rozgrywającej się scenie. – Myślałem, że to ja, mimo bohaterskiej walki z potwornością, która mnie trawi, będę musiał w chwili słabości salwować się ucieczką, a tutaj... Cholera, czy wszyscy w tym kraju są zarażeni?!

Nastąpiła długa, niezręczna cisza.

Breza wymienił się spojrzeniami z kapitanem, po czym obaj wstali i uchylili okna. Przez moment wdychali po prostu świeże powietrze, wymieniali się przytaknięciami i wskazywali sobie co ciekawsze elementy krajobrazu, tak po ludzku, zwyczajnie.

Wreszcie doktor zamknął drugie okno i nim zdążył coś powiedzieć, Izydor ponownie wrócił do nakręcania katarynki zaprzeczenia.

– Musimy jakoś to w sobie zwalczyć!

– Ciszej, młody kolego Izydorze. – Doktor przystawił palec do ust i pokiwał głową. – Chyba nie zaprzeczysz, że stoisz przed najlepszym dowodem próby takowego oporu.

– Jak to się stało... Jak pan... Ty się zaraziłeś?

– Dobre pytanie. Szczerze, to mam parę teorii, ale najbardziej upodobałem sobie jedną, dość dziwaczną.

– Zamieniam się w słuch – odparł Izydor, rozsiadając się na krześle i sięgając po ostatniego herbatnika z kieszeni.

– Samo obcowanie z językiem umysłu... Przepraszam, to nie jest oficjalna definicja, po prostu jedna z petentek była u mnie niedawno i pytała o swojego męża...

– Do rzeczy – warknął Izydor.

– No racja, nie nasza sprawa. Więc ten język umysłu, którym mówi każda zarażona rzecz lub taka, która ma jakikolwiek z nią kontakt, jest

głosem bardzo cichym, zazwyczaj ledwie słyszalnym. Jednak są takie momenty, gdy człowiek słyszy, jak Karmazyna mówi, a mówi bardzo, ale to niezwykle wręcz sensownie.

– To znaczy?

– Gdy człowiek śpi i widzi obrazy, to zawierają one o wiele więcej informacji, niż my zazwyczaj z obrazów wyciągamy. To tak jakby...

– Jakby patrzeć na obraz i znać całą jego historię powstawania, tło historyczne, biografie autora...

– Dokładnie, dokładnie tak! – podniósł głos doktor, ekscytując się i drapiąc po opatrunku. – Jesteśmy po prostu w trakcie nieustannej dyskusji, w której czasie nasze organizmy przyswajają abstrakcyjnie wielkie zbiory danych.

– Jesteśmy zakrzyczani przez ten głos...

– Raczej zarzuceni argumentami, na których odparcie nie starczy nam życia.

– To tak jak w dyskusjach akademickich – wyszczerzył się złośliwie Izydor, poprawiając własny opatrunek.

– Nie wiem, nie dyskutuję. Mówię, do czego sam doszedłem i zostawiam innym analizę. Nigdy nie mają mi nic mądrego do powiedzenia. Nie ma wielu praktyków Karmazynologii w tym kraju i chyba niedługo będzie o jednego mniej.

Cisza. Drażąca, napinająca się co chwila i grożąca wybuchem cisza drażyła uszy Izydora, który nie mógł zwalczyć własnych emocji i przekonań na wszystkich frontach. Czuł się otoczony, wydawało mu się nawet momentami, że może dla samego świętego spokoju warto byłoby się poddać.

– Co z okiem? – spytał ni stąd, ni zowąd Murykiewicz.

– Nie wygląda na po prostu wyparzone, a raczej...

– Wydłubane.

– Boże.

– Przepraszam, wyłyżeczkowane. Bardzo niedawno, swoją drogą, gdy tylko zorientowałem się, co się dzieje.

– Było już za późno, prawda?

– Nadal nie rozumiesz, Izydorze. – Doktor wreszcie zdjął opaskę i spojrzał ziejącą otchłanią pulsującej, krwistej brei wprost w rozmówcę.

– My wszyscy od początku nieuchronnie jesteśmy tym wypełnieni i nierozłączni. Czy takie proste zdanie jesteś w stanie przyjąć i zapamiętać?

Breza westchnął ciężko i wskazał ręką na rozstawione na uboczu figurki żołnierzy.

– Karmazyna nie jest złem, to nie jest diabeł, to nie jest wirus, to nie jest pasożyt. To organizm symbiotyczny, który może nam wszystkim pomóc, byśmy razem żyli w dobrobycie. Karmazyna jest jak oryginalny biologicznie naród, którego wszyscy możemy być członkami. Wystarczy przyznać sobie w sercu, że nie miało się racji.

Murykiewicz spojrzał na doktora, po czym zwyczajnie pochylił głowę, nałożył na nią ręce i cicho zamruczał. Zastygł w bezruchu, nie mogąc zmusić się do podjęcia żadnych dalszych działań. Zupełnie tak, jak złapane w światło reflektora zwierzę.

Wtem, dłoń. Zwykła, ludzka, wyciągnięta dłoń zjawiała się w polu widzenia Izydora. Posunął wzrokiem wzdłuż ręki i zobaczył twarz doktora Aleksandra Brezy. Twarz pokrytą czerwonymi wybroczynami, gnijącą, ale nadal skrywającego wigor i ciekawość wobec świata. Cenny zapał do życia spacerował po tęczęwce doktora, jakby był tam obecny od zawsze i na zawsze.

– To nie jest koniec, to dopiero początek – odezwał się doktor ciepłym głosem, błysnął czerwonym okiem i chwycił dłoń oficera.
– Chociaż spróbuj.

* * *

Dyrektor Piotr Hukiewicz wstał z niesmakiem w ustach. Właściwie to także w całym przelyku, rozciągającym się aż do żołądka i jelit. Był pewien, że jego organy zmieniły się w kudłatego kota, a potem wywróciły na drugą stronę.

Przeciągnął się nieśpiesznie na szerokim łożu, spojrzał w sufit, odetchnął ciężko i stwierdził z całą pewnością:

– Kurwa, gorąco.

Przez moment rozglądał się jeszcze za mużą o szerokich biodrach, która towarzyszyła mu od samej *Verdany*, aż do apartamentu. Nic. Nawet nie zostało po niej wygniecione, ciepłe miejsce w pościeli.

Młasnął z zawodem, obrócił się na drugą stronę. Nie, tam też jej nie było. Wreszcie uznał, że jest zły i musi ową złość na kimś wyładować, tak po prostu. W końcu za coś się ludziom płaci z własnej krwawicy, codziennie oddawanej za bezcen.

Chwycił za ciężką słuchawkę koloru starego złota i przyłożył długą rurkę do ucha. Telefony nie były jeszcze tak powszechne w użytku publicznym, ale przecież *Duńczyk* był najlepszy hotelem, do jakiego mogła go zawieźć taksówka, nim zwymiotował rumem i zającem w żurawinie.

Na moment uśmiechnął się, przypominając sobie, jak jedną ręką trzymał legitymację partyjną, drugą obejmował kokietkę, a głową... Cóż, głową kontynuował zwracanie.

– Słucham? – powtórzył trzeci raz rozmówca w słuchawce.

– A tak – mruknął zdezorientowany Piotr, po czym przybrał poważniejszy ton głosu. – Wodę, z lodem, natychmiast.

Po czym odłożył słuchawkę, nim służba zdążyła zapytać o jakiegokolwiek szczegóły. Niech się domyślają, z którego pokoju dzwonił, a jak nie wiedzą... to nie. Ich problem.

Przez chwilę siłował się jeszcze z myślą o wstaniu i przemęczeniu drogi do natrysków. Powinni mieć łaźnie w hotelu, ale przecież nie będzie się zwlekał tak daleko, a na pewno nie w tym stanie.

Drzwi odezwały się serią energicznych puknięć, po czym chłopak w czerwonej kamizelce wszedł, nie nasłuchując odpowiedzi i postawił na stoliku z lampką tackę.

– Co jest?

– Woda dla szanownego pana – wyjaśnił grzecznie lokaj, po czym pochylił lekko głowę i skierował się do wyjścia.

– Zaraz, moment, ale nie powiedziałem, jaką chcę.

– Z lodem.

– Sodowana?

– Tak...

– Ja chciałem, kurwa, nie! – krzyknął Piotr, od razu odczuwając narastające ciepło w żołądku, niewynikające raczej z nieswieżości. – No i co teraz?

– Przyniosłem dwa dzbanki, taką i taką. Miłego popołudnia panu życzę. – Chłopak wyszczerzył się i zamknął za sobą drzwi.

– Skurwysyny! – warknął szczerze oburzony Hukiewicz. – Z czystej złośliwości tak wszystko robią, nie do wiary.

Chwycił za naczynie, nalał sobie samemu wody, po czym zwyczajnie przystawił dzbanek do ust i zaczął chleptać.

– Chuje – warknął, czując, jak kostki lodu obijają mu się o zęby.

Zastanawiał się, czy tak właściwie jest sens, by jeszcze robić dzisiaj cokolwiek. Mógł równie dobrze zostać, gdzie był i mieć wszystko inne gdzieś. No może jeszcze zamówić kogoś do towarzystwa, by się nie nudzić samemu. Jednak nie, nie mógłby spokojnie usiedzieć z myślą jak go potraktowano. Zwyczajnie oburzające, nie mieć nawet kogo łajać.

No tak, czyli jednak miał powód, by iść do biura – urządzić biurwom drugi Lwów. Ta myśl niezwykle go ucieszyła, a nawet dała siłę do podjęcia się porannej toalety i ruszenia ochoczo w kierunku ministerstwa.

Zamachnął się przed hotelem na taryfę.

Nie jest tak daleko, pomyślał jeszcze, przejdę się, to bania szybciej zejdzie.

Ostatecznie odmachnął na taksówkarza, by jednak odjechał, gdy ten nie zrozumiał gestu, pokazał mu zwyczajnie figę i popukał się w czoło. Zadowolony z siebie ruszył szerokim chodnikiem, wdychając zapachy z uporządkowanych przydrożnych klombów.

Przez krótki moment pomyślał o swoim parszywym krewniak, który wczoraj późnym wieczorem ubiegał się o jakieś durne dokumenty, które i tak pewnie można było zdobyć na niższym szczeblu w prostszy sposób. Czy to takie trudne podejść do okienka i zwyczajnie się o coś zapytać?

Przypomniał sobie dziwną blondynkę, która rozpętała awanturę w urzędzie i na tę myśl aż musiał splunąć między niewypastowane buty. O co jej chodziło, tego nadal nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Właściwie to przestawało go wszystko obchodzić ostatnimi czasy, czuł się odizolowany od całego bałaganu, jaki rozgrywał się w mieście.

Wszędzie czuł jakąś niewypowiedzianą groźbę, która wydawała się wręcz pulsować i wysączać przez promenady i bulwary. Napięta cisza dawała o sobie znać nawet w tak pogodny i spokojny dzień.

Piotr doszedł do momentu przełomowego w swoim życiu: postanowił mieć to wszystko gdzieś. Miał odłożone trochę pieniędzy, ba, miała fortunę! Mógł po prostu honorowo odejść ze stanowiska, odbębnić tournée po spotkaniach, spędach, fetach i bankietach, a na końcu wyprowadzić się gdzieś na wieś. Lepiej, mógł wynająć domek nad Bałtykiem i mieć wtedy faktyczne wczasy. Nie robić nic, tylko oddychać morską bryzą i cieszyć się tym, że wszystkie problemy zostawił za sobą.

Właściwie już to niemal czuł, świeży powiew wiatru, niosący delikatny zapach bzu. Następne co poczuł to bezdech i niemożność dociągnięcia tlenu do płuc. Grdyka zarzęziła, usta parsknęły krwawymi bańkami i nogi ugięły się same pod ciężarem słabnącego ciała.

Uderzył głową o bruk, jeszcze widząc przed sobą parę roboczych butów i rosnącą plamę krwi, tylko czyjej? Sekundy wydawały się wiecznością, którą przywrócił do normalnego rytmu dopiero gromki, kobiecy okrzyk:

– Chwała rewolucji! Niech żyje wolny świat! Precz z Marszałkiem!

Rozdział trzeci

27 czerwca Warszawa – na dwa dni przed rewolucją.

– Dość już tych poważnych tematów, porozmawiajmy o Polsce.

Attaché Cesarstwa Niemieckiego uśmiechnął się delikatnie, odsuwając od siebie filiżankę herbaty. Przez moment nasłuchiwał rechotu, chichotu, czy chociaż parsknięcia, ale interlokutorowi nie było wcale do śmiechu.

Marszałek Józef Piłsudski dopiero po pół minuty mrugnął tak ociężale, jakby zamykał masywne wrota na zachód, a później otwierał, już z łatwością. Nie odzywał się wcale, nie musiał. Mówił wiele przez ostatnie lata, by teraz móc spokojnie milczeć, kiedy chciał.

Służący rozwarł bukowe odrzwia i wpuścił do obszernego gabinetu nową postać. Wypudrowana przesadnie dama w rozkloszowanej sukni na fortugale wkroczyła do środka, rozniecając inwazyjny zapach Laudanum.

Dyplomata obrócił się natychmiast, co najmniej jakby spodziewał się plutonu egzekucyjnego, wchodzącego z trzaskiem wyłamywanych zawiasów. Zamiast tego zawiesił oko na nowo przybyłej, wstał i wyszczerzył się, w swoim mniemaniu, zalotnie.

– Widzę, że moda nie dotarła jeszcze do Europy Wschodniej – ponownie pokusił się na przebłysk humoru.

– Widzę, że kultura osobista nie dotarła jeszcze do Królewca – zripostowała i nachyliła się nad czcigodnym Marszałkiem, by wyszeptać mu coś do ucha.

– *Königsbergu* – poprawił zirytowany gość.

– Niedługo – odezwał się wreszcie gospodarz, nie wiadomo, czy do damy, czy gościa. – Dla mnie Polska jest jedyną poważną sprawą i tylko o Polsce mogę mówić. Ale my już sobie wszystko powiedzieliśmy.

Ta rozmowa... nie jest nawet ważna. Jej treść nie ma znaczenia. Ostatni kwadrans był zbędny w perspektywie historii.

Pod gęstym wąsem zagrała blizna, oczy Marszałka błysnęły złowrogo, nieomal wypadając z orbit. Uniósł pokrytą azotanem srebra dłoń, cicho zasyczał siłownikami i wykręcił jeden z mechanicznych palców w kierunku drzwi.

Niemiec zdjął z wieszaka kremowy kapelusz o szerokim rondzie i z nonszalancją ruszył w kierunku wyjścia, obrzucając tylko dziwną parę przelotnym spojrzeniem i krótkim:

– *Warschau*, niedługo.

Gdy już zostali sami, Marszałek rozsiadł się wygodniej, włożył dwa palce za kołnierz i przeciągnął się to w jedną to w drugą stronę.

– Każde ich słowo to jad sączący się do moich uszu. Czasami mam wrażenie, że otaczają mnie węże, gotowe do wgryzienia mi się w słabiznę

– Bo tak jest – odpowiedziała smutno dama.

– Ty wiesz o tym najlepiej, Elżbieto. Powiedz mi, jak wygląda sprawa z twoimi...

– One? Jak zawsze, słuchają. Niemal codziennie przesuwamy kogoś wyżej w tabeli, większość niestety szybko gnieje. Tak naprawdę im dalej ich trzymamy od wschodu, tym lepiej im to wychodzi. Są też pewne wyjątki. – Elżbieta oparła się nieelegancko o biurko, chwyciła między dwa palce zwisający włącznik lampy i pociągnęła raz i drugi, jakby się nudziła. – Dowbor Obrębski na ten przykład.

– Pułkownik, wiem.

– Pamiętasz, gdzie stacjonuje?

Marszałek spojrział gdzieś w dal nieobecny wzrokiem. Nagle drgnął, jakby budził się ze snu po czym wyraźnym głosem odpowiedział bez wahania:

– Brzeg Morza Bałtyckiego, Gdynia, nowa forteca i powstający kanał przerzutowy. Przy dobrych wiatrach zwiększymy stosunek transportu lądowego na rzecz morskiego o kilkadziesiąt punktów procentowych. To ogromna rzecz.

– Import wzrasta nam bez naszej zgody – odparła cierpko.
– Każdego dnia tony ścierwa wyrzucane są na brzeg. Na porządku dziennym jest to, że niemieckie barki transportowe podrzucają nam na plażę także swoje odpady. Nie chodzi rzecz jasna o łuski.

– Świnie – warknął Marszałek, zaciskając sztuczną dłoń w pięść.
– Powinienem był wziąć łeb tego bydlaka i roztrzaskać o kant biurka.

Marszałek uderzył pięścią w blat, aż grawerowana suszka podskoczyła wysoko. Elżbieta chwyciła błyskawicznym ruchem przyrząd i postawiła z powrotem na jego miejscu.

– I co robi z tym Dowbor? – dopytał jeszcze.

– Według jego żony – wszystko, co może, ale nie stać nas na to. Po prostu nie stać nas na żadne zmagania, żadną wojnę. Gdybyśmy jeszcze mogli więcej korzystać z zajętego sprzętu, ale nawet tego nie możemy, bo wtedy morale w armii spadają. Instytut jest pewien, że żołnierze o wysokim współczynniku patriotyzmu są mniej narażeni.

– Współczynnik patriotyzmu – wyszczał Piłsudski, po czym wstał od biurka i zbliżył się nieśpiesznie do okna. – Jakby mieli olej w głowie, to byłiby przydatniejsi. Co za bzdura, że byle przemalowany francuski *Loup* albo niemiecki *Hirsch* jest w stanie zaważyć o tym, czy ktoś ma zamiar walczyć z nami, czy przeciwko nam.

Spomiędzy czterech marmurowych kolumn można było dostrzec panoramę Parku Łazienkowskiego, przez który nieustannie przelewała się rzeka przechodniów. Sporadycznie ktoś zatrzymywał się i machał do

pustych okien Belwederu, choć w duchu licząc, że zostanie dostrzeżony, a może i nagrodzony za przypadkowy akt postawy obywatelskiej.

– Po co tak machasz? – powiedział pod nosem Marszałek, uśmiechając się smutno. – Na co ci uznanie? Dokąd tak idziecie? Głupstwa, wszystko głupstwa, jeśli nie ma się etosu.

Wtem gospodarz obrócił się i spojrzał z furią na swoją mechaniczną protezę, służącą mu od czasów powstania. Na moment coś błysnęło w jego stalowo błękitnym oku, jak duma albo przypływ pasji.

– Oddałbym drugą, dwie stopy, kolano, nerki i serce! Oddałbym wszystko, gdybym tylko sobie tak postanowił. Dlatego nie boję się, że ktoś mi zaoferuje wieczny pokój i szczęście, bo nie zależy mi na ich pokoju i ich szczęściu. Zależy mi na moim pokoju, który sam stworzyłem gołymi rękoma!

Elżbieta skrzywiła się lekko, położyła sobie palce na szyi, niby zafrasowanym gestem. Przez moment było jej nawet szkoda Naczelnika, który zdawał się zbyt wrażliwy na świat, w jakim przyszło mu żyć.

– Stworzyliśmy te wszystkie symbole... jak kartki z przepisami na bycie przyzwoitym człowiekiem, memento, rozkaz! Bo większość ludzi nie jest w stanie myśleć za siebie, nie mają moralności, więc daliśmy im naszą. Musimy im ją narzucić, zanim inni to zrobią. Każdego dnia czuję, że zbliżamy się do potwornej katastrofy, bo ludzie...

Nagle jakby opadł z sił, oparł się o biurko i przysiadł ciężko na swoim miejscu.

– Pociesz mnie – szepnął.

– Nie – odpowiedziała, zbliżając się do drzwi. – Mogę ci powiedzieć, że pozyskujemy ponad pół miliona ton ropy naftowej i wydobywamy dwadzieścia pięć milionów ton węgla oraz trzydzieści razy tyle stali. Mogę ci powiedzieć, że każdego dnia mniej osób umiera na tyfus,

zmniejsza się wskaźnik analfabetyzmu, a co tydzień kolejna miejscowość zostaje zelektryfikowana. Natomiast nie mogę cię pocieszać. Ze swoimi demonami musisz radzić sobie sam. A wątpię, że jakkolwiek ilość podkładów kolejowych ci w tym pomoże.

– Powiedz mi chociaż, że mam rację – ton Naczelnika ni stąd, ni zowąd zrobił się słabszy, wręcz błagalny, jak kogoś na granicy płaczu.

– Na tym polega niezachwiana wiara – wyjaśniła grzecznie.
– Nie pytasz się, czy masz rację, po prostu uważasz, że ją masz. Każda decyzja, jaką podejmiesz, będzie dobra, jeśli tylko się nie zawahasz. Jeśli powiesz, że mamy się poddać, to tak zrobimy; jeśli stwierdzisz, że dalej będziemy budować wielkie kołyski wokół miast i zamykać uszy przed jazgotem ze wschodu, to też to przyjmiemy.

Dama zbliżyła się po raz ostatni do Marszałka, przyklęknęła obok niego i położyła mu swoją bladą dłoń na jego srebrnej.

– Więc idziemy na wojnę – szepnął Marszałek.

* * *

Przedpola Lwowa

Sierżant Piotr Orzechowski zacisnął dłonie na pokrytych skórą drążkach, przygryzł dolną wargę i zmrużył oczy. Wylot dyszla z niechwytniej dłoni Samsona był pozbawiony szczerbinki, a rozprysk powyżej dwudziestu metrów i tak zaczynał życie własnym życiem. Z większej odległości celowanie stanowiło czystą loterię. Piotr nie uznawał tego za problem, bo od urodzenia i tak był szczęściarzem, no i hazardzistą.

– W imię Ojca i Syna... Ognia! – zabuczał wewnątrz kabiny interkom głosem podpułkownika Utratnego.

Sierżant, jak i reszta podzielonego szwadronu, czekali w gotowości. Wystarczyło odciągnąć jeden trybik, by uchylić zaślepkę.

Mechanizm zapłonu kliknął cicho. Gęsty, biały Rosenberpan wyleciał długą parabolą wprost na maszerującą kolumnę nieprzyjaciół.

Dookoła Piotra zahuczały inne leje sprężonych płynów, tryskających z niewidocznych wśród burego kamuflażu kranów. Z ledwie dostrzegalnym opóźnieniem ruszyły bliźniacze strugi z letniego młodniaku po drugiej stronie drogi.

– I jeszcze... – szepnął Orzechowski, nasłuchując z oczekiwaniem.

Symfonia terkotliwych serii z karabinów maszynowych zagrała staccato nad nowopowstałym polem bitwy. Kocioł ognia zawarł się dookoła zbitych ciasno wrogów.

Płomienie Rosenberpanu od początku niezdrowo ekscytowały Piotra. Głośnie, jasne, rozległe i właściwie nie do ugaszenia. Zupełnie jak ogień patriotyzmu, który płonął w sercu każdego żołnierza. To był prawdziwy zaszczyt, nieść prometejski ogień na wschód.

Wysokie ramiona pożogi sięgały nieba, prawie całkowicie zasłaniając widok na wrażą armię. Jeden punkt wciąż górował ponad najwyższymi nawet słupami ciemnego dymu. Najstraszniejszy, przedziwny kształt żywej góry na dwóch krótkich nogach.

– Drzecki, Rolewski, Nowicki... – zatrzeszczał dowódca przez interkom jak na zawołanie. – Skierować ogień na Behemota.

Siłowniki zabuksowały dziko, sprężając powietrze i wtłaczając coraz większe ciśnienie do zbiorników z mieszanką. Gumowe węże zatrzęsły się niekontrolowanie i puściły ku obojczykowi giganta trzy tytanicznych rozmiarów gejzery.

Dziesięciometrowa góra czerwonego mięsa nie była tym, czego najbardziej bali się żołnierze Rzeczypospolitej. Starli się przecież z

wrogiem, który nie walczył gwintowanymi lufami ani bagnetami. Walczyli z własnymi demonami, próbującymi wdrzeć się do świata zewnętrznego.

Wmontowana w głowę giganta platforma nadal nie mogła zająć się ogniem. Stojący na niej obszter dzierżył w obu dłoniach coś na kształt wielkiego, czarno-białego lizaka. Jednak żadnemu z walczących nie było do śmiechu, wszyscy wiedzieli, jaka jest prawda.

Epidemia Karmazynu, która spustoszyła Azję, była przerażającą chorobą, jedyną w swoim rodzaju. Instytuty badawcze produkowały z siebie każdego dnia dziesiątki hipotez i modeli teoretycznych, ale prym wśród żołnierzy wiódł ten jeden, najbardziej niepokojący:

Karmazyna była chorobą przenoszona każdą drogą. Kontakt bezpośredni? Zarażenie. Droga kropelkowa? Zarażenie. Spoglądanie zbyt długo na zarażonych Karmazyną? Zarażenie. Myślenie o Karmazynie? Zarażenie.

Nic więc dziwnego, że mesmeryzujący, przyciągający niemal siłą fizyczną spojrzenia wir był tym, czego piloci pojazdów krocących bali się bardziej od zwykłego zwarcia z wrogiem.

W jednej chwili myśli się o tym, że warto rozmawiać z innymi, w następnej chwili człowiek obraca się twarzą do reszty tyraliery i odkręca kurek z Rosenberpanem w kierunku swoich towarzyszy.

– Pod Twą obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko – szepnął Piotr, pociągnął delikatnie za dźwignię i zaciągnął ramię do góry. Ciśnieniomierz zastukał niepokojąco wskazówką o czerwone pole.

Struga skondensowanego ognia zafalowała sinusoidalnie i oblała olbrzymą od stóp do głów – swoich i jeźdźca. Teraz płomienie huczały ogłuszająco, zmieniając stary trakt przy nasypie kolejowym w rozgrzany kocioł.

Coś jest nie tak, pomyślał z narastającym strachem Piotr, coś tutaj nie gra.

Gigant opadł na kruche kolana, dosłownie topniejąc jak wielka woskowa świeca. Kawałki zwęglonego ciała odpadały od resztek bulgoczących mięśni i pozostawiały za sobą tylko poczerniałe, gargantuiczne kości.

Wtem jazgot dziesiątek gardeł przedarł się przez zasłonę dymu i z pogorzeliśka zaszarżowało kilkadziesiąt kopyt, zbitych w jedną masę. Stopione ze sobą pseudokonie turkotały w chaotycznym, nierównym rytmie o ubitą drogę i pokonywały kolejne metry w zastraszającym tempie.

– Jasny gwint, walić! Walić, na miłość Boską! – krzyczał podpułkownik, ale było już za późno.

Stanowisko ogniowe ukryte za barykadą z worków piasku nadal grzmiało ciągłym ogniem. Kilku przerażonych obrońców prysnęło na boki, pozostawiając samotnego strzelca z trójnogiem, błyskającym nieustanną kanonadą ołowiu.

Masywny twór po prostu stratował całą linię umocnień i nadal jeszcze płonąc, dymiąc i topiąc się, wbiegł pomiędzy zabudowania wsi. Drewniane budynki, opłotki i kompostowniki wysuszone czerwcowym słońcem złapały ogień od razu. Czerwony kur objął całą miejscowość niemal natychmiastowo.

Sponad łuny rozszerzającego się pożaru wychylała się co rusz sylwetka wielometrowego konia o setkach kończyn. Każdy z zębatach pysków rżał przeraźliwie, parskał i zapadał się w ziemię, by szczękami wyrwać kawałek szopy i podrzucić w górę ku niczyjej uciechu.

– Wrócił Wróbel-03 – zakomunikował dowódca w interkomie.
– Rozciągnąć tyralierę, zagiąć skrzydła do tyłu i przygotować się na

przyjęcie uderzenia z północy. Będziemy się przesuwac w stronę stacji kolejowej i zajmimy węzeł komunikacyjny, powtarzam...

Piotr oddychał ciężko, jakby właśnie przebiegł kilka kilometrów. Zupełnie jak wtedy, gdy w liceum wybierano go na zawody reprezentacyjne. Pamiętał doskonale, bo zazwyczaj wygrywał i omal nie szalał z nerwów, naśladując ruchami ust, że zna obco brzmiący hymn na cześć Cara. Pamiętał, że wszyscy patrzyli się na zwycięzcę biegu z podziwem, gdy ten, spocony jak sto nieszczęść, stał na podium i udawał, że wie, co robi.

Dokładnie tak się czuł teraz, maszerując w kierunku nieustannego inferno, z którego dobiegały ryki agonii umierających zmieszane z warkotem motorów napędzających wielkie maszyny wojny.

Oficjalnie wróg nie był człowiekiem.

Nieoficjalnie – Piotr widział krew, słyszał krzyki, czuł strach umierających w zasadzce.

– Szachownica dwurzędowa w środku, szwadron drugi – zakomenderował pewnie podpułkownik.

Orzechowski pchnął dźwignię, zawałcował w prawo i przesunął się na miejsce blisko rdzenia formacji.

Jednostki typu Samson stanowiły drobny procent w armii Rzeczypospolitej. Pierwszą partię stracono od razu na testach bojowych pod Skrzyszewem, druga zatrzymała się przy Brześciu, a trzecia, której egzemplarz miał zaszczyt pilotować Piotr, dostała najbardziej honorowe zadanie – wyrwanie Karmazynie węzła kolejowego przed Lwowem.

Pancerna nawałnica szła do tej pory jak lodołamacz przez cienką zmarzlinę. Podążali wzdłuż kolei, wypalając dziurę w Karmazynowej masie. Doświadczenie bojowe potwierdziło to, co mówiły testy i teraz

wszyscy liczyli, że przeciwnik nie spodziewa się tak szybkiego rzutu nowych sił.

Piotr obejrzał się jeszcze ukradkiem na skwierczącą hałdę mięsa, która pozostała po zasadzce. Płonący koń zdążył rozpaść się na kilka części i wchłonąć w rozgrywające się we wsi piekło. Trzaskające zabudowania nadal straszyły odchodzących żołnierzy, zapadając się coraz bardziej w sobie i truchlejąc.

Letnie słońce tańczyło nieustannie na kawałkach odsłoniętych pancerzy. Pochód złożony z blisko trzech setek mechanicznych rycerzy kroczył w nierównym tempie, nie mogąc złapać rytmu. Co rusz ktoś pędził naprzód albo zmniejszał bieg ledwie o jeden stopień i już nie nadganiał za szybszymi jednostkami.

Podpułkownik chciał jednocześnie być przygotowanym na ewentualne uderzenie, ale też móc w każdej chwili zakreślić półkole na umocnieniach stacji kolejowej i tam ufortyfikować się do przybycia zwiadu. Gdy już obrońcy dostrzegą, że przybyło wsparcie, to powinni zgodnie z planem wysłać oddział od swojej strony.

Przynajmniej taki był plan.

– Wróble, rozglądać się uważnie. Wszystkie Młoty na krańce skrzydeł, zaraz za nimi Traszki i Jaskółki – rozkazał dowódca.

Młoty były zdecydowanie najbardziej ociążalymi jednostkami w batalionie. Wyglądały jak stąpające niepewnie stalowe gary, na które ktoś nanizal gigantycznie chochle w postaci haubic przeciwpancernych. Zaraz za nimi ustawiono Traszki z dwoma gniazdami karabinów maszynowych na każdej; bliżej centrum dumnie wyprostowane Jaskółki z rozpryskowymi działami przeciwlotniczymi.

Roszady zdawały się mozolne i chaotyczne, jakby kazać całemu taborowi kolejowemu na raz zamienić się miejscami w losowy sposób.

Co rusz ktoś zatrzymywał się, korkując i tak wąskie przejścia wśród wiatrołomów. Jedna z maszyn zacięła się kompletnie, utraciwszy reakcje w stawie kolanowym, wstrzymując manewry na kolejny kwadrans.

Wreszcie zbliżyli się do węzła komunikacyjnego, kwitnącego powoli, niemrawo na horyzoncie, jak łódźka wypływająca z ziemi. Rozległe zabudowania zaciągały coraz większe powierzchnie równiny, gdzie niegdyś karczowano gęste lasy. Odkąd wojna nabrała tempa, wszystko paradoksalnie rozrastało się jeszcze bardziej.

Wróg nie dbał o metodyczne wyniszczanie środowiska, ucztował na pobojuwiskach i podbitych spichlerzach. Choć zdarzało się i tak, że znajdowano przecinki w lasach, noszące ślady przemarszu wielkich armii. Nie sposób przenieść kilkunastometrowe stworzenia oblężnicze przez ziemię, nie uszkadzając jej. Zdarzało się to nawet wojskom Rzeczypospolitej, przy manewrach monterów wysokościowych typu Topol i Giewont.

Choć trzeba przyznać, że jednym ze straszniejszych widoków były właśnie lasy po przemarszach wojsk Karmazyny. Puste, całkowicie ciche i pozbawione najmniejszej mrówki i najgłębiej schowanej larwy.

Karmazyna żywiła się tym, co żywe i zdaje się, że z jakiegoś powodu jej dieta pomijała rośliny. Zupełnie tak, jakby miały jej się do czegoś przydać w tym stanie.

Samson-223, pilotowany sprawnie przez podpułkownika, parł naprzód. Jeszcze przed wydaniem rozkazu uniósł dłoń z miotaczem ku niebu. Dowódca chciał jednocześnie dać przykład, by wstrzymać się z używaniem ognia w potencjalnej, przyszłej fortyfikacji. Zamiast tego nieopatrznie nakazał kolejnym jednostkom zatrzymanie się.

Już miał uściślać rozkazy do interkomu, gdy jeden z truchtających na przedzie Wróbli zapadł się pod ziemię. Tak po prostu – wpadł jak kamień w wodę.

Zasadzka, pomyślał Piotr, również widząc znikającego w hałdzie liści zwiadowcę.

– Zasadzka! – potwierdził przypuszczenia dowódca, opluwając kratkę mikrofonu. – Formować czworobok!

Na to jednak nie było czasu. Po chwili zniknął następny pojazd kroczący na szpicy. Zaraz za nim kolejny. Wreszcie ociężyły Młot na skrzydle zatopił się w gęsty czarnoziem i przez moment wystawał jedynie samą haubicą. Długa lufa sterczała z ziemi jak ręka, wyciągnięta po pomoc. I natychmiast zniknęła, bez jednego wystrzału.

– Wraża szarża od północy i południa... Panie podpułkowniku! Oni są wszędzie! – krzyczał ktoś panicznie na łączu.

Zahuczały pierwsze strzały, zmiatające w drzazgi przypadkowe drzewa na fasadach ściany lasu. Ktoś wydarł się wniebogłosy, gdy ziemia ponownie rozdarła się gardzielą, wciągając kolejne jednostki. Terkot karabinów maszynowych przebijał się nawet przez odizolowane kabiny pojazdów.

– Uformować linię na nasypie – zdobył się na opanowany ton Utratny i samemu przyspieszył do kłusu. Liczył na to, że stosunkowo szybki Samson wyrwie się z chaosu walki. – Nasyp jest stabilniejszym gruntem, nie ściągną was z torów... cokolwiek to jest.

Piotr spoglądał, jak jego towarzysze zapadają się jeden pod drugim i znikają między powalonymi sosnami i runem leśnym. Gdzieś przesunęła się czerwona dłoń, ktoś próbował wygrzebać się spod ziemi i nagle wrócił na dno, wciągnięty z gwałtowną siłą.

Spomiędzy stojących drzew zaczęły wychylać się maski. Lalkowate twory od najmniejszych Kłębków po najwyższe Drozdy wyłaniały się z wyrazami dziecięcego zaciekawienia na twarzach.

Nie sposób było klasyfikować wroga. Naukowcy próbowali, żołnierze próbowali, dowództwo próbowało. Rzadko kiedy wzorce w taksonomii powtarzały się wśród przedziwnych maszkar wypluwanych przez Karmazynę. Nienazwane zło ponoć budzi największy lęk i widać, że wróg o tym wiedział.

Opierający się na pięciu szpikulcowatych nogach kłębek gęstego, czarnego futra rozpędził się nagle i zaszarżował bez strachu między kroczące maszyny, rzygające ciągłym ogniem maszynowym.

Od razu za narwanym dziwadłem wybiegły setki, tysiące obrzydliwości, głównie chybocząc się na rachitycznych kończynach bądź pełzając niepewnie. Z kierunku spalonej wsi znów galopowały Karmazynowe konie, zlepione ze sobą, z naddatkowymi kończynami i odłazącymi płatami skóry z łbów, albo i czasem zwyczajnie bezgłowe.

– Aniele Boży, stróžu mój... – zaintonował spokojnie Piotr, zgodnie z nauką wyciągniętą z akademii wojskowej. Obrócił się jak baletnica i pognął za zbierającymi się wokół podpułkownika pilotami.

Wentylatory w kabinie nie nadążały za filtrowaniem ciężkiego zapachu ziemi i swądu spalenizny. Wszystko to zdawało się tworzyć dziwny aromat pożaru na bagnach, co zresztą nie odbiegało bardzo od prawdy.

Kolejne maszyny kroczące wstąpiły na usypane torowisko, by z góry wesprzeć odwrót towarzyszy. Huknęła dziko haubica, rozrywając na strzępy kilkumetrowego, rogatego Drozda, który właśnie przekradał się pomiędzy gałęziami najbliższej sosny.

– Przebijamy się do rozjezdni! – zatrzeszczały interkomy, wyrażając tak naprawdę jedynie pobożne życzenie.

Jedna z Traszek wybiegła przed Samsona podpułkownika, widząc zbliżające się z naprzeciwka kukły. Dwumetrowe, ulepione z bordowego niby wosku dziwadła. Stwory wodziły zaostrzonymi ramionami, wyglądającymi jak kosy postawione na sztorc.

Obaj strzelcy ze schodkowo ustawionych gniazd pojazdu otworzyli ogień równocześnie. Pływ ołowiu zalał zbliżających się Kosynierów, powalając ich natychmiastowo na ziemię.

Lalki potoczyły się w dół nasypu. Nadal utrzymywały jednolite, niewyrażające absolutnie niczego twarze ze zgęstniałej brei.

Po chwili ruszył się jeden, drugi, trzeci. Nagle większość strąconych nieprzyjaciół powstała jak na zawołanie i poczłapała po obu stronach podkładów kolejowych. Co rusz któryś próbował wspiąć się na wzniesienie i zgnać kroczących rycerzy po obitych pancerzem goleniach i kostkach.

Wreszcie ostatni ze stalowych wielkoludów wskoczył na tory i ruszył za przerzedzonym oddziałem. Żaden z pojazdów Rzeczypospolitej nie potrafił chodzić tyłem, choć byłby to niezaprzeczalnie ważny manewr na polu bitwy. Koniec kolumny osłaniały jedynie obrotowe gniazda karabinów wieloosobowych maszyn, podczas gdy jednoosobowe Samsony, Jaskółki i Wróble mogły tylko strzelać przed siebie.

Zapora z półżywych lalek gęstniała z każdym krokiem. Dziwadła wydawały się zbliżać do centrum kolumny z jeszcze większym zacierzewieniem. W pewnym momencie któryś z pilotów Samsonów odważył się wygiąć rękę w kierunku ściany lasu i po prostu plunął sprężoną mieszanką, natychmiastowo powalając tonowego Czyżyka z koroną rogów na wielkiej głowie.

– Musiałem, albo oni, albo my – zakomunikował na prywatnym łączu oficerskim. – I tak nie będzie miał mnie kto osądzić.

– Ja cię osądzę, chociażby w biegu! – warknął na poły poważnie podpułkownik, utrzymując kłus. – Przysięgam, że jeśli przeżyjemy, to skopię ci dupę, Perlicki.

Ktoś zaśmiał się po raz pierwszy do mikrofonu. Na zewnątrz gorzało piekło, ale każdą okazję do oddechu łapano w locie i wyciskano do ostatniej kropli.

Wreszcie ponad setka pozostałych ze szwadronu maszyn przebiła się przez czoło wrożej armii, przyspieszyła i wyrwała z Karmazynowych kleszczy.

Stacja składała się z kilku opuszczonych torowisk, rozciągniętych pomiędzy dwoma pasami ceglanych zabudowań. Przez środek przebiegał jeszcze kiedyś pas zieleni, zmieniony teraz w masową mogiłę.

– Boże – szepnął Piotr, widząc ułożone równymi, karnymi rzędami ciała obleczone w strzępy polskich mundurów.

Podpułkownik zacisnął dłonie na obiciach drążków sterowania, pot oblewał mu gęsto twarz i spadał na gumowy kombinezon. Po chwili z bezsilności zdarł z siebie gogle, zacisnął oczy i z całej siły uderzył raz po raz w pancerne szkło kabiny. Wewnętrzna szyna, na której zakleszczona była szyba, jęknęła cicho pod naporem uderzeń.

– Zajmijcie miejsca na rampach, Wróble i Jaskółki ustawić na wiaduktach, może nie zapadną się przez schody – zaczął klarować powoli. Musiał odzyskać rezon, wiedział od początku, czego można się spodziewać na stacji. – Mamy wypatrywać sygnału ze Lwowa, wtedy będziemy wiedzieli, że możemy ruszać dalej...

W oczach Piotra pozycja nie była stracona z góry. Nadal mieli większość Samsonów, które stanowiły istotną przeciwwagę dla wroga, zdolną przechylić szalę na właściwą stronę. Bo w głowie Piotra to wciąż Polska była niezaprzeczalnie po właściwej stronie.

Co chwila obmacywał się, zmawiał pacierz, wspominał rodzinny Lwów, niedzielne sumy w kościele... Tak, był pewien, że Karmazyna go nie dopadła.

Jednak martwiło go coś zgoła innego, całkowicie przedziwnego. Oniryczna czereda złożona z lalkowych żołnierzy i fantasmagorycznych zwierząt liczyła tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy egzemplarzy. Fakt, że żołnierze przeżyli do tej pory, był jedynie zasługą Boga, ale mimo to jeden element w układance zaburzał wzór.

– Otoczyli nas – stwierdził sam do siebie, cicho. – Stoją i się gapią.

Wszyscy oczekiwali w napięciu, kończąc prowizoryczne umocnienia wokół węzła kolejowego, spoglądając na dosłowne morze nieprzyjaciół. Karmazyna rozlewała się gigantycznym kotłem z każdej strony, zatrzymana w przedziwnym stuporze.

– Wygląda na to, że czekają na coś – stwierdził chorąży Łakomski, przeczesując teren zestawem optycznym ze swojego Wróbla. – Może chcą nas tutaj oblegać i zagłodzić? Albo będą czekać, aż skończy się nam amunicja. Tabor z zaopatrzeniem jest ledwie dzień drogi stąd, dalibyśmy radę...

Kabina lekkiego Wróbla zatrzęsała się wyczuwalnie, po czym znowu i kolejny raz.

– *Niech stanie przede mną ten, kto potrafi usnąć na moich oczach.*

Głos był wszędzie – dosłownie. Potężny, ochrypły baryton ryknął z taką siłą, że zarezenował sprzężeniem zwrotnym we wszystkich włączonych interkomach.

Wiatr zadął od wschodu, zrywając rogatywki ułożonych na stacji zwłok. W pewnym momencie przybrał na sile tak, że jedna z dłoni poruszyła się. Potem następna. Ciało poległego w obronie stacji majora Wasielewskiego mrugnęło czerwonymi oczami.

Jak wielkie jest to coś, pomyślał skamieniały ze strachu Piotr.

– *Ich się nie boicie...* – zagrział ponownie wiatr. Tym razem przezornie żołnierze wyciszyli mikrofony. – *Mnie się boicie!*

Jednak to nie do obrońców mówiła istota.

Legiony rogatych, owłosionych, wielkich i małych stworzeń rzuciły się jednocześnie do ataku. Szkarłatna fala naparła na samotną stację kolejową i zatopiła ją całkowicie, jakby umocnienia wchłonął kubel pełen krwi.

Ogień grzmiał nieustannie ze wszystkiego. Karabiny terkotały tak długo, aż lufy nie zaczęły się zniekształcać pod wpływem uderzeń i temperatury. Działa dudniły, rozrzucając na boki rozpryski odłamków i kończyn. Strugi Rosenberpanu rozlały się we wszystkich kierunkach, za każdym razem trafiając nieprzyjaciół i swoich.

Kanonier Szafrąński nigdy w życiu nie uczestniczył w prawdziwej bitwie na wschodzie – aż do tego dnia. Gdy iglica w gnieździe ogniowym jego Traszki zastukała głucho, a taśma z amunicją zniknęła z pola widzenia, podjął decyzję. Odkręcił zawór, z wysiłkiem podniósł zbyt wysoko wbudowaną klapę i wspiał się na dach maszyny kroczącej.

Z góry spojrzał na przelewające się morze żywej posoki, przeżegnał się i sięgnął do kabury. Wyjął rewolwer. Wycelował na oślep w tłum. Nie mogąc zrobić nic innego, jął naciskać na język spustu raz po raz.

– Jeszcze Polska nie zginęła! – krzyczał, aż rewolwer puknął cicho.

Ładował i strzelał tak długo jak starczyło mu naboji, a gdy te się skończyły, chwycił za saperkę. Złapał jeszcze wzrok pilota pobliskiego Wróbla, wymienił się uśmiechami i zanurkował w toń nieznanych stworzeń.

Sierżant Piotr Orzechowski rozejrzał się z kabiny swojego Samsona, który jeszcze ponad tydzień temu wyszedł błyszczący w chwale z fabryki w Lublinie. Teraz z wypolerowanego pancerza zostały zabryzgane juchą i

pokryte czarnym kopciem blachy, odłazące co chwila pod wpływem drapnięć kolejnych istot.

– Dość już tych głupot – zaszeptał do siebie. – Porozmawiajmy na poważnie.

Dym unosił się coraz wyżej, niosąc ciemną, gęstą zasłonę. Widział już tylko, jak spomiędzy białych płomieni wyskakują kolejne, smażące się jeszcze żywcem twarze. Elementy ubrań i szczapy drewna latały w powietrzu, jakby były naturalną częścią pogody. W pewnym momencie pofrunęła rogatywka i strzępek nogawki. Wiatr rwał wszystko na kawałki.

Dziwadła oblegały kończyny mechanicznego rycerza z każdej strony. Po kilkumetrowych nogach wspinały się kolejne, nienaturalnie wygięte kreatury, zazwyczaj nagie lub owinięte we wszystko, co się w nie wtopiło pod wpływem temperatury.

Piotr pociągnął dźwignię do siebie, wyciągając dłoń z dyszlami w górę. Nawet nie sądził, że kiedykolwiek taka możliwość się przyda. Siłowniki dawały z siebie wszystko. Nie miał na co czekać. Przełączył trybik, wprowadził mieszanekę ostatni raz do systemu gumowych rurek i odchylił zaślepkę, włączając zapłon.

Płonąca fontanna wyleciała na kilkadziesiąt metrów w górę i rozlała się dookoła, spadając na ziemię prawdziwym deszczem lepkiego ognia. Powietrze zafalowało żywo, wierzgając jak flaga w huraganie. Wreszcie zapłonęło także czerwcowe niebo.

W ostatnim przeblysku, między gęstniejącymi łańcuchami dymu zatańczył szary kształt z wymalowaną białą-czerwoną szachownicą. Samolot ciągnął za sobą strugi dwóch kłębowisk w barwach narodowych. Pilot wychylił ciężki aparat, uwiecznił chwilę na zdjęciu i zasalutował, wiedząc, że żaden z konających obrońców nie może go zobaczyć.

29 czerwca, Lwów – dzień rewolucji

– Panie generale, panie generale! – okrzyk chłopca wybrzmiał nagłym trelem zadowolenia, przebijając się przez odległą kanonadę grzmiących haubic. – Złapaliśmy kolejnego odszczepieńca!

Generał broni Wiktor Ruczyński jeszcze przez moment z ojcowskim uwielbieniem spoglądał na przemalowane na polskie barwy bombowce Richarda von Misesa. Odwrócił się od trzytonowych tytanów, wypełnianych ładunkami wybuchowymi i obdarzył wzrokiem inne dzieci, sieroty wojny, choć również niejako jego własne.

Trzech chłopców w przydużych maciejówkach oraz wyższa, starsza dziewczynka z czerwoną chustą na szyi. Ciągnęli za sobą związanego człowieka o nedorzecznie zabrudzonej twarzy.

– Co on taki czarny? – spytał się z rozbawieniem Ruczyński.

– Chował się... – zaczął chłopiec, ale szybko przerwała mu trzepnięciem w ucho starsza koleżanka.

– Melduję, że chował się w składzie węgla, jaśnie panie generale.

– Nie mówi się „jaśnie panie”... – wtrącił chłopak.

– Właśnie, że mówi.

– To jest wojna, a nie jakieś zamki i rycerze, głupia babo.

– Spokój! – podniósł głos generał, chociaż bez gniewu w głosie. Nie było po co się złościć na dzieci. – No i co, brudas?

– Brudas, znaczy się ten, Ukr, panie generale.

– Dobrze, to go zabierzcie do pana Eustachego, powinien być na dole, od wewnętrznej strony strażnicy przy garkuchni, sami wiecie, który to Eustachy, prawda?

– Wiemy, ten gruby – dodał z uśmiechem chłopak i zasalutował starannie.

– Zuch – zaśmiał się Ruczyński i pogłaskał każde z dzieci po głowie.
– Moje wy orzełki Lwowskie. Zmykać mi w tej chwili, bo to nie miejsce dla was.

– Nie, puśćcie mnie, proszę. Wy nie rozumiecie, ja przecież stąd, całe życie... – zaczął się zarzekać półprzytomnym głosem umęczony jeniec, ale po chwili któryś z chłopców zacisnął powróż na jego szyi i uciszył błagania.

Generał szybko odwrócił się od pojmanego i zwrócił ku dwóm prężnym, szerokim sylwetkom, dookoła których uwijał się mały rój obsługi w przepoconych koszulach. Dłoń sama odnalazła znajomy kształt kadłuba, przejechała po wysoko uniesionym boku i wyczuła pod palcami chropowatą powierzchnię niedawnego przemalunku. To było jego.

– Jest pan potrzebny.

– Słucham?

Ruczyński wyrwał się na moment ze snów wnikających w jawę i zwrócił okrągłą twarz do przybyłego.

Obok niego stał starszy mężczyzna o surowym obliczu. Patrzył się z dziwną mieszkanką pogardy i gniewu, której nie zwykł widywać generał. Wzrok spoczął na epoletach posłańca i Ruczyński w mig zrozumiał w czym rzecz.

No tak, jeszcze ułańskie sieroty, pomyślał, największe ze wszystkich.

– Idę – odpowiedział krótko i uśmiechnął się do siebie.

Zwlekał z odstąpieniem od prywatnej inspekcji, ale usłyszał głośniejszy huk haubicy i zrozumiał, że sprawa jest poważna. Na wschodniej stronie umocnień przy Wysokim Zamku zintegrowanym z

wewnętrznym murem lwowskim odpierano ataki za pomocą pięknych, austro-węgierskich trzystusześcdziesięcimilimetrowych kolosów. A nie było to całe wyposażenie tego odcinka murów. Podobnie obsadzono północną i południową część, mającą powstrzymywać rozłazące się, bezpośrednie natarcia od macierzy nieprzyjaciela.

A na zachodniej części? Zachodnia część broniła się wiarą pokładaną w pozostałych archaicznych umocnieniach muru zewnętrznego, drugiej linii obrony muru zintegrowanego i bardziej zawodnych polskich Strumykach, które właśnie były jak w amoku.

Wiktor czuł, że się starzał. Dosłownie czuł każdego dnia, jak wojna wysysa z niego życie i nie daje nic w zamian. Żadnej chwały, tylko zgorzknienie, frustracje i ataki podagry. Mimo to zdobył się na to, by przeskakiwać schodek za schodkiem jak górska kozica. Starał się udowodnić sam w sobie, że jest w stanie pokonać spiralę stopni, sunącą ku szerokim blankom z ciemnoszarej cegły.

Dotarł na szczyt i wciągnął w płuca rzeński powiew wiatru, odcinający się od duchoty wieży. Rozejrzał się i zastygł w niedowierzaniu.

Bardziej wysunięta na zachód część terenu przypominała teraz jednolity, suchy step czerni i szarości, poprzetykany jaskrawymi odblaskami ognisk. W oddali rozciągały się równą tyralierą fantasmagoryczne twory, nad którymi unosiły się kolejne kotłujące się poczwary. Gdzieś między tym wszystkim stał gigantyczny tron, ale co na nim było, tego nie dostrzegł.

– Królowo wojny, bylebyś stała po naszej stronie – wyszeptał, po czym skierował wzrok na obsługę haubicy, która wyraźnie nie była w stanie nadażyć z żadnymi poprawkami i waliła na oślep.

Bombardier stojący nieopodal usłużnie przysunął się z lornetą, ale generał jej nie potrzebował. Patrzył na to, co już znał. Ten widok miał zapisany w pamięci na dobre. Zmaltretowana miesiącami oblężenia

wschodnia część łańcucha obronnego. Teraz mógł obserwować inną aranżację z tych samych materiałów. Jak kolarz albo podróbkę z istniejących już dzieł w galerii wypełnionej krzywymi zwierciadłami.

Osiem kilometrów. Długich, niemożliwych do przejścia kilometrów, przez które przetaczała się nieustannie dzień i noc parada obrzydliwości. Potykali się o poległych, wpadali w wilcze doły, wypełniali własnymi ciałami zasieki i leje po pociskach. Zakopywali się w dziury pełne błota i gazu, a potem z tych dziur potrafili wyjść, wypełznąć. Parli naprzód, nieustannie, nigdy nie wysyłając dyplomatów, nie mając ambasadorów, nie proponując paktów, nie wypowiadając żądań. Osiem kilometrów.

Teraz to nie był bok, idący w jednym zwrocie, a promień pełnego okręgu, otaczający umęczone miasto.

– Dobry Boże.

– Szykujemy eskadrę do bombardowania. – Obok generała wyrósł pozbawiony prawego ucha człowiek w znoszonym, kapitańskim mundurze.

– Spodziewamy się najbliższego natarcia w przeciągu pół godziny, może mniej. To czyste szaleństwo. Jeszcze nigdy nie atakowali tak szybko i z taką zaciekłością. Najpewniej ma to związek z nieudaną odsieczą. Obiecany oddział podpułkownika Utratnego utrzymał wrogów na tak krótko i zadał im tak nieznaczne straty... Zastanawiam się, czy takie bohaterstwo ma w ogóle sens. Straciliśmy całą zdolność operacyjną poza obrębem murów!

– Tak, na pewno – odezwał się nieprzytomnie generał i potoczył wzrokiem po ruchomym horyzoncie. Coś szeptało do niego cicho, nawoływało i zachęcało do spoglądania w falującą, czarno-czerwoną kreskę. Wiedział, że obrońcy nie są na to gotowi, teraz także i najeźdźcy wiedzieli.

– Generale.

Ruczyński przełknął ślinę, startł pot z czoła i z ciężkim sercem zaczął schodzić w dół wieży, opierając się o ścianę jak starzec. Omal nie zemdłał, przetaczając się kilka stopni niżej nazbyt szybko.

– Generale?!

– Poderwać maszyny, zarządzam odwrót zasobów za wewnętrzną część murów. Poddajemy ten skrawek zapomnianej przez Bo...

Huk poniósł się wzdłuż muru niemal natychmiastowo. Warstwa kurzu i pyłu podniosła się z każdej powierzchni, zadrżała w powietrzu jak dwa rozjeżdżające się ze sobą filmy, po czym opadła ze słyszalnym chrzęstem.

Kamienie zaczęły osypywać się jeden po drugim, zawałając kolejne bloki na siebie i nawarstwiając lawinę szarego miazgu. Czyjeś ręce wyskoczyły nagle spod osuwiska, by zaraz zagłębić się w twardą otchłań. Ktoś krzyknął przejmująco i urwał nagle, dławiąc się odpryskami skalnymi.

– Za bramę, ściągać ludzi! – krzyknął generał i rozkaszał się spazmatycznie. Przymknął jedyne widzące oko, drugie zalepił pył.
– No dalej, chcecie tu zostać?!

Ktoś ściągnął pośpiesznie biedkę, chwytając ją ze współtowarzyszem. Po kilkunastu metrach syzyfowego pchania wózka jeden z tragarzy puścił. Drugi nie dał rady utrzymać ciężaru i koła potoczyły się z wysokości, by uderzyć o bok hangaru, z którego wystawał skrawek czegoś gigantycznego.

Generał obrócił się na moment, hangar pierwszy był otwarty, pozostałe miały wewnętrzne zasuwę zaciągnięte w momencie ataku i operowały na otwartych drzwiach dla personelu. Teraz majestatyczny nos sterowca Bursztyn-06 wydawał się wyczekiwać swojego chwalebnego momentu.

Przez chwilę chciał się zatrzymać, niby dopingować jeszcze rękami i okrzykami, by lekki, metalowy szkielet owinięty materiałem wyłonił się z legowiska. Liczył na nagły, dosłownie orli wylot z gniazda i zgromienie nieprzyjaciół. Może nawet zdołaliby wytrzymać załatanie muru, odzyskaliby pozycje...

Ruczyński postąpił jeden krok w kierunku sterowca, drugi, jeszcze śmieiej, już chciał się puścić biegiem! Wiedział, że może zebrać ewakuujących się z dalszych hal lotników i wspólnymi siłami zdołaliby dźwignąć gazowego giganta w przestworza i ostatnim, bohaterskim atakiem przechylili szalę na stronę rodaków!

Wtem – błysk. Szkarłatna struga, długa i wąska jak piorun, ale idąca nie z nieba a z wyłomu w murze. Odnalazła w mgnieniu oka Bursztyn i oślepiła ludzi dość nieroztropnych, by patrzeć na niego, zamiast uciekać. Zapachniało ozonem, zaskwierczało w uszach i generał z trudem wstrzymał wymioty, próbując przejrzeć na oczy, co się stało.

Srebrna koperta, zawinięta wokół stalowego, pajęczynowego szkieletu maszyny, zmieniła się w czarny strzęp. Ogień rozprzestrzenił się w sekundach, pochłaniając całą konstrukcję. Jęczący ciężko metal wyginał się, skręcał i kopał ciemnym, gęstym dymem. Wyrzucony siłą ciśnienia silnik przekoziołkował przez pas startowy razem z rusztowaniem, zgubił niezliczoną ilość części i rozprasował się równo o przeciwległy mur. Bursztyn zmienił się w spieczone, zawinięte całunem pogrzebowym z własnego poszycia zwłoki.

Wróg dosłownie wlewał się przez wyłom.

Poniosły się pierwsze skoordynowane kanonady od wewnętrznej, ostatniej części muru, wzmocnionego jeszcze dwa lata temu, gdy wprowadzano doktrynę pełnej szczelności. Po czasie okazało się, że pełna

szczelność nie była wcale pełna i wykluczała łańcuchem Muru Wschodniego Lwów, który zmienił się w dryfującą po morzu krwi łubkę.

– Panie generale, tak nie wolno. – Ktoś powstrzymał Ruczyńskiego siłą. Dowódca padł jak długi na ziemię i silna para ramion pociągnęła go w kierunku bramy. – Już, proszę się uspokoić, błagam.

– Nie, moje orzełki! – zaryczał jak ranione zwierzę Wiktor, wyłapując wzrokiem dopalający się strzęp koperty sterowca. – Wy... Wy skurwysyny!

Inny żołnierz dobiegł, podniósł nogi Ruczyńskiego i razem z poprzednim ponieśli go do wnętrza jak pijanego kompana po sobotniej nocy. Medyk zerwał się w pół roboty, by przyjrzeć się generałowi, ale ten jedynie zaciskał zęby i już gniewnie parsknął na wszystkich obecnych dookoła.

– Który to mnie wniósł, przyznać się?! Dlaczego, karwasz wasza maciora, do stu kroczących diabłów, nie wyprowadziliście eskadry przed czasem?!

Większość osuwała się na bok, śpiesząc do obowiązków, unikając srogiego przełożonego. Byli w środku kryzysowej sytuacji, mieli swoje zadania, ważniejsze od prywatnych animozji generalicji.

– Panie generale, proszę zachować spokój, przeżył pan szok – odezwał się pojednawczo podpułkownik, ściskając się za szarpnięte kamiennym odpryskiem ramię. – Nie powinien się pan teraz tym zajmować, trzeba wytyczyć nowy podział obrońców, przesunąć którąś z haubic, przeliczyć zaginionych w akcji i...

– Ty mi nie będziesz Gajewski mówił, co ja mam zrobić! – odparł oburzony generał. – Zaraz każę was tu wszystkich w rzędzie zebrać i sprawdzimy, który to, do jasnej ciasnej cholera maciory, zaniedbał obowiązki.

Zasłonięty skórzanym czepkiem lotniczym, półmaską i goglami pilot wysunął się przed szereg i zameldował krótko:

– Panie generale, cała obsługa hanga...

– Zdejmij tę maskę, jak do mnie mówisz, chłopcze!

Spojrzenia spoczęły na generale, odrywając się niejednokrotnie od ważniejszych działań przy nadzorowaniu, przenoszeniu i układaniu rannych. Wiedzano, że kto, jak kto, ale generał rzadko się zwracał do kogoś przez wzgląd na wiek. Znaczyło to tyle, że już brakowało mu argumentów i może tylko wybuchnąć. A silni zawsze mają rację.

Ktoś położył dłoń na ramieniu pilota, jednak ten strącił ją szybko i zaczął mocować się ze sprzączkami za uchem. Po chwili odwinął połowę brązowej, szytej grubo przepaski i odsłonił wypalone niemal do dziąseł usta o nienaturalnie długich, cienkich zębach.

– Panie generale... – powtórzył nieskończenie powoli, gubiąc głoski i szczękając jak kościotrup. – Melduję, że cała obsługa hangaru pierwszego była na miejscu w momencie uderzenia. Spłonął nie tylko sterowiec, czego mógł pan generał nie zauważyć w szoku.

Ruczyński przełknął ciężko ślinę, zachwiał się lekko. Wzrokiem najpierw świdrował rzędy siekaczy pilota, ale w końcu począł rozglądać się na boki, dalej, jeszcze dalej na otaczający ich dziedziniec, mur, niebo.

– Zemdlą – podał ktoś krótko, kierując słowa do lekarza.

– Nie dziwię się – mruknął Gajewski i rozejrzał się po dziedzińcu, na którym stało kilkudziesięciu obrońców w zabrudzonych mundurach. – Na co się gapicie? Do roboty, już! Wy trzej słuchać się doktora, cała reszta zbierać dupy, naładować barykady pod drzwi. Kto tam nie ma sprawnych nóg, niech go wciągną na blanki i ma pruć z karabinu, szyć z łuku jak dzieci czy rzucać kamieniami! Mam to gdzieś, spowolnijcie napływ!

Podpułkownik wskoczył na długi zawijas schodów i przymierzył się do wdrapania na szczyt. Posady muru zachwiały się, pył sypnął gęsto ku ziemi. Długie pęknięcie przecięło czarną strugą betonową fasadę.

– Psiakrew – zaklął, po czym już ostrożniej dotarł na górę.

To, co jeszcze przed chwilą było areną międzymurza, teraz zdawało się przypominać dziurawą miskę. Właściwie to wypadałoby bardziej powiedzieć, że Lwów zmienił się w statek, którego jedna burta zaczęła przeciekać.

Do szerokiej ulicy Newskiej, zmienionej na prowizoryczne lotnisko, trzeba by było przebiec jakieś dwa kilometry. Do następnej bramy byłby jeszcze niecały kilometr. W tamtym momencie Gajewski miał lepszy, chłodny ogłąd na sytuację i widział o wiele więcej od jego raptownego w osądach przełożonego.

Mur nie upadł, bo nie mógł. To zbyt wytrzymała i solidna konstrukcja, by upaść ot tak sobie na jedno, nawet potężne uderzenie stworzenia Karmazynów. Zamiast tego stało się to, czego spodziewano się od początku wiecznego oblężenia. Upadła brama.

Bramy, mimo dodatkowych wzmocnień, i tak stanowiły najbardziej newralgiczne i podatne na ataki części umocnień. Ze względu na swoją naturę, były mniej wytrzymałe od solidnej, irracjonalnie w czasach pokoju grubej ściany żelazobetonu, oddzielającej Polaków od sąsiadów ze wschodu.

Utrzymały się bramy na północy i południu. Wychodziły na stosunkowo wąskie i dobrze zabezpieczone trakty między marginalnymi zabudowaniami mieszkalnymi. Zresztą, z tych ostatnich zostały już pewnie tylko kamienie. Brama wschodnia stanowiła oczywistość oraz cud, ponieważ stała... i to był oczywisty cud. Powinna była dawno temu zmienić

się w kawał wygiętej surówki. Tak się jednak nie stało, ku zdziwieniu wszystkich.

Gajewski tracił kolor z każdą chwilą, czuł, jak robi mu się niedobrze. Wiedział, że jego wyliczanka zmierza w kierunku ostatnich dwóch podpunktów i kulminacyjnego wniosku:

Zostały bramy kolejowe zachodnia i północna. Obie będące szerokimi, prowizorycznymi usypiskami, z rzadka otwieranymi, by wpuścić tabory kolejowe z zapasami. Ostatnim razem mieszkańcy dostali cokolwiek kilka tygodni temu i w efekcie postanowili zablokować przejście od wewnątrz.

Gdyby mieli dostać transport czegoś więcej, to powiadomiono by ich wcześniej. Zamiast tego przysłano kolejne stalowe puszkę na chybotałych nogach wraz z gotowymi na śmierć rekrutami, minimum egzystencjalne dla dziesiątej części populacji i zapewnienia co do nadchodzącego zwycięstwa.

Właściwie to nawet nie mogliby już dostać żadnego sygnału: łączność długofalowa nie istniała od początku oblężenia, gołębie pocztowe zostały wyłapane przez drapieżne, padlinożerne ptaki, a samoloty... Cóż, ten, którego wysłano, by powiadomił miasto o nadchodzącej odsieczy, nawet nie wrócił.

Nie mogli sobie pozwolić nawet na wysłanie lotnika do Warszawy czy chociaż kurs z przesiadką do Lublina, bo właśnie na oczach Gajewskiego po kluczowym lotnisku przetaczało się Coś.

Matka podpułkownika pochodziła z hrabstwa Kent w Wielkiej Brytanii, konkretniej mieszkała w Dover. Rok temu dostał od niej aerogram ze zdjęciem, wykonanym z kutra rybackiego jej sąsiada. Na fotografii widać było odcinający się błękit nieba, górujący nad masywem doskonale białego, kredowego klifu.

Przeszło to podpułkownikowi przez głowę na krótki moment, nim błady ze strachu zwymiotował z murów na pełzającego poniżej pająka o trzech głowach.

Nawet do samego diabła można pruć bez zawahania, jeśli ma go się na celowniku, albo najlepiej jako współrzędne do skonfigurowania ostrzału artyleryjskiego. Lucyfer na azymucie takim i takim, rząd cyferek, blokada i ognia, prosta sprawa. Jednak widzieć osobiście jak szatan jest na wyciągnięcie łapy, uśmiecha się i wymienia spojrzeniami:

Hej Bazyli, widzę cię, wiesz?

Cóż, są jakieś granice, nawet dla Polaka.

Jedna z tych granic właśnie upadła. Oczyma wyobraźni widział tysiące cywili, żołnierzy, dzieci, kobiety i mężczyzn, tłoczących się w szaleńczym spędzie bydła do najbliższej bramy wewnętrznej. Tam pewnie jeszcze nie wiedzieli nawet, co się stało i nie jest pewne, że wszystkich by wpuszczono.

Właściwie to Gajewski wiedział, kto nadzorował funkcjonowanie drugiej z bram wewnętrznych i już miał przeczucie, że wydarzenia następnych dni pójdą ruchem domina. Najpierw podpułkownik Czyżyk wpuści ludzi do środka, następnie każe wydać racje i zakwaterowanie, a potem wszyscy umrą z głodu.

Tak, zanim jeszcze zniknie z magazynu ostatni nabój, zaginie ostatni korzec ziarna. Potem zaczną znikać zwierzęta, na końcu ludzie.

– Ten debil Czyżyk – warknął podpułkownik i otarł usta, podciągając się na wzmacnianej osłonie strzelniczej.

Dookoła zaczęli okopywać się w pozycjach żołnierze, którzy dali radę uciec jako pierwsi, bez większych obrażeń. Gdzieś śpiewały karabiny maszynowe – Gajewski osobiście odpowiadał za to, by przestać je kropić wodą święconą, tylko od razu strzelać. Dalej ktoś odważnie wciągnął po

rampie działa z krótką lufą i zaczął łupać bezlitośnie w przedpole – ot, dla przetrzeźwienia rozsypanych najeźdźców.

Nic z tego nie cieszyło Gajewskiego, nawet świadomość, że liczebność artylerii na murach była mocno niedoszacowana. Myślał o tym, że moździerze zaczęły grać w kwartetach koncerty dla kroczących ociężałe dziwadła, ulepionych z krwi i gliny. Nadal nie oznaczało to nic dobrego.

To wszystko było nieważne. Wróg nie rozproszył się pod wpływem dzielnego oporu obrońców, tylko właśnie zalewał domy mieszkalne, zewnętrzne magazyny, zwałował wieże ciśnień, zatruwał studnie własnymi ciałami i mordował nieliczną zachowaną trzodę.

Na jego oczach trwało oczyszczanie dzielnicy z ludzi. Całkowita eksterminacja wszystkiego, bez szansy na obronę czy poddanie się. A potem ci, których witał każdego dnia na ulicy zdawkowym spojrzeniem, pomaszeraują ku murowi jako obryzgane woskową krwią kukły albo nawet coś gorszego.

Jeszcze raz spojrzał na Coś, idące przez asfaltowy pas lotniska. Musiał patrzeć. Czuł się wręcz perwersyjnie, jakby robił coś obrzydliwego, zakazanego, ale tak niesamowicie ekscytującego i gratyfikującego.

Przyjdź.

Przetarł oczy i wbił paznokcie w kawał blachy, będący częścią zasłony. Czuł, jak błogo przeciska się po palcach ból, orzeźwia i uspokaja.

Wyjąć pistolet, pomyślał, zastrzelić go.

Zabij go.

Wycelować... wystarczyłoby przecież, dlaczego to nigdy nie jest proste?

Chodź do niego, zabij go.

– Chodź do mnie – poruszył bezgłośnie ustami.

Ręce podciągnęły go na osłonę ze zbitych desek. Poczuł, jak nogi prostują się, prawie jak w paraliżu. Powoli opadał do przodu. Tak, już czuł, że nie zdąży nic zrobić, nawet ręce miał rozłożone. Uśmiechnął się tylko smutno, zamknął oczy, odlatując do Białych Klifów.

* * *

Rotmistrz Kajetan Niedźwiedź milczał, odkąd sprawiono ostatniego konia. Szwadron ułanów lwowskich od pewnego czasu określano w pogawędkach mianem szczurołapów. Zajmowali się dokładnie tym: łapali szczury, a sami nie potrafili uciec ze swojej pułapki.

Los bywa przewrotny, zwłaszcza na Kresach. Przedostatniego dnia czerwca upadła brama, a na prawie połowę mniejszym terenie tłoczyło się niemal dwukrotnie więcej osób.

Racje żywnościowe malały, więc racjonalność ich zdobywania rosła. Kajetan wiedział, że dalej racje będą przez chwilę wzrastać, by racjonalność spadała. Przyjdzie taki dzień, że będą śniadać bez jakiegokolwiek racjonalności, zostaną tylko pogorzelnicy wokół rzeźniczego stołu i wstydliva pamięć o zaginionych w mieście. Już teraz zgłaszano pierwsze przypadki zniknięć, a dziwnym trafem zwiększała się dostępność mięsa.

Na krótko przed wezwaniem na naradę Kajetan otworzył niewielki medalionik, w którym jego życie skurczyło się do rozmiarów wycinka fotografii. W ciszy przejechał palcami po zdjęciu, przyłożył je następnie do ust i zamknął szkatułeczkę. Nie pozostało nic więcej, rewolucja zaczęła pożerać cudze dzieci.

Pokój sztabu zarządzania kryzysowego mieścił się na piętrze muzeum historycznego. Było tam więc wszystko: mundury z czasów napoleońskich, rynsztunki z dopasowanych eklektycznie strzępów

garderoby uśrednionego Kozaka, manierki, tabakier, ładownice, pozytywki. Krótko mówiąc, zebrani czuli na sobie wzrok pokoleń albo oddech na karkach.

Generałowi Ruczyńskiemu było zdecydowanie bliżej do drugiego wariantu. Odkąd Gajewskiego nie było z nimi, sprawy się nieco skomplikowały. Cóż, nie tak, że to jego śmierć była za to bezpośrednio odpowiedzialna, ale dorzuciła ołowiu w serca Polaków.

– Na pewno nikt nie widział? – upewnił się któryś raz z kolei.
– Może ktoś jednak dał pary z ust?

– Zapewniam, panie generale, kładę epolety, że Gajewski zginął w bohaterskiej walce, osłaniając nasz taktyczny odwrót.

Szczupły pułkownik ze szklanym okiem miał twarz oddającą całkowite i niekwestionowane posłuszeństwo wobec autorytetu. To było dokładnie to, na co liczył Ruczyński, którego pozycja protektora Polaków ostatnimi czasy spadała. Właściwie to pikowała w dół jak nieodżałowanej pamięci samobójca Gajewski.

– A wy? – zwrócił się do majora o twarzy naznaczonej liszajami.
– Jak to wygląda?

– Prawda czy raport? – skwitował krótko niepiękny oficer.

– Prawda – odwarknął przełożony.

– Ludzie swoje wiedzą. Morale to właściwie już gównem, mieszkańcy lada dzień zrobią coś głupiego, głównie z głodu i nerwów, albo z nudów nawet. Każdy usłyszał w ten czy inny sposób, że Gajewski bohatyrnął.

– Co zrobił?

– No, tak u nas ludzie mówią, chyba mieszają coś z ukraińskiego. W każdym razie spadł z muru.

– Podemski, przestańcie się wyrażać, jakbyście byli w więzieniu.

– Melduję, że samobójstwo bohaterskiego obrońcy Gajewskiego stało się udawaną tajemnicą – odpowiedział matowo major i cofnął się o krok od stołu zasłanego szczegółowym planem miasta.

Dookoła Wysokiego Zamku przez większe części aglomeracji, aż do głównej stacji kolejowej i z powrotem, rozciągał się długi, granatowy wężyk. Miał on w założeniu symbolizować mur, a zaraz za nim dano drugi wężyk, tylko zielony, oznaczający wewnętrzny mur, odcinający miasto od zachodu pseudopodgrodziem. Dalej zaznaczono kilka czerwonych kresek bram, drewniane patyczki artylerii, garnizonów piechoty i kilkadziesiąt stojących smętnie jednostek krocących, dawno temu inkorporowanych w struktury muru jako artyleria.

Konfiskata cywilnych jednostek krocących nie była właściwie konieczna, mimo że przeprowadzono ją z wysoką starannością. Pojazdy montujące na wysokościach, maszyny wyposażone w pompy hydrauliczne do oczyszczania studzienek, chuderławne puszki na nogach, służące jako obwoźne sklepy z dewocjonaliami i rękodziełem. Wszystko przeszło gruntowną reorganizację na cele militarne, czyli zazwyczaj przemiał w surowy materiał.

Lecz na mapie pozostał jeden mały, ale jak bardzo istotny dla generała pionek. Wysoka czapa, symbolizująca stuosobowy, piąty lwowski szwadron ułański pod wodzą rotmistrza Kajetana Niedźwiedzia, znanego z bohaterstwa, zmysłu taktycznego i niekwestionowanej dyscypliny. Dla generała Ruczyńskiego: sto mord do wykarmienia.

Wiktor Ruczyński korespondował z hauptmannem Wincklerem z dywizji ruchomej artylerii pancерnej. Była to epistolarna przyjaźń, która zakrzewiła w Polaku wyjątkowy rozsądek w kwestiach innowacji i technologii wojskowych, jakie przejawiali sąsiedzi z zachodu. W przeciwieństwie do znacznej większości Polaków, uznawał on żywą

kawalerię za absolutny przeżytek. Teraz miał jeszcze jeden powód, aby tak uważać.

Koń przejada dziennie minimum trzy kilogramy paszy. Nieważne, co robi, nieważne, w jakim stopniu się przydaje i w którym pułku ułańskim służy: czy imienia najświętszego serca Marszałka, czy dumy i honoru Marszałka. Każdy pułk ułański to nieustanna wywózka żywności na zmarnowanie.

Dlatego właśnie Ruczyński postanowił wykorzystać przeciągające się oblężenie, by wreszcie wydać pozwolenie na pozbycie się wierzchowców i zapewnienie nimi kantyn. Nie można było odmówić temu pragmatyzmu, jednak nadal pozostawało stu wściekłych, pozbawionych godnego zajęcia ułanów. Z tym również mógł sobie poradzić jednym, zmyślnym rozkazem.

– Nareszcie – przeciągnął gardłowo, gdy od schodów dało się usłyszeć stukot oficerek. – Myśleliśmy, że nas pan rotmistrz nie raczy zaszczyścić.

– Musiałem przyjść na piechotę – odpowiedział ponuro oficer, zasalutował i spojrzał krótko na obrus z map.

Ktoś szepnął pół tonu zbyt głośno, kryjąc się za okręgiem zebranych. Generał zacisnął palce na zaokrąglonym zakończeniu blatu i zmarszczył brwi. Chciał coś jeszcze odpowiedzieć, ale zdał sobie sprawę, że nie ma po co. Nawet pocieszyła go ta myśl: mówił już do trupa.

Narada zaczęła się dobrą godzinę temu, byli tylko wtajemniczeni, a rozkaz dla rotmistrza nie kazał mu się stawiać o tej porze przez pomyłkę. On miał przyjść na gotowe, wszystko ostatecznie przygotowane tak, jak sobie tego życzył Wiktor.

– Dobrze, że jesteś – powiedział w końcu generał. – Potem wprowadzimy cię w szczegóły natarcia. Twoja rola w nim jest kluczowa,

ale i autonomiczna. Wydamy wam najlepsze uposażenie, jakie mamy i przygotujemy wyjście przy bramie świętego Jakuba od strony dworca kolejowego.

Rotmistrz uniósł delikatnie brwi, zamrugał dwa razy i była to jego pierwsza reakcja na cokolwiek od wtorku. Spojrzał na poważne, bezsenne oblicza dowódców dookoła, przypatrzył się surowej twarzy generała i ostatecznie zwrócił ku mapie.

– Rozumiem, panie generale, co dalej?

– Dalej wy, wraz z waszym doborowym oddziałem, przedrzecie się aż do płyty lotniska, nie wzbudzając alarmu nieprzyjaciela, i poderwiecie w górę ocalałe maszyny. Zbombardujecie splądrowane przez nieprzyjaciela pozycje, a następnie impetu natarciu doda grupa pancernych Wróble, które...

– Z całym szacunkiem, panie generale, czy Wróble nie są jednostkami rozpoznania?

– Od kiedy to z ciebie taki znawca pojazdów kroczących, Niedźwiedź?

– Standardowe szkolenie w akademii, każdy rekrut wie, a już na pewno instruktor.

Ruczyński zacisnął usta w wąską kreskę, zazgrzytał pod wąsem kilka bezgłośnych przekleństw i przeniósł kolejno pionki po mapie.

– Następnie użyjemy cywilnych... byłych cywilnych monterów wysokościowych i zaplombujemy bramę zachodnią. Potem pozostanie już tylko nawleczenie wojsk na mury i odbicie jednocześnie wnętrza, jak i obrona przed zewnątrz.

– Jak pod Aleją – szepnął rotmistrz, odwracając się na moment od mapy, by przetrzeć przekrwione oczy.

– To miało mnie obrazić, chłopcze?

Zebrani zaszurali niespokojnie butami. Ktoś schował się krok do tyłu, inny dołączył, wpuszczając powiew powietrza nad mapę.

Kajetan obrócił się, wyprostował i z nieprzeniknionym wyrazem twarzy odpowiedział:

– Nie, panie generale, w żadnym wypadku. Nie jestem tutaj dla kwestionowania pańskich decyzji.

Ruczyński wyszczerzył się złym uśmiechem, złożył ręce i lekko schylił głowę w bok. Wrócił do wskazywania palcem ścieżki szwadronu, kluczowych punktów na murach i sposobów przetrzebień ukrywających się na podgrodziu Karmazynów.

Niedźwiedź był daleko od tego, czuł, jak się unosi, odlatuje daleko do swojej gniadej przyjaciółki w niebie. Właściwie czuł się już trupem.

* * *

Stado stu tysięcy osób, stłoczono i upchnięto w każdym budynku z dachem. Nie pozwalano cywilom na opuszczanie domów po określonych godzinach, by nie narazić się na bombardowanie. Gdyby coś splunęło z nieba Karmazyną w gęsty tłum ludzi i to w centrum miasta, oznaczałoby to niewyobrażalną rzeź.

Z każdą godziną stawiano kolejne podpory i płaskie dachy z blachy falistej. Stare miasto przypominało gigantyczny bazar, z którego nie sposób było dostrzec nieba. Gdzieś tam, w ciemnościach, tłoczyły się dziesiątki tysięcy uchodźców z podgrodzia, pozostawieni z niczym, osamotnieni.

Kajetan ostatni raz chciał obejrzeć ratusz, ale nie w tej formie. Nawet masyw Wysokiego Zamku wydawał mu się dołujący i bardzo odległy od symbolu bezpieczeństwa. Całe miasto stanowiło zacieśniający się kocioł pełen wrzącej wody.

Właściwie to chwilami zazdrościł tym głodującym nieborakom, ale tylko chwilami. Wiedział, że bieda się nie stopniuje i każdy ma akurat taką nędzę, by upaść pod jej ciężarem. Większa czy mniejsza – nie ma znaczenia.

Może tak mu się tylko wydawało? Przez moment myślał, że jest ciężko, ale przecież zawsze jest. Wystarczy, że stoi po dobrej stronie i wszystko się ułoży, prawda?

Spojrzał w niebo. Dwie samotne, cienkie jak pajęczyna chmurki lewitowały gdzieś w oddali, by zaraz rozpląnąć się w bezmiarze oranżu. Żarłał się z nieba od tygodni, ale lepsze to niż walczyć po kolana w śniegu. Jeszcze świeże były w jego pamięci łapanki przygraniczne dwa lata wstecz, gdy w trakcie wyjątkowo srogiej zimy musieli gonić jakichś tchórzy z byłego cesarstwa.

– Ucieczka nie wchodzi w grę – szepnął, przecierając spocone czoło.
– Jest tylko służba ukochanej ojczyźnie.

Coś drgnęło w nim cicho, jakby skarżąca się rzeczywistość zaczęła skrzeczeć. Jednak nie, to tylko żołądek ciągnął nieprzyjemnie, nie wiedząc, czy domagać się więcej, czy skurczyć się z nerwów w kłębek.

Jeszcze gdzieś nad budynkami widział szczyt katedry świętego Jura, ale pozbawiony dawnego blasku. Wieżyce wypalono, gdy któryś z padlinożernych ptaków uwił tam brejowate, czerwone gniazdo. Wcześniej przed tym skrojono z fasad posągi świętych, by użyć ich jako kapliczek na murach. Przywołało to na myśl Kajetanowi: czy można dosłownie odciąć kawałek kultury i przenieść dalej?

Pragmatyzm nigdy nie był dla niego ważniejszy od symboli. Kultura musiała przetrwać, przeżyć ludzi i dać świadectwo. To ludzie tworzyli kulturę i nikt inny nie mógł jej doświadczać poza nimi. Mimo to uważał, że

raz wytworzona żyje już oddzielnie od ludzi. Więc czemu nie pozwolić jej istnieć, nawet za cenę stwórców?

Strząsnął z głowy zbędne myśli. Był już na miejscu.

Szwadron ułanów rozłożył się bez ładu i składu od wewnętrznej strony bramy, przez którą wcześniej salwowano się ucieczką z lotniska. Solidna, wysoka, wydawało mu się, że mogła wytrzymać wszystko. Zachodnia była jeszcze większa.

Młodzieniec o ziemistej cerze zbliżył się do dowódcy. Czerwone obszycie starszego wachmistrza zafalowało na zbyt dużym mundurze. Kajetan pamiętał, że przed oblężeniem Tarnowski jeszcze mieścił się w swój mundur jak uł.

– Skurczyliście się, Tarnowski – wyszeptał Niedźwiedź, choć sam straszył obecnych zapadniętymi policzkami.

– Serce rośnie na myśl o służbie ojczyźnie.

Wymienili się pozbawionymi przekonania spojrzeniami, po czym Kajetan położył dłoń na ramieniu kolegi. Przez moment siłował się z wymuszonym uśmiechem, ale w końcu tylko poklepał go po policzku.

– Co myślicie? Tylko szczerze.

– Szczerze? – Starszy wachmistrz rozejrzał się na boki, zagryzł usta i podjął głośno: – Byłem na szkoleniu na pilota, wiesz o tym...

– Wiem o tym, zawsze opowiadasz, że przeszedłeś testy i niby pogorszył ci się wzrok od bimbru.

– Albo od masturbacji – wtrącił podkomendny, opierając się o słup ogłoszeniowy – Tak naprawdę to pewnie od czytania przy świecach, ale to bez znaczenia. Nauka tak właśnie wygląda, a ja naprawdę kochałem awionikę.

– A potem... – spróbował przerwać rotmistrz, bezskutecznie.

– A potem sraka, powiedzieli, że nigdy nie wzlecę, bo to niezgodne z przepisami i powinienem nosić szkła jak denka od przepalanki. Ja im na to, że pozdrawiam serdecznie i życzę tężca.

Niedźwiedź roześmiał się mimo woli, uwielbiał tę historię.

– Tylko nie spodziewałem się... ale przysięgam, naprawdę, nigdy nie myślałem o wzleceniu ponownie w taki sposób. Odgrażałem się, że jeszcze zrobię licencję na aeroplany, chociażby we Francji albo w Stanach.

Niedźwiedź głośno gwizdnął, na co Tarnowski pokiwał głową dla dodania powagi swoim słowom. Przez moment rozglądał się jeszcze, wiedział, że ludzie podsłuchują, ale miał to gdzieś.

– Był pan na tym... pożał się Boże szkoleniu, prawda?

– Szczegóły jak wznieść takie maszyny w przestworza, jak je zatankować, odpalić, sterować nimi...

– Jesteśmy kawalerią do kurwy nędzy, ale nie powietrzną! – ryknął nagle Tarnowski. – To wszystko były kłamstwa. Znaczy, nie kłamali z informacjami, ale kłamali, że możemy to zrobić. Człowiek nie staje się pilotem, bo ktoś mu pokrótce wyjaśni jak wznieść maszynę. Ja jestem pilotem, czuję się pilotem i mógłbym wzlecieć. Kto tam jeszcze od nas, Frączyk?

– Tak? – odezwał się z drugiego końca ulicy wąsaty ułan o nalanej twarzy. Podglądał rozmówców od początku, zresztą byli najgłośniejsi.

– Ty się spasłeś...

– O ty kuźwa!

– Spasłeś się, ale licencję masz, prawda?

– Francuską, robiłem jeszcze przed wojną...

– No właśnie – zachnął się Tarnowski. – Nie wpuścili go do lotnictwa.

– Bo myślą, że jak na zachodzie zrobiłem, to szpieg od razu i wleciałbym w wieżowiec aeroplanem. Debile, kto przy zdrowych zmysłach by uderzył w wieżę samolotem, jak to pewna śmierć?

Wąsaty lotnik podrapał się po łysinie i spojrzał na stojących obok towarzyszy. Grali w odmianę łapek z zasadą wymierzania sobie uderzeń z otwartej dłoni. Wszyscy wymienili się zdziwionymi spojrzeniami na pytanie kolegi i zostawili temat.

Kajetan Niedźwiedź wyszedł na środek ulicy. Między dwoma zabarykadowanymi kamienicami zakwaterowano kilkukrotnie więcej mieszkańców, niż powinno móc mieszkać w takim miejscu.

– Zbiórka – zakomenderował spokojnie, stając w płasko kładących się promieniach czerwonego słońca.

Ludzie ruszyli się niechętnie, ospale, kilku wręcz wcale, lustrując obecnych wrogimi spojrzeniami. Ktoś nawet skulił się, schował głowę między nogami i zaczął płakać. Kajetan nie czekał.

– Powiedziałem zbiórka w tej chwili, to rozkaz! – szarpnął się, wyjął szablę i ciał przez powietrze.

– Ja nie będę umierał – odezwał się z boku rudy człowiek o odstających uszach. – Mogę walczyć, ale nie bezsensownie ginąć.

Rotmistrz doskoczył do niego w kilku susach, chwycił za kołnierz i szarpnął do masywnych, zabarykadowanych wrót. Przez moment spoglądał na buntowniczego podkomendnego z góry.

– Słyszysz? – wysyczał. – Tam za drzwiami, no, słyszysz?

Ryży zająknął się niepewnie, przełknął ślinę i wsłuchał w szuranie za podwójną warstwą drewna i stopów metali. Coś chrobotało cicho, ale nieustannie. Odcharkiwało, aż wreszcie zaśmiało się cichym, dziewczęcym głosem i zaświergotało ptasim trelem.

– Ale...

– To jest walka. Tak brzmi wróg, masz tam wyjść i go przegnać z ziemi przodków. Nie idziesz tam umrzeć, chyba że nie potrafisz walczyć. Jeśli potrafisz, to śmierć ci nie jest straszna. To chyba bardzo proste, prawda?

– To szaleństwo – odpowiedział cicho, zaciskając pięści. – Pan nas zabije!

– Pójdę pierwszy.

Kajetan puścił rudzielca, odwrócił się i spojrzał na skupionych na nim ułanów. Stała tam ich blisko setka, ledwie kilku wołało salwować się ucieczką i teraz służyło na przymusowych pracach. Mimo wszystko ufał każdemu ze swoich ludzi. Wiedział, że nie są tchórzami, ale się boją. Każdy się czegoś boi.

– Ja pójdę pierwszy! – krzyknął tym razem, prostując się dumnie i zadzierając głowę. – Ja was poprowadzę! Jeśli boicie się iść, to naśladujcie mnie, bo ja będę szedł. Będę biegł, gdy będą kazali mi biec, będę strzelał, gdy będą kazali mi strzelać i wzleć w niebo, gdy każą mi wzlecieć w niebo, czy to jasne?!

– Jak, przecież tam naprawdę jest piekło! Ja byłem na murze, widziałem, nie przebijemy się... – wychlipał poczerwieniały ułan, drżąc jak w febrze. Przekrwione oczy odpływały co chwila w bok, zęby stukały o siebie, jakby stał nagi na mrozie.

Rotmistrz zbliżył się do podkomendnego, zrównał do niego bokiem, położył dłoń na jego barku i zrobił krok.

– Jedna stopa i kolejna. Jedna stopa, a potem następna. Następna stopa, która jest przed następną stopą, przed następną... – zaczął nucić Kajetan, rozglądając się po ułanach.

Tarnowski zaśmiał się, chwycił za nos, przymknął oczy z niedowierzaniem i dołączył do dowódcy. Wyglądało to z boku komicznie, jakby bawili się w musztrę do rytmu niesłyszanej muzyki.

Wtedy ktoś naprawdę zaczął grać.

Czyjaś dłoń uderzyła raz i drugi miarowo o obojczyk, po tym następna i kolejna. Kolejni kawalerzyści chwyтали za krótkie karabiny konstrukcji Różala i dołączali do szeregów. Szable zadźwięczały o siebie chaotycznie, by zaraz porzucić nieskładny klangor stali i podjąć czystą jedność.

– Jedna stopa, przed kolejną stopą, przed następną, przed kolejną! – śpiewali chórem, formułując kolejne rzędy łatanych mundurów i zapadniętych, bladych twarzy.

W oczach tliła im się nadzieja, szczera i żywa jak wartki potok. Zabite na głucho kamienice salutowały przedziwnej paradzie straceńców. Tyraliera bezkonnych ułanów objęła wstęgą całą arterię.

Oficer na bramie dał sygnał niczym dyrygent. Hurgot haubic zagrał do wtóru, odstrasząc padlinożerców spod bramy. Mechanizm przekładek zazgrzytał ciężko, dołączając nieczystym głosem do śpiewu. Bramy z jękiem rozwarły się, wprowadzając kolejny, brutalny odgłos do symfonii.

Przed nimi stała ziemia utracona.

Rotmistrz Kajetan Niedźwiedź postawił pierwszy krok za bramą, wpływając między dwie prostopadłe barykady z worków piachu i gruzu. Nadal śpiewał do rytmu, nadal trzymał za ramię wracającego do zmysłów ułana. Jednak natychmiastowo wyczuł niemożliwy do przegapienia skok ciśnienia.

Rozejrzał się na boki, szukając ruchu. Coś przepętlęło za węglem pustej stajni i ukryło się w studni. Był pewien, że widział idącego na kilku

nogach ptaka. Potem zwrócił się wzrokiem ku fortyfikacjom, z których nadal błyskało i grzmiało.

Brama za plecami ułanów zawarła się równie szybko, jak otworzyła. Minęło ledwie kilkanaście sekund i zapadła dzwoniąca w uszach cisza. Haubice umilkły, ktoś podał rozkaz z ust do ust i strzelcy ukryli się za zasłonami. Słońce schowane za horyzontem nieśmiało muskało odbijanym światłem powierzchnię ziemi, zwiastując rychły zmierzch.

– Czworobok! – ryknął rotmistrz, rwąc jedną dłonią za rękojeść szabli, a drugą wyjmując oficerski, przestarzały nieco bilon-02.

Rewolwer zagrzmiał, zrywając ostatnie głosy chóru. Czar muzyki prysł i teraz był jedynie chłód blokady za plecami i mokra, czerwona ziemia pod stopami. Gdzieś tam, między gęstniejącymi ciemnościami, znajdowało się wszystko. Dosłownie wszystko.

Szeregi zacisnęły się na krawędziach, środek zrzedł, wspierając formację na długość i szerokość. W tym wszystkim rotmistrz winien był zbliżyć się do rdzenia układu i stamtąd wydawać następne rozkazy. Jednak dał słowo, że będzie szedł pierwszy i tak robił.

– Rażno, do przodu! Do końca gmachu i dalej – krzyknął Kajetan, przymierzył gdzieś w mrok i wypalił.

Tak naprawdę niczego tam nie zobaczył, nawet mu się nie przywidziało. Po prostu wiedział, że słowa należy podpierać gestami. Gesty mają siłę, a siły potrzebowali.

Więc z poczuciem narastającego impetu parli wzdłuż ulicy hetmana Żółkiewskiego. Po prawej ciągnęły się rzędy mieszkań z powybijanymi szybami i wywleczonymi elementami inwentarza. Po lewej mieli niewielki, dosyć stromy skwer, prowadzący dalej do parku i cytadeli lwowskiej, włączonej do muru zakrętu wewnętrznego.

Tylko niczego nie poznawali.

Drzewa zdążyły zgubić liście i igły, w powietrzu unosił się zapach amoniaku i czegoś ostrego, szczypiącego po nozdrzach i drażniącego gardła. Wydawało się, jakby wszystkie kolory wyjaskrawiły się, a kontury rozmyły. Momentami tu i ówdzie mogli dostrzec, jak po naczółkach okien sączy się delikatna stróżka czerwieni. Było tak dziwnie, nienaturalnie cicho.

– Tarnowski... – zaczął rotmistrz.

– To jest ten moment, w którym coś na nas wyskakuje – wtrącił Tarnowski, ściskając nerwowo drewnianą kolbę karabinu.

Rotmistrz parsknął śmiechem i doładował braki w bębenu rewolweru. Czworobok sunął nieubłaganie do przodu, choć lekko wydawał się puchnąć i wyginać, jakby część żołnierzy wołała zwracać się w kierunku czerwonego lasu.

Nieustannie na granicy szaleństwa, drżący z nerwów, stale szli przed siebie. Mijali zdezelowane wózki, rozerwane meble, odrapane szyldy i powalone latarnie. Dzielnica została oczywiście zniszczona, ale nie tak jak mogli się tego spodziewać. Większość szkód wyglądała na spowodowane własnym ostrzałem artyleryjskim, a nie grabieżą najeźdźców ze wschodu.

– Dlaczego nie puścili wszystkiego z dymem? – spytał wąsaty lotnik.

– Może nie zdążyli – zasugerował rotmistrz, nie spuszczając ze wzroku podejrzenie ciemnej bramy mieszkania. – Może nie chcieli.

– Mieli ważniejsze rzeczy na głowie. Bardziej mnie interesuje, gdzie się podziali ludzie? – wycodził powoli wachmistrz, nadal lustrując bacznie okolicę. – Śladów krwi jest niewiele, przynajmniej stosunkowo. Za to zwłok... właściwie to nic. Ot, widziałem czyjąś dłoń w rynsztoku.

– Boże – szepnął blady ułan, którego rotmistrz wyprowadził jako pierwszego.

– Miarkuj się, Tarnowski.

– Kiedy ja naprawdę...

– Nie musisz mówić o tym tak, jakby to była rzecz – mówił powoli i spokojnie rotmistrz nieobecny głosem. Stale analizował każdą leżącą cegłę.

– Przecież to jest rzecz – zachnął się towarzysz, czym skupił na sobie uwagę reszty. – No co?

– Boga w sercu nie masz? – zdziwił się ktoś niezmiernie.

– Nie wiem, znaczy...

– Może jeszcze w cuda nie wierzysz?

– Cudów nie ma! – słowa runęły z nieba.

Ziemia zatrzęsała się, unosząc z ziemi szkarłatne opary i pył. Kaszel dopadł natychmiastowo niemal wszystkich, którzy odruchowo nie zasłonili ust. Kilkunastu puściło się biegiem do najbliższego mieszkania – byle wyżej. Reszta pobiegła w stronę stromego lasu, licząc na odcięcie się od ciężkiego oparu.

– Nie... – wykasłał rotmistrz, wchodząc na kolejne stopnie wysokich schodów. – Tam nie, nie wolno!

Było za późno.

Pierwsi żołnierze dotarli do miękkiego dywanu z runa leśnego, gnijących igieł i czerwonego nalotu. Ktoś odetchnął, rżąc płucami niezwykle głośno. Inny zdążył jeszcze dłonią oprzeć się o uschniętą na wiór sosnę, a następny spojrzał wreszcie pod buty i zmarł.

Ziemia poruszyła się, wydobywając zamiast strąconych owoców kończyny. Błade dłonie, stopy, twarze zaczęły wychylać się spomiędzy leśnego dywanu i szwadron rozsypał się na boki.

– Panie, zmiłuj się! – krzyknął ktoś, gdy kilka białoczerwonych poczwara sięgnęło jego ciała i ściągnęło w dół, do gęstego podłoża. – Nie...

Krzyk uwiązł w gardle pochłanianego, gdy wilgotne palce zaczęły chwytać go za wierzgający język. Charknął jeszcze raz, desperacko miotnął się, spróbował nacisnąć na spust broni i zniknął pod powierzchnią korzeni.

Kajetan z niedowierzaniem oglądał, jak między siwymi konarami znikają kolejne sylwetki jego dzielnych kawalerzystów. Stał pochylony, oddychał ciężko mimo drażniącego przełyk zapachu, ale nie wypalił ani razu.

Nie wiedział kto swój, a kto wróg.

Walczyli z ludźmi. Wydawało mu się to zawsze takie niesamowicie niemożliwe. Te wszystkie fantasmagoryczne stworzenia, które plewiły się pod murami. To wszystko było żywcem wyjęte z kinematografii albo antycznych historii. Jakoś sobie ludzie tłumaczyli zło dawno temu, ale teraz?

Chwycił się za głowę, zacisnął pięść wraz z kępą kasztanowych włosów i uderzył w futrynę. Zaraz wbiegł przez przejście, nie zamykając drzwi.

Wewnątrz grupa ułanów rozkładała się wzdłuż okiennic, oglądała kolejne pokoje, zabezpieczała przejścia. Kajetan podszedł do stolika na kawę, na którym ostał się wazon ze zwiędłymi kwiatami.

Wyprowadził nagle kopnięcie. Mebel przekoziółkował kawałek i potoczył się po ziemi. Sam wazon zwyczajnie huknął o ścianę, oblewając ją mętną wodą.

– No i tyle – warknął, splunął na podłogę i usiadł w naprzeciwległym fotelu.

– Co ty robisz? – Tarnowski spojrzał na przełożonego z zażenowaniem i pogardą.

– Nic.

– No właśnie widzę, rusz dupę.

– Coś ty do mnie powiedział?

Rotmistrz zerwał się na równe nogi, wyprostował plecy, ręce zawiesił w powietrzu, aby jak najbardziej pokazać swój rozmiar.

– A ty kurwa co, niedźwiedź? – Wachmistrz wyszczerzył się jadowicie. – Ja z tobą nie będę się bił o najmniejszą kuśkę, więc łaskawie nie zachowuj się jak pizdryk po tych wszystkich nadmuchanych miazmą przemówieniach. Zrób coś, by to miało sens.

Niedźwiedź nie mrugał, zatrzymał się na dłuższy moment. Wyglądał jak manekin wystawowy, zastygły w doskonałym bezruchu. Tarnowski wpatrywał się w niego spokojnie, właściwie nie przejmując się czymkolwiek.

– Więc? – dopytał jeszcze.

Rotmistrz pokiwał głową, spojrzał na boki, spuścił wzrok i uśmiechnął się delikatnie ze wstydem. Pozwolił to dostrzec jedynie koledze, po czym żwawym ruchem dopadł do okna, zlustrował okolicę i pognął na drugi kraniec mieszkania.

– Wybiegniemy przez wspólne korytarze, a potem na ostatnie schody zewnętrzne.

– Tak jest! – szczeknął jako pierwszy Tarnowski i machnął na pozostały w pokojach tuzin żołnierzy.

Każde następne mieszkanie wydawało się ponuro podobne do poprzedniego. Pootwierane na oścież drzwi, wybite odłamkami okna, ślady kul na ścianach i rozłożone po stołach talerze. Cienka granica między pozorem zwykłego życia a wlaniem się wojny do panoramy codzienności.

– Teraz.

Kajetan wleciał barkiem przez drzwi, zeskoczył ze schodów i przykucnął. Lufa wyrysowała szeroki łuk i opadła delikatnie.

Pozostali ułani wysypali się niemal natychmiast, wąskim sznurkiem podążając za dowódcą, przewodnikiem stada. Nie mieli doświadczenia w takich sytuacjach, nie byli na to gotowi. Mogli jedynie zaufać instynktom i przeniesionym na inny grunt przyzwyczajeniom.

– Za biblioteką – podał Tarnowski, po czym obrócił się w kierunku wychodzącej zza rogu ulicy. – Jasny gwint!

W półmroku przychodzącego wieczora dostrzegli, jak cała ulica jest zasypana nieforemnym gruzem. Ledwie sekundę później zmienili spostrzeżenie i zrozumieli, że to nie był zawał między budynkami a horda postaci zawiniętych cieniem. Setki, jeśli nie tysiące pochylonych smętnie kształtów podobnych ludziom.

– Do pasa komu życie miłe! – zakrzyczał rotmistrz i wypalił w kierunku tłumu.

Pocisk wszedł miękko w jedną z ledwie widocznych kukiełek i zrykoszetował w górę. Ranny padł na ziemię, równie beznamietnie, jak wcześniej stał. Reszta marionetek parla zwyczajnie naprzód, depcząc po zwłokach.

– Lećcie! – krzyknął jeden z żołnierzy, Rodryk Mirski. – No dalej!

Kajetan znał dobrze Rodryka. Już dawno mu powiedział, że brawurowa wołyżerka go zabije. Cóż, mylił się, miał sam to zrobić. Zaciśnął zęby, nawet nic nie odpowiedział i przyspieszył biegu.

– No, to teraz jak w reducie... – zaśmiał się Rodryk, po czym wyjął zawleczkę granatu. Przez najkrótszy moment złapało go jeszcze zwątpienie, ale było na to za późno.

Tarnowski wybiegł zaraz za dowódcą, stawiając pierwsze kroki na asfaltowym, szerokim pasie lotniska. Za nimi gdzieś zadudnił wybuch, a dalej seria świstów. Ciemność gęstniała z każdą chwilą, ledwie

pozwalając na dostrzeżenie czegokolwiek. Księżyc obserwował poczynania ludzi cienką strugą srebra, wystającą zza granatowej powieki.

– To co teraz?

– Jak to co? – Rotmistrz wzniosł brwi w zdziwieniu i przeskoczył nad strawionym w pożarze sterowca żelastwem. – Improvizujemy!

– Nie to chciałem usłyszeć! – zarzekł się wachmistrz, biegnąc do następnego hangaru. – A ty gdzie znowu?!

Kajetan wbiegł do spalonego hangaru pierwszego i zniknął w mroku.

– A żeby cię bies... – warknął podkomendny, słysząc za sobą jeszcze kilka par butów. Liczba żołnierzy wykruszała się zastraszająco szybko.

– Co robimy? – spytał się któryś. Nie dało się ich rozróżnić w mroku.

Tarnowski warknął przeciągle, obrócił się do wąsatej postaci i zreferował szybko:

– Otwierać od wewnątrz drzwi hangaru, niech któryś pilnuje osobowych. Ja postaram się odpalić chociaż jedną z tych piekielnych machin.

Resztką szwadronu wleciała do środka przez drzwi dla personelu technicznego. Ktoś łutem szczęścia znalazł ciężką, ołowianą sztabę i zastawił drzwi, inny podstawił pod nie skrzynie. Nie wiadomo, co w nich schowano.

Brzęknął prąd, lampy zapaliły się kolejno długim rzędem. Hala załśniła od światła, pozwalającego teraz dostrzec kilka nienaruszonych, masywnych gigantów von Misesa.

– Dzięki Bogu! – zakrzyknął Tarnowski, pędząc do najbliższej maszyny. – Panie, Jezusie, kurtka na wacie, Ojcze Niebieski, błagam.

Aeroplan po chwili zawarczał dziko, ale w odpowiedzi ścichł jego pilot. Nagłym skokiem wyleciał z pojazdu i popędził do następnego i kolejnego.

– Co się dzieje panie...

– Gówno! – ryknął z całych sił starszy wachmistrz Tarnowski. – Gówno się dzieje! Cholera, czy oni spuszczali całe paliwo przed atakiem? Jasny gwint by to wszystko trafił...

Silnik zaryczał wartko, zlewając się z huknięciem o boczne drzwi. Dwóch ułanów rzuciło się do przytrzymywania stalowego skrzydła.

– Jest! – krzyknął pilot. – Jest wszystko, zatankowany, załadowany, nie wierzę po prostu! Szybko, otwórzcie bramę, trzech na gniazda i lecimy.

Sześciu ułanów spojrzało po sobie bez słowa.

Trzy gniazda.

Tarnowski zaklął szpetnie.

Ktoś uderzył towarzysza w twarz i pobiegł do samolotu, natychmiast ściągany za nogawkę do ziemi. Tylko jedna osoba już trzymała drzwi, lecz zaraz i ona przestała. Po chwili wszyscy szarpali się, khuli i wrywali do przodu na wyścigi.

– Zabijecie nas wszystkich! – wykrzyczał w furii Tarnowski, wyskakując prędko z kabiny pilota.

Gnał na złamanie karku, by chociaż spróbować samemu otworzyć wrota. Wtem drzwi dla personelu rozwarły się na oścież. Sztaba zgięła się jak drut, a ciężka, masywna skrzynia, przeokożółkowała na bok, brocząc żelastwem.

– Gówno – powiedział po prostu wachmistrz i zaczął mocować się z zapadkami przy łączeniu dwóch skrzydeł hangaru.

Przez drzwi weszła niezmiernie powoli ponad dwumetrowa postać z wosku. Ciemnoczerwona, matowa skóra wydawała się pofałdowana i

zrobiona z gęstego tworzywa sztucznego. W miejscu twarzy marionetka miała pięcioramienny otwór, z którego sączyła się czarna ropa.

Karabin Różala huknął przeszywająco. Zamek czterotaktowy wypuścił na świat długą łuskę, a zaraz jej bliźniaczkę i kolejną. Szybko dookoła grupki ułanów rozlała się płytka kałuża płaszczy po nabojach.

Sylwetka lalkowego stwora stała w miejscu jeszcze przez moment, opadła na kolana i zawałiła się z rumorem. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

Zza drzwi wyłoniła się kolejna sylwetka, nieco mniejsza, za nią następna. Zaraz za nimi pojawiła się okrągła, biała twarz pokryta szczecina. Zęby układały się niej w idealny okrąg, a oczy świeciły żółtą pustką. Całe ciało wydawało się nadmuchanym balonem, pokrytym wijącymi się, mięsistymi włosami.

Drzwi hangaru drgnęły niezauważalnie. Jeden z ułanów rzucił opróżnioną broń na ziemię i zaczął biec, by pomóc wachmistrzowi.

– No wreszcie!

Wtem broń rzuciło jeszcze dwóch, pozostawiając trójkę do samodzielnego zatrzymania zalewu stworzeń.

– Nie, idioci, przecież oni... – zaczął starszy wachmistrz, ale zaraz dostrzegł istotę rzeczy. – O wy gnoje.

Dwaj ułani podbiegli do samolotu, jeden wskoczył za stery warczącego pojazdu, a drugi zajął działko przednie. Przymocowany do żelaznego stelaża karabin Fieldorfa zagrzemiał jak opętany.

Strugi ołowiu polały się, rykoszetując we wszystkich kierunkach. Jeden z ułanów chwycił się kurczowo za pierś i opadł na ziemię. Karmazynowi najeżdźcy najpierw niechętnie cofnęli się, by po chwili nie móc nawet uciec. Zwyczajnie opadli bez życia, jeśli takowe wcześniej posiadali.

Mises R.I potoczył się do przodu, zmniejszając dystans do wolności. Pilot za drążkami sterowania wymienił się spojrzeniem z bezpośrednim przełożonym i bezgłośnie cmoknął ustami.

Tarnowski stanął przed zbliżającym się, dwupłatowym kolosem. Wyjął rewolwer zza szerokiego pasa, przymierzył w strzelca, pociągnął za spust, po czym wypalił jeszcze trzy razy, wiedząc, że bezpośrednio za nim siedzi pilot.

Machina zwolniła, Fieldorf ucichł.

– W imieniu Rzeczypospolitej skazuję was na wyrok śmierci za zdradę ojczyzny – wycodził dla sprawiedliwości i stojących nieopodal ułanów. – I mnie – dodał ponuro.

Brama wreszcie stanęła otworem, minimalnie szerszym od ponad dwudziestometrowej rozpiętości samolotu. Gdyby drzwi nie chodziły tak luźno pod wpływem systemu zapadek, to rozwarcie ich trwałoby dobry kwadrans.

Starszy wachmistrz wskoczył na skrzydło samolotu, podciągnął się na rusztowaniu, sapnął i z wielkim trudem wyrzucił z kabiny truchło byłego towarzysza, a obecnego zdrajcy.

– Idą! – krzyknął jeden z dwóch obrońców, stojąc przy drzwiach z szablą.

– Ty jesteś gilotyna, a nie człowiek! – zaśmiał się towarzysz, widząc, jak ułan rąbie od góry wszystko, co wystawi swój łeb czy odnóża.

– Ostatnia szansa na zapisanie się w księdze bohaterów! – krzyknął podekscytowany Tarnowski, czując, jak samolot powoli zbliża się do bramy.

Coś wpęzło do środka i skoczyło na plecy ułana, który jeszcze przed chwilą pomagał w otwarciu nieszczęsnych wrót. Dziwne stworzenie

wydawało się niewielkie, pokryte gęstym futrem i niezwykle brzydkie. Nim ktokolwiek zdążył krzyknąć, ułan prysnął krwią z karku i opadł na ziemię.

– Cholera! – krzyknął kawalerzysta z szablą, odwrócił się z powrotem do drzwi, a tam już stało Coś.

Owo Coś nie zdążyło nawet zapisać w pamięci dzielnego obrońcy. Natychmiastowo wchłonęło go do wnętrza półprzezroczystego bębna orkiestrowego, wspieranego przez pełznącego wija.

Ostatni z obrońców jeszcze w biegu zrzucał z siebie pas nośny karabinu i naprędce wskoczył do bocznego gniazda samolotu. Chwycił za oba drążki i plunął ogniem.

Kanonada ucichła niemal od razu, gdy ciało strzelca zawisło na opuszczającej się spod sufitu pętli szubienicy, która zdawała się niknąć w mrokach sklepienia jak żywe stworzenie. Właściwie to rzeczywiście wydawała się ruszać i ni stąd, ni zowąd zaczęła wciągać schwytanego ku górze niczym egzotyczny wąż na gałęzi.

Tarnowski robił wszystko, by nie zamknąć oczu. Bombowiec toczył się do przodu, już mijał wrota i zakręcał na bok, gdy coś uczepiło się ogona.

Długa na kilkanaście metrów postać czarnego, futrzanego wija chwyciła sześcioma pazurami ster kierunku i wysokości. Falujący róg wystawał spomiędzy dwóch doskonale białych lamp oczu.

– Jakim prawem?! – ryknął pilot, wyjął ponownie rewolwer, wymierzył i pociągnął w furii za spust.

Iglica stuknęła głucho. Przed oczami stanął mu wyszczerz zabitego zdrajcy.

Czarny wij zaczął oplatać ogon samolotu i położył obie szponiaste łapy na klapach. Aeroplan zatrzęsł się jeszcze na ziemi i lekko zgiął. Płyta improwizowanego lotniska kończyła się na trzypiętrowej, szerokiej kamienicy.

Tarnowski wiedział, że jeśli się zatrzyma, to potwór go dorwie, a jeśli nie, to niechybnie uderzy w ścianę i też go potwór dorwie, tylko pewnie nie żywcem.

– Cudów nie ma – przypomniał sobie przeszywający głos, niesiony przez wiatr.

Wtem samolot zatrząsł się, lekko uniósł ogonem w powietrze i opadł nagle, odzyskując nabieranie prędkości.

– Co do stu par...

Ośmiometrowa sylwetka czarnego kolosa unosiła się nad pasem startowym, trzymając w wielkich szczypcach wija. Przez moment kreatura próbowała się jeszcze wyswobodzić, ale gigant bez wysiłku zacisnął potrzask i złamał dziwadło na pół.

Zadudnił zewnętrzny system nagłośnienia.

– Uczyłem się sterowania, wybaczone spóźnienie – głos był trzeszczący i zniekształcony, ale Tarnowski poznał swojego dowódcę, który odłączył się wcześniej do wypalonego hangaru. – Teraz powinno być z górki.

Topol był osmalony z każdej strony, pokryty gęstym, ciemnym kopciem. Dało się dostrzec, że pożar w jakimś stopniu także musiał go sięgnąć, choć konstrukcja zapewne przewidywała podobne przypadki. Teraz spryskana wodą wycieraczek, podświetlona od wewnątrz kabina pilota zwabiła do siebie nie tylko komary i ćmy, ale także wszystkie stworzenia z okolicy.

– Co robimy?! – krzyknął Tarnowski, ale zdał sobie sprawę, że przecież nie miał żadnego nagłośnienia. Co więcej, przyśpieszał i zaraz bombowiec miał oderwać się i pofrunąć. Wiatr huczał ogłuszająco, ledwo mógł już słyszeć cokolwiek.

– Leć, zrzuć ładunek – obwieścił Topol, po czym zakręcił się walcowym krokiem, by podnieść z ziemi wielką, żółtą cysternę.
– Ja zablokuję bramę. Misja wykonana, przyjacielu, jestem z ciebie dumny.

Tarnowski rozchylił usta, wiatr wył coraz śmielej, szarpiąc go za twarz. Pęd zaczynał być nie do wytrzymania i wtedy ciężki bombowiec uniósł się w górę, zgodnie zresztą ze swoją klasyfikacją – ciężko.

Dolny płat skrzydeł omal nie zahaczył o komin. Machina ledwie wzniosła się, ale utrzymała równowagę, zyskując od ziemi kolejne metry.

Starszy wachmistrz dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, co to oznaczało. Obejrzał się jeszcze, powoli przygotowując pojazd do wykręcenia. Widział, jak ziemia pulsuje, pęcznieje i rozrywa się niczym gotowana woda. A pośród tego bezmiaru potworności płynęła jedna arka światła, samotny Topol, dźwigający w kierunku rozerwanej bramy cysternę.

– Gdy tylko się wkomponuję, zrzucaj.

Tarnowski zacisnął zęby, przeliczył opcje i zrobił jedyne, co mógł w takiej chwili: wysyczał wiązkę przekleństw.

– Hejże, wiem, że mnie słyszysz – zaśmiał się sztuczny głos interkomu.

Sylwetka zaczęła obrastać w dodatkową warstwę nieswojej skóry. Kolejne pełzające maski wtaczały się na nią, chwytaly za siłowniki, elementy pancerza, kable i rwały, co się dało w nagłym akcie desperacji. Jeden głośnik w końcu padł, więc rotmistrz mówił zniekształconym, na pół głuchym dźwiękiem.

– Wiesz, dzięki za wszystko. To twoja zasługa, naprawdę. Gdyby nie ty, leżelibyśmy tam w lasu. Twoje nazwisko pierwsze na pomniku, co ty na to?

Dźwięk z głośników urwał się nagle. Któryś z kościstych dziwaków rozerwał osłonkę przy wzmacnianej szybie kokpitu i zaczął wdzierać się do

środka krocącego pancerza. Huknął wystrzał, brzęknęło kruszone szkło i napastnik ruszył w długi lot do ziemi.

Gigantyczna sylwetka maszyny kroczącej stanęła wreszcie pod bramą. Ramiona wzniosły się w górę, jedno z nich niepewnie zacisnęło palce na cysternie. Ze środka zaczęła sączyć się gęsta, fosforyzująca ciecz, oblewając całego topola, kawał bramy i okolice.

Szyba kokpitu zjechała na bok, błysnęła szabla, huknął bilon i błysk światła oślepił pilota bombowca.

Gdy już Tarnowski zdobył się na rozchylenie powiek, widział jedynie niemożliwych rozmiarów kulę bieli, pełgającą rojem płomieni, wyciągających lepkie macki w każdym kierunku. Kamień i Topol spajały się ze sobą w dziwny sposób pod wpływem ogromnej temperatury. Karmazynowe marionetki rozpierzchnęły się na boki w panice, przynajmniej te z nich, które zdołały uciec przed śmiercią w ogniu.

– Rosenberpan – szepnął Tarnowski, po czym uśmiechnął się delikatnie i wyrównał kurs do największego, gęstego skupiska maszkar.

Oświetlone odległymi płomieniami sylwetki wydawały się niemożliwe do opisania. Jednak z tego całego chaosu i bezmiaru szaleństwa jedna rzecz wyjątkowo mocno rzuciła się w oczy Tarnowskiemu.

Przez pas startowy pełził wielometrowy, żywy tron z macek, pulsujących i ciągnących się aż do czegoś wyglądającego jak jaskrawe, czerwone serce. Oparcie siedziska wydawało się przypominać dwa skrzyżowane narzędzia, może zaimprovizowane, a może stylizowane celowo na sierp i coś jeszcze, niknącego w cieniu drugiej strony. Całość konstrukcji ciągnęły przytoczone linami i łańcuchami stworzenia Karmazyny.

Wachmistrz wgapił się przez moment w oniryczny obraz wycofującego się serca, po czym z satysfakcją wdusił przycisk i za nim następny.

Komora bombowa rozwarła się, jak otwierający pąk kwiatu. Cylindryczne, pękate zawiniątka poleciały z przejmującym wizgiem w dół, kończąc lot efektownym, białym rozpryskiem. Rosenberpan rozprzestrzeniał się w każdym kierunku. Skwierczenie ciał i krzyki oblegających dało się słyszeć jeszcze w powietrzu.

Wtem zdarzyła się rzecz, której spodziewać mógłby się tylko żołnierz ze wschodu. Pulsujące, płonące serce zaskowyczało przeraźliwie z mocą tysięcy umarłych. Tarnowski czuł w tym potworny ból, aż omal sam nie stracił przytomności za sterami.

Komory serca rozłożyły się na boki. W środku pilot dostrzegł tuziny lepkich, różowych ciał, złączonych ze sobą przedziwnym, przerośniętym systemem krwionośnym. Po krótkiej chwili organizm zaczął wydłużać się i rozpadać na rój malutkich stworzeń, wznoszących się powoli w niebo jak Karmazynowe świetliki.

– Co do jasnej cholery się dzieje?

Pilot dostrzegł, jak na jego przedniej szybie przysiada Karmazynowy ptak, nieumiejętnie udający wykrzywionego karykaturalnie orła. Zwierzę posiadało dwie głowy, z których jedna trwale patrzyła w bok, a druga spoglądała na niebo szeroko rozwartą gardzielą, pełną pulsującej masy.

– Nas jest wielu – paskudny charkot wydobył się ze whitej w kierunku nieba głowy. Istota z trudem imitowała ludzką mowę, jakby na bieżąco tworzyła struny głosowe, zaraz je rozbierała na części i składała ponownie. – Wy jesteście sami.

Po czym ptak po prostu spikował w ciemność, w ostatniej chwili wybił się i pognął poza obręb oblężonego miasta. A pod murami już zbierała się Karmazynowa czereda.

* * *

– Panie generale! – zakrzyknął podekscytowany oficer sztabowy.
– Ja śnię? To przecież niesamowite! To naprawdę...

– Cicho – mruknął Ruczyński. Przez moment wpatrywał się w pełgające po osmalonych ścianach cienie i w końcu odwrócił się do adiutanta. – Przekaż do Parzydła, że może już się nie przejmować tematem. Miał rację, połączyć Rosenberpanem spojenie, na wewnątrz ustawić ścianę tablic. Trzeba się ciasniej okopać.

Adiutant, około dwudziestokilkuletni chłopak o zaciętej, poważnej twarzy zasalutował i zbiegł chyżo po schodach, wprost w mrok jak ptak pocztowy, niosący wiadomość. Ruczyński spojrzał z powrotem w kierunku wielkiego ognia i zastygł w bezruchu.

– Generale, wyślijmy oddziały pancerne!

– Nie.

Kilku oficerów spojrzało po sobie. Rozgorączkowany major o nastrozonych, cienkich wąsach zapiał ze złości:

– Jak to?! Przecież... Jezu, tam zginęli ludzie! Bohaterowie, prawdziwi! Udało im się, możemy posłać atak naprawdę, a nie na niby – perorował, popierany skinięciami towarzyszy. – Odbijemy podgrodzie, zastawimy mury tak jak w planie! Ten człowiek, ułan, Topol, to się udało!

– Przywołuję cię do porządku ostatni raz – mówił spokojnie i powoli generał.

– Ja, nie, przecież... To zdrada! Zdrada!

– Szczepan... – szepnął któryś z tyłu.

– Zdrada, musimy, Jezu, przecież... To, co pan robi, to zbrodnia!

– zaciął się oficer, kłapiąc co chwila ustami jak dławiąca się ryba.

– To, co pan robi, to z kolei głupota, co jest gorsze?

Major położył dłoń na szabli, oficerowie cofnęli się o krok.

Generał dalej patrzył w dal, na płonący stos ciał, spomiędzy których wystawał stalowy kolos. W oczach dowódcy odbijało się białe światło. Ogień błyskał wzdłuż cienkich strug wilgoci na policzkach.

– Jeżeli wyślemy w środku nocy jednostki, zaczniemy ciemną rzeź na już obcym terenie, to będzie koniec. Bramy kolejowe są prawdopodobnie otwarte, mamy za mało informacji. Nie mamy gotowej taktyki, nie mamy nawet w zanadrzu dywizjonu pancernego, o który tak się pan piekli. To trwa zbyt długo, by postawić coś takiego na nogi. Prawdopodobnie nim włączylibyśmy kontrofensywę, spoiwo w bramie padłoby na nowo. Nieprzyjaciół to nie tępą dzik pod stodołą, tylko słoń z rozumem człowieka i potrafi sforsować niebronione umocnienia.

Ruczyński odetchnął głęboko, przejechał wierzchem dłoni po twarzy i oparł się na kamiennych zębach muru. Palce zacisnęły się mocno na wystającej szczyrbie, krusząc ją do postaci drobnego pyłu. Pod gęstym, siwym wąsem zagrał przez moment smutny uśmiech, by zaraz oblicze starego generała mogło ponownie stężeć w maskę wojny.

– Więc tak, są bohaterami. Tylko to jest wojna, a nie wiersz Mickiewicza. Wygrali dla nas morale, wspomnienia i kolejne statuetki kultu, ale nie wygrali nam ani piędzi ziemi. Szanuję ich męstwo, podziwiam spryt i szczerze nie dorównuję wiarą – klarował powoli, wyraźnie, jakby czytał z kartki. – Za to mnie mój niedostatek tych cech nauczył, że wojny wygrywa się w sztabie, a nie na polu bitwy. Dlatego właśnie wielce czcigodny rotmistrz Niedźwiedź skończył w kuli ognia. A ja dziś znów nie

będę spał, tylko odbierał kolejne raporty, rozdzielał zakwaterowanie dla uchodźców i drapał ściany, próbując odnaleźć wyjście z tego piekła.

– Zabił pan stu ludzi! – krzyknął niezrażony major, choć drżące dłonie rwała się już do broni. – Zmarnował pan stu świetnych żołnierzy, skoro brakuje żywności, to może wyślijmy też uchodźców!

– Szczepan – odezwał się ktoś ponownie. – To już za wiele.

– Nie! Nie za wiele, przecież tylko o to chodzi, prawda?
O kalkulację zasobów?

– Wymieniłem żołnierzy za symbole i szanse. Zrobili to z ochotą, z pieśnią na ustach wręcz, bo w ich sercach jest nadal ważniejsza kraina ojców od własnej skóry. Ludność cywilna ma priorytet, są ofiarami wojny, my ich obrońcami. To, co mówisz, majorze... To jest prawdziwa zbrodnia, a nie wysyłanie żołnierzy na śmierć.

Major zagryzł usta, parsknął jak koń, warknął coś, odwrócił się, ale zaraz wrócił i spytał szyderczo, próbując trafić przytykiem w miękkie podbrzusze generała:

– Nie dziwię się, że nie będzie pan generał spał. Jak można spać czy iść przez życie po czymś takim?

Wiktor Ruczyński odwrócił się powoli do majora, zmierzył go wzrokiem od wypastowanych butów do nasmarowanego wąsa i postąpił krok w jego stronę.

– Jedna noga, za nią następna.

Rozdział czwarty

18 lipca, Warszawa

– Miałam je trzy – mówiła z przerwami starowina, trzymając bawełnianą chustkę przy kurzych łapkach. – Dzieci moje. Najstarszego, Jurka wzięli w... zaciągnęli znaczy i już po miesiącu jak kamień w wodę. Ja przychodziłam do nich, nawet do domu osobiście przez znajomą, a dalej do żony generała Furmanowskiego, ale on do mnie tylko: pani Wisławo, ja wszystko rozumiem, ale prawo jest... Prawo jest dla wszystkich i ja nie poradzę. A ja tylko, wie pan, ja chciałam tylko wiedzieć, czy z nim wszystko w porządku. Nawet tego mi nie powiedzieli.

Kapitan uśmiechał się delikatnie, ruszał powoli, tak jak się to robi przy spłoszonym zwierzęciu. Mrugał często, by zwalczyć poczucie obcości czerwonych oczu. Namówienie kobiety na rozmowę i tak wymagało od niego obrony przed rzuconym dzbankiem i zarzeknięcia się przed Najświętszą Panienką, że nie jest on diabłem.

– A co z pozostałymi? – dopytał spokojnie.

– Drugi, znaczy... Najśredniejszy mój, Jacek, to jeszcze na wiosnę zmarł na szkarlatynę. – Babuleńka przyłożyła chustę do nosa i dmuchnęła, by zaraz tą samą szmatką przetrzeć oczy. – On zawsze był chorowity, a jeszcze jak z chłopakami z nasypu na Potockiego skoczył do rzeki, to ja wiedziałam, że się pochoruje. Głupi zawsze on był i w końcu głupi umarł.

Izidor pokiwał lekko głową na boki, upił okropnie cienkiej, rumiankowej herbaty i ośmielił gestem gospodynię, by mówiła dalej.

– No i najmłodszy mój... Mój Piotruuuś – zawyła przejmująco kobieta, ponownie popadając w atak histerycznego płaczu. Szlochała bez wypowiedzenia zrozumiałego zdania przez następne kilka minut, by wreszcie podnieść głowę, przechylić ją prosząco i dokończyć.

– On dobry chłopak jest, panie oficerze. Ja nie chcę, by go zabrali. On nie nadaje się do wojaczki, w mrozie mi tam zginie daleko na wschodzie, a ja nie mam już innego. Ma tylko czternaście lat, a teraz jeszcze te banialuki mu do głowy nawkładali wywrotowcy, buntownicy jedni.

Murykiewicz nie miał ochoty klarować kobiecie, że w żadnym mrozie ani w śniegu nikt na froncie nie walczy, gdy za oknem lipiec. Co więcej, nawet gdyby jej najmłodszą latorośl włączyli do jednostki i posłali na wschód, to i tak pociągi nie jeździły już dalej niż do Dębłina. Wszystko dalej Karmazyna zmieniała w pogorzelisko. Przelewające się morze pełne bałwanów trupiej czerni i jadowitej czerwieni.

– Już, spokojnie. – Kapitan uśmiechnął się, wyjrzał ukradkiem za okno i sapnął zmęczony. – Ja pani pomogę.

– Pomoże? Jak kapitan by mógł, to ja bym ręce wycierała i wszystko dla... – zarzekła się starowina, chwytając za przegub dłoni mężczyzny i przy okazji wylewając resztkę herbaty.

– Nie trzeba, nie trzeba, naprawdę... Dość! – warknął oficer. Oczy zaszyły mu krwią, twarz nabrzmiała czarnymi żyłami a dłoń wcześniej trzymająca spokojnie kubek, zacisnęła się na kaburze.

Kobieta zamarła z na wpół otwartymi ustami, opadła na siedzenie, ręką trzymając się za pierś. Zaraz niemalże odruchowo sięgnęła po chustkę i zaczęła ścierać wylaną herbatę.

– Pomogę pani – zapewnił już delikatniej kapitan. Oczy z powrotem błysnęły bielą, zostawiając jedynie wąski pierścień czerwieni dookoła źrenic. – Do Instytutu Psychologii wezmę pani synka, dobrze?

– Na co jemu na studia, jak wszystkich biorą i... – zatrzymała się na moment w słowotoku, bojąc się raptownej reakcji.

– Psychologów nie biorą – skłamał Izidor. – I nie na studenta. Potrzebujemy na miejscu badaczy od Karmazynologii. Przyuczymy pani

synka na orlątko, będzie szukał kolaborantów, szpicli, agentów nieprzyjaciela...

– Diabłów? – Przeżegnała się starowinka.

Izydor przejechał dłonią po twarzy.

– Tak, diabłów.

– To ja bym wszystko...

Kapitan, nie słuchając dalszych wyjaśnień, podniósł z ziemi rudą, sparciałą torbę lekarską. Dłoń od razu odnalazła jedną z setek wysokich, smukłych buteleczek wypełnionych czymś podobnym do konfitury malinowej.

– To dla pani, na znak dobrej woli – mruknął cicho Izydor, nie skupiając się na znaczeniu ogólników. – Dodawać raz dziennie do podwieczorku albo jakiegokolwiek ostatniego posiłku czy napitku danego dnia.

Kobieta już chciała coś powiedzieć, ale ostatecznie zaciśnęła usta i pokiwała gorączkowo głową. Wreszcie zapytała dla pewności:

– I mój Piotruś...?

– I pani Piotruś będzie miał zakwaterowanie w Instytucie. Będzie miał własną stancję opłaconą przez Marszałka.

Starsza kobieta przeżegnała się i uśmiechnęła, zagarniając do siebie fiolkę.

– W takim razie życzę pani miłego dnia i proszę na siebie uważać.

– Dziękuję, kapitanie.

Izydor odwrócił się, spojrzał w brązowe oczy kobiety, ale od razu skierował kroki do drzwi i rzucił tylko dodatkowe pożegnanie, wychodząc.

– *Świetna robota* – głos z wnętrza brzmiał swojsko, uspokajająco dla kapitana. – *Piąta kolumna to podstawa bezkrwawej zmiany władzy.*

Kapitan nie odpowiedział.

– *Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że udało nam się znaleźć wspólny język. Możemy teraz spokojnie zmienić świat na lepsze i...* – głos zawiesił się na moment. – *Co robisz? Dokąd idziesz?*

Izydor szedł szybkim krokiem. Rozpędził się w pewnym momencie do biegu. Pokonał tak kilka przecznic, wbiegł przez bramę do ogrodu Krasieńskich i zamarł w pół kroku. Ciałem szarpnęło coś z opóźnieniem i w następnej sekundzie Murykiewicz leżał na ziemi w mundurze utyłanym piachem. Błękitno-biała opaska czystości myśli opadła z jego ramienia, zawieszając się na nadgarstku.

– *No i już idę* – szepnął głos.

Do Izydora dopadło dwóch żołnierzy w stopniu kolejno starszego sierżanta i podchorążego. Mundury były obwieszone dodatkowymi krzyżykami, przez pas przewleczone mieli białe wstęgi patrolowe. Obaj celowali kapitanowi w plecy z krótkich pistoletów maszynowych nowej produkcji.

– Ręce przy ziemi, nie wstawaj, pokaż przepustkę – wyszczekał głośno podchorąży, wolną ręką poprawiając ciężki hełm z dodatkową płytą pancerną wizjera.

Siłowniki w oddali posunęły gładko po sobie ze specyficznym dudnieniem. Na miejsce zdarzenia dotruchtał wysoki, smukły pancierz kroczący użytku miejskiego Ryś. Trzymetrowa sylwetka z obrotową miednicą na żyroskopie posiadała dwie chwytne kończyny, sterowane zawiłym systemem drążków. Tors zdawał się przerośnięty, wzbogacony o dodatkowy reflektor. Pilot na poły siedział, a na poły stał we wnętrzu maszyny, za czarną, prostokątną szybą.

– Mam wszystkie pozwolenia w kieszeni na piersi – wymruczał kapitan, czując, jak szutrowa ścieżka zaczyna wżynać mu się w policzek.

– Sprawdźcie to – mechaniczny głos z wnętrza Rysia miał dostojne echo i wysoką czystość dźwięku. Widocznie instalowali lepsze nagłośnienie niż w modelach polowych.

Izydor na moment zastanowił się, co jeszcze wymyśliłaby Rzeczpospolita, gdyby dać jej więcej czasu. Ten model zapewne wyprodukowano tuż przed atakami na Lublin i przewieziono tutaj. Może nawet sam przybiegł, kto wie?

Brzeskiemu by się spodobało, pomyślał ze smutkiem Izydor, wariatowi niebieskiemu.

Starszy sierżant obrócił Izydora jak kukłę i zaczął gmerać dłonią po wnętrzu szerokiej kieszeni. Robiąc to, odpiął przypadkiem koronowanego orzełka z przewieszonego przez ramię skórzanego pasa. Rogatywka z takim samym orłem leżała obok, zgubiona przez kapitana w momencie upadku.

– Rzeczywiście – rzucił krótko żołnierz, podając drugiemu dokumenty.

– Aha, no chyba tak. – Żołnierz zasalutował jakby niezręcznie, skonfundowany całą sytuacją. Szybko zreflektował się i podniósł z ziemi czapkę kapitana. – Przepraszam najmocniej, takie są procedury.

– Mogę wstać? – zaśmiał się Murykiewicz i nie czekając na odpowiedź, wrócił do pionu. – Nic się nie martwcie, takie mamy czasy. Wspaniale się sprawujecie, oby tak dalej.

Ryś zasalutował gładko, zatrzymując dłoń w gumowych nakładkach tuż przed kabiną.

Izydora coś zakuło w sercu na ten widok. Uśmiechnął się krzywo, założył czapkę i przypiął orzełka z powrotem do pasa. Przez moment obserwował majestatyczną sylwetkę chromowanej maszyny z białym krucyfiksem wymalowanym na obu naramiennikach i nagolennikach.

– Od dawna na służbie?

– Ja już nawet nie liczę – zaczął starszy sierżant. – Jeszcze pamiętam, jak zaciąg był przed wybuchem Wielkiej Wojny, to wtedy ja w harcerstwie służyłem, ale to było nieoficjalne, bo nikt by...

– Pytałem o maszynę – urwał kapitan złym tonem.

– Przepraszam.

– Nic się nie stało, więc?

– Od tygodnia, w sumie to dokładnie od dziesiątego lipca, ale dopiero jedenastego wszedł w użycie, więc od tygodnia.

– Gorąco? – spytał głośniejszym Izydor, patrząc ze współczuciem na odbijające się w kabinie popołudniowe słońce.

Maszyna zakołysała się, żyroskop obrócił kilka razy torsem w lewo i w prawo na znak zaprzeczenia pilota.

Wszyscy roześmiali się gromko. Izydor na moment przetarł oczy. Podchorąży uniósł delikatnie lufę broni, wstrzymał się, ale wlepił przerażony wzrok w twarz zatrzymanego kapitana. Przez moment chciał coś powiedzieć, a może i nawet strzelić, ale ten od razu wychwycił jego spojrzenie.

– Spokojnie, jest w dokumentach – wyjaśnił zrelaksowanym tonem podejrzanym. – Byłem na badaniach u doktora Brezy jeszcze wczoraj, to infekcja.

Żołnierz odruchowo się cofnął.

– Raczej się nie zarazicie.

Starszy sierżant strzelił obcasami, obrócił się do maszyny, która zrobiła to samo stalowymi, trójpalczystymi stopami i patrol oddalił się z miejsca zdarzenia. Tylko podchorąży spojrzał jeszcze przez ramię i odruchowo przeżegnał się w pół kroku.

Kapitan wyszczerzył się rzędem nienaturalnie prostych zębów koloru kości słoniowej i dziarskim krokiem ruszył z powrotem, w kierunku

przeciwnym do tego, w którym biegł wcześniej. Ruchy miał sztywne jak łątką prowadzona na sznurkach.

– Przestań – warknął na głos. – Ja chcę...

– *Spokojnie, Izydor, nie panikuj* – szeptał głos w głowie. – *Ja wiem, że jest ci ciężko, ale nie jesteś jeszcze gotowy.*

– Chcę tylko zebrać rzeczy z mieszkania i zobaczyć...

– *Tam są teraz specjaliści od kryminalistyki, agenci bezpieczeństwa wewnętrznego, na pewno mają też Karmazynologa z całym zestawem diagnostycznym albo gorzej. W ten sposób jej nie pomożesz.*

– Dlaczego pozwoliłeś im złapać Alicję? Jak mogłeś? Przecież wysłałeś ją tam na pewną śmierć!

Kapitan usiadł ciężko na ławce, zdjął czapkę, przetarł pot z czoła i wlepił wzrok w kilkumetrową żelazną klatkę na gołębie. Po wnętrzu przyozdobionej gałęziami i budkami celi pałętały się bezładnie ospałe ptaki o podciętych skrzydłach i nastroszonych, barwionych piórach. Jeden z gołębi spróbował wlecieć pod sklepienie klatki, by zaraz spaść, odbić się od żerdzi i ponownie wrócić do bezsensownego procederu.

– *Nie jestem bóstwem, nie jestem wszechwiedzący.*

– Jakoś dużo się mądrzysz jak na aberrację Boga.

– *Wolę określenie „demiurg”* – westchnął daimonion, prawie namacalnie oblizując mózg kapitana ciepłym powiewem.

– *Nie wiedzieliśmy, że to twoja żona. Poza tym nie miałoby to wielkiego znaczenia, bo ktoś musiał to zrobić. Zobaczyliśmy w niej spory potencjał egalitarnego mianownika i...*

Izydor przymknął oczy, załamał ręce, splunął pomiędzy zabrudzone oficerki i jęknął przejmująco. Po chwili jęk zmienił się w gardłowy gulgot, by zaraz stać się krzykiem.

– *Teraz to naprawdę nie wiem, co ty robisz* – zarzekł się głos.

– Nic nie robię. Drę ryja – warknął kapitan, po czym zaczął ponownie nawoływać.

– *Ja, ja... Chyba nie bardzo cię rozumiem. Po co krzyczysz? Zwrócisz na siebie uwagę, złamiesz przykrywkę i...*

– Jaką przykrywkę? Niczego mi nie wyjaśniłeś, używasz ogólników, mamisz mnie, kusisz i łudzisz. Pokonam cię własną głupotą.

Murykiewicz przerywał wycie nielicznymi wtrąceniami. Patrol wraz z Rysiem wychylił się zza klombu astrów, by przyjrzeć się bliżej dziwnym nawoływaniom. Wpierw niepewnie, jakby nie bardzo wiedząc jak się zachować, podeszli kawałek.

– *Już, skończ. Zadaaj pytanie, tylko przestań być... taki dziwny.*

Kapitan umilkł, spojrzał na zbliżający się patrol, skinął im zdawkowo głową. Podchorąży odpowiedział skinieniem i delikatnie zmienił trasę, by ominąć dziwaczego oficera. Zaraz za podchorążym ruszył operator maszyny wraz z sierżantem rozglądającym się w znudzeniu letniego dnia.

– Dlaczego nie wiedziałeś o Alicji?

– *A dlaczego ty nie wiesz o Ramowskim i jego chorych nerkach?*

– O kim?

– *No właśnie – mówił żywo głos, nie tracił rezonu. Brzmiał przekonująco i sensownie. – Po prostu nie wiedziałem o takiej osobie, dobrze? Jakaś inna komórka wywiadowcza pracowała w rejonie i to ona się nią zajęła.*

– Jaka inna?

Cisza rozciągnęła się podejrzanie długo. Szum w głowie Izydora zniknął. Zdążył się przez ostatnie tygodnie do niego przyzwyczaić. Dopiero w tamtym momencie zauważył tak naprawdę różnicę między obecnością głosu a jej brakiem.

– Powtarzam pytanie, panie wszechwiedzący...

– *Odpowiedź będzie trudna i cię nie usatysfakcjonuje.*

– No to rzeczywiście coś nowego – warknął kapitan, zaciskając dłoń na poręczy ławki.

– *Skończyliśmy chyba pracę na dziś, więc najwyższy czas na więcej detali* – odezwał się wreszcie głos. Mówił szybciej, dając całym sobą wyraz ulgi. – *Słuchałeś uważnie tego, co mówił doktor Breza?*

– Słuchać słuchałem, Aleksander jest rozsądnym facetem, ale niepokojącym, nawet bardzo. Problem jest taki, że to...

– *Ekscentryczny geniusz.*

– Wariat. Przypomina mi bardziej demonologa niż naukowca, zwłaszcza jak pokazał mi piwnicę z makietą.

– *Przyznasz, że imponująca kolekcja.*

– To prawda, nie widziałem czegoś takiego, odkąd byłem w muzeum mo... Ty nie zmieniaj tematu, do jasnej Anieli! Mów, co miałeś powiedzieć, nie dam się wykorzystywać. Nic o nas bez nas, ty...

– *Organizmy zmodyfikowane Karmazyną są w stanie wykorzystać swój potencjał, który nazywamy mianownikiem egalitaryzmu, dzielnikiem, różnie, to tylko szczegóły. Tak jak człowiek składa się z wielu komórek współpracujących jak jeden organizm, tak i my potrafimy to robić na poziomie mikro i makro.*

– Dużo mądrych słów.

– *Myślałem, że jesteś wykształcony.*

– Jestem, po prostu lubię rzeczy prostsze.

– *Znasz może okręt Tezeusza?*

– A znasz... Ech, nieważne – sapnął kapitan, rozprostowując nogi, przymykając oczy i udając kąpiel słoneczną. Trzask w kościach wyraźnie dał znać, że Izydor potrzebował ciepła i spokoju dla umęczonych stawów.

– Przypomniiał mi się stary żart z koszar. Odpowiadając na pytanie: chodzi ci o to ze zmianą części?

– *Więc jednak wykształcony.*

– Alicja mi opowiadała, kochała takie filozoficzne dywagacje.

– *Więc w skrócie, dla sformalizowania: jeśli wymienisz po kolei po każdej części w jakimś mechanizmie, na przykład w okręcie, to czy po czasie jest to ten sam okręt? Różnica między nami jest taka, że dla nas tak, a dla aktualnej agendy Rzeczypospolitej – nie.*

– Stąd wy jesteście plugawymi, replikującymi się na polu bitwy potworami, a my dzielnymi bohaterami.

– *Zaczynam cię nieironicznie lubić* – odezwał się głos.

– To możliwe?

– *Tak, jak rośliny lubią słońce. Czyli nie na poziomie potocznego rozumienia, ale na poziomie konieczności. Nieważne, bo zaraz się rozgadam.*

– No, jak na część mojego ciała to jesteś gadatliwy.

– *Jak to mówicie „zarażeni” Karmazyną są tak naprawdę osobami, które się zmieniły. Zmieniły się ich poglądy, ciało i psychika. Nadal jednak są tymi samymi, wolnymi ludźmi. Może nawet nadludźmi.*

– Ty się nie rozpędzaj, bo mi jeszcze komplementy zaczniesz prawić.

– *Potrafimy się łączyć w większe organizmy, dzielić zdobytą wiedzę, doświadczeniami, zdolnościami przerobowymi mózgu i tak dalej.*

– Macie komórki wywiadowcze, tak?

– *Tak.*

– Macie takie gigantyczne mózgi w głębi Rosji, które wypływają z siebie dokładne plany inwazji i zużywają przy tym niebotyczne ilości energii?

Zapanowała cisza. Gołąb w klatce obok chwycił się pazurami sufitu i zawisł do góry nogami. Zaczął obserwować nielotnych pobratymców z nowej perspektywy.

– *Skąd wiesz?*

– Tak rzuciłem, przyśniło mi się.

– *I co jeszcze ci się śniło, Izydorze?* – głos stał się matowy, poważny, momentami nawet odczuwalnie zimny.

Izydor uśmiechał się dalej, chwycił słoneczne promienie. Myśłami wędrował daleko w głąb Syberii, gdzie na powierzchni dziesiątek kilometrów kwadratowych pulsował mięsisty guz ze stłoczonych milionów ciał. Żyjący jedną myślą, przekazujący rozkazy do wszystkich Karmazynów, nieustannie przenikający całą Azję nowotwór. Na to wszystko spadł płomień, biały, gorący, topiący śniegi aż po Władywostok. Potem brzmiał już tylko skowyt.

– Nic – odpowiedział, ziewając przeciągle. – To tylko sny.

Kapitan wstał wreszcie i zaczął przechadzać się ścieżynami. Przez moment jeszcze krążył dookoła fontanny, w której centrum piętrzył się pomnik chłopca tulącego gęś albo łabędzia, nie mógł poznać przez deformujący rysy zielonkawy nalot.

Dalej za brukowanym deptakiem sterczały dwa szerokie schodki, prowadzące na scenę. Scena przylegała ściśle do teatru lalek, który teraz był jedynie czarną skorupą. Pogorzelisko nadal delikatnie dymiło się cienką strużką w jednym miejscu.

– Do dupy ta rewolucja wyszła – mruknął Izydor, siadając na schodach pod ruiną.

Rewolucja czerwcową rozpoczęła się nagle, pozornie niespodziewanie. Pewnego dnia ktoś zadźgał państwowego urzędnika. W biały dzień wykrzykiwał hasła właściwe agenturze wschodu i z zimną

krwią zabił człowieka. Owa fasadowa raptowność wynikała z tego, że żadnemu z wychowanych w sercu Polski ludzi nie przyszło do głowy, że coś takiego może mieć miejsce. Mekka patriotyzmu i katolicyzmu stała się zarzewiem konfliktu wewnętrznego.

Tylko mieszkańcy tak myśleli. Prawda była taka, że całkowita inwigilacja, wzmożone patrole, seryjna produkcja uzbrojenia do tłumienia zamieszek i relokacja oddziałów do stołecznego miasta miały miejsce już dawno temu. Rząd był gotów na każdą ewentualność, mogli pozwolić na zaślepienie warszawiaków poczuciem bezpieczeństwa, ale sami musieli wykazać się czujnością.

Pierwszego dnia było najgorzej. Zaczęły się niekontrolowane ruchy migracyjne, plądrowanie i demolowanie Śródmieścia. Proletariat zrobił to, co potrafił najlepiej – chwycił za cegły. Spalono kilka żydowskich kamienic, wywleczono z domów Ukraińców, doszło do jednego przypadku spalenia człowieka żywcem.

Pułkownik Robert Okoński wracał z niezwykle udanego spotkania, prowadząc swoją żonę pod rękę. Noc była ciepła, patrole mógł zbyć dokumentami. W końcu ogłoszono zagrożenie terrorystyczne, ale kto będzie wyklócać się z pułkownikiem? Hierarchia w Rzeczpospolitej to rzecz święta, ważniejsza od racji.

W pewnym momencie pani Okońska dostrzegła rudego kocura, który nawoływał w ciemnej, bocznej uliczce. Tak się złożyło niefortunnie, że pani Okońska była zapaloną pasjonatką zwierząt, nawet zajmowała miejsce vice-przewodniczącej jakiegoś klubu miłośniczek czworonogów.

Za węglem ukrywało się trzech młodzianów, znajdujących się tam zapewne przypadkiem. Musieli przeczekać patrole, widocznie nie udało im się przemknąć z jednego miejsca do drugiego bez zwracania na siebie uwagi. Uznali, że okazja nadarzyła się sama.

Pułkownik próbował jeszcze wybronić się z sytuacji, ale gdy dostrzegł na szyi swojej żony nóż sprężynowy, priorytety się zmieniły. Współpraca z terrorystami nagle nabrała sensu w jego oczach i zgodził się odłożyć broń.

Pani Okońska zdołała uciec, za to jej męża związano jutowym sznurem, oblano olejem napędowym i wywleczono na ulice. Zanim najbliższe komando żołnierzy dotarło na miejsce, było już zbyt późno.

Następnego dnia ogłoszono stan wojenny.

Kolumna Zygmunta została przyozdobiona czterema stalowymi wysięgnikami w kształcie orłów. Z każdego z nich zawieszono po sznurze szubienicznym. Złapanych wieszano kolejno, na zmiany. Czasem zwyczajnie strzelano w tył głowy na rynku, symbolicznie wieszano na chwilę i opuszczano z powrotem.

Liczył się przekaz. Taki los miał spotkać każdego wroga narodu. Wrogiem narodu zaś był każdy, kto nie stał po stronie sprawy polskiej. Nikt nie miał zamiaru dać się ponownie zdradzić zaborcom, sąsiadom bliskim i dalekim, nie-Polakom.

W pewnym momencie impet uderzenia stał się powalający, nawet dla świeżo ściągniętych oddziałów prewencyjnych z zachodnich terenów. Po ulicach zaczęły maszerować Traszki z podwójnymi gniazdami ciężkich karabinów maszynowych.

Wywrotowcy z ręcznie robionymi granatami z puszek czy zwyczajnie butelkami łatwopalnych substancji siali postrach. Jedna z takich butelek wpadła do wnętrza lufy Młota, rzucona jakimś nieprawdopodobnym przypiływem celności. Maszyna zajęła się ogniem natychmiastowo. Obsługa ewakuowała się ze środka, nie mogąc w pełni ugasić pożaru.

Kilku terrorystów obezwładniło ostatniego członka załogi i zajęło miejsca jego poprzedników. Nawet zdołali jakimś sposobem ugasić ogień, który okazał się mniejszy, niż przypuszczała zaskoczona załoga.

Zwolennicy Karmazynu zebrali się dookoła przejętej ciężkiej maszyny kroczącej. Ktoś wiwatował, inny krzykacz zaczął obwieszczać symboliczny koniec Rzeczypospolitej. Proletariuszka nałożyła wianek z mniszków lekarskich na lufę haubicy skierowanej do ziemi.

Pilot w przypiływie euforii pociągnął za dźwignię.

Wystrzał z działa zabił trzydzieści pięć osób i wywołał pożogę, obejmującą kamienice przyległe do liceum braci Franciszkanów. Siedmioro młodzieńców zadusiło się wewnątrz budynku. Pod koniec dnia mówiono o podstępnie podrzuconej maszynie-pułapce, która miała na celu wybuchnąć i pogrzebać dzielnych powstańców.

Dalej nastroje tylko gęstniały, aż Marszałek dał przemówienie z balkonu Bielika. Rzadko się zdarzało, aby sam Józef Piłsudski wychylał się ze swojego apartamentowca, by wygłosić tak niezapowiedzianą i płomienną odezwę do narodu.

Marszałek został przez kronikarzy nowej ery okrzyknięty najbardziej charyzmatycznym liderem kraju. Oczywiście ta definicja kolidowała z symboliczną koronacją Jezusa Chrystusa na króla Polski, ale znaczenie było jasne. Sam zaś Naczelnik niejednokrotnie pokazywał swoją osobą, że jest czymś wyjątkowym w skali narodu. Przynajmniej tak to wyglądało z zewnątrz.

Niedługo po odezwie przeszła przez Warszawę fala denuncjacji i wykonano egzekucję ponad tysiąca wywrotowców. Udało się nawet zniszczyć komórkę operacyjną Karmazyny w podziemiach fabryki tekstyliów na obrzeżach miasta.

Jednostka specjalna odnalazła dziwaczny, brejowaty twór z kilkunastu zewłoków. Owo znalezisko wydawało się jakby żywe, zresztą nie zaprzętało sobie tym głowy. Rosenberpan strawił całą, nieużywaną przez nikogo, poza bezdomnymi, budowlę wraz ze spiskowcami, którzy zdolali się tam ukryć przed łapaną.

Ogłoszono ogromny sukces i zniszczenie placówki wywiadowczej wroga. Ulice spłynęły dobrymi wieściami o rzekomym stłumieniu chwilowych zamieszek, spowodowanych wywrotowymi działaniami terrorystów. Rewolucjonistom udało się jeszcze spalić teatr lalek, ale był to ostatni większy sukces rebelii.

Zdawało się, że wszystko zeszło pod ziemię. Ucichło tak niespodziewanie szybko, jak nadeszło, mimo braku złapania formalnych przywódców buntu.

Poprzedniego dnia złapano jedynie i aż jednego prowodyra całego zamieszania. Alicję Murykiewicz, która w godzinach okołopołudniowych dnia pierwszego zabiła nożem polskiego urzędnika. Sprawczynię przetrzymywano w nieznanym miejscu i zapowiedziano jej rychłą publiczną egzekucję oraz możliwe odwołanie stanu wojennego.

Izydor Murykiewicz został przebadany trzykrotnie w oficjalny sposób przez Aleksandra Brezę, który kolejne dni musiał spędzać w towarzystwie oficjeli wojskowych, bezpośrednio podległych Marszałkowi.

Wystosowano notę do papieża. Zanim ten odpisał, metropolita krakowski Nataniel Łański udzielił unieważnienia ślubu w wyniku zatajenia działalności zbrodniczej i antyreligijnej. W Kościele nadal nie dawano rozwodów, ale sposoby na unieważnienie dało się załatwić od zawsze.

Oficjalnie Murykiewicz był znów kawalerem, a kontakty z Alicją uznano za niebyłe.

– Moja najśłodsza nie-obywatelka – zaśmiał się Izydor, zanurzył twarz w dłoniach i cicho jęknął.

Powiew wiatru zerwał kawałek przypalonego plakatu z przechylonej ściany i rzucił go kapitanowi pod nogi. Ten jednak nawet się nie ruszył z typową dla siebie ciekawością. Nie robił nic, poza kuleniem się, kurczeniem i szukaniem sposobu na niebycie.

– Izydor – szepnął głos w głowie, ale był inny. Wysoki, łagodny i roześmiany. – *Izuś, skarbie, co ci jest?*

– Ty bezczelny gadzie! – ryknął, poderwał się i zamierzył z pięści, omal nie upadając. – Przebrzydły pomioście diabła, cholerna poczwaro! Jak śmiesz w ogóle próbować mnie nabrać na coś takiego?! Wpierw nie pozwalasz mi o niej myśleć, a teraz się podszywasz? Ty paskudny bydlaku!

– *Izuś! To ja jestem, do jasnej Anieli!* – głos nie ustępował, zmieniał intonacje, był żywy, jakby zmęczony, ale dający znać o uldze i wzruszeniu. – *To naprawdę ja jestem, słyszysz mnie?*

– Przecież jesteś gdzieś daleko. Trzymają cię w zamknięciu, nie ma z tobą kontaktu, nie wiadomo gdzie jesteś!

– *Jeden ze strażników zrobił dla mnie nić nerwową, poprowadził przez korytarz i ustawił nadajnik na powierzchni.*

– Co proszę? – zaśmiał się gorzko Izydor. – Przecież to jakieś bajdurzenie. Karmazyn, w co ty próbujesz mnie zrobić? Nie ma czegoś takiego, kolego. Mam już dość twoich kłamstw, ty ciągle kłamiesz, bez przerwy, zawsze!

– *Działa, to działa, możesz sobie narzekać, ale czas akurat nie... no właśnie, nie działa na naszą korzyść. Musisz mi pomóc Izuś, proszę.*

Kapitan nie wierzył w blef Karmazynowego wszczepu w jego głowie. Nie wierzył we własny daimonion, który mu rozkazywał – wszak nie był głupcem w swoim mniemaniu. Jednak czuł też potężny, niemalże

fizyczny popęd, który nakłaniał go do wiary. Wiary w to, że wszystko będzie dobrze i wreszcie może porozmawiać ze swoją ukochaną towarzyszką życia.

Żałował, że nie mówił jej tego częściej, nie wiedział, czy ona też tak uważała. Miał ją bardziej za bratnią duszę niż żonę. Uznawał jej wyjątkowość, odrębność i szczodrość, jaką był fakt obdarzenia go swoim towarzystwem przez te lata.

Teraz miał okazję to wszystko powiedzieć, choć myślał, że już umarł.

– Jeśli to nie jesteś ty...

– *Do jasnej ciasnej, Izuś! To jestem ja i naprawdę, ale to naprawdę cię potrzebuję. Tak, ja też chciałabym ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham i że myślałam już, że... ja... No i widzisz, czekaj moment.*

Głos zniknął na moment od urządzenia do przesyłu dźwięku i nagle smarknął.

Izydor zaśmiał się, otarł twarz brudnymi dłońmi.

To ona, pomyślał.

– *Ty się nie śmiej! Nawet nie wiesz, co ja tu przechodzę, ale to nic nie szkodzi, bo nauczyli mnie jak to kontrolować. Czuję się tak wspaniale jak nigdy, nie ma bólu, jest tylko bodziec nerwowy. Nie ma głodu, jest tylko prosta informacja o zapotrzebowaniu na konkretne składniki! To wszystko jest jak sen! Cudowny sen o wspaniałym, nowym świecie.*

– Poszarżowałaś – sapnął kapitan, rozglądając się po prawie że pustym parku. Ruszył powolnym spacerem między skalniak i klomby tulipanów. Wolał nie siedzieć w jednym miejscu zbyt długo, to też nosiło znamiona podejrzeń. – Możesz mi z łaski swojej wyjaśnić, co zrobiłaś?

– *Przekroczyłam Rubikon...*

– Alicja...

– No dobra, pozbyłam się jednego palanta, ale to tylko dlatego, że był szuja, miałam zły dzień, był wrogiem rewolucji i... i myślałam... Ja myślałam, że ciebie już nie ma.

Cisza zawibrowała na moment pod czaszką Izydora. Promień światła wydostał się spomiędzy liści kasztanowca i oślepił go na moment. Uśmiechnął się, opuścił wzrok. Był już pewien.

– Dużo tego wszystkiego, prawda? Nie mieliśmy racji, żyliśmy w tej matni i nie zdawaliśmy sobie sprawy.

– Hejże, kto nie zdawał, ten nie zdawał!

– Nigdy się nie skarżyłaś.

– Nie czytałaś moich wierszy!

– Czytałem! Nawet jeden pamiętam – odchrząknął kapitan, rozejrzał się i wyrecytował z zażenowaniem na głos. – Słońce wszędzie na zachodzie i łany zboża otulone sierpem wstaną z kolan, by razem piastować dary ziemi...

– O Jezu...

– No co? – spieszył się zawstydzony. – Tak pisałaś.

– Masz kiepską pamięć. Załóżmy, że masz rację. Nie widzisz w tym nic? Żadnej symboliki? Cichego przesłania ku pokrzepieniu serc? Tęsknuta za wolnością, ukryta przed wzrokiem brutalni wybijających drzwi o szóstej rano.

– Zawsze byłem słaby z poezji.

– Beznadziejny wręcz – głos jakby westchnął zmęczony, ale po chwili podjął ponownie. – Nieważne, nie ma na to czasu. Posłuchaj mnie uważnie albo najlepiej zapisz to sobie, bo mamy poważny problem, jeśli chcemy wreszcie zrzucić okowy martyrologii i uwolnić się od wiecznego marazmu tej krainy.

– Brzmi jak przygoda – sapnął Izydor.

19 lipca, północne umocnienia muru zewnętrznego Warszawa-02

– Musieli maszerować całą noc – rzucił z pewnym uznaniem Jakub Hukiewicz, podając koledze lornetę.

Ten z zawadiackim uśmiechem przyjrzał się jak długa, szarobura linia uchodźców ciągnie swoje objuczone karki wzdłuż nasypu za jeziorem Zegrzyńskim. Nie mieli żadnej broni, nie wspominając już o pojazdach kroczących czy chociażby prostych wózkach.

Poszarpańcy, pogorzelcy, cierpiętnicy ze szmatami przyklepionymi do pleców, ciągnęli torby z ułamkiem uratowanych dobytków. Uspokajali umęczone pociechy, że już tam, za mostem, za tym jeziorem, za tamtą redutą i murem jest Warszawa, gdzie każdy znajdzie miejsce dla siebie.

– Skąd wracają Litwini?

– Nie rozumiem.

– Z nocnej wycieczki wracają Litwini. – Sierżant odłożył lornetkę, przysiadł ciężko na fotelu stacjonarnej Jaskółki i wziął poprawkę na wiatr.

– Chuj tam z Litwinami – odrzekł Jakub, zasłaniając uszy.

Uchodźcy przybywali nawet z Rygi. Przez ostatnie dni przetoczyło się po polskiej ziemi kilkaset tysięcy osób, pozbawionych zazwyczaj dokumentów czy jakiegokolwiek celu poza przeżyciem. Nie znali języka ani spokoju, znali tylko ból i strach. Tam, skąd przychodzili uciekinierzy, nie było już nic.

Rzeczpospolita nie mogła sobie pozwolić na taki napływ imigrantów. Zagrożenie terroryzmem Karmazyny było zbyt wielkie. Stan wojenny, wbrew oczekiwaniom, przeciągał się mimo opanowania sytuacji w mieście. Ściągnięto dodatkowe rezerwy z północno-wschodniej Polski, która już nie była właściwie pod jurysdykcją Marszałka.

Warszawa była okrętem, na który nadciągał masyw sztormu.

Raporty o pojawieniu się oddziałów wroga przychodziły w odchyleniu mniej więcej stu osiemdziesięciu stopni do wschodu. Oznaczać to mogło tylko jedno: zbliżało się oblężenie samej stolicy.

Nie wystosowano oficjalnej informacji na ten temat, ale wszystkim wydawało się jasne, co przyniosą najbliższe dni. Całkowita kwarantanna Warszawy, wprowadzenie rygoru frontowego. Sądy wojskowe zastępujące rozpatrywanie spraw cywilnych na zasadzie wyboru między ugoda a obustronnym przyjęciem całkowitej odpowiedzialności za winy.

Ku wielkiemu zdziwieniu fala uderzeniowa Karmazynu nie rozbiła się o Prusy Wschodnie. Do tej pory rozważano dwa scenariusze. Jeden, w którym Cesarstwo Niemieckie jest w stanie obronić się lepiej od Polski i staje się granitową skałą, którą opłynie ocean Karmazynu. Drugi, w którym Cesarstwo Niemieckie stawia opór, a następnie ugnie się przed naporem Karmazynu i Polska zostanie zalana także z północy, ale dopiero po jakimś czasie.

Ostatecznie, jak to zawsze na wojnie bywa, wygrała trzecia opcja. Niemcy po prostu ewakuowali całe Prusy Wschodnie przed czasem, zostawiając tylko tych, którzy bronili się przed pozostawieniem majątków. Ktoś powiedziałby, że tchórzostwo, ale prawda była taka, że żyjący na wschodzie Polski mieszkańcy mogli tylko pozazdrościć takiego wariantu.

Raportowano nawet o ciężkim bombowcu austro-węgierskim, który przymierzał się do bombardowania Warszawy.

Szybko okazało się, że bombowiec stanowił jakiś dziwaczny rodzaj fortelu czy niewytłumaczalnego w inny sposób zjawiska. W pewnym momencie spróbował podejść do lądowania i rozbił się na ugorach. Wielu miejscowych doszukiwało się różnorodnych teorii na temat pochodzenia dziwnego aeroplanu prowadzonego, jak się okazało, przez polskiego

ułana. Nikt jednak rozwiązania nie znalazł i sprawę ostatecznie uznano za niewartą uwagi i zapamiętania.

Starszy ogniomistrz spojrział na dymiącą linię przeoranej czerwienią ziemi i splunął ostentacyjnie na bok.

– Panowie, tutaj, tutaj. – Niski, jowialny dżentelmen z ogromnym aparatem fotograficznym próbował po raz kolejny zwrócić uwagę obu żołnierzy. – Pstryk, no, do kroniki.

– Czekaj pan. – Hukiewicz poprawił mundur, chuchnął na dłoń, przejechał palcami przez włosy i wyprostował się dumnie. – Tylko nie jak mrugam!

Błysnęło światło, Hukiewicz mrugnął odruchowo. Warknął coś i przepłoszył gestem fotografa, by zajmował czas komuś innemu.

– Fajrant – stwierdził krótko i poprawił rękawy. – Idę na egzekucję.

– Zazdroszcze, ja jeszcze będę z tym cieciem Radosławem siedział na Jaskółe i wgapiął się w komando oczyszczające. – Sierżant schował twarz pod skórzaną półmaską. – Boże jak to śmierdzi!

Hukiewicz zaciągnął się, przymknął oczy i uśmiechnął delikatnie pod nosem. Poklepał kolegę po ramieniu, rzucając na odchodne:

– Pachnie jak krematorium, nie wiem, o co ci chodzi.

Jakub miał się za szczęściarza przez całe życie. Oczywiście z tego zestawienia wyłączał momenty, gdy zwyczajnie pokpił jakieś zadanie. Dziwnym trafem na kilka dni przed proklamacją wolnej Rzeczypospolitej udało mu się wytropić całą komórkę szpicli i agentów bezpieczeństwa wywiadu carskiej Rosji. Nikt nie zadawał pytań, jak się udało młodzianowi dowiedzieć o miejscu tajnego zebrania i jeszcze dokładnie poznać całą listę zamieszanych. Ot, wrodzony talent – uznali.

Czuł, że zrobiony był z gumy. Mógł unieść się na wszystkim, nawet na powierzchni bagna, i jeszcze wszelkie brudy spłynęłyby po nim.

Nie martwiły go przewroty, konflikty, akcje sabotażowe, ani terroryzm. Był nieśmiertelny.

Wtedy także to czuł. Szedł spokojnym krokiem przez kilometry zintensyfikowanych terenów agrarnych między zewnętrznym a wewnętrznym murem Warszawy. Wolałby podjechać, ale parę tygodni temu zaczęły się pierwsze ograniczenia w zużyciu paliwa. Pozostawał zawsze spacer.

Nie imponowały mu mury stolicy. Nawet jeśli najwyższy z nich miał dobre dwadzieścia jeden i prawie pół metra wysokości, to wciąż wydawało się to nie dawać żadnego poczucia bezpieczeństwa. Wiedział, że prawdziwą szansę przetrwania daje rozsądne zejście z linii strzału, a nie zasłonięcie się tarczą.

Dłoń sama wędrowała do rewolweru. Nie powinien był iść bez nikogo przez dzielnice proletariatu. Mimo to wiedział, że realne getto proli jest dopiero u podstaw pierwszego muru. Mógł zwyczajnie ostatnie kilkaset metrów potruchać. Udawałby, że jest gdzieś pilnie potrzebny i tym samym dałby znak: hej, jeśli mi zrobicie krzywdę, to zaraz ktoś po mnie przyjdzie i spali te rudery.

Jednak tym razem było inaczej.

Zniżył wzrok z opasłego sterowca, kołującego nad centrum stolicy. Pod jedną z czterech bram muru Warszawa-01 zebrał się ogromny tłum ciasno zbitych ludzi w brudnych ubraniach roboczych. Ktoś skandował coś głośno, nie wpisując się w klasyczny repertuar okrzyków pochwalnych na cześć narodu. Zza ambrazur przyglądały się im okrągłe denka okularów z masek przeciwgazowych.

– No na litość Boską – warknął i przepchnął się obok baby z koszem jaj. – Wynocha stąd, łązęgi obsrane.

Palce co rusz bębniły o rękojeść broni.

Przed bramą stała tyraliera żołnierzy z trzymanymi na biodrach karabinami maszynowymi z powiększonymi magazynkami łukowymi. Nikt nie podchodził bliżej, niż wyznaczała to linia narysowana na ziemi butem.

Nikt oprócz Hukiewicza, który nie dawał żadnego baczności o zakazy.

– Starszy ogniomistrz Jakub Hukiewicz...

– Za linię! – krzyknął zamaskowany żołnierz i zgnął ogniomistrza lufą w pierś.

Czerwone, okrągłe wizjery maski błyszczały złowrogo. U pasa strażnika zwisał rząd puszek, zapewne granatów z gazem łzawiącym. Lufa bładziła pozornie bez celu, w istocie buszując pośród bezmiaru smakołyków, nie mogąc wybrać jednego.

Hukiewicz rozejrzał się, wyłapał najpierw jedno spojrzenie przekrwionych oczu proletariusza. Normalna sprawa, praca w fabryce cygar to zajęcie, po którym człowiek wygląda jak wrak. Jednak brakowało robotnikowi wysuszonej twarzy o kolorze zgniłej żółci. Tylko oczy miał czerwone.

Wtedy do niego doszło.

Każdy z robotników zebranych dookoła. Od najmniejszego kominiarza, przez węglarzy, tragarzy po pucybutów – każdy z nich miał błyszczące, Karmazynowe oczy.

Jakub przełknął ślinę, pot spłynął mu po karku. Spróbował się obrócić, ale za nim zebrali się jeszcze tłumnie protestujący. W końcu sam dopiero co przeciskał się między nimi siłą, aż do samego czoła grupy. Teraz z jednej strony obserwowały go szkarłatne ślepie, a z drugiej czerwone wizjery.

Zająknął się, podniósł dłoń w kierunku porucznika z pistoletem maszynowym Jurand.

– Ja nie...

Zaterkotała seria. Nie z przodu, a z góry. Ktoś na murach nie wytrzymał i posłał większość kul w piach przed protestującymi.

Hukiewicz nerwowo się uśmiechnął. Szybko wycofał się o krok od porucznika, przyłożył dłoń do brzucha i zamarł.

Coś lepkiego spłynęło mu między palcami, a następnie uderzyło o ziemię.

– Nie strzelać do... – wyszeptał z niedowierzaniem.

Obraz rozjechał się jak dwa nałożone na siebie ujęcia tej samej sceny. Dźwięki wypływały na powierzchnię świadomości jak bąble gazu spod wody, pękały i znikwały w powietrzu. Zawirował zapach pieprzu i torfu, wkradający się w nozdrza jakby żartem, kompletnie nie na miejsku.

Hukiewicz obrócił się i przecisnął między prołami, obserwującymi jego ruchy ze wszystkich kierunków. Ktoś beznamytnie przyglądał mu się najpierw z przodu, a potem z góry, gdy ten już upadł na ziemię.

Ogniomistrz z trudem przewalił się na plecy, chwycił rewolwer i szarpnął do siebie. Któryś z kominiarzy podbiegł, ugryzł żołnierza w nadgarstek i zabrał broń.

– Psy! – spróbował ryknąć leżący, ale zamiast tego wydał z siebie przeciągły jęk.

Podniósł się na jednej ręce, niezgrabnym ruchem wyłuskał schowany nóż i zamachnął nim ociężale. Ludzi rozstąpili się na boki odruchowo, co niedołączny szermierz skostatował złośliwym uśmiechem.

– Łapy precz – warknął, zgiał się z bólu i znowu padł na plecy.

Wtem – łupnięcie. Ktoś bezceremonialnie zdzielił go pałką przez żebra. Parkosyzm bólu wygiął ciałem ogniomistrza, krew z brzucha przesaczyła się nową falą przez materiał niedawno pranego munduru.

Kobieta z koszem jaj podniosła błyszczące znalezisko. Ośmieleni kolejnymi krokami ludzie rzucili się wreszcie na obcego. Rwali paski, metalowe wypustki, pruli galony, guziki i posrebrzane orzełki. Dwóch chłopców szarpało z obu stron za jeden but Hukiewicza, nie mogąc podzielić się łupem.

– Nędzarze! – wysapał nieudolnie Jakub, czując, jak mroczki gęstnieją mu przed oczami. – Wszyscy jesteście... nędzni.

Wschodnie działa wybiły rytm na zewnętrznym murze.

* * *

Wewnątrz panowała tylko ciemność.

Na zewnątrz nie rosły drzewa, temperatura osiągała nawet minus czterdzieści pięć stopni Celsjusza. Wicher targał syrkim śniegiem, wzniecając białe tornada.

Mimo to w środku było bezpiecznie, jak zawsze.

Czas płynął, ale tysiące razy wolniej niż dla innych. Mikroskopijne skoki napięcia tańczyły nieustannie na gęstej sieci neuronowej wielowarstwowego guza. Gdyby ktoś miał dość czasu i środków, by go rozwinąć, to mógłby nim opleść Ziemię kilkaset razy.

Wiedzieli to, bo już sprawdzili. Gruby na dwa metry, złożony z kilku warstw kości, mięśni i skóry kabel rozgałęział się na zachód i przechodził aż do półwyspu Iberyjskiego. A był to jedynie drobny nerw, służący jako linia komunikacyjna.

– *Dostaliśmy potwierdzenie od nas – zawibrował Lew. – Pozostaje opracować formalny konsensus i przystąpić do działań.*

– *Wpierw musimy to przemyśleć. Dajmy sobie kilka lat i wtedy zdecydujemy* – dodała Matka spokojną myślą.

– *Po co czekać, skoro możemy ucztować na nich już teraz?* – pomyślał Kierat.

– *Co o tym myślimy, Lena?* – zagrzemiał Głos.

– *Nie mają dokąd uciekać, ale też nie mają zamiaru. Mamy cały czas tego świata, więc nie ma znaczenia strategicznego, czy zrobimy to dzisiaj, czy za tysiąc lat, naszych lub ich. Natomiast jest znaczenie ideowe i to ono ma nam przyświecać.* – Lena wygłuszył się na moment, wysłał siedemdziesiąt tysięcy wiadomości i wrócił do narady. – *Idee też mogą splonąć, jak widać. Dajmy sobie pięć lat na opracowanie działań, niech w tym czasie Lew zajmie czymś pionka. Wszyscy są za?*

Odpowiedziała cisza.

Guz pograżył się w rozmyślaniach na kolejne lata. Symulował pojedynczo każdego człowieka, każdą jego myśl, każde słowo i czyn. Wybierał dokładnie, które z tryliardów posunięć dadzą pewny i naturalny sukces.

Pięcioramienna gwiazda rozciągała się na obszarze pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych. Pulsowała nieustannie, wypływała szeregi wiadomości, wytwarzała nowe modele, opracowywała doktryny podrzędne do aksjomatu głównego. Jednak przede wszystkim myślała.

Limity chłodzenia głównej narady zmuszały ją do tego, by nie pracowała nieustannie. Nawet chłód koła podbiegunowego i zanurzenie części struktur w Zatoce Chatańskiej nie pozwalało na to, by wielkie umysły rewolucji pracowały przez cały czas. Dlatego raz na jakiś czas trzeba było zatrzymać się, skonfrontować plany z realnymi wynikami działań i zapaść ponownie na wieloletnią drzemkę symulacyjną.

I tylko bardzo rzadko, jakimś przeblyskiem przypadkowych ruchów mięśni, mikroskopijny fragment którejś ze ścian mrugał okiem renifera, tarł wilczą łapą albo rozchyłał ludzkie usta. Ktoś z zewnątrz mógłby pomyśleć,

że to miliony istnień skazanych na wieczne cierpienie. Jednakże nie było nikogo na zewnątrz.

* * *

Linia tramwajowa ochoczo dowoziła kolejne wagony mieszkańców stołecznego miasta. Co prawda zatrzymywali się jeszcze na kilkaset metrów przed Placem Zamkowym, ale i tak mogli dostrzec wesołe wydarzenie. Wszyscy czekali na egzekucję.

Mężczyzna w meloniku zapłacił operatorowi starego Ambona za wstęp. Usadowił się na obitej skórą kanapie, a po chwili szczudłowate nogi maszyny kroczącej uniosły się na wysokość pięciu metrów. Każdy chciał mieć dobry widok, więc oprócz dolnego piętra biedaków i skąpców oferowano jeszcze „lewitujące” rzędy siedzisk. Ktoś nawet przyniósł sobie małą lornetkę.

Na dachach okolicznych budynków siedzieli obserwatorzy. Wypatrywano z okien oraz z kilku sunących nieboskłonem balonów na gorące powietrze.

Wreszcie nadeszła oczekiwana chwila.

Tłum rozciągnięty wzdłuż Podwala rozstąpił się, najpierw niechętnie, wręcz buntowniczo skandując. Dopiero po chwili dla wszystkich stało się jasne, że to okrzyki aprobaty i uwielbienia.

Na szpicy wyłonił się kilkumetrowy tragarz kroczący, którego szczyt płaskiej kabiny objuczono w przenośne systemy nagłośnienia. Zaraz za nim szedł bliźniaczy stwór ze stali i kabli, drepczący równym, spokojnym tempem.

Zaraz za pierwszymi maszynami szły powoli dwa Rysie. Wysokie, smukłe sylwetki o przeszklonych torsach miały zamontowane na

nadgarstkach i ramionach przedziwne baterie, kończące się długimi kontenerami o niezbyt licznych oznaczeniach. Ludzie odeszli jakby jeszcze bardziej od tej części kolumnady, ściskając się w zbitą masę. Wiedzieli, że granaty łzawiące stanowiły naturalny element pogody przez ostatnie dni w Warszawie.

Bliżej trzonu już nie szła, a bardziej toczyła się ociężała sylwetka. Bagatela siedmiometrowy, pękaty pojazd obsługiwały dwie osoby. Jedna z nich pełniła funkcję pilota, druga sterowała długą lufą, od której ciągnął się gumowy wąż aż do korpusu maszyny. Wnętrze musiała w większości wypełniać woda do tłumienia zamieszek.

Wreszcie ściśle centrum pochodu stanowił ten, na którego przybycie czekali wszyscy.

Otoczony z każdej strony przez cztery Samsony. Maszyny strażnicze obito dodatkową warstwą ogumienia chroniącego przed ogniem. Same zaś niosły na plecach cztery zamiast standardowych dwóch pojemników na Rosenberpan. W miejscu wolnej chwytnej ręki miały prostokątne nibypawęże z wymalowanymi orłami na tle krzyży rzymskich.

Marszałek podróżował w rdzeniu zbiorowiska. Maszyna, w której się znajdował, nie miała nawet swojego modelu, gdyż była jedyna w tym rodzaju. Rzadko pokazywana do widoku publicznego, tylko jako sposób przejazdu między miejscami na ważniejsze święta jak koronacja Chrystusa na placu Saskim albo kanonizacja nowego świętego.

Sanata miał dobre osiem metrów wzrostu czy może raczej wysokości. Maszynę obsługiwały dwie osoby, znajdujące się w przeszkłonych kulach kolejno nad miednicą i na wysokości mostka.

Dolny pilot, ubrany w galowy mundur z hełmem w kształcie głowy orła, miał za zadanie kierować nogami. Potrójny żyroskop pozwalał na

niemal nieograniczoną swobodę ruchów, wyższą niż miało to miejsce nawet u ludzi.

Górny pilot stanowił znaną personę w całym mieście stołecznym. Na głowie nadal nosił orli hełm, ale co rusz obracał się do tłumu, by zaszczycić ich widokiem swojej twarzy. Zapraszany na większość znaczących rautów i wieczorków major Adam Wysocki. Pieszczotliwie nazywany też w kręgach zapaleńców szermierki świętym Jerzym. Kierował obydwooma ramionami Sanaty, lawirując w wiszącym ogrodzie dźwigni, przycisków, trybików i pokręteł.

Na szczycie, w przeszklonej głowie stał sam Marszałek. Mimo braku jakiegokolwiek konsolety czy innych narzędzi w swojej kabinie sterował najważniejszą częścią aparatury – sercami Polaków.

Mechaniczna dłoń, otulona godnie azotanem srebra, machała do zebranych. Pod gęstym, czarnym wąsem, poprzetykanym naturalną siwizną, tańczył uśmiech. Jasne, błękitne oczy wyławiały kolejno z tłumu maszyny, pilnujące porządku.

Mundur miał prosty, niebieski, pozbawiony zbędnych w mniemaniu noszącego ozdób. Order Zbawcy Narodu – najwyższe, ekskluzywne dla Marszałka odznaczenie – zwisał przypięty do wysokiego, czarnego kołnierza, obszytego złotą nicią. Jeszcze tylko na piersi trzymał krzyżyk, przylegający do skóry, prosty, wystrugany własnoręcznie z wierzby.

Ludzka dłoń zaciskała się na szerokiej, inkrustowanej buławie, u której szczytu spoczywał srebrny guzik. Palec nigdy nie schodził z przycisku, ale nigdy też go nie wciskał. Gdyby tak się zdarzyło, sygnał rozszedłby się w promieniu stu kilometrów, stawiając do najwyższej gotowości wszystkie obecne jednostki. Teoretyczny guzik bezpieczeństwa, którego nigdy nie trzeba było użyć, a zarazem zawsze należałoby się go spodziewać.

Pochód zamykało kilkanaście kolejnych jednostek krocących i paradny pułk kawalerii, który zawsze miał w sercu Marszałka specjalne miejsce. Wszystko było zgodne z obyczajem i właściwe.

Sunący po niebie lewiatan w postaci największego sterowca Rzeczypospolitej, Twardowski-01, zatrzymał się w końcu. Dziewięć dwupłatowców wyczekiwało w gotowości do opuszczenia macierzystego ula, by wrócić w stalowe stelaże tylko po paliwo i amunicję. Wreszcie kłęby biało-czerwonego dymu spowiły kształt latającego cygara.

Jeden z mistrzów ceremonii obejrzał się na kapitana straży i skinął mu dosadnie barylkatym łbem. Strażnicy zakotłowali się wokół kontenera na materiały budowlane, po czym otworzyli podwójne drzwi.

Z wnętrza pojemnika nie wyzierał ani cement, ni cegły, czy chociażby pręty zbrojeniowe. Niewysoka, płowowłosa kobieta, ubrana w za dużą, brudną podomkę koloru beżu. Tylko tyle wyciągnięto ze środka metalowego transportera.

Pod samą sceną, gdzie z wysokości dwudziestu metrów zwisała pętla na żurawiu, szybko ustawiono skazaną. Włosy wystawały jej spod jutowego worka, którego nie zdjęto aż do usadzenia na stołku.

Pętla zacisnęła się na szyi skazanej, wystarczyło tylko dać sygnał, by system kołowrotek wciągnął ją na szczyt kolumny Zygmunta. Automatyzacja codziennych czynności była jedną z ulubionych zabaw Warszawiaków.

Na głowie Zygmunta III Wazy przysiadł orzeł bielik. Tresowana sztuka, przywieziona na polecenie organizatorów z ogrodu zoologicznego. Punktem kulminacyjnym miało być wypuszczenie ptaka, by ten, na spolonizowany wzór prometejskiego mitu, wydziobał wnętrzności skazańca. W końcu władza chciała działać na wyobraźnię, prosto, dosadnie, bez zbędnych nadinterpretacji.

Ludzie odstąpili od zdobytych na wiele godzin wstecz pozycji i pozwolili usadowić się straży przybocznej Marszałka. Na placu górowało teraz około dwudziestu maszyn krocących. Pod samą kolumnę zawędrował Sanata, obrócił się zgrabnie, chwycił gładko za przypasaną, prawie trzymetrową szablę.

Broń żgnęła w kierunku słońca. Wtem – doniosły świst. Szabla zapłonęła białym światłem. Rosenberpan wysączał się przez system kanalików wzdłuż ostrza, płonąc na wyjściu jak ogromna kuchnia gazowa.

Tłum zawył dziko. Dżentelmeni na ambonach zaczęli śmiać się do rozpuku i wymachiwać pięściami. Dystyngowane damy przy nich pozwoliły sobie na żywsze oklaski, którymi wypadało uraczyć honorowego gościa.

Jednak szybko cisza zawisła nad miastem. Orzeł zaskrzeczał; nie wiadomo, czy było to zaplanowane, czy też nie.

Wieża semaforów zagrzmiały głosem głębokim, twardym i żywym.

– Moi piękni ludzie – wypowiedział Marszałek, wzniesając z trudem kontrolowaną, kolejną falę oklasków. – Dokładnie pięć lat temu upadła Twierdza Modlin. Wielka, potężna, najeżona karabinami, błyskająca bagnetami i ziejąca ogniem z armat. Prawdziwa potęga, która ugięła się pod ciężarem nawałnicy. Dziś my jesteśmy twierdzą. Jesteśmy twierdzą zwycięską, twierdzą nieugiętą, twierdzą polską!

Ludzie skandowali kilka haseł w różnej kolejności. Głos Marszałka niósł się daleko przez trzewia miasta, odbijając się w głośnikach, nadajnikach radiowych i ustach podających sobie słowa słuchaczy.

– Sto dwadzieścia siedem lat temu Rosjanie rozdarli naszą ojczyznę po raz drugi. Traktat nieludzki, można powiedzieć, że już wtedy mieliśmy dowód na to, że na wschód od Polski jest tylko otchłań, w której nie ma miejsca na jeden ludzki oddech. Odebrano nam ziemię, rodziny, wyrwano

kły, pobito i wyrzucono w łachmanach przed schody własnych domostw. Nie odebrano nam tylko honoru!

Wtedy stało się coś znamiennego, co zapamiętali nieliczni, którzy byli w stanie.

Marszałek zdjął zdobioną rogatywkę, odsłonił siwiznę. Blizna zagrała mu pod wąsem w nagłym, szerokim uśmiechu.

– Gdybyście zapytali starego Józefa, czego chce najbardziej, to jest to życie. Nie chcę żyć ja, ale i umierać nie chcę. To, czego chcę, to wasze życie. Chcę, żebyśmy wykorzystali ofiary naszych przodków. Chcę, byśmy przestali marnować życie, a zaczęli pielęgnować życie dla ojczyzny. Musimy przestawić się ze społeczeństwa zorientowanego na śmierć do społeczeństwa zorientowanego na życie. Trojaczki martyrologia, zuchwałość i brawura są niezdolne do spania w swoich kołyskach. Wypełzają spod pościeli i nawiedzają swoich nieświadomych rodziców. Błagam was, Polacy, jako ojciec narodu błagam i przestrzegam: życie dla Polski!

Nie było oklasków.

Cisza wydawała się niemożliwa, nierealna. Zupełnie tak jakby została przygotowana wcześniej, by po chwili załamać się pod nagłym atakiem gigantycznych wiwatów i rzuconych hurmem czapek. Nikt jednak czapką nie rzucił, nikt nie wiedział jak się zachować.

Zamiast tego Marszałek założył z powrotem rogatywkę, z tęsknotą spojrzał na swoją mechaniczną dłoń i uchylił usta. Może chciał coś jeszcze powiedzieć? Tego się nikt nie dowiedział, gdyż kanonada zdominowała przestrzeń.

Na wschodzie rozległy się dziesiątki, jeśli nie setki jednoczesnych łupnięć, huknięć, pęknięć, stuknięć, tąpnięć. Gargantuiczne pokazowe działa, inkorporowane w bastiony murów Warszawy potrafiły bić na

odległości rzędu dziesiątek kilometrów. Razem z nimi grał cały przekrój artylerii, po najmniejsze przeciwpancerne rusznice i broń osobistą.

Chór karabinów maszynowych zrównał się do jednakowego terkotu, jakby każdy żołnierz nagle odbezpieczył broń i zaczął pruć na oślep. Dźwięk dobiegał z odległości wielu kilometrów, a nadal był ogłuszający dla zebranych.

Tak się wszystkim wydawało, dopóki nie usłyszeli prawdziwego hałasu.

Jazgot. Miażdżący bębenki uszne dźwięk przetoczył się po nieboskłonie. Kilkadziesiąt osób padło na ziemię w drgawkach. Jeden z weteranów powstania styczniowego, ubrany w galowy mundur, złapał się za serce. Po chwili leżał w bezruchu.

Czarna kropka przefrunęła przez niebo, zasłonięta w sporej części majestatycznym okrętem powietrznym Rzeczypospolitej. Białoczerwony ozdobny dym zawirował wartko dookoła. Dziwny punkcik wleciał za sterowiec i zaraz pojawił się obok niego w chmurze falującego powietrza.

Nie.

Tak się tylko zdawało ludziom, obserwującym wszystko z perspektywy ziemi. Ów czarny punkcik przebił się przez zeppelin z nierejestrowaną prędkością. Minęło mrugnięcie oka i obserwatorzy zaczęli kolejno zwijać się w pól z bólu. Oczy wszystkich zebranych oślepił niespotykanych rozmiarów wybuch.

Sterowiec zakwitł pianą koloru oranżu. Falujące języki wychynęły w każdym kierunku, testując, jak wiele mogą zagarnąć. Odpowiedź przyszła natychmiast: wszystko.

Okręt powietrzny zaczął zapadać się w oczach. Posrebrzana koperta, naciągnięta na wzmacniany stelaż zmieniła się w zwęglony zwitek papieru. Zupełnie jakby ktoś wrzucił zabawkę do ogniska.

Balon wygiął się ruchem zamykanego scyzoryku. Dziób lewiatana zdawał się kierować do własnego ogona. Jeszcze w powietrzu wychylił kąt zbyt mocno, łamiąc się na dwa, niezależne strzępy szmat i złomu, które łączył tylko wspólny kierunek i zwrot opadania.

W pewnym momencie odłączyła się solidna, przeszklona gondola z doborową załogą. Wewnątrz przewalało się coś chaotycznie, nie mogąc przebić żadnej z szyb. Wyglądało to, jakby ktoś zrzucił z nieba wielką grzechotkę. Kontener koziołkował w locie, próbując utrzymać jednolitą formę, aż do nieuchronnego zderzenia z ziemią.

Jeden z samolotów powietrznej eskadry starał się ewakuować spod brzucha jednostki nadrzędnej – na próżno. Górna para skrzydeł zaczepiła o wykręcającą się linę. Nagłe napięcie zawinęło konstrukcją i wyrznęło aeroplan wraz z pilotem wewnątrz jak mokrą szmatę. Z nieba polała się krew.

Kolejno pojedyncze kropelki stuknęły o ziemię, by zaraz chlusnąć deszczem posoki.

Ludzie rozpierzchli się w panice. Zaczęło się tratowanie, ucieczka i szaleństwo. Nikt nie wiedział, gdzie gnać przed zmierzającym ku ziemi kolosem, mierzącym prawie pół kilometra długości.

Do ziemi doleciały pierwsze płonące rotory. Odłamki metali trzaskały rykoszetem, zbijając szyby w oknach, krusząc tynk i raniąc ludzi. Siermiężny silnik przebił się przez dach kamienicy i zatrzymał dopiero na pierwszym piętrze.

Z nieba lała się stal, krew i żagiew.

Na placu nadal zostało sporo osób, które zorganizowały się w ciasno zbitą grupkę. Dziwnie spokojni, opanowani, trzymający się blisko siebie. Oni jakby na to tylko czekali i obserwowali z daleka połówki pojazdu,

jak dwa puchary koloru écru zmierzające coraz szybciej na spotkanie z ziemią.

Setki ton szerniałego płótna, metali, drewna i szkła dopadły ziemi. Gargantuiczna sylwetka latającego olbrzyma zderzyła się z ziemią. Większość ogona sterowca opadła pod innym kątem, bardziej wzdłuż Wisły, rozniecając płomień na oba brzegi. W pewnym momencie szkielet sterowca był najwyższą konstrukcją w swojej okolicy, górując kpiąco nad umierającym miastem.

Grupa obserwatorów, która została na Placu Zamkowym mimo zaleceń żandarmerii, zaczęła się rozstępować. Z początku niechętnie, jak rzędna chmura, próbując zachować względnie stałą formę. Wreszcie rozplnęli się po całym Placu, ale zaraz jak na zawołanie stanęli prosto.

W jednym momencie kilkaset kobiet i mężczyzn w różnym wieku zaczęło się trząść. Padali na ziemię, drżeli, wyginali się, rozdzierali usta i zaciskali paznokcie na kocich łbach. Wyglądało to jak masowy atak jakiejś zarazy albo trującego gazu.

Marszałek pierwszy dostrzegł w czym rzecz.

– Strzelać bez rozkazu! – ryknął twardym, władczym tonem.

W pierwotnym odruchu piloci maszyn krocących wstrzymali się od atakowania względnie bezbronnych, cierpiących cywili. Dopiero po chwili zrozumieli swój błąd.

Pierwsze sylwetki zaczęły pokrywać się czerwonymi zaciekami, krostami, wyłupiastymi guzami i liszajami. Skóra zebranych przebarwiała się na kolor dojrzałych czereśni, włosy rozciągały i skręcały jak druty. Ktoś wreszcie zaryczał głosem niemogącym należeć do człowieka.

– Zasadzka! – zdążył zakomunikować działonowy w pojeździe z armatką wodną, po czym kilkunastotonowa baryłka zgięła się do ziemi.

Świst przebił barierę dźwięku. Po placu rozlały się hektolitry wody. Rykoszety części pojazdu rozprysnęły się na boki, tnąc wszystko na swojej drodze. Kroczący pancerz przestał istnieć w przeciągu ułamka sekundy.

Na miejscu tłumiciela zamieszek stała teraz ośmiometrowa, ludzka sylwetka. Pokryta grubą warstwą szkarłatnej skóry z wyraźnie odznaczającymi się mięśniami postać stała prosto. Wydawało się, jakby ciało dziwadła przepływało, gęstniało i na zmianę rzedło, przesuwając się pod niewidzialną dla oka powłoką. Wreszcie z brzucha na moment wychyliło się kilka palców, by zaraz zniknąć.

Zrzucony z nieba nieznajomy był w istocie zręcznym zlepkiem wielu organizmów. Jednolita forma wydawała się niepewna, a jednocześnie bardzo zgrabna w swoich ruchach. Twarz miała męską, choć nie do końca ludzką. Zbyt wysokie czoło, zaostrome, szpiczaste uszy i dwie czerwone tęczówki oczu rozmiaru cembrowin studni.

– Marszałku – głos mówił po ludzku i nawet współgrał z ustami nowoprzybyłego. Nie był chyba jednak potrzebny ruch warg, aby słyszeć, co mówi istota, gdyż ta zdawała się być jakby obok tego wszystkiego.

– Czy możemy porozmawiać?

Huknęły działa.

* * *

Knothe poprawił sprzączki pancerza, strzelił palcami i złapał mocniej uchwyt miotacza Rospenberpanu. Schowany pod warstwą stalowych blach, obserwując świat przez wąski wizjer hełmu, czuł się bezpiecznie.

Wpierw było zamieszanie, nerwowe bieganie wśród obsługi setek dział i wielokrotne zadawanie tych samych pytań do osób, które nie znały

odpowiedzi. Wszystko stało się jasne, gdy nad bramą muru zewnętrznego rozbłysła jedna, czerwona raca. A potem świat się zawalił.

Dźwięk salwy z armat był potworny. W niebo poniosły się kłęby siwego dymu, nozdrza zaczął drażnić intensywny zapach prochu, potu i w końcu czegoś niespodziewanego – pieprzu i torfu.

Wtedy dopiero nastąpiło najgorsze – słońce zniknęło.

Wpierw pociemniał nieboskłon, rozległ się narastający szum, do którego dołączyły pierwsze serie z gniazd karabinów maszynowych. Po krótkiej chwili czarna chmura zgęstniała i opadła coraz niżej.

Ptaki przekrzykiwały się nawzajem drążącymi uszy piskami. Zdawały się wpadać na siebie i nic sobie z tego nie robić. Czerwone pióra przelewały się w pewnym momencie gęsto, jakby ktoś zawiesił nad głowami ludzi wielkie, wzburzone jezioro.

– Wszyscy na stanowiska, strzelać w niebo! Nie lać ognia, dopóki nie będą blisko – zakrzyczał oficer dowodzący na odcinku.

Na całej długości monumentalnych umocnień zaczął się chaos. Setki dział, kaponier i stanowisk przeciwlotniczych zagrzmiały jak potworna wichura, chcąc zmieść wszystko z powierzchni ziemi.

Knothe obserwował z góry pięciokilometrowy pas agrarny, wypełniony rzadkimi zabudowaniami, lasami i sporadycznymi skupiskami osiedli. Po drugiej stronie stał pierścień muru zewnętrznego, niższy i nie tak gęsto obstawiony, jednakże wciąż imponujący.

Przez moment wyobrażał sobie, jak wielka siła musi zmierzać zza drugiej strony tegoż muru. Kolejne race podnosiły się na następujących po sobie odcinkach umocnień. Widział coś takiego lata temu.

– Wojna, by zakończyć wszystkie wojny – szepnął do siebie i spojrzał w niebo.

Po niebie sunęły trzy sterowce, które już zaczęły rodzić na świat pierwsze aeroplany, błyszczące srebrnymi refleksami na tle poczerniałego od ptactwa nieba. Największy ze sterowców zakołysał się lekko i po chwili zmienił w kulę ognia i żelastwa.

Żołnierze obejrzeni się z przerażeniem na tak nagle utracony zeppelin. Ktoś przeżegnał się i upadł na ziemię w szoku.

Samoloty otworzyły ogień. Tnące ostro karabiny zaczęły strącać pierwsze stworzenia z nieba, zsyłając ku ziemi deszcz krwi i czarnych wnętrzności.

Sęp utkany z jednolitej masy koloru zgniłej wiśni upadł obok nogi Knothego i zaskrzeczał jeszcze. Z dzioba stwora wypłynęła struga gęstej cieczy i wydobył się krótki jęk, ale zaraz kapral przydeptał łeb dziwadła ciężkim buciorem.

Brama wewnętrzna rozwarła się z przeciągłym wizgiem, przebijającym się wśród kanonad i porykiwań zwierząt. Dziesięciometrowe wrota wzniciły podmuch wiatru i zastygły w bezruchu.

Ze środka wypadł galopem oddział kawalerii, a wraz z nim łopoczące kolorowo proporce i klangor szabel. Z żołnierskich pasów zwisały wiązanki kanciastych granatów zapalnych nowej produkcji.

Zaraz za kawalerią wystąpiły pierwsze dywizje pancerne, które ściągano do międzymurza także pozostałymi bramami, choć wolniej. Między machinami przeciskały się niebezpiecznie blisko oddziały piechoty, pędząc w nieskoordynowanych formacjach.

– Ty, z miotaczem! – krzyknął oficer, wskazując palcem na niedawno przydzielonego żołnierza, który stracił cały swój szwadron
– Pilotowałeś, tak?

Knothe przytaknął bez słowa.

– Umiesz pilotować pięciometrowego dwukrokwca?

Znów przytaknięcie.

– Szermierkę pancerną znasz?

– Dam radę – dodał niepewnie Knothe.

Ostatni raz maszynę kroczącą do walki w zwarcu prowadził za czasów, gdy ręce miały pięć pozycji, z czego domyślnie były ustawione na szarżę z bagnetem.

– To odkładaj to żelastwo, zdejmuj butle i zapierdalaj na dół!

– Dowódca wyszczerzył się paskudnym grymasem, jego błękitne oczy świeciły niezdrową ekscytacją. – Będziesz husarzem, cieszysz się?

Niedługo potem Heinrich próbował rozprostować ramiona w przyciasnej kabinie o kształcie stożka. Nadal nie zdjął płyt pancerza, więc co rusz zahaczał barkiem o któryś z wystających elementów kokpitu.

– Idź pod samą bramę, tam was ustawią – zapewnił jeden z koordynatorów przed przydzieleniem Knothemu maszyny.

Niedobory w kadrach i święto wynikające z egzekucji prowadzący nieudanej rewolucji poskutkowały tym, że na północno-wschodnim odcinku muru było więcej maszyn niż pilotów. Nie brakowało młodocianych samobójców z przymusowych poborów, ale dla nich dowództwo przeznaczyło zaszczytną rolę stawienia czoła horrorom osobiście.

Knothe zacisnął mocniej dłonie na drążkach i postawił pierwszy krok. W ostatniej chwili wyhamował, zachwiał się i złapał równowagę dwustawowymi rękoma, które od łokcia do dłoni były po prostu dwuipółmetrowymi ostrzami.

– Gównu, kurwa mać – zawarczał pilot i postawił kolejny krok w podcieniu wielkiej bramy. – Który pieprzony debil wymyślił taki model, ja pierdole. Jeszcze żeby to miało chociaż jeden karabin, wyrzutnię, cokolwiek kurwa.

Heinrich spojrział z wnętrza kabiny, jak jego masywny pancerz robi krok za krokiem, wgniatając mocno trójpalczaste stopy w ostatnie metry asfaltu. Przekroczył bramę. Wąty promyk światła przesączył się przez żywą chmurę ptaków i zalał międzymurze.

W czasie gdy przygotowywał się do wymarszu, pas agrarny zmienił się klepisko, przez które maszerowały już setki maszyn kroczących. Ściągnięto je z wszystkich dzielnic Warszawy. Knothe nawet nie wiedział, że w Warszawie stacjonowało tylu żołnierzy, zupełnie tak, jakby byli na to gotowi.

Szedł powolnym, koślawym krokiem po ubitej drodze, spoglądając co rusz na piekło, które miało miejsce na niebie. Widział też mur zewnętrzny, z którego co sekundę dobiegały dziesiątki wybuchów i porykiwań. W pewnym momencie odezwał się skowyt tak potężny i przeszywający, że Knothe zapomniał odciągnąć kolana maszyny i omal nie przewrócił się na brzuch.

Tysiące żołnierzy rozstawiały prymitywne barykady z worków z piaskiem, które przynosili na wozach, zaprzęgniętych w konie. Ostatecznie same wozy też stawały się elementem fortyfikacji.

Masywne, pięciometrowe młoty, o długich pyskach luf i krępych skrzydełkach stanowisk karabinierów, rozstawiały się dwurzędami tak, by móc strzelać równocześnie. Karabiny pruły sporadycznie do ptaków, choć na razie większość z Karmazynowych zwierząt nie próbowała wdać się bezpośrednio w walkę.

Po polu bitwy kłusowały liczne Traszki, obsługiwane przez dwie siedzące nad sobą osoby, z których jedna była pilotem, a druga obsługiwała obrotowe gniazdo karabinu. W tym przypadku nieruchome lufy pilota mogły się nadawać jedynie do ognia zaporowego, więc to strzelcom z góry przypadło zadanie odławiania wrażego lotnictwa.

Gdziekolwiek stawały się w heksagony Wróble, te dla rozróżnienia jednoosobowe i z możliwością podnoszenia obu luf karabinów maszynowych, wedle widzimisię pilota. Co chwila któryś z drobnych, bagatela trzyipółmetrowych pancerzy trzaskał serią w przelatujące nisko stworzenia Karmazyny.

Knothe wypuścił szybciej powietrze nosem – rozbawiła go myśl, że Wróble przez jeden moment były dominującymi ptakami drapieżnymi. Zaraz jednak humor gdzieś zniknął, gdy nad nim zakotłowało się kilka wronowatych stworzeń.

– Rozumiem, myślicie, że umrę i będziecie ucztować na moim truchle – powiedział jakby sam do siebie i pokiwał głową w zamyśleniu.

Raptownym ruchem chwycił dźwignię po prawej, pociągnął z całej siły do siebie, po czym chwycił następną, zwróconą pod innym kątem i również popchnął do maksimum.

Ogromne ramię Husarza wygięło się do nieba, łokieć wyprostował się i lecące po łuku ostrze przecięło w pół jednego ze stworów. Latająca bestia spadła na ziemię w dwóch kawałkach, drżąc w konwulsjach. Reszta istot Karmazyny rozpięzchła się na boki, wracając do bezpiecznej formacji pod chmurami.

– No to, kurwa, spróbujemy.

Kilku żołnierzy rozładowywało obok skrzynie z amunicją i ustawiało zasilany taśmowo karabin. Zaśmiali się głośno, dając do wiwatu. Knothe wyszczerzył pod brodą i przytaknął zza błyszczącego, pancernego szkła.

Knothe zaśmiał się wreszcie głośno, sam do siebie, poczuł adrenalinę, jakiej nie miał w sobie od tak dawna. Naparł mocniej na dźwignię, pociągnął z powrotem, znowu naparł. Wykrok, wyprost, dociągnięcie ciała,

uniesienie wolnej nogi i wykrok z pięty. Nim się obejrzał, biegł, pędził na złamanie karku.

Dookoła tańczył kolorowy pejzaż szykującej się na spotkanie z wrogiem armii, on jednak już na to nie baczył. Przez moment wspomniął jeszcze, że miał zadanie przed sobą, ale przecież nawet nie był z tego szwadronu, więc co mogli mu zrobić? Miał to już absolutnie gdzieś, liczył się on, ważący dobre dwadzieścia ton Husarz i zew polowania.

Wtedy oślepił go blask. Odgłos wybuchu był ogłuszający nawet w kabinie. Dziesięciometrowa brama muru zewnętrznego zgięła się jak harmonijka i pofrunęła w dal, orząc ziemię.

Ludzie łapali się desperacko czegokolwiek, by zaraz zniknąć wśród osuwającego się gruzu. Kilka maszyn kroczących próbowało jeszcze uciec od padającego deszczu głazów. Jeden z Wróbli rozpędził się, minął stanowisko przeciwlotnicze i nagle padł na ziemię, gdy w plecy uderzył go wielotonowy kamień, pokryty Karmazynową breją.

Machina zmieniła się w stertę bezużytecznego złomu, z której dobiegał cichy jęk. Dookoła rozkruszonej szyby pancерnej przelewały się strumyki ciekącej z wnętrza krwi.

Kamienny łuk runął zaraz po wyważonej bramie, nad którą stał. Jedna z ogromnych armat strzeliła jeszcze ostatni raz, nim utonęła pośród bezmiaru odłamków, pyłu i Karmazynowej masy.

Knothe otworzył usta szeroko. Z szoku nie mógł się ruszyć. Widział, jak zza bordowej chmury ewaporowanej krwi i kruszonego betonu wygląda na świat kilkudziesięciometrowy gad o sześciu Karmazynowych oczach.

Gigantyczny stwór miotnął nielotnymi skrzydłami, machnął trzema ogonami jak przedziwna chimera i dał z siebie głos, który drążył mózgi do samego rdzenia. Nie był to głos przekonujący, żadna retoryka czy kolejna próba kuszenia lub rozejmu.

To był ryk, który łamał serca i odbierał nadzieję.

Heinrich przełknął z trudem ślinę, zacisnął zęby i pchnął dźwignię, zmuszając stalowe nogi rycerza do biegu. Jego własne odmówiłyby posłuszeństwa.

* * *

Plac pokrył się gęstą zawiesiną pyłu i kołtunem dymu. Grad kostek brukowych posypał się we wszystkie strony, tnąc kolorowe fasady kamienic. Wreszcie podniósł się tuman kurzu, toczący swój garb aż do Podwała.

– *Mówiłem ci, że to na nic* – z wnętrza ciemnej chmury dobył się głęboki, przenikliwy głos, bliźniaczo podobny do poprzedniego.

– Warto było spróbować, zawsze jest czas na przebaczenie – odpowiedział sam sobie ów głos.

Na gruzach nadal stała wielometrowa sylwetka pseudo-człowieka zbitego z woskowatej brei. Nie poruszył się nawet minimalnie.

Dookoła zebrały się setki różnokształtnych, lalkowatych stworzeń. Większość trzymała się w pionie, choć niektóre lgnęły do ziemi i sunęły na czterech, chwytnych łapach. Ktoś zaskrzeczał głośno i rozpoczął chaos.

Przemienieni mieszczenie rzucili się we wszystkich kierunkach, tratując przeszkody na swojej drodze. Chwyтали za ostre i ciężkie elementy, rzucali nimi jak małpy. Kilku Karmazynów wskoczyło na siebie niby akrobaci cyrkowi i wyrzucili pojedynczy, ludzki pocisk w kierunku najbliższego Rysia.

Karmazynowa sylwetka zderzyła się z pancernym szkłem kabiny. Pazurzaste pięści zabębniły raz po raz w osłonę, po czym jedna z nich zgęstniała. Palce złączyły się ze sobą lepką błoną, zawirowały jak glina na

kole garncarskim i przeformowały w szpikulec. Kolec żgnął tam, gdzie widniała twarz zamaskowanego pilota. Szyba pękła.

Machina uniosła owiniętą gumowymi nakładkami dłoń i chwyciła napastnika za kark jak matka niesforne kocie. Trzasnął łamany kręgosłup i marionetka opadła na ziemię bez życia. Jedyńm śladem jej działania był zostawiony cienki otwór we wzmocnionym wizjerze.

Ruszyły następne kukły.

Seria puknięć przetoczyła się po polu bitwy. Granatniki zaczęły obdarowywać wszystko wokół kolumny Zygmunta puszkami gazu łzawiącego. Siwa, szczypiąca mgiełka poniosła się po okolicy, nie robiąc krzywdy ani napastnikom, ani opancerzonym obrońcom. Tylko kilku nieroztropnych cywilów uciekało teraz z łzami w oczach.

– Odezwij się chociaż, Józefie, porozmawiaj – zarzekł się jeszcze raz król marionetek, postępując krok przed siebie.

Postać nagle zgięła nogi i wyskoczyła na kilkanaście metrów w górę. Wyglądało to, jakby w ułamku sekundy zmieniła zdanie. Jeszcze przed chwilą ruszała się gładko, swobodnie zbliżając się do Marszałka. Teraz leciała wysoką, krótką parabolą przez zasnute dymem i ogniem niebo.

W chwili wyskoku zagrały Samsony. Jednocześnie dyszle uchyliły się i zalały plac oszczędnym bluzgiem Rosenberpanu. W leju po lądowaniu olbrzyma zawrzał bulgoczący kocioł płynnego inferno.

Sylwetka spikowała z nieba, wystawiając piętę. Wysokie kopnięcie zgilotynowało jednego z Samsonów w pół. Na tym jednak Karmazynowy napastnik nie poprzestał. Odskoczył natychmiast, zanim jeszcze zbiorniki Rosenberpanu na plecach miotacza mogły zająć się ogniem.

Zadudniła seria karabinów z okien. Żołnierze w maskach przeciwgazowych lali gęsto ołowiem, próbując trafić głównie największego ze stworów. Jeden ze strzelających wsunął karabin przez ramę okienną do

pomieszczenia i po chwili wychylił się, dzierżąc jajowaty kształt. Granat pomknął płasko.

Wybuch włączył się w ogłuszającą kanonadę wydarzeń na placu i innych skupiskach harmidru, które rozgrywały się w całej stolicy, aż po mury zewnętrzne.

Deszcz ostrego żelaza po raz kolejny zrosił teatr zmagają. Wszystko zmieniało się nie do poznania. Nie został już kawałek nienaruszonej ściany czy niestłuczonego okna. Stołeczny Plac Zamkowy przypominał krajobraz po nalocie.

Kolumna Zygmunta dalej pięła się dumnie, machając liną przy podmuchach wiatru. Skazana wciąż balansowała na stołku, zasłonięta obstawą marszałkowską. Gdyby nie ta dogodna okoliczność, już dawno egzekucja nie byłaby potrzebna.

– Po prostu z nami porozmawiajcie! – zakrzyczała Alicja w niewzruszone, stalowe plecy pilotów.

Jeden z Samsonów runął na ziemię, przygnieciony przelewającymi się ciałami dziesiątek napastników. Nawałnica zadziórów z uporem próbowała przebić kabinę sterowania, by wreszcie wywlec ze środka pilota i naszpikować go rzędami cienkich otworów.

Kolejne pełzające stworzenia zaczęły wdrapywać się po naczółkach w górę kamienic. Kilkanaście Karmazynowych lalek wspięło się po kolumnadzie dobudowanej do Zamku Królewskiego. W końcu pierwsi z grabieżców dostali się do samego wnętrza.

Serie z karabinów maszynowych zaczęły przetaczać się po wnętrzu byłej marszałkowskiej siedziby. Ktoś rzucił granatem, kalecząc postacie świętych wymalowane na nawie. Runęła nawet jedna z kolumn, przewrócona siłą szarży Karmazynowej łątki o dziwacznie szerokim czole.

– Kochanie, idę po ciebie! – wykrzyczał król marionetek.

– Izuś? – spytała skazana z niedowierzaniem, uśmiechnęła się z ulgą, po czym mina zastygła jej w nagłym przerażeniu. – Co ty, do jasnej Anielki, robisz?!

Izydor zbliżył się do niższego od siebie Samsona, wykonał zwód w lewo, prawo i znowu w lewo. Ciało mijalo się co rusz ze śmiertelnie groźną lufą miotacza Rosenberpanu. W pewnym momencie przykucnął, chwycił za nadgarstek nieuzbrojonej ręki maszyny kroczącej i obrócił się znienacka.

Samson pociągnięty nagłym ruchem fiknął nad mięsistą sylwetką, zupełnie jakby nic nie ważył. Zbiorniki substancji łatwopalnej zderzyły się z ziemią. Trzasnęły siłowniki, gumowy wąż odłączył się od pleców leżącej maszyny i zaczął oblewać wszystko dookoła płonąca substancją.

Rosenberpan lał się litrami na wszystkie strony. Domy, kolumny, napastnicy, obrońcy. Nawet siedzący u szczytu niewzruszony orzeł bielik został obsmarowany kleistą masą. Król marionetek zaśmiał się, nie wiedzieć do kogo.

Obity oznaczeniami dowódcy straży Samson wysunął się przed Marszałka i wystawił dyszle miotacza.

– On to robi – mruknął Izydor.

– *Polacy są bardziej szaleni, niż to zaplanowaliśmy* – odpowiedział głos w jego głowie. – *Ale spokojnie, przecież nie zabije nas wszystkich, prawda?*

Władca marionetek błyskawicznym ruchem wyciągnął ręce w adekwatnym geście. Przez moment mierzyli się wzrokiem jak rewolwerowcy w godzinie pojedynku. W tle nadal gorzała pożoga.

Izydor wiedział, że jeśli ostatni ocalały Samson włączy zapalnik, wszyscy umrą. Żadna ilość ochronnych warstw i umocnień nie przetrzyma na tym obszarze wycieku z czterech zbiorników Rosenberpanu. Jeszcze była

kwestia pozostałych leżących Samsonów, z których większość stanowiła cysterny pełne płynnej śmierci.

Z drugiej strony pilot Samsona powinien być świadomy ciężaru, jaki spadłby na niego w przypadku podpalenia. Śmierć Marszałka załamałaby opór mieszkańców i Warszawa mogłaby upaść jeszcze tego samego tygodnia, może nawet dnia. Nawet Izydor nie był pewien, jak wielkie siły Karmazyna zebrała poza obrębem murów i wewnątrz.

Sanata bezszelestnie zbliżył się do przywódcy straży i położył mu dłoń na ramieniu. Machina niezręcznie, nieco sztywno cofnęła się pod kolumnę. Ogumiona łapa przejechała po dźwigni mechanizmu wieszającego.

Marszałek nie wypowiedział ani słowa. Piloci w orlich hełmach pracowali, jakby sami byli maszynami, w jednakowej syntetycznej harmonii. Przyjęcie postawy szermierczej trwało ledwie mrugnięcie najczujniejszego oka.

– *Zawsze byliście takimi tradycyjnistami* – odpowiedział z pewnym uznaniem podwójny głos marionetkarza.

Lewa dłoń istoty zaczęła przelewać się, kłębić, gnieść i formować na nowo. Wyglądało to nadal jak praca w glinie, którą ktoś lepi na bieżąco. Ledwie kilka sekund później paliczki złączyły się ze sobą, zgięły dwa razy i rozszerzyły. Prawa dłoń wyciągnęła się w długi, ostry szpikulec, który zaraz zakręcił lekko do góry.

– Zapraszam czcigodnego Marszałka – szepnął Izydor, unosząc w gardę dłonie zmienione kolejno w obuch i sierp.

Sanata rzeczywiście posłuchał. Siłowniki sunęły gładko, szybko i nieuchwytnie dla ludzkiego oka. Ośmiometrowa machina ruszała się jak atleta u szczytu formy. Ruchy miał pewne, wymierzone i niezawodne.

Płonąca szabla zafurkotała palnikami. Spadła z góry pod kątem, wygięła się i cięła z boku. Znowu machina zgięła plecy, pochyliła szklaną głowę z nieruchomym Marszałkiem do przodu i wykonała trzy jednoczesne pchnięcia.

Izydor nigdy nie był dobrym szermierzem. Zdarzało mu się pojedynkować jedynie w akademii na obowiązkowych zajęciach. Unikał menzur w korporacjach akademickich, ale teraz cóż, miał okazję walczyć z prawdziwym mistrzem wśród instruktorów.

Oczy z dodatkową dawką zakończeń nerwowych nie były tak ograniczone jak zwykle, ludzkie oczy. Ruchy Sanaty mogły być oszałamiająco imponujące dla obserwatorów, ale dla samego przeciwnika jedynie godne uznania i szacunku.

Mięśnie antagonistyczne ciągnęły ciało z potężną siłą, dosłownie rwąc kończyny. Tam, gdzie szabla miała sięgnąć Karmazynowych mięśni, ziała pustka na moment przed uderzeniem. Skóra ugiwała się, rozpuszczała, zbierała na boki i puszczała ostrze przez wytworzoną, wolną przestrzeń.

Wreszcie marionetkarz nie wytrzymał tempa, odskoczył na moment. Widzenie sakkadowe zarejestrowało mrozący krew w żyłach ruch w miejscu, gdzie nie powinno go być – u szczytu szubienicy.

Ciało skazanej szarpnęło się w konwulsjach pod samym szczytem kolumny. Orzeł sfrunął z korony byłego króla Polski i zakołował nad wiszącą, strzepując ze skrzydeł kropelki białego Rosenberpanu.

– Głos, Alicja! – krzyknął Izydor, wyciągając ręce do góry, ku własnemu zdziwieniu.

Dłoń-młot dosłownie wystrzeliła w powietrze i zakręciła bez powodu. Bryłowaty kształt rozłożył się w płaski płat z jednym, czerwonym okiem. Karmazynowy pocisk posunął po nieboskłonie i zderzył się z orłem.

Bielik zaskrzeczał i z wizgiem poleciał w dół, gubiąc pióra.

Czerwony kształt samemu zaczął przypominać jednookiego orła. Przysiadł u szczytu szubienicy, rozciągnął się jak wąż, zsunął po linie i oplótł skazaną ciasnym kokonem. Masa Karmazynowego ciała zmieniała się w zaskakującym tempie, ale jednocześnie Murykiewicz zdawał się czuć coraz bardziej zmęczony z każdym ruchem.

Izydor zamrugał zdziwiony, na moment stracił Sanatę z oczu i po chwili poczuł, że był to błąd.

Lewa ręka marionetkarza pokoziołkowała w powietrze, ścięta płonąca szablą. Tkanka Karmazynu skręciła się, zwiędła i obrosła w czarny kikut ramienia.

– *Mówilem, byś trzymał się z dala od tego!* – zaryczał głos, dając po sobie poznać strach. – *To nie odrasta!*

Murykiewicz ugiął kolana, zbierając tkanki w drugiej kończynie i sieknął nie do końca uformowaną, sierpowatą ręką od góry. Lewy kikut wygiął się za plecy i ułożył nad kością ogonową jak u szachisty.

– Czyli jednak szermierka, Boże, jak ja tego nienawidziłem – zaśmiał się Izydor, próbując zamaskować strach.

Sierp wyciągnął się, wydłużył do prawie trzech metrów i porósł ostrymi zadziiorami. Przez moment rzeczywiście próbował uformować się w coś zbliżonego do szabli. Ostatecznie jednak marionetkarz prychnął rozzłoszczony i pozostał przy formie długiego szpikulca.

Walka była nierówna. Co rusz Wysocki wyprowadzał doskonałe cięcie szablą, mając nadzieję, że już za moment sięgnie przeciwnika. Tak się jednak nie działo.

Szabla ziała Rosenberpanem bardzo oszczędnie, będąc w stanie użyć jego właściwości tylko przy bezpośrednim trafieniu. Takowe trafienie udało się Wysockiemu uzyskać tylko raz, gdy marionetkarz już rozstępował breję

na swojej szyi, by przepuścić ostrze dalej. Jednak szermierz nie celował w szyję.

Broń zjechała nagle w dół i rozdarła płytko pierś przeciwnika wzdłuż mostka. Długa, cienka szrama czerni rozlała się po ciele. Zapachniało ozonem i palonym mięsem.

Przystojna twarz uśmiechnęła się zawadiacko spod orlej maski. W pewnym momencie szermierz nawet podniósł dłonie z drążków, by pomachać do chwytającego się rany stworzenia.

Izydor wyszczerzył się rzędami samych kłów.

Marionetka skoczyła naprzód, przeokołkowała i kopnęła piętą z góry wprost w Sanatę. Prawe ramię pojazdu krocącego wygięło się nienaturalnie w drugą stronę. Zgrzytnął metal, jęknęły siłowniki i trysnął olej napędowy.

Szabla przeleciała tuż nad ziemią, zderzyła się z kocimi łbami i potoczyła dalej, by wreszcie zgasnąć wśród bezmiaru złomu i gruzów. I tak nie wystarczyłaby Wysockiemu na długo, wszak była to broń ozdobna. Nikt nie pomyślał nigdy, że ktokolwiek mógłby uprawiać szermierkę pancerną z Marszałkiem.

W mgnieniu oka dłonie szermierza ponownie znalazły się na drążkach, ale było to bez znaczenia dla Murykiewicza. Jego przeciwnik został pozbawiony jedynej groźnej broni.

Machina obróciła się nagle i niespodziewanie na moment zwolniła i z impetem ponownie zwróciła się do lalkarza, dzierżąc coś w drugiej dłoni.

Solidny kawał stali i szkła poszybował w kierunku Izydora. Ten ledwie zdążył wyprostować ramię przed siebie. Kabina jednego ze zgniecionych pojazdów przybocznych nabiła się wprost na wystawiony zadziór. Marionetkarz jęknął ciężko i przewrócił się, nie mogąc zatrzymać impetu.

Otworzył oczy, by dostrzec wgapiające się w niego dyszle Samsona kapitana gwardii.

– W imię Ojca i Syna... – zaintonował pilot Samsona.

Co mógł mieć w głowie człowiek, który właśnie został użyty przez swojego idola jak żywy pocisk?

Izydor nie czekał na koniec formułki. Chwycił za lufę, wygiął w bok i kopnął bezpardonowo maszynę w miejsce, gdzie powinna być u człowieka pachwina.

Ludzki odruch okazał się nie dość skuteczny w zastosowaniu na maszynie. Pojazd zatrząsł się, ale nie zgiął. Siłownik lewego uda wyskoczył ze swojego miejsca i prysnął sprężonym powietrzem. Osadzające się kropelki zrosiły zewnątrz kabiny pilota.

Marionetkarz kopnął ponownie, tym razem wyżej – w nasadę kabiny. Zadźwięczało szkło, posypała się garstka odłamków. Ktoś strzelił z okna, celując już nie w coraz mniej liczne na placu stwory, a w samego Izydora.

– Z mojej perspektywy – warknął w myślach Murykiewicz, kopiąc ponownie w to samo miejsce – ta kabina nigdy nie była tak wytrzymała.

Wreszcie pancierz trzasnął niespodziewanie, wygiął się i pozwolił oszkleniu wyskoczyć z szyn. Kokpit stał otwarty na oścież, ukazując pełne nienawiści spojrzenie kapitana gwardii.

Niespodziewanie zagrzmiał oficerski bilon. Kula rozdarła lewe, gigantyczne oko marionetkarza, jednak on sam nie zareagował na to.

Dłoń Karmazynowego stworzenia wyskoczyła i nanizła gwardzistę jak mięso na szaszłyk. Po chwili Izydor odsunął od siebie Samsona kolanem i uniósł trofeum na dziesięć metrów w górę.

– *Chwała rewolucji!* – krzyknęło stworzenie przejmująco, niemożliwie wręcz głośno. Słowa poniosły się daleko, hen za linie murów i ugrzęzły w rumorze walk.

Przeszywające spojrzenie marionetkarza zlustrowało arenę walk. Stał, olej napędowy, Rosenberpan, gruz, ogień, krew... Mnóstwo krwi i ognia.

Na moment stęzał na twarzy, jakby zdał sobie sprawę z tego co się dzieje. Schody do podwała były czerwone i drobiły strumieniem czerwonej posoki. Okoliczne budynki wyglądały jak skóra chorego na dżumę. Workowate oczy ram okiennych wypatrywały smętnie końca udręki.

– Nędzni jesteście – wyszeptał nie wiadomo do kogo, po czym dostrzegł nagły ruch.

Przeszkłone plecy marszałkowskiego Sanaty błysnęły w promieniach słońca. Wódz narodu rejterował wzdłuż pierzei ulicy, aż do niedawno przebudowanego mostu Aleksandrowskiego. Gdzieś pod mostem przepływał właśnie parostatek, zatrzymany w pół rejsu na park Młociński.

Marionetkarz szarpnął się, wbił stopami w zwęglone resztki kawalerzysty w paradnym mundurze i zamarł. Nagle usta rozwarły się, wykrzywiając na zmianę w dwa grymasy.

– *Jak ty?*

– Alicja.

– *Przecież nam ucieknie!*

– Więc im szybciej ją przechwycimy, tym lepiej. W końcu po to tu przyszlismy w pierwszej kolejności, prawda?

Izydor zakręcił się na jednej nodze, ugiął kolana i wyskoczył sprężysto w górę. Na moment chwycił się wysokiego, solidnego stelaża szubienicy, zakręcił i przysiadł u zwieńczenia jak gargulec.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptało czule monstrum, chwytając Karmazynowy kokon i wlepiając go sobie między łopatki.

Zachrząściło mięso, trzasnęły kości. Czerwony guz po chwili wrósł w kręgosłup stworzenia, wystając na świat już tylko jedynie drobnym wzgórkciem.

Pan marionetek nie czekał dalej, od razu pognał między połamanym skwerem kasztanowców na placu i skoczył w szeroki kanion kamienic. Dyszał czerwoną parą i jakby ruszał się nieco ostrożniej, może nawet ociężale.

– Boli – mruknął Izydor, przyzymkając na moment oczy.

– *Wojna ma boleć. Zawsze boli wszystkich* – odpowiedział sam sobie.

– Z mojej punktu widzenia to zawsze było prostsze.

– *Z naszego nigdy. Jest mi szczerze przykro, że kładziemy na tobie taką odpowiedzialność. Wiem, że się boisz.*

– Nie boję się, jestem przyzwyczajony do ryzykowania.

– *Boisz się, że zaraz wyrosną nam rogi i historia zapamięta cię jako zdrajcę.*

Izydor kiwnął głową w biegu, spoglądając dodatkowym okiem z potylicy na mijane fasady kamienic, gdzie trwał pożar. Jakiś mieszkaniec krzyknął niepomrotnie głośno i zaczął ewakuować się z drugiego piętra przez okno. Oko mrugnęło na moment, uciekiniera już nie było na parapecie.

– Bardzo się boję. Zwłaszcza się boję, że nie rozumiem nadal wielu rzeczy.

– *Szczegółów technicznych. Będziemy mieć czas na rozmowy, przysięgam.*

– Obiecaj mi, że Alicja będzie miała jeszcze czas, a mi to wystarczy.

Marionetkarz biegł jeszcze bez słowa i wyskoczył za róg żółtej, neoklasycystycznej zabudowy hotelu. Sanata przekraczał właśnie most, po którego drugiej stronie rozłożył się kordon wojsk, zasłonięty barykadą.

– *Przysięgam* – mruknął ciepłym tonem Głos.

– To mi wystarczy – sapnął i stanął w rozkroku u wejścia na przeprawę.

Igłowata dłoń zaostrzyła się na boku, wygięła do spalonego Rosenberpanem ramienia i cięła od góry. Kawał spalonego Karmazynu odpadł natychmiast, wypuszczając zlepki czerwonego, świeżego wosku.

– *Spalona Karmazyna nie odrasta* – szepnął Głos w głowie.

– *Masz swoje szczegóły techniczne, kapitanie.*

Postać zarżała jak ranione zwierzę, spięła się i przypadła na trzy łapy. Po chwili z lepkiego kikuta wyrósł pęd kości, obrastający natychmiast mięsem, żyłami, tętnicami, kapilarami i skórą.

Kark humanoida obrósł gęsto długimi, cienkimi mackami. Szczeka wydłużyła się, porosła dodatkowymi kłami i kilkoma czułymi wąsikami. Tylne łapy przygięły się nieco, stężały i napuchły. Wreszcie masywny, sprężysty ogon, zakończony kępą włosów wyskoczył znad miednicy. Trzy pary szkarłatnych źrenic zlustrowały świat.

Karmazynowy lew zaryczał i spiął się do skoku.

– Jeszcze nie. Niech podejdzie bliżej – cicha komenda dowódcy dobiegła z barykady aż do czułych uszu drapieżnika. – Moment... Niech podejdzie bliżej... Teraz!

W momencie krzyku Izydor już był gotowy. Wyskoczył w górę, nie był pewien, czy to on sterował dziwną, nową formą. Jednocześnie było w tym wszystkim coś bardzo swojskiego, pierwotnego. Wiatr zafalował bujną grzywą i ochłodził pysk.

Karabiny Fieldorfa zamruczały w oddali, puszczając rój ołowiu po asfaltowej nitce mostu. Puknęła cicho rusznica, zaraz znowu, albo to była druga, spóźniona. Wreszcie coś zasyczało jak przyczajony wąż – miotacz Rosenberpanu.

Most zapłonął białym światłem, konturując kocią sylwetkę na tle zasnutego sznurami dymu i rojami ptactwa nieba. Płomienie zaryczały ogłuszająco, a po chwili Lew wszedł z nimi w polemikę, przyprawiając obrońców o drżenie rąk.

Masywna, wielotonowa sylwetka Karmazynu opadła do ziemi, przygniatając dwóch żołnierzy z karabinami. Ktoś przytomnie wyciągnął pistolet, przyłożył do boku kota i strzelił kilka razy, zostawiając płytkie dziury zatkałe ołowianymi kulami. Świsnął wbijany w łapę bagnet liściasty.

Kot machnął ogonem, łamiąc żebra oficera dowodzącego. Stanął na dwóch nogach, objął wzrokiem barykadę i zleciał pyskiem wprost w obsługę miotacza ognia. Trzasnął łamany kark celowniczego. Ktoś krzyknął przejmująco, skacząc do rzeki.

Sanata biegł dalej.

Izydor nie pozostawał dłużny. Porzucił za sobą przetrzebioną barykadę obrońców i pognął przed siebie. Już chwilę później usłyszał dwa nowe ryki, dołączające do wszechobecnego chóru miasta.

Z ulepionymi kocimi uszami Izydorowi Warszawa przypominała silnik pracujący na najwyższych obrotach. Bombardowała różnorodnymi dźwiękami z każdej strony, nie zostawiając przerwy nawet na najkrótszy odpoczynek od rozgardiaszu.

– Myślisz o tym, o czym ja myślę?

– *Interesujące.*

Murykiewicz prześlizgnął się jak impuls z mózgu, przez kark aż do zakończeń nerwowych u nasady pleców. Momentalnie wyrósł na światło

dzienne, zyskując wzrok z nowej perspektywy. Jego ciało, zanurzone do pasa w lwie, wystawało na zewnątrz.

Zacisnął usta, przymknął nowonarodzone oczy i skupił się na niewymiotowaniu. Dłuższą chwilę zajęło mu to, ale wreszcie otworzył powieki po raz kolejny i uświadomił sobie, że rzeczywiście wystaje z pleców biegnącego lwa i obserwuje wszystko od tyłu.

Dwa motocykle Kuna z dodatkowymi przyczepami na gniazda karabinów jechały tuż za stworzeniem. Kierowcy próbowali oflankować kota, ale nie mogli wymanewrować między chylącymi się do siebie fasadami wąskiej alei. Wreszcie jeden z nich zaryzykował, przyśpieszył i pozwolił przycelować strzelcowi niemalże z przyłożenia.

Izydor odruchowo wystawił ręce przed siebie. Dłonie rozszerzyły się momentalnie, załaskotały i wygięły w łuk. Palce splotły się ze sobą na przemian i uformowały coś na kształt prostokątnej tarczy, poprzeplatanej sinymi żyłami.

Kanonada wystrzałów zagrzmiała z ogromną siłą, zmieniając zasłonę Izydora w sito. Rykoszety odbijały się od ścian, tylnych łap stwora, osłon motocykli i wszystkiego, co stało im na drodze.

– *Włóż w to więcej masy!*

Murykiewicz skupił się na sobie, odetchnął i wyobraził, jak palce gęstnieją, nawarstwiają jedno na drugie. W końcu cienka, kościana powłoka półprzezroczystej tkanki pokryła zewnątrz coraz większej tarczy i zasłoniła sylwetkę lwa od głowy, aż po pięty.

Naboje wbijały się w powłokę i grzęzły w niej natychmiastowo. Strzelec puścił spust, nie widząc efektu.

Izydor odetchnął tylko na moment i zrozumiał, że właśnie skończyła się aleja kamienic i zaczął rozleglejszy plac z zielonym rondem.

– Lew... Lew!

– *Czego?!*

– Biorą nas z obu stron!

– *To zrób coś, ja gonię tego maratończyka!*

Kapitan rozejrzał się na boki. Dookoła było mnóstwo wolnej przestrzeni. Zabetonowany plac pokrywały rzadkie klomby, skwerki, ławeczki i budki drobnych handlarzy. Na środku dominował piedestał, na którym opierał się dwunastometrowy Jan Trzeci Sobieski z tandetnymi, anielskimi skrzydłami z bazaltu.

Jedna z Kun już zrównywała do lewego boku lwa, przeskakującego nad wózkiem kwiaciarki. Lufa karabinu maszynowego wlepiła chłodne oko w jego odsłonięty kark.

Izydor wygiął cudaczną tarczę Karmazynu i zamachnął się nią niespodziewanie. Kierowca motocyklu spadł, strącony uderzeniem. Maszyna przejechała jeszcze kawałek i rozbiła się o wyniosły dąb.

Stworzenie zachwiało się, przychyliło do ziemi, upadło i przetoczyło. Wymach Izydora zaburzył balans biegu i Karmazynowy twór nie wytrzymał tempa. Przez moment lew próbował jeszcze wstać, gdy nagle nadjechała druga Kuna i zaczęła niespodziewany, choć niezbyt celny ostrzał.

Rój pocisków wbił się w nagie podbrzusze, prawe łapy i głowę stworzenia. Lew zaryczał przejmująco, załamał głos i zaskowyczał. Jeden z pocisków szarpnął skalpem kota, odrywając kawał grzywy. Rój cienkich włosów zawirował na wietrze.

Murykiewicz zakręcił się, wystawił skrzydło-podobną tarczę do motocykla i zamarł. Grad ołowiu nie ustępował. Taśmowo podawana amunicja wydawała się nie kończyć. Tkanka kości i mięśni dosłownie gięła się pod naporem, aż wreszcie nastąpił przełom.

Nagle ciało lwa uniosło się, zabulgotało i wystrzeliło kanonadą długich, grubych igieł. Kierowca i strzelec natychmiastowo przywarli do ziemi, przyszpileni Karmazynowymi pociskami. Igły zaraz po tym spłynęły po ziemi z powrotem do ciała lwa jak robaki, czmychające w strachu do kryjówek, gdy ktoś je odkryje.

– Chciałem ich obezwładnić!

– *A ja chciałem, by nas nie zabili* – odwarknął sobie lew, strząsnął z siebie odłamki jak pies rzepy i ponownie puścił się pędem.

W pewnym momencie Sanata zwolnił, niespodziewanie zatrzymał się na moment i skoczył w masywną, marmurową bramę. Znad bramy przyglądał się światu kilkumetrowy, wyrzeźbiony z monolitu orzeł.

– Skoczył w cmentarz Bródnowski.

– *Cóż z tego?* – odparł głos.

– To pułapka, przecież powinien biec dalej ulicą. Większa szansa na napotkanie obrońców, no i łatwiej się biega w pancerzu po asfalcie czy bruku niż w alejkach pomiędzy grobami i ścianami.

Lew na moment zamruczał, zwolnił. Chwilę jeszcze rozglądał się po niskich, pozbawionych kanalizacji czynszówkach. Im dalej od centrum, tym brzydsza była Warszawa. Czasami wystarczyło odejść na kilkaset metrów z lukratywnej, bogatej dzielnicy, by trafić między wynędzniałe drewniane budy.

– *Po prostu go gońmy.*

Brama ugięła się pod ciężarem kocura. Żelazne pręty pofrunęły na wszystkie strony, strzaskując pomniki i ścinając kamienie nagrobne, gdzieś zadźwięczała wybijana szyba.

– Zbędne zniszczenia.

– *My nie mieszkamy.*

Lew biegł nieco wolniej, bardziej ostrożnie i ciszej. Co chwila mijali jednolite rzędy grobowisk. Większość miejsc pochówku stanowiły podłużne dziury w ziemi, przyozdobione prostymi krzyżami.

Jeszcze kilka lat temu nie wolno było budować stałych elementów nagrobnych w tej okolicy. Dopiero od niedawna zaczęto stawiać pierwsze ściany pochówkowe dla żydów i pojedyncze kapliczki ku czci świętych, zapewniających wieczny odpoczynek.

Izydor mruknął cicho pod nosem, wciągnął woń. Olej napędowy, krew, pot, adrenalina, Rosenberpan i coś jeszcze... Czuł, jak w powietrzu unosi się jakiś znajomy, choć trudny do określenia zapach.

Gdzieś na granicy wzroku mignęło coś czarno-białego. Widzenie sakkadowe posłało setki sprzecznych sygnałów z wielu karmazynowych oczu, rozsianych po ciele stwora.

Murykiewicz spiął się, odwrócił i wyskoczył tak wysoko jak mógł. Gałęzie dębów rozorały skórę, biły po oczach i zasłaniały widok. Wylądował na zaniedbaną gruntówkę za murem i opadł na cztery łapy.

– *Co to było?*

– Złe przeczucia – odwarknął Izydor, obiegając cmentarz.

– *Dobrze, dogonimy go i tak. Nie może uciekać w nieskończoność.*

– Nie, nie może.

* * *

Knothe wiedział, że nie będzie mógł uciekać wiecznie.

Pancerz Husarza zakręcił swoją górną połowę, przyprawiając ponownie pilota o mdłości. Wystawiał obie ręce i napędzając mechanizm, przedzierał się przez nieprzyjaciół jak szatkownica. Uwielbiana przez Polaków formacja kawalerii robiła z wrogów szaszłyki, a pancerna

jednostka ochrzczone tym samym przydomkiem kroїła ich na plastry – postęp.

Smukła sylwetka Karmazynowego kuguara o jednym, trójkątnym oku wyskoczyła wysoko w kierunku kabiny Heinricha. Pazury zatarły o pancerne szkło, pysk zaryczał, oblepiając czerwoną śliną przeźroczystą powierzchnię wizjera.

– Spierdalaj, szczurze – warknął Knothe i pociągnął jedną dźwignię do siebie.

Ręka maszyny zgięła się w łokciu z wielką mocą i uderzyła ostrzem oabinę, tnąc na swojej drodze Karmazyna w pół.

Heinrich rozprostował nieco plecy. Odkleił przepoconą koszulę od ciała, podrapał się między nogami i włączył wycieraczki. Dwa przeciwstawne strumienie wody starły brejowatą masę z twarzy maszyny.

Plac boju wyglądał jak piekło. Właściwie to nawet nie, on po prostu nim był.

Knothe co chwila musiał opędzać się od dziesiątek zwierząt, głównie ptaków, chcących wdrapać mu się po stalowych nogach, zerwać płyty pancerza, wyłuskać go jak orzecha ze skorupy i zeżreć żywcem.

Niebo było koloru żył kurczaka, które jeszcze ciekłą wydzieliną i śmierdzą jak najgorszy kompostownik. Ścierwojady zasłaniały wszystko, a między nimi rozciągały się chmury drobnych owadów, zalepiających nieraz kraty wentylacyjne maszyn i niemalże gotujących pilotów żywcem w ciemnych, rozgrzanych wątplach ich pancerzy.

Heinrich zasępił się na najkrótszą chwilę, widząc, jak biegnie w jego kierunku pięciometrowa lalka, mimikująca wygląd Husarza. Do ostatniej chwili nie był pewien, czy wyczekuje momentu, by uderzyć Karmazynu, czy po prostu chce już dać się zabić.

Widział wszystko.

Widział jak przerośnięte narzędzia, utkane z brejowatej woskowiny Karmazyny, wchodzą po nogach rycerzy, używając pazurzastych kończyn, a potem zaczynają przekrzykiwać się nawzajem, że obiecują wieczny raj albo wypatroszą dzieci pilota, jeśli ten nie otworzy kabiny.

Widział posyłanych na śmierć chłopców, którym państwo obiecało chwałę i wolność, a dało jedynie w ręce karabin i osiem minut życia na polu bitwy. Jeden z pilotów nie dokończył cięcia, gdyż przed nim chciał się przeżegnać, zamiast dopchnąć dźwignię i przebić gardło przeciwnika, zapłacił za to własnym życiem.

Karmazyna wygrywała niemalże zawsze. Jakby wszystko było doskonale wyliczonym spektaklem, a oni znali scenariusz. Wróbel strzelał do kilku Karmazynowych psów, obracając się plecami do lalki o rogatym łbie, która zaraz obaliła go od tyłu, a potem po prostu zgmiotła gołymi rękoma jak starą gazetę przed wrzuceniem do pieca.

Było to straszne, bo przecież za ludźmi stały tysiące lat zbrojeń, postępu technologicznego, wybijania się ponad hierarchię zwierząt i używania rozumu, by przezwyciężyć własne ograniczone ciało. A Karmazyna przez kilka lat nauczyła się od nich więcej niż oni od niej.

Na pewno miała ograniczenia, na pewno ją to coś kosztowało, ale to nie miało znaczenia. Wystarczyła chwila, a kilkudziesięciu zarażonych czy też stworzonych od zera żołnierzy Wschodu, po prostu łączyło się w jakiś wielki twór. To było coś całkowicie poza możliwościami logistycznymi dowolnego kraju, a co dopiero Polski.

Pociągnął do siebie dźwignię w ostatniej chwili. Ostrze poleciało po łuku szybko, niemalże przewracając samego Husarza. Karmazynowa krew chlusnęła strumieniem, wielka lalka zablokowała cięcie własną ręką. Bróń

ugrzęzła pośród twardo splątanych mięśni, które już próbowały połamać ostrze.

Heinrich dostrzegł, jak druga ręka lalki wydłuża się w szpikuliec i szykuje do niskiego pchnięcia w brzuch. Przetawiał dźwignię, wyciągając drugie ramię przed siebie, po czym kolejna wajcha wyprostowała zgięty łokieć z ostrzem. Obie bagnetopodobne dłonie spotkały się wewnątrz ręki Karmazyna, przerabując ją za przegubem dłoni.

Pozbawiona kończyny lalka, mimo wszystko, pchnęła nowo utworzonym szpikulcem i przebiła się przez miednicę Husarza. Machina zasyczała niepokojąco, jęknęła przeciągle stałą i skrzywiła się nienaturalnie.

– Cwel – skwitował krótko Heinrich i odepchnął od siebie dwie przeciwległe dźwignie, a potem dwie następne pod nimi.

Ręce maszyny zaczęły wznosić się na skos, w przeciwnych kierunkach. Oba bagnety przeszły przez głowę Karmazyna i przecięły pozbawioną wyrazu twarz.

Lalka opadła smętnie na ziemię, pociągając za sobą kolec wbity w stalową figurę. Rozpłynęła się na boki w wielką kałużę i po chwili zaczęła bulgotać, próbując złożyć jakiś kształt na nowo.

Przed Heinrichem zaczęła formować się kolejna lalka, tym razem nieco mniejsza. Zaczęła od złożenia głowy w kształcie pięcioramiennej gwiazdy i nim skończyła, zniknęła pod stalowym butem.

– Leż, kurwo! – ryknął Knothe, pociągnął dźwignie i znów opuścił, rozgniatając husarską nogą Karmazynowy twór.

Pilot otarł czoło rękawiczką i spojrzał z wnętrza kabiny na gigantyczną sylwetkę gada, która cały czas górowała nad polem bitwy. Dookoła niej fruwały setki drapieżników, po jej grzbiecie biegały najprzeróżniejsze maskary, które zdaje się ściągały trupy z pola bitwy i wlepiały gigantowi w plecy jak trofea.

Knothe przyjrzał się uważniej i zrekapitulował swoją konstatację.

– Żrą, skurwysyny.

Na moment dostrzegł, jak zza wewnętrznego muru leci niskim pułapem eskadra bombowców. Widocznie dali radę w końcu poderwać jakieś posiłki.

Pięć dwupłatowych Rumplerów z silnikami Mercedesa mknęło dumnie przez przestworza, świecąc białymi orłami, które zakrywały oryginalne, niemieckie oznaczenia. Nikt jednak nie zatrzymał się, by w jakikolwiek sposób świętować ich przybycie. Właściwie to trudno było je dostrzec pośród bezmiaru stworzeń, które czerniły niebo.

Wtem – wizg, paskudny skowyt, który mroził krew w żyłach. Knothe znał doskonale ten dźwięk. Choć stwory Karmazyny potrafiły być bardzo kreatywne w swoich kreacjach, to nie wszystko ulegało zmianie od razu. Na przykład identyczna była latająca maskara, która właśnie sfruwała z nieba, by zderzyć się z aeroplanem.

Knothe przełknął ciężko ślinę, ręce zadrżały mu na moment i z niedowierzaniem wgapił się w tak znajomy kształt sennej chimery, którą spotkał za Skrzyszewem.

Ogromny, podobny do jaszczura o długiej szyi i błoniastych skrzydłach potwór był dosłownie ulepiony z ludzi, którzy pełnili różne funkcje, od bycia kawałkami budulca, do stanowienia fragmentów skrzydła. Tak makabryczny wygląd zapewne nie był przypadkowy.

Eksplozja rozświetliła na krótki moment pole bitwy. Ładunek wybuchowy, niesiony przez samolot, zdetonował się w powietrzu, spowijając konstrukcję maszyny, potwora i załogę ognistą peleryną.

Latający jaszczur jednakże po chwili oderwał się od konstrukcji. Jeszcze przez krótki moment ciągnął się za nim dym i tliły mu się skrzydła.

Wygiął się, spikował w dół, by ugasić własne ciało i wrócił na odpowiednią wysokość, by dalej nękać pozostałych pilotów.

Wtedy stało się coś z pogranicza tragedii i cudu. Gdy latający gad miał już kłapać szczękami i urąbać ogon kolejnego bombowca, sam padł ofiarą ataku z zaskoczenia. Jeden z myśliwców, wypuszczonych przez zeppeliny, wleciał wprost w plecy latającego stwora.

Przez krótką chwilę samolot frunął do ziemi, pchając przed sobą jaszczura, który nie mógł się wypłatać z nowej pozycji. Silnik zaczął się dymić, karabiny pod dziobem terkotały bez przerwy z przyłożenia w podbrzusze stwora i przestały, dopiero gdy pilot i bestia rozbili się o ziemię.

– Bohater – parsknął szyderczo Heinrich i rozejrzał się po najbliższym otoczeniu.

Trzask tłuczonego szkła był potworny. Dźwięk przebił się przez nagle rozszczelnionąabinę. Wewnątrz kokpitu silnie zapachniało wilgotną ziemią, a po chwili doszedł specyficzny smród śmierci, który towarzyszył polom bitew od czasów starożytnej Sumerii.

– *Dolłącz do nas, a razem, wspólnymi siłami zniesiemy podziały!*
– ryknęła najeżona kolcami sylwetka Karmazyna o twarzy sępa.

Stwór wyglądał jak najeżony oczami i dziobami ptak, jednak poruszał się na dwóch nogach i miał świder zamiast jednej ręki. Wyglądało to, jakby ktoś w trakcie projektowania dał się ponieść fantazji i zapomniał o budźecie.

Heinrich zdjął rękę z drążka, wyjął rewolwer po Wołku z kabury i strzelił trzy raz w trzy różne oka ptaka. Zwierzę zastygło na moment w bezruchu, więc pilot podciągnął się na wiszącym pod sufitem uchwycie i wykopał cielsko poza obręb kokpitu.

Kilku najbliższych Karmazynów dostrzegło wyrwę w ochronie pilota i teraz z jeszcze większym zaciętrzewieniem próbowało dostać się do

środku. Potwory wspinały się po wysokich, stalowych nogach, chwytając za wystające płyty pancerne i krawędzie. Śmierć za każdym razem zapowiadała się podobnie.

– Jedyne towarzystwo, jakie mam – szepnął pozornie do nikogo Knothe. – Potwory, skurwysyny i wariaci.

Zachrzęściły stawy, zasyczały siłowniki i zaraz jeden z kłębów zębów i bordowego futra wylądował pod trójpalczastym butem Husarza. Knothe obrócił maszyną, wygiął ramię do ziemi i ściągnął brutalnie jednego ze wspinaczy z łydki. Nabity na ostrze przerośnięty kot po prostu ześlizgnął się w błoto, brocząc krwią.

Wtem krzyk, ale nie ryk bestii, skowyt koszarnej chimery, czy wycie potwora... Ludzki krzyk przerażonego chłopaka.

Knothe spojrzał w bok peryskopem i dostrzegł młodego piechura, chowającego się pod wozem amunicyjnym. Dookoła młodziaka biegał i węszył stwór, przypominający długiego, włochatego węża z Karmazynową flagą, zwisającą od pyska do ogona.

– Kurwa, po co, do chuja, po co?! – warknął sam na siebie Knothe i wprawił Husarza w ruch.

Wąż wykręcił się o sto osiemdziesiąt stopni i do góry nogami spojrzał na ukrytego pod wozem chłopaka. Ten nawet się nie bronił, a jedynie zasłaniał rękoma i nogami, lamentując falsetem.

Karmazyn otworzył paszczę i pokazał jęzor, na którego końcu widniało jedno, żółte oko. Już miał owinać się wokół ofiary, gdy nagle zaskrzeczał żałośnie.

Ostrze przeszło przez czaszkę i wbiło się w ziemię. Husarz naparł mocniej i spróbował chlasnąć drugą ręką, ale ta jakby zacięła się w pół ruchu i zmieniła w metronom, huśtający się w lewo i w prawo.

– Wypierdalaj! – krzyknął Heinrich do mikrofonu, po czym po prostu wychylił głowę przez uszkodzoną szybę i powtórzył. – No spieprzaj stamtąd, gówniarzu, bo jak nie on, to ja cię osobiście wpierdolę na obiad!

Chłopak jednak po prostu zawinął się w kłębek i dalej trząsł ze strachu. Gdzieś nad nim przeleciały szrapnele z granatu. Parę odłamków wbiło się w szybę kabiny Heinricha. Ktoś puścił długą serię, kilka pocisków rykoszetowało niebezpiecznie blisko wozu, omal nie trafiając młodzieńca.

– No na co cze...

Heinrich nie zdążył dokończyć, a przynajmniej sam siebie nie usłyszał. Huk haubicy Młota, który stał obok, zwyczajnie go ogłuszył. Chmura dymu uniosła się w powietrze, zasłaniając wszystko wokół.

Gdy zamykał oczy, widział własne naczynia krwionośne pod powiekami. Głowa opadała mu na bok ze zmęczenia, ale nic się nie zmieniał, bo tak wyglądał świat. Rzeczywistość kiwała się co chwile i była zalana na zmianę krwią i Karmazyną.

Pilot w końcu doszedł do siebie i dostrzegł, że chłopaka ani węża nie ma już pod wozem. Jest tylko Knothe, którego pancerz przebija bronią ziemię, a po ostrzu spływa czerwona struga gęstej cieczy.

W powietrzu rozległ się znajomy, charakterystyczny świst spuszcanych bomb. Seria rozbłysków zagrała na ciele ogromnego gada, który rozbił zewnętrzną bramę. Wielotonowe kawałki mięsa i kości pofrunęły na setki metrów, rozbijając się o oddziały własne i wraże. Wszystko śmierdziało zgnilizną i pieprzem.

Gigant przypadł na tylne łapy, wziął głęboki oddech i ryknął.

– *Ani kroku w tył!*

Heinrich rozejrzał się po okolicy. Ziemia roiała się od trupów, w lejach artyleryjskich przelewały się jeziora błota i krwi, które co chwila łączyły się z następnymi albo dzieliły na mniejsze rzeki i zalewy.

Przed oczami pilota mignęła postać, ubrana na biało, masywna, wysoka i spowita stalowymi elementami pancerza. Przez pole bitwy pędziła wysoka na dwa metry ludzka sylwetka z opancerzoną maską przeciwgazową na twarzy i wymalowanymi słowami modlitwy dookoła czarnego krzyża na napierśniku kombinezonu.

Przez mgnienie oka Knothe skrzyżował swoje spojrzenie z nieznanym w pancerzu wspomaganym. Rzadki widok, właściwie zdarzyło mu się widzieć coś takiego tylko na defiladach wojskowych, gdyż nigdy by nie wysłano na front kogoś z oddziałów specjalnych. A teraz tak po prostu widział taką osobę własnymi oczami, gdy dookoła wrzała bitwa.

Intensywnie zielone szkła maski błysnęły refleksami światła i zaraz skierowały się w stronę gigantycznego potwora.

Knothe w ciszy spoglądał, jak z nadludzką prędkością nadczołowiek biegnie przez pole walki, oszczędnie obdarza Karmazynowe twory strzałami z pistoletu maszynowego i mknie dalej, aż do najstraszniejszego z nich.

Sylwetka człowieka wydawała się śmiesznie drobna obok kilkunastometrowego stwora, któremu najbliższej byłoby do mitologicznego smoka. Paskudna bestia tryskała litrami krwi, jej wnętrzności wypływały na widok, a mimo to ten sam gadzi pysk zdawał się niewzruszony i pewny zwycięstwa.

Aż do momentu, gdy drobina pyłu w postaci krzyżowca podbiegła do jednej łapy, przeskoczyła nad wykrotem po skalnym odłamku i dobiegła do następnej, by zaraz uciec. Gdy była już w bezpiecznej odległości, stało się coś niezwykłego.

Nasady nóg gada eksplodowały białymi płomieniami. Kule Rosenberpanu wchłonęły fundamenty, na których opierał się mięsny kolos i objęły go zaraz coraz to łapczywszym, ryczącym inferno.

– *Jego się nie boicie...* – chciał po raz ostatni zawołać stwór, ale zamiast tego zapadł się na ziemię, przygniatając oddziały, które do tej pory znosiły dla niego ofiary.

Knothe widział, jak po ludziach przeszedł dreszcz podniecenia. Ich oczy dosłownie błysnęły nową energią, jakby upadek nieprzyjaciela dał im namacalną siłę. Przez pole bitwy przetoczył się gromki okrzyk szczęścia, zagrały nowe serie karabinów maszynowych, ludzie naparli w kierunku obalonej bramy.

Knothe zasępił się na moment, w jego stronę rzucił się jakiś patyczkowaty twór, krzyczący coś o szczęściu i pokoju. Pilot po prostu przestawił dwie wajchy i urwał mu łeb, nim ten zdążył się zbliżyć. W jego głowie roily się myśli, z którymi nie wiedział co zrobić.

Dla Heinricha wojna była zawsze celem samym w sobie. W wojnie szukał destrukcji siebie, nie widząc innego znaczenia. Nic nie miało znaczenia, więc nic nie miało wartości, a jeśli nic nie miało wartości, to mógł robić cokolwiek. Jednak zobaczenie aktu bohaterstwa, który nie skończył się wyjątkową katastrofą ani chichotem losu, było czymś nowym.

– Boże, gdzie jesteś w takich chwilach? – mruknął sam do siebie. – Daj mi chociaż jedno słowo.

Od bramy wewnętrznej, aż daleko hen za przedpola miasta, pomknął jeden gromki okrzyk, kłujący w samo serce.

– *Chwała rewolucji!*

* * *

Odnowioną ulicą świętego Wincentego biegli już na najwyższych obrotach. Z każdej strony mijali ich żołnierze, nieumiejący zrozumieć tego co widzieli. Wszyscy krzatali się jak robotnice w ulu, by ugasić pożary,

ocalić rannych i uporządkować chaos, pustoszący wewnętrzny krąg stołecznego miasta.

Z terenu upadku sterowca nadal dobiegały wieści o kolejnych stratach. Pożary rozszerzały się w zastraszającym tempie, zmuszając obrońców z wewnętrznego muru do porzucenia broni na rzecz łopat i noszy.

Sanata biegł krzywo, jakby wreszcie zaczął odczuwać skutki walki. Może jeszcze w czasie głównej potyczki na Placu Zamkowym, a może gdy biegli przez aleje kamienic. W każdym razie któryś z pocisków czy odłamków sojusznicznych salw musiał go wreszcie uszkodzić na tyle, by zwolnił.

Przed nimi rozciągał się wysoki na dwadzieścia jeden metrów mur Warszawa-01.

Gigantyczny, majestatyczny, prawie doskonale biały kolos najeżony działami, z których część była wielkości lokomotyw pociągowych. U szczytu uwijały się tysiące żołnierzy, a to tylko na jednym odcinku. Windy towarowe wciągały na mur kolejne maszyny wojenne, które wyglądały na nich jak miniaturowe zabawki.

– *Jeśli wbiegnie na mur, to przegraliśmy sprawę.*

– *W takim razie nie pozwolimy na to.*

– *Nadal możemy się wycofać.*

– *Tchórz cię obleciał?*

– *Nie... Rozsądek. Pamiętasz, jak mówiłeś o przecuciach? To teraz ja mam swoje.*

Lew przyspieszył. Łapy ledwo nadążały wymieniać się między sobą, orząc asfaltową arterię szeroką na kilka pasów. Czuł, jak pędzi, osiągając prędkość wysoce przekraczającą galopy najszybszych machin kroczących.

Dość przytomni z obrońców orientowali się, z czym mają do czynienia i próbowali strzelać z broni osobistej – na próżno. Wystrzały

nawet nie nadążały za migającym w polu widzenia stworzeniem, a co dopiero, gdyby miały go trafić.

Sanata dobiegł do fundamentów osłon, wskoczył na drewnianą platformę i zamachał ręką w górę. Na szczycie zawrzało, wciąż nie zaczęto wciągać Marszałka. Strażnicy nie wiedzieli, co się dzieje i czemu paradna maszyna Naczelnika jest tutaj.

Lew dognał tak blisko jak mógł, spał się i skoczył.

Dźwig zaczął powoli, ospale wznosić stalową konstrukcję w górę. Uruchomiony naprędce żuraw przyspieszał z każdą chwilą, próbując odsadzić czcigodnego od ziemi.

Ktoś z murów przesunął na szynach działo przeciwlotnicze, wykręcił obrotową czterolufową maszynę do ziemi i zaczął strzelać w intruza.

Pociski grubości dwóch palców mijały w locie majestatycznego kota, całkowicie dziurawiąc drogę za nim.

Platforma zakołysała się jak okręt na morzu, wstrząśnięty sztormem. Wielotonowy kocur obrócił się i wyszczerzył do kroczącej maszyny Marszałka, próbującego znaleźć cokolwiek, nadającego się na broń.

Izydor nie czekał, nie namawiał i nie apelował o żadne negocjacje. Było na to za późno. Właściwie czuł, że to już koniec. Liczył przynajmniej na to, że może z tego zrobić uczciwą wymianę – hetman za gońca.

Pazury zleciały z góry, nabijając się na wystawione ramię Sanaty. Zazgrzytał metal, jęknęły siłowniki. Kłęby oparów uniosły się z dysz na plecach marszałkowskiego pojazdu.

Dookoła gwizdały pociski, ktoś pruł serią z góry, ale po chwili przestał, gdy pierwsze z nich poznały kabinę Naczelnika pajęczynami pęknięć.

Lew mruknął coś zadowolony i wygiął się, przygniatając maszynę ciężarem swojego ciała. Ciśnienie w stawach kolanowych Marszałka

wzrosło. Sanata ugiął się i opadł na kolana, choć kiedyś w planach było, aby maszyna posiadała blokadę, by nie dopuścić do takiej upokarzającej sytuacji.

Pragmatyzm wyjątkowo wygrał nad symboliką, co ocaliło życie pilotów.

Lewa noga obróciła się w przykucnięciu, prawa wyprostowała i podcięła łapy lwa. Ten ryknął i upadł na bok, robiąc dziurę w wysokiej barierze bezpieczeństwa.

Sanata wyprostował się, stanął okrakiem nad lwem i jedną ręką chwycił go za kark. Zabuksowały siłowniki, para zgęstniała, chrupnęły kości i w końcu Izidor jęknął z bólu.

Wtem, grzywa stworzenia niespodziewanie zafalowała, wygięła się jak ciepła modelina i wpuściła palce maszyny w swoje trzewia. Sanacka dłoń zagłębiła się w sploty stawów i żył, a po chwili zniknęła, dosłownie pochłonięta przez wrogi organizm. W miejscu, gdzie przed chwilą był pseudoobojczyk kota, teraz ziała otchłań drobnych kłów.

Maszyna odsunęła się, próbując złapać równowagę mimo dwóch kikutów w miejscach rąk. Z każdym ruchem poruszała się z coraz mniejszą gracją, a większą topornością.

Ktoś bohatersko zeskoczył z góry na platformę w akcie sukursu. Przetoczył się i zamarł w bezruchu, nienaturalnie wygięty.

Król marionetek odzyskał poprawną postawę, potrząsnął łbem i przystanął na dwóch łapach. Klatkę piersiową miał szeroką, zwierzęcą, ale kończyny już prawie ludzkie. Wyglądał jak zwierzoludź ze starych bajek, którymi straszono dzieci.

Teraz to Marszałek miał się czego bać.

Długi, sierpowaty szpon z Karmazyny rozbił szklaną kopułę przywódcy narodu. Czerwona, pulsująca igła nanizала powoli klatkę

piersiową Naczelnika i uniosła go w górę. Krew splamiła najświętsze serce Czcigodnego Marszałka i opadła z muru długim, łabędzim lotem.

– Jedno słowo, Józefie, a puszcze wszystkich wolno.

Marszałek zamknął swoje przenikliwe, błękitne oczy. Zawarł usta i spał się, próbując stłumić grymas bólu. Nie patrzył na potwora ze Wschodu, nie słuchał go, nie wchodził z nim w polemikę do samego końca. Nacisnął przycisk na buławie.

Platforma dosięgła szczytu, wznosząc dwunogiego lwa na najwyższy poziom murów. Setki żołnierzy celowały z pistoletów, strzelb, karabinów, dział, wież przeciwlotniczych i miotaczy wprost w intruza.

Izydor na moment zastygł w bezruchu. Zdał sobie sprawę z tego, co się działo.

Słońce przyglądało się wszystkiemu z góry, zza gęstego całunu padlinożerców. Minęło zaledwie kilka godzin od południa. Niebo zasnuwane było latającymi, tłącymi się kawałkami tkanin. Pył, popiół i odłamki stanowiły część pogody.

Czerń i czerwień zawładnęły światem.

Po firmamencie nadal przetaczały się dwa pękate sterowce, bombardując na oślep przedpola muru zewnętrznego. Ten już był przerywany w kilku miejscach, pozwalając Warszawie nabrać wody jak dziurawemu okrętowi. Karmazyna wlewała się z każdej strony.

Szkarłatne stwory liczyły dziesiątki, może setki tysięcy sztuk. Rozlewały się po horyzont. Pochłaniały dosłownie wszystko na swojej drodze. Różniły się kształtem, wielkością, wyrazami twarzy czy ich liczbą lub całkowitym brakiem. Ponad linię woskowych lalek wystawały momentami stworzenia tak ogromne i niepojęte, że zmuszały do odwrócenia wzroku, by nie stracić zmysłów.

Zwierzęta, ludzie, przedmioty – wszystko było w repertuarze pochodzącego z Karmazyny.

Polacy nie pozostawiali dłużni. Około trzynastu tysięcy żołnierzy, ściągniętych jeszcze przed oblężeniem, przybyło bronić stołecznego miasta. Kroczące maszyny maszerowały przez pola bitew, siejąc spustoszenie wśród wrażeń wojny. Rosenberpan sięgał nieba, momentami otaczając całkowicie i odcinając poszczególne oddziały od reszty armii.

Symfonia kalibrów wydawała się najbogatszym spektrum dźwięków, jakie kiedykolwiek słyszał Izydor w całym swoim życiu. Krzyki, jęki bólu, rozkazy, zawołania rewolucji, groźby, lamenty, prośby, skargi, modlitwy zlewały się w jedną, dziwnie spójną melodię wojny.

Czuł się połączony z tym, jakby to był jego żywioł. Gdzieś głęboko tliła się w nim tęsknota, coś kazało mu rzucić się z muru. Skoczyć między grenadierów, rozerwać każdego na strzępy, wdusić Karmazynę w serca ludzi i ujednolicić wszystko co żywe i martwe.

– *Chwała rewolucji!* – ryknął z całych sił.

Zamrugnął.

Na jego długiej, szpiczastej i obcej dłoni wisiał Marszałek Józef Piłsudski. Był coraz chłodniejszy, krew sączyła się powoli wzdłuż błękitnego munduru. Żołnierze patrzyli z nienawiścią, niedowierzaniem, żalem, ze łzami w oczach.

A w tym wszystkim kapitan Wojska Polskiego Izydor Murykiewicz. Czuł, że inni widzą jego twarz, splamioną krwią rodaków.

Skoczył przed siebie.

Ciało Marszałka zjechało po kolcu i upadło na blanki. Izydor już na to nie baczył. Wyobrażał sobie, że z jego pleców wyrastają skrzydła, a on sam leci.

Huk, ciemność i ból. Nie było żadnych skrzydeł. Był dzwoniący łoskot w uszach i jeszcze więcej bólu. Dopiero po chwili zrozumiał, że ordynarnie uderzył w ziemię i żadne skrzydła go nie uratowały.

Z trudem poderwał się z ziemi i spojrzał na swoje Karmazynowe dłonie. Przelewały się, zmieniały, ale nie słuchały go, jak należy.

– *Lew?* – spytał Izydor w pustkę.

Obok niego stał wąsaty, starszy wachmistrz z karabinem. Najpierw myślał, że to jakiś kawał mięsa spadł z nieba, po chwili dopiero zrozumiał, że czerwony twór żyje.

Kula przeszła przez wielkie płuca Izydora, zamkniętego w Karmazynowym ciele. Ból był jak najbardziej prawdziwy. Ciemna krew polała się ciurkiem, a zaraz obok dziury pojawiła się następna do wtóru strzału.

Kapitan zerwał się z miejsca i pobiegł przed siebie.

Mijał zdezorientowanych żołnierzy, znoszonych z bitwy rannych i serwisowane w polowych warunkach maszyny. Tyły polskiego wojska wypełniały ekipy sprzątających z miotaczami Rosenberpanu i wściekli weterani.

Pociski świstały z każdej strony i choć Karmazynowy stwór biegł tak szybko, jak mógł, to część z nich nadal go trafiała, pozbawiając tchu i rwąc kawałki ciała.

– *Nie zostawiaj mnie!* – krzyknął Izydor w myślach, po czym stanął jak wryty.

Potworny huk i świst wypełniły jego głowę. Tuż przed nim przemknął pociąg pancerny, osłaniający ogniem żołnierzy ze swojego torowiska. Nikt pewnie nigdy się nie spodziewał, że rozstawiona między murami linia kolejowa będzie gościem wielką, pancerną gąsienicę, najeżoną armatami i gniazdami karabinów.

Izydor rozejrzał się dookoła. Wszyscy patrzyli na niego ze strachem albo z nienawiścią. Czuł na sobie kłujące spojrzenia ludzi, którzy widzieli w nim tylko potwora – za to, co zrobił, za to, kim się stał.

Gdzieś tam daleko były Karmazynowe stwory, inne, takie jak on, ale inne. Nie czuł żadnego przyciągania, żadnej więzi, ani familiarności. Nikt nie ruszył mu na pomoc ani nie wydawał się teraz bardziej zrozumiały niż przedtem. Na powrót Karmazyna stała się broczącą czerwonym woskiem falą koszmarów, która zalewała miasto, niezależnie od tego, co krzyczała.

Pociąg przejechał, odsłaniając dalszą część piekła. Izydor był świadom, że nadal może po prostu uciec poza mury, by tam spokojnie pomyśleć...

Świadomość zniknęła wraz z czuciem w lewej ręce.

Kończyna pofrunęła w niebo, koziołkując i tryskając gęstą posoką na wszystkie strony. Nim opadła do ziemi, zdeorientowany Izydor poleciał na plecy, zmieciony potężnym kopnięciem w brzuch.

– Cud... – dobiegł Izydora przytłumiony głos z daleka.

Murykiewicz spróbował wstać. Całe ciało rezonowało bólem, a ucięta kończyna nie regenerowała się sama z siebie. Wszystko bombardowało jego mózg sygnałami o bólu, na zmianę ze sprzecznymi informacjami o tym, co się gdzie znajduje. Propriocepcja oszalała i teraz Izydor był tylko balansującym na granicy szaleństwa kokonem mięsa.

Trójpalczasty, stalowy but przydepnął go do ziemi. Przed oczami stanęła mu błyszcząca szkłem przeciwpancernym kabina, odbijając promienie słońca. Niebo rozrzedzało się powoli, gdy następne Karmazynowe ptaki spadały na ziemię lub rejterowały w popłochu.

– Cuda są, Izuś, cuda są – powtórzył głos i wtedy Murykiewicz dostrzegł brodatą, poznaczoną Karmazynowymi wybroczykami twarz

kaprala Heinricha Knothego. – Nie wierzyłem, że kiedyś cię spotkam, wiesz? Tyle szukałem i na darmo, już straciłem nadzieję.

Stalowe ostrze wbiło się w podbrzusze byłego kapitana i przekreśliło. Karmazynowiec jęknął z bólu, oczy zaszyły mu różowymi łzami. Jego twarz wyrażała wszystkie ludzkie odczucia, odwzorowując twarz samego Izzydora.

– Nie odpływaj mi tylko, dobrze? Nie zmień się w nietoperza ani w pierdolonego kreta i nie spierdol, bo mam ochotę ci wydłubać jaja, skurwysynu.

– *Za co?*

Żołnierze dookoła zaczęli się zbierać w krąg i przyglądać dziwnemu zjawisku. Pierwszy raz zdarzyło się, żeby ktoś przy nich tak bezpośrednio rozmawiał z Karmazynem. Było to absolutnie nielegalne i zabronione, a jednak działo się na ich oczach. Cud miał miejsce na wyciągnięcie ręki.

Ktoś przystawił do głowy Izzydora dyszel miotacza Rosenberpanu. Inny z obrońców trzymał już drżące palce na spuście.

– Jesteś potworem, Izydor. Jesteś obrzydliwy i brzydzę się tobą, tak jak ty brzydzisz się mną. Wy nienawidzicie nas, a my was, bo wy jesteście wami, a my nami. Każda sekunda, w której widzę twój skurwiały pysk, jest eonem agonii, spędzonym w czeluściach piekieł.

Trójpalczasty but wzniósł się w górę i opadł na twarz Izzydora. Knothe jednocześnie popchnął odrobinę staw biodrowy i całkowicie wyprostował kolanowy, z całą mocą uderzając twarz potwora.

– Nie ma tu żadnej lekcji.

Podeszwa wygięła twarz Izzydora w bok. Coś chrupnęło w szkarłatnym karku.

– Popełniłeś błąd w momencie, w którym im uwierzyłeś.

Głowa ponownie wbiła się w ziemię, roztrzaskana twardą stopą.

– Każda sekunda, odkąd pierwszy raz pomyślałeś, że nie mamy racji, była zła. Nigdy nie byłeś bohaterem, nigdy nie byłeś ważny, jesteś tylko pionkiem w ogromnej grze. Ja jestem pionkiem, my wszyscy jesteśmy pionkami! – wykrzyczał z całą mocą Heinrich, ku zdziwieniu okolicznych oddziałów. – Byłeś gotowy oddać wszystko, dobro, honor, wiarę, za obietnice wiecznego odpoczynku... Przyjmuję twoją ofertę. Zabieram teraz wszystko to, w co wierzyłeś, a w zamian dam ci spokój.

But wzniosł się po raz kolejny, tym razem wyżej, lekko wyginając zaostrzoną piętę. Już zaczął opadać z ogromną siłą, gdy nagle głowa Izydora zniknęła.

Karmazynowe ciało zwinęło się w kłębek i spuchło natychmiastowo, zmieniając się w mały, twardy guz.

Momentalnie huknęła salwa,omal nie rozrywając na strzępy ciała Izydora. Ten jednak leżał przygarbiony jak igloo z krwi. Plecy wygięły się, przylgnęły z każdej strony do ziemi i zmieniły w kulisty pancerz, odcinający go od świata.

Prawie doskonałą ciemność ledwie przebijała czerwona poświata promieni słonecznych, sączących się przez gęstą sieć kapilar. Przez krótki moment Izydor czuł, jak pancerz gęstnieje, a po chwili znów przestaje się go słuchać i zastyga.

– *Karmazyn... Karmazyn, jesteś tu?* – Izydor szarpnął się, wiedział, że traci panowanie nad własnym ciałem do końca. – *Cholera, musimy się stąd wydostać!*

I dopiero wtedy zrozumiał, że został sam. Przestał być użyteczny, więc przestał należeć. Nie był już ani oficerem, ani częścią amalgamatu Karmazyny. Był tylko sobą i każdy go nienawidził.

Ostatnim ruchem otworzył wielometrową klatkę piersiową, skierowaną do błotnistej ziemi. Żebra rozwarły się, szrama po

Rosenberpanie pękła. Wielka cysta przetoczyła się przez organizm od pleców aż do brzucha i ze środka wypłynęła brudna, naga Alicja. Jej całe ciało pokrywały rude pąkle i kościste występy, wyglądała jak przetrawione zwłoki, wyplute przez wieloryba.

Wymienili się półprzytomnymi spojrzeniami.

– Izuś?

Izydor wychylił się z ogromnej głowy i ukazał malutką, ludzką twarz o czerwonych oczach. Ciało marionetkarza nadal gięło się, puchło i falowało pod wpływem bolesnych uderzeń żołnierzy.

– *Już dobrze, skarbie, jestem tu.*

– Co tak łupie?

Murykiewicz wsłuchał się w stukot, rozlegający się w czerni przedziwnego schronienia. Wśród wilgoci i ciemności rozbrzmiewały kolejne ciche puknięcia roju pocisków. Zasyczał puszczały strumieniem Rosenberpan, lecz nie brzmiało to jak pożar trawiący ciało Karmazyna, a raczej jak odległy płomyczek.

– *Deszcz pada, kochanie* – wyszeptał łamiącym się głosem.

– Miałam taki straszny sen. Nawet nie uwierzysz, jaki długi...

– *Cicho, cichutko, kochanie. Jestem przy tobie. Pewnie nie będzie następnej okazji, ale tak bardzo za tobą tęskniłem. Przysięgam, że w każdej chwili myślałem tylko o tobie i tak bardzo żałuję tego, co zrobiłem. Słyszę tylko, jak moje serce bije, gdy mówię, że cię kocham i wiem, że mówię wtedy prawdę. I tylko tego jestem teraz pewien.*

Alicja uśmiechnęła się, przewróciła na bok i oparła głowę na wystającym kamieniu.

– Śpiąca jestem, czuje takie ciepło i... oczy mi się same zamykają.

Kapitan zacisnął powieki, zagryzł wargi do krwi i przez wyschnięte na wiór gardło odpowiedział krótko:

– Śpij. Obudzisz się i już nie będzie padać, obiecuję.

* * *

– Tam nie wolno wchodzić! – zakrzyczała asystentka.

Wzdłuż schodów zbiegał tabun podkutych butów. Ktoś krzychał coś językiem przypominającym ścierające się koła młyńskie. Szarpnęły wyważane z dużą siłą drzwi bocznego korytarza.

Doktor Aleksander Breza stał przed swoim bujanym krzesłem, dostawionym pod złączone, dębowe stoły. Pod białymi, delikatnymi lampami rozpościerały się ziemie od Uralu do półwyspu Iberyjskiego.

Przetoczył wzrokiem od kilkuset figurek, zajmujących każdy skrawek Azji, i ruszył dalej na zachód. Polska leżała przykryta po gęstym całunem przemalowanych na czerwono ludzi, zwierząt i maszyn. W centrum Warszawy widniało kilkanaście czarno-czerwonych figurek, odróżniających się nieco od reszty Karmazynowej fali.

Te dziwaczne miniatury zwrócone były w każdym kierunku na równi. Wewnątrz kręgu wojsk stał dumnie lew z przytroczonym sztandarem ze złotą gwiazdą. Wszędzie dookoła rozlewały się kolejne, już w pełni czerwone figurki, zarastające równinę Polski.

Kilka figurek przekraczało granicę Cesarstwa Niemieckiego. Jednak jeszcze przed nimi stała masywna, szara ściana, wystająca ponad linię mapy. Adekwatna ściana stała jeszcze na wschodniej ścianie Polski, jednak kilkukrotnie mniejsza.

Drzwi pokoju rozwarły się pod wpływem nagłego uderzenia. Do środka wbiegło ośmiu żołnierzy, z których każdy mierzył dobre dwa metry. Wszyscy objuczeni byli grubymi, stalowymi pancerzami. Przy wizjerach masek przeciwigazowych trzymali drobne przyrządy celownicze,

przypominające jubilerskie lupy. Zza uszu wystawały im krótkie anteny, kończące się wraz z linią potylicy.

Żołnierze otoczyli doktora, mierząc do niego z aerodynamicznych, dziwacznych karabinów, wykonanych z polimerów. W końcu intruz w pikielhaubie postąpił do przodu i powiedział w ewidentnie nienatywnym angielskim:

– Doktor Aleksander Breza, pójdzie pan z nami.

– Spodziewałem się, proszę opuścić broń – odpowiedział doktor po niemiecku, błyskając rozżarzonymi, czerwonymi tęczówkami.

Przez moment wpatrywał się jeszcze w mapę i z lekkim wahaniem przewrócił figurkę lwa na ziemię. Chwycił w dwa palce białą figurkę w kitlu, przeniósł na miejsce Berlina i zatrzymał się na moment.

Był w tym wszystkim powolny, śmieszny, jak dziecko zafascynowane własną zabawą.

– Po drodze odwiedzimy jeszcze mojego serdecznego przyjaciela, profesora Siergieja Piotrowicza Mielnikowa.

– Obawiam się, że nie mamy czasu – odpowiedział zza maski oficer, już w swoim ojczystym języku.

– Cesarz na pewno będzie chciał z pierwszej ręki usłyszeć, jak stworzono waszego nowego sąsiada ze wschodu. A chyba najlepiej wyjaśni to sam stwórca, prawda?

Żołnierz przez moment wpatrywał się w doktora, aż przytaknął bez słowa.

Aleksander Breza wyszczerzył się, zaklaskał w dłonie i zaczął zdejmować figurki z makiety.

Lista patronów

Jan Lutze	Kamil Maciasz
Paul Troffke	Jędrrek Wawrzeń
Rafał Krzyżanowski	Marzena Sieprawska
Michał Misztal	Kamila Ostrowska
Kamil Szyłkiewicz	Łukasz Kulwicki
Wirginia Jankowska	Mikołaj Żelewski
Wiktor Ordon	Julia Osiecka
Marcin Ostoja-Hełczyński	Piotr Abramik
Barry Lidders	Iwona Pułanecka
Michał Nowak	Jan Jaśkowiec
Adam Orlicki	Damian Adamczak
Anna Myszkier	Maddie11
Salai	Anastazja Łomot
Katarzyna Gabrysz	Tomasz Ryczaj
Rafał Rogoziński	Jan Kubik
Janek Buszkiewicz	Jan Brzozowiec
Kacper Paczyński	Przemysław Kwaśnik
Michał Nowicki	Filip Szyjakowski
Monika Zajączkowska	Patryk Bernardelli
Dawid Furmanek	Weronika Sroga
Paweł Gągała	Jakub Witczak
Sebastian Pasterniak	Albert Pasierowski
Maciek Pernal	Zuzanna Żychowicz

Jędrzej Ziółkowski	Barbara Konopka
Szymon Walczak	Weronika Jaśkiewicz
Wawrzyniec Sokołowski	Jakub Pierzak
Jacor Kracor	Jakub Rogala
Konrad Pindel	Jan Guzik
Jakub Pietrek	Cyprian Perepeczo
Maciej Więckowski	Michał Lipski
Tobi Trojan	Mateusz Wyszyński
Maria Mróz	Jacek Kloss
Mateusz Piórkowski	Marcin Gepner
Tobiasz Tomaszewski	Karol Szewczyk
Piotr Niedziałek	Kate Turwon
Julia Tomasiak	Damian Bociek
Marcel Szubartowski	Ania Jędrowiak
Klaudia Tuszyńska	Ada Benio
Kuba Mokrzycki	Filip Siuda
Joanna Hereda	Paulina Chodyra
Wiktoria Słocińska	Dawid Klose
Maciej Kośnik	Dominik Kucharski
Przemysław Szopa	Kamil Sobczyk
Jakub Paciorkiewicz	Mikołaj Stężycki-
Dominik Pukos	Wojtasiak
Kacper Kamieniarz	Jakub Sawicki
Julian Pawłowicz	Przemek Piotrowski
Adam Kozak	Cezary Kubiński
Maciej Żbik	Karol Kamiński
Grzegorz Dombrowski	Mikołaj Trawiński

Anna Dubec	Tomasz Pasterz
Krzysztof Kwiatek	Bartosz Pachelski
Julia Świerkot	Katarzyna Abyszkin
Mikołaj Matusiak	Dominik "Tokar"
Klementyna Świącicka	Tokarski
Kordian Rogalski	Magdalena "Zir" Łysoń
Eryk Kawecki	Anna Kołodziejek
Maria Kabala	Piotr Żurkowski
Oskar Archi Nowogórski	Klaudia Dyczyńska
Sebastian Frączyk	Konrad Stecko
Ola Giedroń	Agred
Maciej Musiał	Wojciech Zych
Wiktoria Kaczmarczyk	Weronika Matuszczyk
Jan Bąk	Patryk Frączek
Katarzyna Marciniak	Jacek Sproch
Tymoteusz Całka	Dariusz Gwizdak
Jakub Ahmed Witczak	Marta Kłapa
Natalia Kowalska	Ruslan Smolarczuk
Rafał Gomola	Wojciech Dąbek
Michał Dzierwa	Miłosz Dunikowski
Stroku	Krzysztof Negacz
Jakub Cisło	Julia Podgórska
Zuzanna Obajtek	Kacper Jaśkiewicz
Jakub Strugała	Edmund Kukowski
Ola Gościcka Kacza	Damian Kurek
Daniel Styś	Michał Orzołek
Emilia Wyciślak	Tomasz Kisiel

Jakub Hukiewicz
Paweł Etmański
Maciej Knap
Mikołaj Roszczyk
Stomolko Connor
Kazno De
Łukasz Strzyżewski
Dorota Dzikowska
Kamil Adamczak
Daria Sawicka
Izabela Kajmowicz
Marta Niedźwiecka
Maciej Chrobok
Darek Mytych
Piotr Walasik
Janek Kozak
Kacper Oleszak
Tymoteusz Tuttas
Bartosz Chamera
Tymoteusz Zięciak
Konrad Kowalczyk
Michał Raczek
Piotr Wiśniewski
Dawid Owczarz
Stanisław Lem
Arkadiusz Kostuniak
Karol Zaborowski

Tomek Napierała
Piotr Ponewczyński
Łukasz Biernat
Jakub Czarkowski
Jakub Kłoka
Grzegorz Wójcik
Katarzyna Wysocka
Mateusz Czernicki
Monika Brzyska
Magda Pakuła
Robert Wasielewski
Piotr Gramiak
Aleksandra Stec
Paulina Kozak
Marcin Walkowiak
Michał Dolinowski
Wiktor Godlewski
Leszek Wroński
Mateusz Kuźniak
Jan Szczepaniak
Bartosz Gruszczyk
Adrian "Tuńczyk"
Morski
Grzegorz Samson
Krzysztof Szostak
Karolina Szyłkiewicz
Mateusz Nowacki

Robert Solski
Lona Wu
Maks Joniec
Michał Mierzyński
Kuba Malicki
Tash Lisiecki
Kris Vian Karczemskie
Łukasz Kulwicki
Weronika Ślązak